



ALEXANDRA POTTER



**CO U CIEBIE,
KOTECZKU?**

1

Co zrobiłaby każda z was, gdyby oświadczył się wam przyjaciel?

Wykrzyknęłyby entuzjastycznie „Tak!”, porwała chciwie pierścionek zaręczynowy z brylantem i zaprenumerowała czasopismo „Młoda Para”? Czy może raczej wystraszyłaby się tak, że w popłochu wykupiłaby lot do Mongolii tylko w jedną stronę? Delila nie skorzystała z żadnej z tych możliwości. Spoglądała tylko z góry na Lenny'ego, który ścisnął w rękę czerwone aksamitne pudełeczko i klęczał na kuchennym linoleum, z trudem łapiąc równowagę.

- No więc jaka jest twoja odpowiedź? - wykrztusił wreszcie, przenosząc ciężar ciała z jednego kolana na drugie.

Delila przygryzła wargę i milczała, więc ją ponaglił:

- No, mów, Dee, co z nami będzie?

Od razu wyobraziła sobie serię sztampowych obrazków: siebie w białej krynolinie z bufiastymi rękawami; podpitych, starszych krewnych uczujących w klubie golfowym, przy hot-dogach i tanim winie musującym; wujka Stana ze swoją kapelą, przymierzającego się do n-tej aranżacji utworu „Jeszcze raz, jeszcze raz, ptaszku mój...”. Pozostawał tylko ten drobiazg - resztę życia musiałyby spędzić z Lennym!

Wzdrygnęła się na samą myśl o tym. Nie, żeby nie kochała Lenny'ego, ale była z nim raczej z przyzwyczajenia niż z wielkiej namiętności. Przypominało to długoletnie używanie tego samego cienia do powiek, choć jego kolor dawno przestał pasować do czegokolwiek. Poznała Lenny'ego, gdy jako siedemnastolatka uczyła się prowadzić samochód, a on był jej instruktorem. Po sześciu miesiącach nauki operowania sprzęgiem i parkowania tyłem zdała egzamin na prawo jazdy, ale też straciła cnotę. Po dziesięciu latach dorobili się wspólnie przytulnego gniazdka o trzech sypialniach, z oranżerią i oknami imitującymi styl Tudorów.

- Dobra, zapomnij o tym, co powiedziałem - zdenerwował się w końcu Lenny, czym ściągnął Delilę z obłoków.

- Co? - zapytała nieprzytomnie.

- Jeżeli nie chcesz wyjść za mnie, najlepiej dajmy sobie z tym spokój.

- Lenny, poczekaj...

On jednak wyprostował się na całą swoją wysokość jednego metra i siedemdziesięciu centymetrów, wciągając przy tym brzuch. W ostatnim czasie trochę nabrał ciała, gdyż nie mógł sobie odmówić dodatkowych porcji kurczaka z frytkami czy prażonej kukurydzy. Formujący się brzuszek próbował maskować, nosząc luźne, piłkarskie koszulki w podłużne paski, obowiązkowo z podniesionym kołnierzykiem. Do tego zakładał zwykle wsuwane trepy, teoretycznie przeznaczone do chodzenia po pokła-

dzie jachtu, chociaż zwykle nosili je faceci, którzy morze znali tylko z dwutygodniowych wakacji na Ibizie.

- Idę do knajpy. Nie czekaj na mnie z kolacją! - zaanonsował, otwierając drzwi. Odwrócił się jeszcze i rzucił na stół pierścionek, który podskoczył, odbił się od kuchenki mikrofalowej, aby w końcu wylądować w psiej misce. - Weź go, tak czy siak miał być dla ciebie!

Z trzaskiem zamknął drzwi za sobą. Delila tylko westchnęła. Teoretycznie Lenny wydawał się wspaniałą partią zarządzał przecież dobrze prosperującym magazynem meblowym „Słodka Drzemka” w Bradfordzie, specjalizującym się w handlu sosnowymi łózkami o wyściełanych zagłówkach i puchatych materacach. W miejscowym barze przyjmowano go z rewerencją, szczególnie odkąd zamienił rozklekotany mini metro na najnowszy model vauxhalla. I czego więcej mogłaby pragnąć dziewczyna?

Sęk w tym, że ona pragnęła jakiegoś urozmaicenia. Życie w Bradfordzie u boku Lenny'ego nudziło ją setnie. Marzyła o czymś zupełnie innym, tyle że życie nie było czymś, co mogła kupić u Marksa i Spencera z gwarancją wymiany na nowe, jeśli nie będzie jej odpowiadało. Na tym polegał problem, że Delila pragnęła gruntownych zmian, ale nie miała dość energii, by pragnienie zamienić w czyn.

Kiedyś nie miała takich kłopotów. Jeszcze dość niedawno była w siódmym niebie, gdy mogła wprowadzić się do wynajętego mieszkania Lenny'ego - obskurnej ciupki nad smażalnią ryb i frytek przy głównej ulicy Shipley, przedmieścia Bradfordu... Tak, ale wtedy miała siedemnaście lat, nie wszystkie zdane egzaminy, a na karku wieczne utarczki z macochą. Marzyła o studiach artystycznych i pewnie dopięłaby swego, gdyby Lenny, z którym chodziła już od ośmiu miesięcy, nie zaprosił jej pewnego dnia do snobistycznej, włoskiej restauracji w mieście. Tam, przy porcji tiramisu z podwójną bitą śmietanką, zaproponował jej, aby z nim zamieszkała. W jednej chwili zapomniała o egzaminach i studiach, bo jego propozycja wydała się jej nie tylko szalenie romantyczna, ale umożliwiała ucieczkę od rygorystycznego ojca i zrzędzenia jego nowej żony - Sandry. Była młoda, więc przygoda miłosna pochłonęła ją bez reszty i przewróciła całe jej dotychczasowe życie do góry nogami.

Nie zważając na prośby nauczycieli, którzy radzili, aby przynajmniej nie rzucała szkoły w trakcie roku i zaliczyła jak najwięcej przedmiotów - cisnęła książki w kąt i podjęła pracę kelnerki w przydrożnym barze, z płacą dwóch funtów- za godzinę. Obsługiwała tam niewyżytych kierowców ciężarówek w atmosferze gęstej od papierosowego dymu i świńskich kawałów. Pokrywając śmiechem zakłopotanie, próbowała się skupić na liczeniu zarobionych pieniędzy, kierowcy tirów bowiem nie żalowali napiwków. Dzięki tym dochodom mogła wieczorami oddawać się ulubionemu zajęciu - przekształcaniu klitki Lenny'ego w urocze gniazdko miłosne. Dokonywała tego za pomocą jaskrawych farb, starannie dobranych obrazków i używanych mebli skupowanych na dobroczynnych kiermaszach. Odna-
wiała je, szorując papierem ściernym. Zdzierając przy tym palce do kości, ale za to miała poczucie, że stwarza sobie i Lenny'emu prawdziwy dom.

Nigdy dotąd nie była tak szczęśliwa. Dopiero po roku poczuła się nieswojo, kiedy jej najlepsze przyjaciółki zaczęły rozjeżdżać się na studia. Przez pewien czas próbowała z niektórymi korespondować, ale wkrótce te kontakty się urwały, gdyż nic ich teraz nie łączyło. Tamte dziewczęta prowadziły nadal beztroski tryb życia, jakby przedłużały sobie dzieciństwo - żyły ze stypendiów, wysypiały się do południa, tego popijały na studenckich imprezach i co tydzień wodziły się z innym facetem. Ona zaś, jak dojrzała pani domu, pracowała, płaciła komorne, przyrządzała dla Lenny'ego spaghetti z sosem bolońskim lub pieróg z mięsem (tylko to umiała gotować) i przytulona do niego, oglądała program w czarno-białym, przenośnym telewizorze, który dostała od wujka. Antenę zastępował im gięty wieszak na ubrania, którym trzeba było kręcić, aby poprawić jakość obrazu.

Jednak po kilku latach w tej sielankowej egzystencji coś się zaczęło psuć. Delila nie była pewna, czy zmiany zaszły po ich przeprowadzce do nowego domu, czy przed nią, a także - co było ich przyczyną. Może raczej nie tyle zmieniły się okoliczności, ile ona sama. Po prostu zaczęła pragnąć czegoś więcej. Początkowo lekceważyła te uczucia, przypisując je okresowym, kobiecym „złym dniom”. Później jednak te złe dni rozrosły się w złe tygodnie i miesiące, a wszechogarniająca nuda przesycala coraz bardziej zarówno jej związek z Lennym, jak i całe życie.

Nudą ziało też z rutynowych czynności wypełniających każdy kolejny dzień. O ósmej rano na dźwięk budzika zrywała się, brała szybki prysznic i pędziła na dół, aby ugotować dwa jajka na miękko na śniadanie dla Lenny'ego. On w tym czasie siedział już przed telewizorem i oglądał program poranny. Nie odrywając oczu od ekranu, ścinał czubki jajek i zjadał je podczas prognozy pogody. Nie zawsze tak wyglądały ich poranki - przedtem ze wspólnego śniadania potrafili uczynić wesołą zabawę, chichocząc przy smarowaniu grzanek masłem, całując się wargami lepкими od dżemu truskawkowego czy trącąc się nogami pod stołem! Teraz jednak cieszyła się, jeżeli Lenny przynajmniej parę razy mruknął coś pod nosem. Zwykle bowiem ani drgnął, dopóki nie rozległ się motyw muzyczny oznaczający zakończenie programu.

Nucąc dalej tę melodię, wycierał usta i podnosił się z kanapy. Przed lustrem w korytarzu poprawiał krawat i włosy - wprawdzie nie dbał o to, jak wygląda bez ubrania, ale zależało mu przynajmniej na zewnętrznych pozorach. W końcu rzucił: „Cześć, mała, będę na podwieczorek!” i łapał w biegu podniszczoną, lotniczą kurtkę, którą sprawił sobie jeszcze w 1987 roku. Nawet w drodze na parking nie przestawał podśpiewywać tej idiotycznej melodyjki!

Delila tymczasem sprzątała ze stołu i zaczynała przygotowywać się do pracy w restauracji. Najpierw wypijała duszkiem dwie filiżanki mocnej kawy, a potem przerzucała setki par rajstop, klnąc pod nosem, że nie potrafi się zdobyć, aby wreszcie powyrzucić wszystkie dziurawe. Miała nadzieję, że jeszcze kiedyś się przydadzą, na przykład pod długą suknię... Tylko czy w ogóle miała jakąś długą suknię? Albo w zimie pod dzinsy... ale kto wkłada pod dzinsy jeszcze rajstopy? Chyba że te kobiety, które pracują w pralniach samoobsługowych! W końcu znajdowała jakąś całą parę wciśniętą w róg

szuflady, wbijała się w służbowy mundur i głaśkała Fatsa - sześciolatniego charcika rasy whippet, który zawsze zdążył zlizać jej róz z policzka. Wychodziła z domu dziesięć po dziesiątej, choć powinna była wyjść równo o dziesiątej. Zawsze brakowało jej tych dziesięciu minut i nic nie pomagało, nawet jeśli próbowała wstawać o dziesięć minut wcześniej. Wskutek tego musiała biec, aby złapać autobus linii 636 akurat w chwili, gdy podjeżdżał na przystanek. Jakoś jednak dawała radę wsiąść i zająć miejsce nad kołem, gdzie czuło się nadmuch ciepłego powietrza pod nogami.

Siedząc na fotelu obitym pokrowcem w pomarańczowo-czarną kratkę, wyglądała przez okno lub czytała gazetę, bo czekała ją długa jazda do centrum Bradfordu. Od czasu do czasu podnosiła oczy znad lektury, aby obserwować tłoczące się na kolejnych przystankach zrędlive staruszki, azjatyckie dziewczęta w kolorowych sari lub młode matki objuczone dziećmi, wózkami i wypchanymi siatkami. Ze smutkiem stwierdzała, że te kobiety, niewiele ponad dwudziestoletnie, już wyglądały na zmaltretowane i zmęczone życiem. Czyżby tak malowała się jej przyszłość? Naprawdę nie czekało jej nic więcej poza kursowaniem z wózkiem do Poradni Matki i Dziecka?

W restauracji L'Escargot czekał już na nią kierownik sali, monsieur Pascal. Przeszłował z nogi na nogę, kiwał na boki łysą jak orzech czaszką i postukiwał starannie wypielęgnowanym paznokciem w szkiełko zegarka. Delila jak zwykle mruzczała pod nosem jakieś naprędce wymyślone usprawiedliwienie i szybko narzucała na siebie biały fartuszek z falbankami - właściciele zakładu wprowadzili je, aby móc przechwytywać dla siebie grubsze napiwki - po czym zabierała się do nakrywania stołów białymi obrusami i rozcinania papierowych opakowań. Jej zmiana przypadała na porę lunchu, więc podawała podpitym biznesmenom naszpikowane cholesterolem steki w ciężkostrawnych sosach, do tego oddzielnie bułeczki i wiórki masła na małych, srebrnych półmiskach. Klienci popijali wszystko mocnym, czerwonym winem, nie mając pojęcia, że to, co spożywali jako domowe dania kuchni francuskiej, pochodziło z gotowych, mrożonych i paczkowanych półproduktów. W błogiej nieświadomości cmokali z zadowolenia, popuszczali pasa i rozpinali kołnierzyki, wykrochmalonymi serwetkami ocierali czoła z potu, zapalali cygara i zarykiwali się ze śmiechu na temat jakiegoś antypatycznego bubka w dziale finansowym lub wymiarów biustu nowej sekretarki...

Delila pracowała w L'Escargot niecały rok. Był to jeden z serii lokali snobujących się na rzekomo oryginalną francuską kuchnię, ale płacono tam kelnerkom więcej niż gdzie indziej i konsumenci bywali mniej nachalni. Chwaliła sobie te zarobki, szczególnie odkąd barman Matt nauczył ją mieszać koktajle. Nie oznaczało to, że polubiła kelnerowanie, ale nie umiała robić nic innego. Z dwojga złego wolała to od pracy biurowej, gdzie musiałaby przez cały dzień tkwić za biurkiem, przełączać telefony i obsługiwać komputer, z czym nie najlepiej sobie radziła.

Kiedyś przyszło jej na myśl, że mogłaby ewentualnie spróbować przystąpić do egzaminów, które przedtem zaniedbała. Może nawet udałoby się jej podjąć studia, o jakich marzyła, zanim poznała Lenny'ego? Szybko jednak zarzuciła ten pomysł. Przede wszystkim nie byłoby jej stać na jego realiza-

cję - takie studia trwają kilka lat, a jak wtedy poradziłoby sobie bez jej zarobków? Zresztą Lenny chyba miał rację, utrzymując, że to marzenie ściętej głowy. Jaki projektant wewnątrz zrobiłby karierę w Shiplej? To, co było dobre dla alfonsowatych prezenterów z telewizji, nie musiało nadawać się dla zwykłych ludzi, takich jak ona.

Tymczasem wyciągnęła z psiej miski pierścionek i opłukała go pod kranem. W świetle nowej lampy z Ikei wyglądał jak zaręczynowy pierścień księżnej Diany - z szafirem otoczonym małymi brylancikami! Pokusa była zbyt wielka - w końcu co szkodziło przymierzyć? Wsunęła go na palec i pomachała ręką przed lustrem, trenując monarszy gest skinienia dłonią.

Odbicie w lustrze powtórzyło ten gest. Delila ujrzała w szklanej tafli dwudziestosiedmioletnią dziewczynę w spłowiałych wranglerach i odsłaniającej pępek koszulce. Z rozczochranymi, kasztanowatymi włosami i piegowatym, lekko zadartym noskiem nie przedstawiała sobą dobrego materiału na żonę. W każdym razie nie na żonę Lenny'ego.

I co ja najlepszego zrobiłam? - mruknęła pod nosem. Poczuała się jak jedna z tych dziewcząt, które dopiero przed ołtarzem uświadamiają sobie, że wybrały nieodpowiedniego kandydata na męża, z którym teraz będą się męczyć przez najbliższe trzydzieści lat! Chciała szybko zdjąć pierścionek, ale okazało się, że zacisnął się na palcu. Nie chciał się zsunąć, mimo że ciągnęła z całej siły, więc z okrzykiem „O, kurczę!” polalała całą rękę mydłem w płynie. Narobiła dużo piany, ale wskórała tylko tyle, że jeden z „brylancików” wyśliznął się z oprawy i wpadł do zlewu.

Delila na ogół mało czym się przejmowała, ale zaniepokoiło ją, że palec zaczął sinieć. A co, jeśli pierścionek nie da się zdjąć i pozbędzie się go tylko razem z palcem? Z przerażenia zaschło jej w gardle, ale przez myśl przeszła jej karkołomna idea - może Lenny tak to ukartował? Przecież gdyby straciła serdeczny palec, nikt inny oprócz niego nie mógłby się już z nią zaręczyć! Zaraz jednak odrzuciła tę myśl, bo umysłowość Lenny'ego zatrzymała się raczej na poziomie *Koła fortuny* niż *Miliarda w rozumie*. Osobnik, który z trudem nauczył się włączać magnetowid, nie byłby chyba zdolny do uknucia tak misternego planu! Tymczasem palec spuchł jak bania, do tego stopnia, że uniemożliwiał prowadzenie samochodu. Delila miała więc tylko dwie możliwości: albo poczekać na powrót Lenny'ego - co nie miało większego sensu, bo wróci dopiero po zamknięciu wszystkich knajp i na pewno pijany - albo samej zgłosić się na izbę przyjęć w miejscowym szpitalu. Jeszcze raz przyjrzała się lewej dłoni, której serdeczny palec upodobił się już do purpurowego i bulwiastego nosa wujka Stana. Uznała, że nie ma innego wyjścia i zadzwoniła na pogotowie.

Po pięciu minutach usłyszała słaby dźwięk syreny. Przez okno ganku najpierw dotarł przybierający na sile sygnał, a potem ukazała się karetka z migającym niebieskim „kogutem”. Podjechała pod sam dom, więc Delila wyobraziła sobie, jak ucieszą się sąsiedzi... I rzeczywiście, w oknach przyległych domów podnoszono już zasłony, a pani Bennett spod numeru 42 wyszła aż na próg w swoich futrzanych bamboszach i różowym pikowanym szlafroku. Karetka ostro zahamowała na miejscu i wyskoczyli z niej dwaj sanitariusze w jaskrawozielonych kombinezonach.

- Pani Delila Holdsworth? - warknął jeden z nich, z wąsikiem, wyraźnie zawiedziony, że pacjentka nie wije się w bólach na podłodze.

- Tak, to ja... Proszę, niech pan popatrzy! - Podsunęła sanitariuszowi pod nos palec, który tymczasem rozdał się do rozmiarów marchwi lub buraka. - Nie mogę zdjąć pierścionka... To mój pierścionek zaręczynowy, ale ja jeszcze nie chciałam się zaręczać, tylko go przymierzyć...

Dalsze bezładne wyjaśnienia utonęły we łzach, toteż pracownicy pogotowia pospiesznie zapakowali ją do karetki.

Po piętnastu minutach napięcia nerwowego i pisku opon dotarła do szpitala miejskiego w Bradfordzie. Na miejscu posadzono ją na wózku i przewieziono do gabinetu oddzielonego kotarą w pastelowym kolorze. Zajęła się nią krzepka pielęgniarka w ortopedycznych drewniakach Scholia, z wypisanym na identyfikatorze nazwiskiem: siostra Hamish.

- „Kobieta, lat dwadzieścia siedem, na palcu lewej ręki pierścionek tamujący krążenie krwi”. - Pielęgniarka odczytała śpiewnym głosem sporządzoną przez siebie notatkę. - Trzeba to rozciąć.

Uśmiechnęła się promiennie, widząc czerwone i zapuchnięte oczy dziewczyny. Czyżby wszyscy pracownicy izby przyjęć byli w znowie, że traktowali ją z taką sympatią? Może Lenny ich przekupił? Niemożliwe, popadała już w histerię!

Siostra Hamish wyciągnęła malutkie, błyszczące obciążki i bez ceregieli sięgnęła po zdeformowany fragment ciała pacjentki. Delila nie mogła znieść tego widoku, więc zakryła oczy wolną ręką. Usłyszała szcęknięcie i poczuła szarpiący ból, zastąpiony potem przez dziwne mrowienie. Spróbowała kolejno poruszyć każdym palcem, upewniając się, że żadnego nie brakuje. Przez palce prawej ręki odważyła się spojrzeć na lewą i odetchnęła z ulgą, że nie będzie musiała zostać starą panną.

Z tej radości aż zakręciło jej się w głowie, ale wstała, odciągając kotarę.

- To ja już pójdę! - powiedziała.

- A nie zapomniała pani czegoś? - Siostra Hamish podniosła w górę rozgięty pierścionek.

- Ach, rzeczywiście, pierścionek! - Delila z wymuszonym uśmiechem wepchnęła go do kieszeni płaszcza i pomaszzerowała ku wyjściu.

- Tylko niech pani nie zapomni podpisać się w recepcji! - zawołała za nią pielęgniarka.

Delila tylko zrobiła do niej minę. Szczęśliwie miała już ten koszmar prawie całkiem za sobą. Przepychając się łokciami, dotarła na początek kolejki.

- Chciałabym potwierdzić swój wypis! - burknęła w kierunku ponurej damy za biurkiem, wystrojonej w moherowy sweter o odcieniu czereśni. Widocznie w tym budynku uśmiechy były zarezerwowane tylko dla osób w służbowych ubiorach, nie w agresywnie jaskrawych sweterkach.

- Przepraszam, ale chyba ja byłem pierwszy - odezwał się za nią męski głos z akcentem Pierce'a Brosnana. Ze złości przygryzła wargę. Co za cwaniaczek próbował się przed nią wepchnąć? Już chciała go obtańcować, ale z dalszych jego słów dowiedziała się ciekawych rzeczy: - Spieszę się, bo nagrywamy właśnie film dokumentalny i muszę jeszcze dobrać oświetlenie...

Wystarczyło, że się obejrzała, a od razu zmieniła zdanie. Przed nią stał istny młody bóg - 185 cm wzrostu, włosy koloru czekolady i błękitne oczy dziecka, a wszystko to w opakowaniu obcisłej, czarnej koszulki i spłowiałych lewisów. „Młody bóg” uśmiechnął się i wyciągnął do niej rękę.

- Jestem Charlie Mendes, zastępca dyrektora wytwórni filmów dokumentalnych „Żywy Londyn”.

Uśmiechnęła się blado, choć w duchu klęła w żywy kamień. Dlaczego zawsze, kiedy spotykała seksownego faceta, musiała akurat być nieuczesana, nieumalowana, z maleńkimi, świńskimi oczkami, gębą całą w plamach i z pryszczami na podbródku? Taka okazja nie zdarzała się nigdy po kilkunastu godzinowym seansie przy toalecie, tylko akurat wtedy, kiedy miała policzki poznaczone czarnymi strugami tuszu niczym sobowtór Alice Cooper.

Nabrała w płuca dużo powietrza i uściśnęła podaną sobie rękę.

- Cześć, nazywam się Delila!

- Jak ta biblijna Dalila? - spytał prowokująco, gapiąc się bezwstydnie w jej przekrwione oczy.

- Raczej jak ta z piosenki Toma Jonesa - sprostowała. - Moja mama była jego fanką.

Płonąc rumieńcem wstydu, nerwowo zaciskała dłonie w kieszeniach.

- A moja znów szalała za Engelbertem Humperdinckiem! - Charlie się roześmiał. - Dobrze, że zwyciężyły rojalistyczne poglądy mojego tatusia i zostałem Charlesem.

Delila też była zdania, że to ładne imię. Nie tylko ładne, lecz seksowne, jak mało które spośród imion męskich.

- Mieszkasz gdzieś tu blisko? - Nie przestawał uporczywie się w nią wpatrywać.

- No... jakieś parę kilometrów stąd. Miałam niedawno wypadek i musiałam dziś zgłosić się na kontrolę. - Skłamała gładko, ale urwała, gdy uświadomiła sobie, że w piątkowy wieczór znajduje się w szpitalnej izbie przyjęć i tak śmiało opowiada o sobie zupełnie obcemu człowiekowi. Nie mogła jednak nic poradzić na to, że Charlie wywierał na nią wręcz obezwładniający wpływ, jakby ją przymurowało do zielonych kafelków posadzki.

- Ach, ale to chyba nic poważnego? - Uniósł brwi z wyrazem zatroskania.

- Skąd, tylko zwichnęłam rękę. - Sama się sobie dziwiła, dlaczego nie powiedziała prawdy. Chociaż właściwie dobrze wiedziała dlaczego. Wystarczyło, że zapierało jej dech na sam jego widok. Rozbierała go oczami, a najchętniej ściągnęłaby mu te jego obcisłe spodnie. Policzki jej płonęły, bo czuła się jak śpiąca królowna, którą królewicz rozbudził pocałunkiem. Nie chciała, aby Charlie znał prawdę o zdarzeniu z pierścionkiem, szczególnie w świetle faktu, że miał to być pierścionek zaręczynowy od Lenny'ego. Wołała, aby Charlie nie wiedział o jego istnieniu i uważał ją za kobietę wolną i przystępną.

- Ale teraz już dobrze się czujesz? - upewniał się.

- Oczywiście, wszystko w porządku.

Przełknęła ślinę, starając się ukryć narastający przyływ pożądania. Charlie wyraźnie gapił się na nią i gdyby nie wyglądała w tej chwili tak nieapetycznie, a on nie był tak wściekle przystojny - przysięgłaby, że poczuł do niej miętę! Ale nie, to przecież niemożliwe. Długoletnie pożycie z Lennym oduczyło ją właściwej interpretacji sygnałów ciała. Gdzieżby taki Charlie mógł czuć coś do niej! A może jednak?

Rzeczywiście nie spuszczał z niej wzroku. Delila, jak zahipnotyzowana, odwzajemniła spojrzenie. Zaglądając w przepastne czarne tęczęwki, pragnęła dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Na pewno miał szpanerską chatę w ekskluzywnej dzielnicy Londynu i balangował w czadowych klubach z takimi samymi fasoniarzami jak on! Przy śniadaniu nie oglądał telewizji ani nie jadał jajek na miękko, a wieczorami nie szlajał się z kumplami po piwiarniach. Z pewnością też nie jeździł vauxhallem cavalier ani nie nosił piłkarskich koszulek. Dałaby głowę, że w życiu nie byłby taki nudny jak Lenny!

- To ty kręcisz tu film? - Zebrała się na odwagę. Próbowwała nadać swemu głosowi tak zblazowane brzmienie, jakby codziennie spotykała reżyserów filmowych, choć takie okazje zdarzały się rzadziej niż wygrana w gazetowej „zdrapce” lub szybkie odnalezienie swoich walizek w karuzeli bagażowej na lotnisku. Można śmiało powiedzieć, że trafiła się jej życiowa szansa.

- Tak, nagrywamy film dokumentalny o pracy w szpitalnych izbach przyjęć. Dziś kręcimy w Bradfordzie, a jutro już w Birminghamie.

Dopiero teraz zrozumiała, dlaczego cały personel szpitala tak rozplýwał się w uprzejmościach. Słowa „film dokumentalny” wyjaśniały wszystko. Kto wobec perspektywy ujżenia własnej twarzy na ekranie telewizora odważyłby się pyskować, ziewać czy palić papierosy? Wystarczyło wycelować w kogoś obiektyw kamery i stawał się cud - obrażone na cały świat jędze przeobrażały się w rozszczybotane, „słodkie idiotki”!

- Dobra, chyba już będę leciał, bo widzę, że akurat przywieźli jakiegoś pijaczka ze złamaną nogą! - Charlie się ożywił. - Muszę ustawić kamery...

Poczuła, że robi się jej słabo. Najprzystojniejszy chłopak, jaki kiedykolwiek pojawił się na północ od Watwordu, miał zniknąć jak kamfora? Starła się jednak udawać, że nie robi to na niej żadnego wrażenia.

- Pewnie, ja też już lecę.

- A co, umówiłaś się z koleżankami?

- No, wiesz, wybieramy się do tego odlotowego klubu w Leeds... - Skłamała niezbyt przekonująco.

- Ach, więc jesteś klubmanką? - Uśmiechnął się porozumiewawczo, jakby oboje byli członkami jakiegoś ekskluzywnego klubu. Nawet bardzo ekskluzywnego, bo tylko dla nich dwojga.

- Hmm... może coś w tym rodzaju! - Prawdę mówiąc, jedynym klubem, jaki widziała w ciągu ostatniego półtora roku, był klub golfowy, gdzie występował wujek Stan ze swą kapelą. Jednak za nic w świecie nie zdemaskowałyby się z tym przed Charliem!

- Więc może bywasz także w londyńskich klubach? - Z zaciekawieniem uniósł brwi i przekrzywił głowę. Sądziła, że śni. Może się myliła, ale wyglądało to bardzo obiecująco.

- Właściwie to nie, ale chciałabym... - bąknęła nieśmiało.

- No to poczekaj... - Sięgnął do tylnej kieszeni spodni. - Masz tu moją wizytówkę. Gdybyś kiedyś była w Londynie - odezwij się do mnie, to pokażę ci różne fajne miejsca. I wtedy będziemy mieli czas swobodnie pogadać! - dodał z łobuzerskim mrugnięciem.

Wzięła do ręki wizytówkę i ostrożnie powiodła palcem po eleganckich, tłoczonych literach. Takich kart nie można było wydrukować sobie w samoobsługowym automacie na dworcu!

- Dziękuję, chętnie skorzystam! - wyrzuciła z siebie pospiesznie, bo w środku aż ją skręcało.

- Trzymam cię za słowo! - Charlie rzucił jej jeszcze jeden zabójczy uśmiešek i zagadał do recepcjonistki, która teraz promieniała uśmiechem od ucha do ucha, licząc, że zostanie gwiazdą telewizji. Kiedy sunęła już w stronę wyjścia, zawołał jeszcze za nią: - Do miłego, Delilo!

„O tak!” - westchnęła w myśli. Zaczęła już sobie wyobrazać, jak to pakuje manatki i wprowadza się do jego garsoniery w Soho, urządzonej według „Elle Decoration”. Po tym mieszkaniu kręciłaby się w luksusowej bieliźnie od Calvina Kleina, ucierając parmezan lub układając stokrotki w małych flakonikach przypominających próbówki... Takie życie wymarzyła sobie na podstawie opisów w ilustrowanych magazynach, jakie lubiła czytywać w autobusie w drodze do pracy. Na dodatek Charlie podniecał ją jako mężczyzna. Mało tego, że pracował w telewizji, to jeszcze spędzał wieczory w ekskluzywnych klubach zamiast przed telewizorem obgryzać udko kurczaka lub przy barze drzemać nad kuflem piwa i paczką chrupek. Na pewno był uroczy i dowcipny, a sprawność seksualną miał wręcz wypisaną na czole. Delila na ogół nie myślała o pójściu do łóżka ze świeżo poznanym facetem, ale z Charliem to zupełnie co innego. Chętnie osobiście przekonałaby się o jego męskich walorach, bo seks z Lennym od dawna stracił wszelki powab, stał się jedną z rutynowych czynności w rodzaju rozmrażania lodówki.

Nie miała wątpliwości, że Charliego byłoby stać na więcej niż szczypanie jej piersi czy gmeranie w majtkach.

Zanim wyszła, jeszcze odwróciła się i pomachała mu ręką. Przy tym ruchu pierścionek wypadł z kieszeni i smętnie brzęcząc, potoczył się do kanału ściekowego, gdzie znikł. Wcale się tym nie przejęła, wprost przeciwnie - nawet ją to rozśmieszyło. Straciła wprawdzie pierścionek, ale zyskała popęd do działania - dokładniej mówiąc, popęd seksualny!

3

W każdą sobotę przez lokal L'Escargot przewijały się tłumy klientów. Jedni zgłodnieli, robiąc zakupy w pasażu handlowym, inni otrzymali w piątek wypłatę i z tej okazji, zamiast szybkiego posiłku u McDonalda, chcieli zaszaleć w prawdziwej restauracji. Niestety, akurat w tę sobotę pan Pascal borykał się z niepełną obsadą personelu, więc tylko coraz szybciej przestępował z nogi na nogę i pokrzykiwał na tych pracowników, którzy byli obecni. Najczęściej na Delile, która poruszała się jak w transie, myląc zamówienia, upuszczając sztućce i zapominając podać zamówione drinki. Nie mogła jednak nic na to poradzić, gdyż myślami była przy Charliem. Od zeszłego wieczoru nie potrafiła myśleć o niczym innym poza jego niebieskimi oczyma, filuternym uśmieszkiem i propozycją spotkania w Londynie.

W przerwie między serwowaniem poszczególnych dań schroniła się przed złymi humorami Pascala w szatni, zabrała stamtąd swój portfel i zamknęła się w kabinie damskiej toalety. Siedząc na sedesie jeszcze raz dokładnie obejrzała wizytówkę Charliego i wodząc palcem po wypukłych czcionkach odczytała nadrukowany tekst:

„Charlie Mendes, Wytwórnia Filmów Dokumentalnych LLB, 163 Kensington Park Road, Notting Hill, London W11. tel. 0171 792 0070, tel. kom. 07712 944881”, aby upewnić się, że ten człowiek istnieje naprawdę, nie tylko w jej wyobraźni. W chwili obecnej pewnie kręcił film w Birminghamie. Zachodziła w głowę, czy od czasu ich spotkania poświęcił jej chociaż jedną myśl. Wczoraj wieczorem, po powrocie ze szpitala, chciała już pakować swoje rzeczy i jechać za Charliem do Londynu. Ale to było wczoraj, kiedy zdrowy rozsądek musiał ustąpić pola burzy hormonalnej. Dziś, w jasnym świetle dnia, zdawała sobie sprawę, że to był idiotyczny pomysł. Chociaż, czy naprawdę?

- Delilo, jesteś tam? - Do drzwi kabiny dobijała się Amy, jedna z kelnerek.

- Tak, a co się stało? - Delila szybko schowała wizytówkę Charliego do portfela i ostentacyjnie zaszeleściła papierem toaletowym.

- Nic się nie stało, tylko Pascal dostaje już białej gorączki, że cię nie może znaleźć.

- Powiedz mu, żeby ugryzł się w dupę! - burknęła pod nosem.

Jej odpowiedź zaszokowała Amy, która miała dopiero siedemnaście lat, w tym lokalu podjęła swoją pierwszą pracę, a Pascal był dla niej kimś w rodzaju dyrektora szkoły.

- Nnn... nie mogę zrobić czegoś takiego! - wyjąkała przerażona.

- No więc powiedz mi, że zaraz przyjdę - burknęła Delila niechętnie. Wcale nie miała ochoty opuszczać ciepłej kabiny, z grzejnikami nastawionymi na cały regulator, pachnącej mieszaniną płynu dezynfekcyjnego i odświeżacza powietrza. Rada, że Amy oddaliła się pospiesznie, trzaskając wahałowymi drzwiami, zrzuciła z nóg pantofle i wygodnie oparła się o ścianę za spluczką. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie zgrabną i ponętą sylwetkę Charliego - kompletne przeciwieństwo Lenny'ego. Szczególnie jaskrawy stał się ten kontrast wczoraj, kiedy Lenny o północy wrócił z baru, pijany i skłonny do awantur. Obudził ją ze snu, gdy hałaśliwie, zataczając się, wtargnął do sypialni, pozapałał światła i padł w ubraniu na kołdrę, zionąc zaduchem piwa i grzanek z czosnkiem. Delila przez chwilę przypatrywała mu się zaspanym wzrokiem, ziewając raz po raz, zanim porwała z suszarki zapasową poduszkę i koc, aby resztę nocy przespać na niewygodnym, pojedynczym łóżku w gościnnym pokoju. Kiedy dziś rano wychodziła do pracy, Lenny jeszcze się nie przebudził.

Głowa zaczęła jej się chwiać i mało brakowało, aby zapadła w drzemkę. Siłą woli zmusiła się do wstania, bo miała świadomość, że jeśli zaraz stąd nie wyjdzie - straci pracę. Spuściła wodę, wyszła z kabiny i z obrzydzeniem spojrzała na swoje odbicie, szczególnie niekorzystnie prezentujące się w górnym świetle żarówki sufitowej. W lustrze zobaczyła twarz dwudziestosiedmioletniej kobiety z workami pod oczami, wciśniętą w idiotyczną kelnerską liberię. Nawet w najlepszym okresie nie była zachwycona swoim wyglądem, a dziś już zupełnie się sobie nie podobała.

Związała włosy w koński ogon i pogrzebała na dnie plecaka w poszukiwaniu kredki do powiek. Wiedziała, że Pascal nie znosił u swoich kelnerek zbyt ostentacyjnego makijażu, więc celowo przedłużyła zalotne, czarne kreski w kącikach oczu. I tak już był na nią wściekły, więc chciała jeszcze bardziej pograć mu na nerwach. Miała już po uszy całej tej syfiastej roboty. Ze złością obciągnęła fartuszek, choć najchętniej poradziłaby temu zarozumiałemu zabojadowi, żeby go sobie wsadził w kaczy kuper!

- Delilo, coś ty tam tak długo robiła? - Pascal czekał już na nią przy ladach chłodniczych. Trzymał się pod boki, a głowa latała mu ze zdenerwowania na wszystkie strony.

- Jak to co? Siusiu! - odszczeknęła, trzaskając drzwiami damskiej toalety z takim impetem, że przybita do nich blaszana sylwetka wiktoriańskiej damy w krynolinie zaczęła rytmicznie kiwać się na boki jak wskazówka metronomu.

- Sama pakujesz się w kłopoty! - prychnął Pascal. Pedantycznym gestem zdjął włos z rękawa marynarki i poprawił spinki do mankietów. - Uważaj, bo niedługo możesz mieć aż za dużo czasu na siusianie. Tylko że wtedy nie będziesz mieć pracy!

Wyraźnie zadowolony z siebie, stanął w triumfalnej postawie, zakładając ręce na piersiach.

- I co wtedy zrobisz? - dodał z sadystyczną satysfakcją.

Delila nie od razu udzieliła odpowiedzi. Kątem oka widziała, że Amy i pozostałe kelnerki z zapartym tchem obserwują całą scenę zza kuchennych drzwi. Przez chwilę wahała się, czy nie powinna przeprosić Pascala, ale umysł jej zdominowała wizja Charliego i jego atrakcyjnej pracy w telewizji. Zamiast skruchy odwzajemniła się więc szefowi wyzywającym spojrzeniem.

- Nie wiem, co zrobię, ale wszystko będzie lepsze od tej pańskiej mordowni! - Odwiązała fartuszek, z demonstracyjną flegmą złożyła go na pół i wrzuciła do kubła na śmieci z pokrywą podnoszoną pedałem. - Musiałabym z byka spaść, żeby za marne grosze podawać ludziom takie świństwa. Restauracja, myślałby kto! Same odgrzewane mrożonki i zupy z proszku! A wsadź pan sobie gdzieś taką robotę!

Pascala kompletnie zatkało. Może i lepiej, że zapomniał języka w gębie, bo zanim zdążył sobie przypomnieć jakieś błyskotliwe francuskie powiedzonko, których miał bogaty repertuar, Delila obróciła się na pięcie, machnęła mu przed nosem swoim końskim ogonem i tanecznym krokiem opuściła L'Escargot, aby tam więcej nie wracać.

Dopiero w drodze powrotnej do domu adrenalina przestała w niej buzować. W autobusie uświadomiła sobie, co najlepszego zrobiła. Przyjemnie było rzucić w twarz Pascalowi, gdzie ma sobie wsadzić swój zakład, ale co potem? O pracę, nawet w zawodzie kelnerki, nie było łatwo. Westchnęła na myśl o tym, ale pocieszyła się, że na dzisiejszy wieczór była umówiona z wujkiem Stanem w gospodzie Pod Kaczką i Psem. Wuj wybierał się właśnie z żoną na lato do Benidormu, gdyż lekarz zalecił mu tamtejszy klimat jako pozytywnie działający na artretyzm. Zaprosił więc najbliższych przyjaciół na „pożegnalnego kielicha”, co w jego ustach oznaczało pijaństwo na umór, aż do zamknięcia lokalu.

Rozklekotany autobus powoli toczył się główną ulicą. Delila wyglądała przez okno. Mijała sztuczne lodowisko, od dawna nieczynne, choć zachował się jeszcze fragment jego reklamy świetlnej. Z kina Odeon wychodziła grupka widzów popołudniowego seansu, a w hinduskim domu handlowym Bombaj oferowano duży wybór materiałów na sari. Znajome budynki przywodziły jej na myśl wspomnienia z dzieciństwa, związane z postacią wujka.

Był starszym bratem jej matki, która za jego młodych lat bardzo go przypominała. Z wiekiem jednak podobieństwo gdzieś się zapodziało, bo wuj Stan przeistoczył się w łysego grubasa, czerwonego na gębie, o małych, wodnistozielonych oczkach i dużych, mięsistych uszach. Jednak punkt centralny jego twarzy stanowił nos, purpurowy i rozdęty, co zawdzięczał niezliczonym kufdom piwa i szklankom whisky z lodem. Delilę jako dziecko ten nos fascynował do tego stopnia, że wpatrywała się jak zahipnotyzowana w sterczące z nozdrzy pęki włosów i pokrywającą go pajęczynę czerwonych żyłek. To, że nos wujka przypominał kształtem rzepę, było pamiątką z czasów, kiedy jako nastolatek trenował boks w wadze piórkowej.

Jego żona, Shirley, była małą, ruchliwą jak wróbelek kobietką, która farbowała włosy na rudo, grubo pudrowała twarz i paliła papierosy Benson and Hedges w szylkretowej fifce. Po czterdziestu latach palenia miała tak spękane wargi, że szminka nieregularnie się na nich rozpływała, co pod koniec dnia przypominało owoc maliny. Stana poznała zimą roku 1959, kiedy pojawił się w pochłapanym farbą kombinezonie, aby odnawiać dom jej rodziców. Częstowała go herbatą z cytryną, a on bawił ją rozmową tak zajmującą, że nim wyschła pierwsza warstwa farby emulsyjnej - już umówił się z nią na randkę. Od tamtej pory przeżyli w szczęściu i zgodzie prawie czterdzieści lat - na przyszły rok przypadało ich rubinowe wesele. Radość z tak harmonijnego pożycia mącił tylko fakt, że nie mogli mieć dzieci. Żadne z nich nie czuło się jednak temu winne, a brak potomstwa rekompensowali przygarnianiem całej sfory bezdomnych psów i kotów oraz szczególnie ciepłymi uczuciami dla Delili.

Zawsze traktowali ją jak rodzoną córkę - wyprowadzali w świat, psuli prezentami i ofiarowywali więcej miłości, niż jakiegokolwiek dziecko mogłoby potrzebować. Kiedy Delila była mała - całymi dniami przesiadywała w ich domu, bawiąc się skrawkami tapet i puszkami po farbach, a gdy dorosła - wujek zabierał ją z sobą do domów klientów, u których pracował. Pokazywał jej, jak przy użyciu farb i tapet, operując kolorem i przestrzenią, można wyczarowywać zupełnie nowe efekty wizualne. W dzieciństwie Delila nie słyszała nigdy pojęcia „projektowanie wnętrz” ani nie wiedziała, co ono oznacza, ale posiadała dostateczną wiedzę na temat barw, kształtów, światła i kompozycji przestrzennych, aby mieć pewność, że tym właśnie chce się zajmować, gdy dorośnie.

W gospodzie Pod Kaczką i Psem panował ożywiony ruch, jak zwykle w sobotę. Goście, którzy zasiedzieli się po lunchu, bo wypili o jednego za dużo, wymieszali się z wieczornymi amatorami mocnych trunków. Delila stanęła na palcach i wyciągnęła szyję, aby cokolwiek zobaczyć nad głowami konsumentów i przez opary papierosowego dymu zmieszanego z odorem zwietrzałego piwa. Modliła się, żeby nie zastać Lenny'ego, ale z dużym prawdopodobieństwem mógł się tu znaleźć, tym bardziej że Stan zaprosił także i jego, a Lenny nigdy nie przepuszczał okazji do wypitki, szczególnie w sobotę wieczorem.

Shirley siedziała z boku przy barze, sącząc porto z plasterkiem cytryny i gawędząc z barmanką Verą. Podniosła wzrok w samą porę, aby napotkać spojrzenie Delili i zamachała do niej w powietrzu swoją fifką. Delila odpowiedziała jej uśmiechem i przepchała się pomiędzy nastoletnimi dziewczętami, które przed wyjściem na miasto chciały napić się czegoś na rozgrzewkę. Mimo że na dworze utrzymywała się temperatura poniżej zera - panienki miały na sobie tylko obcisłe minispódniczki z lycry i skąpe topiki bez rękawów, skutkiem czego ich ramiona i nogi były sine z zimna i pokryte gęsią skórą.

- Jak się masz, kochanie! - zagruchała czule Shirley, wyciskając na policzku Delili odcisk uszminkowanych ust w kształcie maliny. Pachniała lakierem do włosów i wodą fryzjerską. - Wujek ucieszy się, że przyszedł!

- A co, myślisz, że pozwoliłabym wam wyjechać do Hiszpanii bez pożegnania?

Wymieniając z Shirley serdeczny uścisk myślała w duchu, że nawet jej stara ciotka i wujek prowadzili ciekawsze życie niż ona. Z jaką chęcią sama pojechałaby do Hiszpanii!

- O, Dee, jak to miło, że jesteś! - Wuj Stan, z pustym kuflem w ręku, poklepał ją po głowie swoją wielką łapą, szorstką jak papier ścierny. Zdążył już trochę wypić, więc zachowywał się wylewnie. - Szałowo dziś wyglądasz. Prawda, Vero?

Barmanka przytaknęła z uśmiechem, więc Delila zarumieniła się, zakłopotana. Niestety, Stan im więcej pił, tym łatwiej przychodziły mu komplementy. Teraz odstawił kufel na mokrą podstawkę i zażądał:

- Złociutka, dla mnie jeszcze raz to samo, a dla Dee i Shirl, co zechcą.

- A Lenny nie przyszedł? - zainteresowała się Shirley, dopijając porto i wysysając miąższ z plasterka cytryny.

- Nie wiem, przyjechałam tu prosto z pracy - odpowiedziała wymijająco Delila. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, były teraz szczegóły na temat Lenny'ego. Modliła się, żeby raczej pozostał w domu. Niestety, jej modlitwy nie zostały wysłuchane.

- O, tu jest Lenny! - wrzasnął triumfalnie wuj Stan, machając ręką w stronę Lenny'ego, który akurat pojawił się w bocznym wejściu. - Czego się napijesz, synu?

Otoczył Lenny'ego ramieniem i oznajmił z dumą:

- Wiecie, że ten chłopak niedługo wejdzie do naszej rodziny? Prawda, Dee?

Mrugnął przez ramię do Delili, która w środku cała się zjeżyła. Wuj zawsze próbował ingerować w jej sprawy męsko-damskie. Jeszcze kiedy była nastolatką, brał pod lupę każdego chłopaka, z którym chodziła i udzielał jej „dobrych rad” na podstawie własnego doświadczenia, jak ma go zatrzymać przy sobie. Zgodnie z jego poglądami zdobywanie mężczyzn, podobnie jak łowienie ryb, wymagało mnóstwa cierpliwości i odrobiny zręczności.

- A więc kiedy zaczniesz żyć po bożemu z naszą Dee? - zwrócił się frontalnie do Lenny'ego.

- Ją o to spytaj! - burknął Lenny, patrząc w oczy Delili z mieszaniną żalu i gniewu. Oczywiście wszystkie spojrzenia zwróciły się na nią. On zaś, jakby dawał jej ostatnią szansę, skierował do niej pytanie z podtekstem „teraz albo nigdy!” - No więc jak?

- Zaraz, chyba zebraliśmy się tutaj, aby uczcić wyjazd Stana i Shirley do Hiszpanii? - Wywinęła się, ignorując tak jego, jak i pytanie. Następne zdanie skierowała bezpośrednio do Shirley. - Na którą macie wykupiony lot?

Na szczęście Shirley od razu zaczęła się rozwodzić nad szczegółami wycieczki, więc Lenny z kamienną twarzą zajął się podanym kuflem piwa i wychylił go do dna. To akurat zauważył Stan, nie zdając sobie sprawy, co zaszło między Lennym a Delilą.

- Widzę, że cię suszy! - Roześmiał się kordialnie. - Masz, napij się jeszcze.

Podsunał mu następną kufel przed chwilą napelniony przez Verę, z przelewającą się przez brzegi czapką piany.

- Dziękuję, stary, tego mi właśnie trzeba! - burknął pod nosem Lenny, rzucając Delili spojrzenie spođe łba, zanim zwrócił się w stronę automatów do gry, aby na nich wyładować swój gniew i frustrację.

Vera zamrugała światłami na znak, że przyjmuje ostatnie zamówienia przed zamknięciem lokalu. Delila odetchnęła z ulgą, gdyż ten wieczór wydał się jej najdłuższy w życiu. Pięć godzin przesiedziała przy barze, popijając wódkę na zmianę z colą i przegryzając to różnymi rodzajami chipsów, solonymi orzeszkami, jajkami na grzance oraz kanapkami z szynką i serem, które Vera serwowała jedynie przy specjalnych okazjach. Stan miał już malutkie, świńskie oczka, ale przez cały czas świetnie się bawił. Około dziewiątej wieczorem w lokalu nie było nikogo poniżej czterdziestki. Pozostali tylko stali klienci - tacy jak małżeństwa w średnim wieku i dwóch pijaczków, którzy potrafili przestać cały wieczór w jednym miejscu, dopóki nie zabrakło im pieniędzy lub wcześniej nie zamknięto baru. Przez ostatnie dwie godziny Stan raczył gości popisami wokalnymi, wykonując sztandarowy utwór swojej kapeli *Oto nadchodzą wszyscy święci*. Shirley akompaniowała mu na tamburynie i zachęcała obecnych do chóralnego śpiewu.

Lenny cały wieczór przesiedział przy stoliku w kącie sali, gawędząc z Garym, kolegą z pracy. Na Delilę ostentacyjnie nie zwracał uwagi, bo czuł się urażony jej negatywną reakcją na propozycję matrymonialną. Wyszło tak, jakby to jemu czegoś brakowało, a przecież wiedział, że niejedna kobieta podskoczyłaby pod sufit, gdyby to jej się oświadczył. Miał dobrą pracę, nowy samochód, a zresztą sam też nie wypadł sroce spod ogona, tylko tej wszystkiego było mało! A winne są te idiotyczne, kolorowe pisemka, którymi się zaczytywała. Gdyby nie zawróciły jej w głowie, nie zmieniłaby się tak w stosunku do niego. Na początku była mu przynajmniej wdzięczna, że mogła uciec od ojca i wprowadzić się do niego. Wydawała się wtedy czuła i kochająca, ale z biegiem lat stała się zupełnie obojętna. Prawda, że oboje żyli teraz jakby obok siebie, ale to ona była temu winna, nie on. Racja, prawie już nie sypiali ze sobą, ale też z jej winy, bo mogła przynajmniej dołożyć trochę starań, żeby te sprawy układały się jak trzeba. W końcu zbliżał się już do trzydziestki, a i jej niewiele brakowało do wieku, w którym powinno się myśleć o dzieciach. Chyba każda kobieta o tym marzy, więc dlaczego, u licha, nie skakała z radości pod sufit?

Ze swego miejsca rzucił okiem na Delilę, która znad swojej szklanki patrzyła w przestrzeń nieobecny wzrokiem. Pewnie znowu myślała o niebieskich migdałach! Zawiedziony, odwrócił się z powrotem do Gary'ego i kontynuował rozpoczętą rozmowę o szansach drużyny Bradford City na utrzymanie się w lidze.

Tymczasem Delila myślami bujała znowu przy Charliem.

Dałaby głowę, że W tej chwili bawił się znacznie lepiej niż ona. Skorzystała Z okazji, że wuj Stan zaintonował utwór „Wspomnienia”, aby przerwać jego crescendo i wylewnymi uściskami pożegnać oboje wujostwa. Wiedziała, że będzie za nimi tęsknić.

- Lenny, biorę taksówkę. Chcesz jechać ze mną do domu? - Delila stała przed nim z rękami w kieszeniach. Starła się nie patrzeć na Gary'ego, który musiał już wiedzieć o całym zajściu, bo rzucał na nią obleśne spojrzenia, grając wobec Lenny'ego rolę troskliwego przyjaciela. Wiedziała, że to nie-szczere, bo przecież na ostatnim sylwestrze sam ją zaczepiał. Najpierw przekonywał, że z nim żyłoby się jej lepiej niż z Lennym, a potem machał jej przed nosem gałązką jemioli i usiłował pocałować ją „z języczkiem”!

Lenny też unikał jej wzroku, nie podnosząc głowy znad kufla z piwem.

- Nie, przejdę się jeszcze po mieście z Garym - mruknął półgębkiem, wysączając resztki piwa.

Delila zagryzła wargę. W ciągu tego wieczoru narastało w niej poczucie winy, ale teraz znów się zdenerwowała, bo czuła, że Lenny chce w ten sposób ją ukarać.

- No, to baw się dobrze! - warknęła.

- Nie martw się, już ja o to zadbam! - zarechotał Gary, kiedy z rozpędem przeszła obok niego.

Przez kontrast z dusznym i wilgotnym wnętrzem baru chłód wieczoru zakręcił w nosie, więc podniosła kołnierz. Za zatrzaśniętymi drzwiami zostały piosenki wuja Stana i dźwięk tamburynu cioci Shirley. Wyszła na postój i złapała taksówkę.

4

Delila przycisnęła nos do szyby okna sypialni. W poniedziałek padało już od rana. Pogoda popsuła się jeszcze poprzedniego dnia, kiedy po przebudzeniu spostrzegła, że Lenny nie wrócił na noc do domu. Pewnie po wizycie w nocnym klubie przenocował u Gary'ego, licząc, że ją tym zmartwi. Tymczasem ona, patrząc na pustą połowę łóżka, doszła do wniosku, że nie dba o to, gdzie on się obraca ani z kim. Nie interesowało jej także, kiedy i czy w ogóle wróci do domu. Poprawiła sobie poduszkę i schowała się z głową pod kołdrę, czując ulgę, jaką przyniosła jej konstatacja, że wcale nie kocha Lenny'ego.

Przez całą niedzielę biła się z myślami, czy ma ostatecznie od niego odejść. Wprawdzie miała już pewność, że go nie kocha, ale odejście oznaczało przekreślenie prawie dziesięciu lat trwania we wspólnym związku. Zastanawiała się więc, czy dobrze robi, czy też całkiem jej odbiło. Jedząc płatki śniadaniowe w trakcie oglądania porannego programu telewizyjnego dla dzieci już była skłonna zmienić zdanie, gdy Lenny zadzwonił, aby zawiadomić ją, że zatrzyma się na noc u kogoś ze swoich znajomych. Rozmowa przerodziła się w kłótnię, co doprowadziło do sytuacji bez wyjścia. Stało się jasne, że związek ich nie ma przed sobą przyszłości.

Zerwanie z Lennym było więc jedyną rozsądną rzeczą, jaką mogła zrobić. Tylko czy to rzeczywiście rozsądne zerwać z całym dotychczasowym życiem w pogoni za romantyczną ułudą? A może miało to stanowić dla niej rodzaj szkoły przetrwania? Po sobotniej kłótni z panem Pascalem nie miała już pracy, a jedyni ludzie, z którymi coś ją łączyło - Stan i Shirley - wyparowali do jakiegoś Benidormu. Z drugiej zaś strony, gdyby została w tym domu, zanudziłaby się na śmierć. Odejście niosło ze sobą pewne ryzyko, ale mogło stać się podniecającą przygodą. Przedsmak tej przygody stanowiło już spotkanie Charliego, więc musiała coś zrobić, aby dostarczyć sobie więcej takich podniet. Jej dotychczasowe życie zatrzymało się jak na czerwonym świetle, a zmienić to światło na zielone mogła tylko ona sama.

Podjętą decyzję przypieczętowała ostatecznie, ściągając z szafy starą walizkę w kolorze khaki. Wepchnęła do niej swoją garderobę pościaganą z wieszaków. Poprzewracała do góry nogami szuflady, wysypując z nich bieliznę od Marksa i Spencera. Buty poupychała do plastikowych reklamówek i jednym pociągnięciem ręki zmiotła swoje kosmetyki z szafki łazienkowej. Nie minęło dziesięć minut, a okazało się, że całe jej życie zmieściło się w jednej walizce, jednym kuferku i pięciu reklamówkach.

Zwolniła tempo, gdy zorientowała się, że jej oddech stał się przyspieszony i nerwowy. Napięcie rozładowała śmiechem - przecież najgorsze miała już za sobą. Pozostała jej tylko jedna czynność do wykonania. Na czworakach wczołgała się pod łóżko i wyciągnęła stamtąd podniszczoną, skórzaną teczkę, a w niej - najcenniejszy skarb. Po odciągnięciu mosiężnych zameczków wewnątrz ukazały się trzydzieści cztery płyty z nagraniami Toma Jonesa, niektóre już mocno porysowane i wytarte.

Delila z lubością powiodła po nich palcami, wdychając słaby zapach piżma. Gdyby teraz zamknęła oczy, ten zapach przywołałby na pamięć obraz matki - z włosami nakręconymi na wałki prasowała przed telewizorem, podśpiewując razem z Tomem Jonesem jego kultowy utwór *Co u ciebie, koteczku?* Uśmiechnęła się do swoich wspomnień, bo bardzo kochała matkę, Margaret, rozwódkę, sekretarkę sądową i wielbicielkę Toma Jonesa. W jej pamięci matka na zawsze pozostała z tą piosenką na ustach!

Margaret Louise Holdsworth miała zaledwie dwadzieścia osiem lat, kiedy wracała piechotą z pracy do domu. Potracona przez przegubową ciężarówkę zginęła na miejscu w dniu dziewiątych urodzin jej córki. Delila przybiegła wtedy ze szkoły pełna radosnego oczekiwania i zastała pusty dom, zapakowane prezenty na kuchennym stole, a w lodówce tort urodzinowy w kształcie niebieskiego ufoludka E.T.

W ułamku sekundy całe jej beztrioskie dzieciństwo rozleciało się w gruzy, ale ona nie uroniła ani jednej łzy. Nie płakała także w ponury, wietrzny poniedziałkowy poranek, kiedy w swojej czerwonej budrysówce i białych podkolanówkach stała jak nieruchoma figurka na cmentarzu, trzymając wuja Stana za rękę i odprowadzając wzrokiem długą, drewnianą skrzynię z mosiężnymi uchwytami, powoli zagłębiającą się w ziemię. Nie doprowadziła jej do płaczu nawet negatywna odpowiedź sądu na wnio-

ski Stana i Shirley o jej adopcję. Decyzją odpowiednich władz przyznano ją ojcu, chociaż był dla niej zupełnie obcym człowiekiem, tyle tylko, że nosił zabawne bokobrody. Natomiast jego druga żona, Sandra, była osobą apodyktyczną, świetną organizatorką przyjęć na cele dobroczynne, ale nie lubiła dzieci, zwłaszcza dziewięcioletnich sierot po pierwszej żonie swego męża. Toteż całe dalsze dzieciństwo Delili upływało pod znakiem planów ucieczki z tego domu. Plany te urealniły się, kiedy przybrały postać instruktora jazdy samochodem, a ściślej mówiąc, bezowym mini metro Lenny'ego.

Jako mała dziewczynka często czytała pod kołdrą, przy świetle latarki, powieści Enid Blyton i na ich podstawie wyobrażała sobie, że z opresji wyzwoli ją dzielny rycerz w błyszczącej zbroi. Lenny niecałkowicie odpowiadał temu ideałowi, ale dla siedemnastolatki dwudziestokilkuletni mężczyzna z samodzielnym (choć wynajętym) mieszkaniem i własnymi czterema kółkami również stanowił okazję nie do pogardzenia. Powiedziała więc Sandrze otwarcie, gdzie ma jej dobroczynne imprezy i bez pożegnania opuściła dom.

To już był drugi dom, jaki opuszczała. Wykonała kilka telefonów, nagrywając się na automatyczne sekretarki swoich przyjaciółek, aby nie pomyślały, że całkiem zwariowała. W istocie zaś czuła się bardziej normalna niż kiedykolwiek, jeśli można uznać za normalne zakochanie się w facecie, którego się prawie nie znało.

Postanowiła również, że nie napisze liściku pożegnalnego do Lenny'ego. Byłaby to scenka jak z opery mydlanej. Uznała, że należy mu się przynajmniej tyle, aby się z nim pożegnała osobiście.

Wrzuciła ostatnią walizkę do bagażnika zielonego przeżartego rdzą volkswagena garbusa. Jeszcze tylko umieściła na przednim siedzeniu swojego psa Fatsa, chudego jak nitka makaronu. Usiadła za kierownicą i przekręciła kluczyk w stacyjce, zapalając silnik w kłębach czarnego dymu. Nie od razu wrzuciła pierwszy bieg, przypomniała sobie, że sprzęgło w tym gruchocie lubiło odmawiać posłuszeństwa. Zaklęła pod nosem, bo należało w swoim czasie poprosić Lenny'ego, żeby to naprawił, ale teraz było już na to za późno. Ruszyła ostro z miejsca, nie oglądając się za siebie, czego nauczyła się już dawno.

Na pierwszy rzut oka sklep Słodka Drzemka robił wrażenie pustego. Gdy Delila otworzyła drzwi, uruchomiła melodyjkę - sygnał dla Lenny'ego, że do firmy wszedł klient. Kierownik nie pojawił się jednak, co ją zdziwiło, gdyż wiedziała, że Lenny za nic w świecie nie przepuściłby możliwości transakcji - sypiałby w salonie wystawowym, gdyby dzięki temu mógł sprzedać o kilka materaców więcej. Zeszła więc po schodkach do kantoru na zapleczu, ale i tam nie zastała żywej duszy. Już chciała się wycofać, kiedy usłyszała stłumiony głos dochodzący z magazynu:

- Więcej gazu, kochanie!

Zdziwiła się, gdyż brzmiało to tak, jakby Lenny udzielał dorywczych lekcji prowadzenia samochodu. Rzeczywiście czasem w ten sposób „dorabiał sobie na piwo”, jak to nazywał.

- O tak, jeszcze, jeszcze!

Delila wyjrzała zza automatu z napojami, ale nie zobaczyła tam tego, czego się spodziewała. Na cementowej posadzce rozłożono zupełnie nowy, jeszcze obciążony folią materac, a na nim leżał na wznak Lenny całkiem nago, tylko w swoich żeglarskich trepach na nogach. Nad nim rozkraczyła się jego dziewiętnastoletnia recepcjonistka June, tylko w różowym koronkowym pasku do podwiązek i z przyklejoną do pośladka samoprzylepną plakietką z literą „L”, jak podczas nauki jazdy.

- Pompuj, pompuj, kochanie! - zachęcał Lenny.

June wydała namiętny pomruk i zaczęła wykonywać spontaniczne ruchy rękami, których nie uwzględniał żaden kodeks drogowy. Kołysała pośladkami z wyraźną lubością, podczas gdy Lenny zaciskał kolana za jej plecami i wykonywał młóćące ruchy rękami.

- Lenny?

Zastygł w bezruchu, pytając głosem stłumionym przez obfity biust June:

- Delila?

Jej nogi zaś wrosły w posadzkę na środku magazynu, gdzie czuła parka w najlepsze uprawiała seks.

- Daj spokój, June - syknął do swojej partnerki, która nie zważała na obecność osób postronnych. - To Delila!

Dopiero wtedy June znieruchomiała, a Lenny z wysiłkiem podciągnął się do pozycji siedzącej z miną królika oślepionego światłami samochodu.

- Wszystko ci wyjaśnię... - zaczął.

Delila patrzyła z niedowierzaniem na czerwoną i spoconą twarz swego byłego przyjaciela, ledwo widoczną spod rubensowskich kształtów June. Czyżby to było z góry ukartowane? Jednak gdyby nie zobaczyła tego na własne oczy, w życiu by nie uwierzyła, że jej Lenny mógł robić „te rzeczy” z inną kobietą. Nie pozostawiała go więc osamotnionego ani ze złamanym sercem. Przygotowana przez nią mowa pożegnalna nie pasowała do sytuacji.

- Chciałam ci powiedzieć, że odchodzę... - Urwała, bo nie mogła się skupić. Wprawdzie nie kochała już Lenny'ego, ale to, co zobaczyła, wytrąciło ją z równowagi. Zdecydowała jednak, że nie pozwoli, aby to Lenny był stroną porzucającą. Odchrząknęła więc i kontynuowała swoją kwestię: - Nie chciałam robić ci przykrości, ale w tej sytuacji...

Przećwiczyła tę przemowę w samochodzie. Miały się w nim znaleźć uspokajające zwroty o tym, że to nie jego wina, że ich drogi się rozeszły, że chciała jak najlepiej itd., ale teraz te słowa wyglądały równie śmiesznie jak sytuacja, w której zastała Lenny'ego.

- Jak to odchodzisz? - wydyszał. June nadal przygniatała go swym ciężarem do materaca, bo nie po to przez tyle miesięcy usiłowała poderwać szefa, aby teraz wycofać się bez walki. - Dlaczego?

Delila nie wierzyła własnym uszom, porażona jego bezprzykładnym tupetem. Mało tego, że przyłapała go in flagranti z recepcjonistką, to jeszcze ośmielał się żądać wyjaśnień?

- To nie było tak, jak myślisz... - Lenny rozpaczliwie szukał wyjścia z sytuacji. - To mi się zdarzyło pierwszy raz, wcale z nią nie chodzę... To ze zdenerwowania, że odrzuciłaś moje oświadczyły i mój pierścionek... Ona naprawdę dla mnie nic nie znaczy, to był tylko seks...

June popatrzyła na niego z pogardą. Delila nie wiedziała, czy tym razem mówił prawdę, czy kłamał, ale nie miało to już dla niej żadnego znaczenia.

- Nie chodzi o ciebie, Lenny, tylko o mnie. Odchodzę, bo chcę zacząć nowe życie, całkiem inne i ciekawsze.

Zaczynała już zbierać się do odejścia, bo nie pragnęła wszczynać kłótni. O co zresztą miała się z nim kłócić? Ich związek rozpadł się w gruzy dużo wcześniej, zanim nakryła go na gorącym uczynku z June.

- Dee, poczekaj!... - jęczał Lenny. Jego romans od razu przestał go pasjonować. - Zobaczysz, że się zmienię. Ja też potrafię cię podrajcować!...

Widać było, że jest zdesperowany, zaczął nawet dygotać na całym ciele. June jego patetyczne gesty wcale nie wzruszały, więc poniewczasie zrozumiał, w co się wpakował.

Tymczasem Delila zamknęła za sobą drzwi i znowu odezwała się melodyjka. Nie czuła się wcale urażona ani zazdrosna. Przecież i ona przez cały weekend wyobrażała sobie seks z Charliem, a Lenny posunął się tylko o krok dalej. Właściwie dobrze się stało, bo dzięki niemu wyzbyła się wszelkich skrupułów i wyrzutów sumienia. Jego niewierność dała jej wolną rękę.

5

Jeżeli ktoś wyobraża sobie piekło jako płomieniste jądro ziemi, to widać nigdy nie jechał szosą M1. Jazda tą trasą dwudziestoletnim garbusem z maksymalną prędkością sześćdziesięciu mil na godzinę i ciągle sikającym chartem mogła z powodzeniem dostarczyć materiałów do filmu grozy.

W Nottinghamie tak skręcało ją z głodu, że odważyła się coś przekąsić w barze szybkiej obsługi. Niestety, ziarna fasolki zdawały się mieć pancerne osłonki, chleb był wilgotny, a jajka na jajecznicę raczej zabite niż ubite. Ruszyła dalej, czując wyraźne mdłości. Na domiar złego na wysokości Leicester wysiadło radio i musiała sama zagłuszać ryk silnika, podśpiewując wiązaną piosenek Toma Jonesa przy akompaniamencie wycia Fatsa. Mało tego - pod Watfordem oberwała się chyba chmura, gdy tymczasem wycieraczki w jej wspaniałym pojeździe ledwo dawały sobie radę z lekką mżawką. Musiała trzymać nos przy przedniej szybie, aby zobaczyć cokolwiek przed sobą, więc nic dziwnego, że do Londynu dowlokła się mocno sfrustrowana.

W ruchu wielkomijskim zdecydowała się po prostu podążać w tym samym kierunku co inne pojazdy. Orientacja w terenie nigdy nie była jej mocną stroną, więc dała sobie spokój z próbami odcyfrowania adresu Charliego na jego wizytówce lub odnalezienia go na planie miasta. W którymś mo-

mencie skręciła w prawo, ponieważ miała tam wolną drogę i prawy migacz był jedynym, który działał. Wkrótce przekonała się, że wjechała do jakiejś eleganckiej dzielnicy, z białymi, wysmukłymi budynkami za wymyślnymi ogrodzeniami z kutego żelaza. Zaraz za rogiem znalazła miejsce do zaparkowania swego garbusa - za potężnym, terenowym dżipem na wysokich kołach z balonowymi oponami jak w traktorze i stalową kratą chroniącą przód. Doszła do wniosku, że najłatwiej w londyńskim ruchu ulicznym poradziłby sobie pojazd opancerzony jak czołg.

Kiedy zgasła silnik, przez chwilę siedziała spokojnie, obserwując przez okno pieszych spacerujących po ulicy. Można tam było spotkać zakochanych trzymających się za ręce, grupki młodzieży w dzinsowych kompletach lub dresach, jak również poważnych panów z teczkami i parasolami. Zauważyła przy tym biało-czarną tabliczkę z nazwą ulicy - Pembridge Road - i numer adresowy W11. Olśniło ją - przecież taki sam kod pocztowy znajdował się na wizytówce Charliego! Z zadowoleniem uśmiechnęła się do swego odbicia w lusterku wstecznym. To było coś więcej niż zwykły zbieg okoliczności - znać w tym rękę przeznaczenia! Rozmarzonym wzrokiem, przepełnionym radosnym oczekiwaniem, spojrzała na Fatsa, który pochrapywał, zwinięty w kłębek na podłodze pod przednim siedzeniem.

- Chodź, musimy się napić kawy! - Zachęciła psa, biorąc go na ręce i wpychając pod swoją kurtkę.

Ruszyła przed siebie labiryntem wąskich uliczek, nie obierając żadnego określonego kierunku. Mijała przeszklone fasady restauracji, za którymi siedzieli klienci w średnim wieku, najwidoczniej gotowi płacić ciężkie pieniądze za możliwość konsumpcji na oczach przechodniów. Delila ze śmiechem wyobraziła sobie, jakby to wyglądało, gdyby jej sąsiedzi z Bradfordu zasiadali do kolacji przy odsłoniętych firankach, aby mogła ich widzieć cała ulica!

Przechodząc koło pięciopiętrowych bloków, słyszała różne utwory muzyczne dobiegające z poszczególnych mieszkań. Frank Sinatra nakładał się na Elvisa Presleya, a jazz na reggae. Powiał chłodniejszy wiatr, więc ciaśniej owinęła się kurtką. Skręciła na główną ulicę, gdzie pomiędzy sklepami wypatrzyła kawiarenkę o zaparowanych oknach, z łuszczącą się białą farbą na framudze drzwi, pod szyldem Cafe Prima Donna. Otwarcie tych drzwi towarzyszył dźwięk dzwonka. Wnętrze było ciasne, umeblowane białymi plastikowymi stolikami i krzeselkami, a całą prawą stronę pomieszczenia zajmował bufet. Pachniało kawą i dymem papierosowym. W jednym kącie kilku rastafarian z dreadami do pasa grało w karty, a po przeciwnej stronie tlenione blondynki piły kawę z mlekiem i mocno zacięgały się papierosami.

- Czym mogę pani służyć?

Pytanie to zadał stojący za bufetem dwudziestokilkuletni chłopak ostrzyżony na łysą pałę. Uśmiechał się szeroko, wycierając poznaczoną licznymi szczerbami deskę do krojenia. Jego uśmiech był tak rozbajający, że Delila nie mogła go nie odwzajemnić.

- Poproszę kawę.

- Cappuccino?

- Nie, zwykłą czarną kawę, bez mleka. - Te całe cappuccino to wielka lipa! W L'Escargot serwowano je przykryte czapką piany, posypanej po wierzchu czekoladowymi wiórkami. Ona natomiast potrzebowała przede wszystkim kofeiny, która umożliwiała jej funkcjonowanie. W ciągu dnia wypijała co najmniej sześć filiżanek mocnej kawy, najchętniej rozpuszczalnej, choć Pascal z tego powodu nazywał ją drobnomieszczanką. Nie zważała jednak na to, bo nic nie dawało jej przyjemności większej niż oddzieranie złotej folii ze świeżo napoczętego słoika z kawą, wdychanie aromatu i zanurzanie łyżeczki w liofilizowanych granulkach...

„Łysa Pała” wyszczerzył zęby w jeszcze szerszym uśmiechu.

- A może by pani coś zjadła?

Delila rzuciła okiem na tablicę zawieszoną nad bufetem. Wypisane były na niej kredą nazwy rozmaitych produktów suszonych bądź dojrzewających na słońcu. Widocznie w lecie mieli tu lepszą pogodę niż w Yorkshire.

- Czy mógłby pan zrobić mi kanapkę z serem?

- Ależ oczywiście! - „Łysa Pała” roześmiał się. - To ma być włoska mozzarella, grecki haloumi czy szwajcarski ementaler?

- A nie ma pan zwykłego, angielskiego cheddaru? - Trochę rozzłościła ją ta wyliczanka. Czy ten facet chciał jej wymienić nazwy wszystkich serów na całym świecie?

Barman wziął się do smarowania bagietki masłem. Delila zauważyła przy tym jego przedramiona, gęsto osypane piegami. Na jednej ręce nosił duży, wodoodporny zegarek, a na drugiej srebrne kółko, którym uderzał rytmicznie o ladę przy każdym pociągnięciu noża. Gdy odkrawał cienkie plasterki sera, przygryzał czubek języka. Delila doszła do wniosku, że z tą miłą, piegowatą twarzą jest na swój sposób przystojny.

- Czy pani przyjaciel też coś zje? - Ostentacyjnie spojrzał w kierunku wycięcia jej kurtki.

Delila śledziła wzrokiem jego spojrzenie i zadrżała, gdyż spod kurtki wyglądał Fatso. Przypomniała sobie, że na drzwiach lokalu widniała wywieszka „Prosimy nie wprowadzać psów”. Postanowiła jednak pójść na całość.

- Dziękuję, podzielę się z nim.

„Łysa Pała” mrugnął porozumiewawczo i ściszym głosem dodał:

- Proszę się nie obawiać, ja bardzo lubię psy.

Pomyślała wtedy z uśmiechem, że musi to być całkiem porządny chłopak.

- Proszę, niech pani usiądzie. Przyniosę kanapkę do stolika - zachęcił barman.

Wzięła więc swoją kawę, nabrała garść torebek z porcjami cukru i usadowiła się obok automatu z coca-colą rodem z lat pięćdziesiątych.

Bezpośrednio nad nią błyskała zmiennym światłem lampa fluorescencyjna. Przypomniało to Delili, jak jej antypatyczna macocha Sandra przestrzegała ją przed rzekomą szkodliwością wirujących lamp na dyskotekach. Według niej mogły one powodować ślepotę, omdlenia lub torsje. „Głupia krowa” - pomyślała Delila z pogardą.

- Proszę, to kanapka dla pani.

Gdy Delila oderwała wzrok od sufitu, dostrzegła, że „Łysa Pała” postawił na stole talerzyk i przysunął krzeselko.

- Dziękuję! - odpowiedziała i ugryzła kęs bułki, próbując na czymś się skupić. Odnosiła jednak nieodparte wrażenie, że całe pomieszczenie jest pijane i zatacza kręgi wokół własnej osi.

- Dobrze się pani czuje? - Barman się zaniepokoił.

- Dziękuję, dobrze. - Zbyła go, choć, prawdę mówiąc, czuła lekkie mdłości.

- Przyniosę szklankę wody - zaproponował.

Delila próbowała zdobyć się na błądy uśmiech, ale twarz „Łysej Pały” rozplątywała się w jakąś abstrakcyjną plamę. Chciała wstać, ale zamiast tego poleciała naprzód, upuszczając Fatsa, który ze skowytem wyswobodził się z jej kurtki. Usiłowała utrzymać równowagę, wymachując rękami, ale nic to nie dało, bo osunęła się na automat z coca-colą, a potem po plastikowym krzeselku pod stół.

Czuła na swoich wargach, powiekach i policzkach krótkie, urywane pociągnięcia języka. Jęknęła i wzdrygnęła się, bo język łaskotał ją w szyję.

- Charlie? - wyszeptała, wyciągając przed siebie rękę. Liczyła, że poczuje pod palcami nieogolony zarost, ale zamiast tego namacała długi, wilgotny nos.

- Fatso! - Otworzyła oczy.

Charcik radośnie zamerdał ogonkiem, ocierając się o jej nogi.

- Na pewno cieszy się, że jego pani doszła do siebie! - usłyszała głos z drugiego końca sali.

Otarła rękawem twarz z psiej śliny i uniosła się na łokciach. Spostrzegła, że leży na barankowym futrzaku wyścielającym podłogę w małej kuchence, skąd mogła widzieć wnętrza kawiarni. Nie było już tam ani żywej duszy. Natomiast w drzwiach stał ogolony na zero barman z zatroskaną miną.

- Co się stało? - spytała.

- Zrobiło się pani słabo. Może coś zaszkoziło? - Zaśmiał się nerwowym śmiechem.

Spróbowała wstać, lecz chwiała się na nogach.

- Spokojnie, proszę się nie spieszyć - podtrzymał ją. - Tak paskudnie pani upadła...

- Och, przepraszam! Sprawiałam panu tyle kłopotu... - Przytrzymała się jego przedramienia i pozwoliła się posadzić na fotelu obitym spłowiałym pluszem.

- To żaden kłopot. Proszę tu chwilę posiedzieć, a ja przyniosę coś gorącego do picia. Może być herbata?

- No, chyba że w najlepszym gatunku. - Siliła się na dowcip, rozcierając guza z tyłu głowy.

- Tak w ogóle, to mam na imię Sam - oznajmił z uśmiechem, podając jej ogromny kubek herbaty.

- A ja Delila. - Pijąc herbatę, przyglądała mu się uważnie. Miał na sobie koszulkę z logo nadrukowaną farbą odblaskową, która już zaczynała schodzić, a do tego wytarte levisy i fartuch w paski. Wyglądał sympatycznie, ale pozory czasem mogą mylić. Przecież znajdowała się sam na sam z zupełnie obcym człowiekiem w jego kuchni. A ilu zboczeńców, o których pisały gazety, wyglądało na całkiem porządnym ludzi?

- No proszę, co za wspaniałe imię! Jak to dobrze, że nie mam włosów! - Znacząco pogładził się po wygolonej czaszce. Delila puściła jego żarcik mimo uszu, bo nieraz już słyszała tę aluzję do swego imienia. - Mieszkaś tu gdzieś w pobliżu?

Udała, że bardzo ją zajmuje rozkruszanie łyżeczką kostek cukru.

- Nie, przeprowadziłam się właśnie z Yorkshire.

- O, a jak dawno?

- Dziś wieczorem.

- Naprawdę? - W głosie Sama zabrzmiał wysoki, niedowierzający ton.

- Tak. - Upiła duży łyk herbaty. - Ale chyba nie zrobiłam dobrego początku, prawda?

Sam potarł ręką podbródek, słabo porośnięty blond puchem i zmarszczył czoło.

- A czy mógłbym spytać, gdzie się zatrzymałaś?

- Spytać to mógłbyś, ale ja nie mogę odpowiedzieć.

- Mam przez to rozumieć, że nie zarezerwowałaś sobie noclegu?

- Nnno.. - Zawiesiła głos, bo w tym momencie wyobraziła sobie szpanerską garsonierę Charliego. - Właściwie to nie.

Sam schował ręce pod fartuch i zamyślił się głęboko.

- To znaczy, że nie masz się gdzie przekimnąć?

Delila szybko rozważyła, czy nie skłamać. Nie chciała, aby ten chłopak nabrał o niej złego mniemania, bo słyszała, co młodzi ludzie z południa Anglii sądzą o dziewczętach z północy. A ona, na domiar złego, dosłownie upadła mu do stóp! Skoro już wspomniała stopy, spojrzała na jego nogi i spostrzegła, że miał na nich brązowe skórzane sandały. Nie wyglądał więc na zboczeńca seksualnego, bo tacy na ogół nie noszą sandałów. Zdecydowała się więc, że powie mu prawdę.

- Szczerze mówiąc, jeszcze nie wiem, gdzie się zatrzymam. Liczyłam, że znajdę sobie jakąś kwaterę, dopóki nie pozalatiwiam swoich spraw. - Innymi słowy, dopóki nie namierzy Charliego...

- Nie jesteśmy w Blackpool! - roześmiał się. - W Notting Hill nie ma pokoi gościnnych.

Delila od razu się zjeżyła, bo wynikało stąd, że Sam wziął ją za prowincjuszkę z robotniczej północy, która nie wysuwała dotąd nosa dalej niż do Sheffield.

- Wiem, miałam na myśli raczej jakiś hotel! - wycedziła przez zaciśnięte zęby.

Sam zrozumiał, że poruszył drażliwą materię. Poznał to po tym, że Delila zaczęła okręcać na palcu pasmo włosów jak zbuntowana nastolatka.

- Przepraszam, nie miałem zamiaru cię urazić!

Uśmiechnęła się pojednawczo. W końcu wydał się jej całkiem miły.

Sam nachylił się i pogłaskał Fatsa.

- Mam pomysł - zaproponował. - Moja znajoma ma wolny pokój. Nazywa się Vivienne i jest nieźle szurnięta, ale to dobra dziewczyna. Mogłabyś zatrzymać się u niej, dopóki nie pozalatasz swoich spraw.

Nie była pewna, czy to dobry pomysł. Wyobrażała sobie, że po przyjeździe do Londynu wynajmie pokój w hotelu, skąd zadzwoni do Charliego, który będzie tym tak zachwycony, że natychmiast zaprosi ją na kolację... Nie miała ochoty spać u jakiejś szurniętej dziewczyny, ale do rzeczywistości przywołał ją pulsujący ból w tyle głowy. Można powiedzieć, że została dosłownie z hukiem ściągnięta na ziemię.

A może tak się właśnie miało zdarzyć? Cały ten splot okoliczności - oświadczyzny Lenny'ego, wypadek z pierścionkiem, incydent z June, zbieżność adresu, nawet ta okropna, dyskotekowa lampa - zdawał się nieprzypadkowy. Skoro już tyle zaryzykowała, mogła spróbować jeszcze raz, tym bardziej, że hotel kosztowałby ją drogo, a u tej znajomej Sama rzeczywiście będzie mogła pozostać, dajmy na to przez jakieś dwie noce, dopóki nie nawiąże kontaktu z Charliem.

- Chętnie, jeżeli to nie sprawi jej za dużego kłopotu - powiedziała głośno. - Na pewno szybko poukładam sobie, co trzeba i nie będę ci siedzieć na głowie...

- I tak nic na niej nie mam! - Sam się uśmiechnął.

Dowcip był kiepski, ale Delila roześmiała się, czując, że to rozładowuje w niej napięcie. Nie mogła się opanować i zanosila się głębokim, gardłowym śmiechem, aż oczy zasły jej łzami i rozmazał się tusz na rzęsach.

Sam przyglądał się temu z uśmiechem, rozmyślając, cóż to za oryginalna osóbka. Spadła mu ni stąd, ni zowąd na kark razem z tym swoim szkieletowatym psem, po to, aby zaraz zemdleć i majaczyć coś o jakimś Charliem... Któż to, u licha, mógł być? Przyglądał się jej, gdy przestała się śmiać, a zaczęła uśmiechać, patrzył, jak w policzku zrobił się jej dołeczek, a w kącikach oczu mimiczne zmarszczki i postanowił na razie o nic nie pytać. Coś mu mówiło, że jeszcze wiele się o niej dowie, a to był dopiero początek.

6

- Mam teraz dwóch kochasiów. Jeden, Harold, ma już sześćdziesiąt dwa lata, ale jest generałem w stanie spoczynku. Drugi, Dwayne, jest tylko murarzem, ale za to niespełna dwudziestoletnim, ma ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, górę mięśni i tatuaże drużyny Arsenal... - Vivienne na chwilę przerwała swoje przechwałki, aby zaciągnąć się papierosem. - Tylko że odkąd Harold odkrył viagrę, zrobił się strasznie wymagający, a mnie już Dwayne potrafi dosyć wymęczyć!

Delila przez grzeczność potakiwała, popijając w kuchni jakieś obrzydliwe ziółka, gdy jej gospodyni delectowała się pikantnymi szczegółami swoich przygód erotycznych. Sam wcale nie przesadził, określając Vivienne jako nieźle szurniętą. Zapomniał tylko dodać, że przede wszystkim miała fioła na punkcie seksu.

Znały się dopiero od pół godziny, bo Sam nie tracił czasu. Wykonał błyskawiczny telefon i od razu zaprowadził ją do ostatniego segmentu w szeregu domków położonych nieopodal Cafe Prima Donna. Wprawdzie brama ledwo trzymała się na zawiasach, ale ścieżka wyłożona czarno-białym marmurowym grysem, a przede wszystkim monumentalna fasada z dwiema kolumnami okalającymi drzwi wejściowe, zaimponowała Delili. Widok ten przypominał jej Biały Dom i zastanawiała się już, czy Vivienne nie będzie czasem podobna do Hillary Clinton? Uspokajająco podziałała na nią dopiero liczba dzwonek przy drzwiach frontowych - naliczyła ich równo osiem.

Po krótkim namyśle Sam nacisnął jeden z dzwonek, co spowodowało, że zapaliło się mnóstwo świateł i rozległ się zgrzyt odciąganych zasłon. Ze środka dały się słyszeć donośne kroki i szcęk otwieranych zamków, potem w otwartych drzwiach stanęła atrakcyjna blondynka około trzydziestki, ubrana w długi, pikowany płaszcz, szalik w żółte i czarne pasy jak u Kubusia Puchatka oraz ocieplane śniegowce liczące sobie chyba ze dwadzieścia lat. Delila bezwiednie gapiła się na nią jak wół na malowane wrota, bo spodziewała się zobaczyć kogoś zupełnie innego.

Vivienne wylewnie cmoknęła Sama w oba policzki, ale Delili przyglądała się podejrzliwie.

- Tak się grubo ubrałam, bo szlag trafił centralne - wyjaśniła niskim, chrapliwym głosem. Potem usunęła się na bok, wykonując zamaszysty, zapraszający gest ręką: - Ach, więc to jest ta bezdomna sierota z północy? Proszę uprzejmie w moje niskie progi!

Sam bąknął jakieś zdawkowe przeprosiny, obiecał, że wkrótce zadzwoni i ulotnił się, pozostawiając Delilę ściskającą Fatsa w objęciach. Czuła się, jak mała dziewczynka, która pierwszy raz w życiu przyszła do szkoły, więc z lękiem podążała za Vivienne wąskim korytarzem pomalowanym na kolor jadowitej zieleni. Po szlaczku ułożonym z gazet dotarła do jej mieszkania, gdzie obie najpierw weszły do kuchni.

- Przepraszam za ten bałagan - usprawiedliwiła się tubalnym głosem Vivienne, uprzątając ze stołu niedopite szklanki i przesypujące się popielniczki. - Wczoraj mieliśmy tu małą imprezkę...

Usunęła szybko puste opakowanie po prezerwatywach, które nadziało się na korkociąg i dodała jeszcze:

- Niestety, sprzątaczką przyjdzie dopiero w piątek.

Delila usiłowała nie ujawniać zdenerwowania, tylko przysiadła na stołku barowym. Tymczasem Fatso obwąchiwał listwy podłogowe, dopóki nie odkrył pod stołem resztek risotta z grzybami, które zaczął po cichu zajadać. Vivienne zaparzyła słabą, ziołową herbatę i bez wstępów wygłosiła dłuższą przemowę, w której śmiało przeskakiwała z tematu na temat. Nawiązała do ciasteczek - „spróbuj, dobre, bez zboża, glutenu, mleka i cukru, ale nie bez kalorii” - aby za chwilę przejść do wyliczania zalet pożycia seksualnego ze starszym panem - „...wiesz, jak on wzruszająco potrafi być wdzięczny?”. Dopiero po jakichś dwudziestu minutach przerwała dla nabrania oddechu.

- Więc to z tobą Sam kręci na boku?

Delila o mało nie udławiła się ciasteczką pozbawioną prawie wszystkich składników odżywczych.

- Oczywiście to nie moja sprawa... - Vivienne udawała obojętność, ale zdradzał ją język ciała. Przycupnęła na krawędzi taboretu jak kot czyhający na mysz, złakniona kolejnych pikantnych szczegółów. Jednak Delila poczuła się nieco urażona takim posądzeniem.

- Ależ nic podobnego! - zaprotestowała. - Poznałam Sama dopiero jakieś dwie godziny temu, bo przytrafiło mi się zemdlec w jego kawiarni.

Vivienne przytaknęła ruchem głowy, ale jej uniesione brwi świadczyły, że nie wierzy w ani jedno słowo. Mimo to Delila poczuła potrzebę usprawiedliwienia się przed nią, choć pierwszy raz widziała tę dziewczynę na oczy.

- Właściwie to przyjechałam do Londynu, aby się z kimś spotkać...

Vivienne uniosła brwi jeszcze wyżej, aż schowały się pod jej grzywką.

- On nazywa się Charlie... - zaczęła, a czując na sobie uporczywy wzrok Vivienne, pomyślała, że ta dziewczyna nie spocznie, dopóki nie wyciśnie z niej wszelkich informacji. Dokończyła więc: - ...i jest producentem telewizyjnym!

Mówiąc to poczuła się trochę niezręcznie, bo po raz pierwszy wspomniała komukolwiek o istnieniu Charliego. Dotychczas była to jej słodka tajemnica, którą teraz podzieliła się z Vivienne. Uważała jednak, że rozmawiać o tym z kimś obcym to nie to samo, co z dobrą znajomą.

Vivienne od razu zareagowała na tę rewelację obłądnym podnieceniem. Wczepiła się palcami w krawędź stołu, aż zbieleły jej kostki.

- Rany boskie, dziewczyno, chłopak z telewizji? Gdzieś ty dorwała taki skarb?

- W Bradfordzie.

- W Bradfordzie???

- Tak, w szpitalu.

- W szpitalu??? - Vivienne jakby zapomniała wszystkich słów i musiała pożyczać je od Delili.

- Poznaliśmy się na ostrym dyżurze.

- Aha, wiedziałam, że musisz być aktorką! - Vivienne z rozmachem walnęła pięścią w stół.

- Aktorką? - Teraz ona zaczęła powtarzać po Vivien.

Sam pomyśl, że ktoś mógł wziąć ją za aktorkę, wydał się jej wystarczająco niedorzeczny.

- Jak to, nie powiedziałaś przed chwilą, że poznaliście się na planie tego idiotycznego, szpitalnego serialu?

Delila nie mogła powstrzymać uśmiechu. Co za snobka z tej Vivienne!

- Poznaliśmy się w normalnym szpitalu w Bradfordzie, nie na planie filmu *Ostry dyżur*.

W oczach Vivienne odmalowało się rozczarowanie. Przechylając się poprzez stół, wbiła w Delilę uporczywy wzrok.

- No więc kim jesteś?

Delila poczuła się jak okaz przyrodniczy oglądany przez skrupulatnego badacza. Przez myśl jej przeszło, aby wymyślić na poczekaniu jakieś oryginalne zajęcie, ale zaprotestowała przeciw temu jej wrodzona przekora. Niby dlaczego miałyby kłamać? W końcu być zwolnioną z pracy kelnerką to żaden wstyd.

Wychyliła się w stronę Vivienne i rzuciła jej w nos:

- Chwilowo jestem bezrobotna.

Po raz pierwszy Vivienne rozciągnęła swoje czerwone jak ketchup wargi w uśmiechu.

- Witaj w klubie! Wszyscy tu jesteśmy bezrobotni, ale my z Notting Hill nazywamy się „wolnymi strzelcami”.

Delila cofnęła się, zaskoczona reakcją Vivienne.

- Dlaczego?

Vivienne zdusiła papierosa na spodeczku i szybko zapaliła następnego.

- Pytasz dlaczego? Bo słowo „bezrobotny” brzmi tak zwyczajnie, że aż nudno. „Wolny strzelec” to znacznie bardziej zachęcające, wiąże się z jakąś nadzieją, oczekiwaniem, jak na lotnisku w hali odlotów. Różnica jest tylko taka, że czekasz nie na lot, ale na telefon. - Dla większego efektu z emfazą zamachała rękami, strzepując przy tym popiół do herbaty Delili. - No i faktycznie, twoja komórka dzwoni, ale to tylko chce pogadać któryś z twoich kumpli, takich samych „wolnych strzelców” jak ty. Oddychasz wtedy z ulgą, bo tak naprawdę wcale nie chce się nam pracować. Stała praca to coś koszmarnego!

Wyciągając popiół ze swojej szklanki, Delila ukradkiem spojrzała na zegarek. Czuła się wypompowana tryskającą energią Vivienne, a zresztą była już zmęczona. Od ostatniego zerknięcia na zegarek upłynęło zaledwie pięć minut, ale coraz trudniej przychodziło jej skupić się nad treścią słów Vivienne. Przed oczami jak w kalejdoskopie przelatywały zapamiętane obrazy: June w frywolnej bie-

liźnie, wystraszona gęba Lenny'ego i charakterystyczne sandały Sama... Czy możliwe, aby to wszystko zdarzyło się jednego dnia? Miała wrażenie, że dwadzieścia cztery godziny trwały niemal tyle, co dwadzieścia cztery lata. Usiłowała stłumić ziewnięcie, ale zauważyła je Vivienne.

- Chodź, pokażę ci twój pokój. Jesteś na pewno zmęczona.

- Ależ nie, dziękuję. - Próbowała się wykręcać bez specjalnego przekonania, bo oczy kleiły się jej tak, że nie dało się tego ukryć.

- Biedactwo! - Ja konam ze zmęczenia po pięciu minutach jazdy metrem, ale wy tam na północy wszyscy jesteście twardziele. Pamiętasz w *Wichrowych wzgórzach*, jak Katarzyna i Heathcliff całymi dniami latali po wrzosowiskach?

Delila uśmiechnęła się, bo jakoś nie mogła gniewać się na swoją zbzikowaną gospodynię mimo jej wścibskości, niewyparzonego języka i rażącego snobizmu. Od razu polubiła Vivienne, bo jej dziwaczne stroje i podejrzane znajomości tchnęły uroczą nieprzewidywalnością, no i przynajmniej nie były nudne! Tymczasem Vivienne wstała, niebezpiecznie balansując papierosem trzymanym w kąciku ust i owijając szyję szalikiem, zakomenderowała:

- Idziemy!

Pokój przeznaczony dla Delili mieścił się w głębi mieszkania. Przeważającą część jego niewielkiej powierzchni zajmowało monumentalne łóżko z baldachimem rozpiętym na czterech słupkach, z brokatowymi zasłonami. Stojący tuż przy oknie duży czarny gramofon sąsiadował z drewnopodobnymi wykładzinami i geometrycznymi w formie meblami z późnych lat siedemdziesiątych.

Delila postawiła na podłodze swoje torby i podeszła do okna z przesuwanymi ramami. Na dworze tymczasem zaczęło padać, ale na ulicy panował ożywiony ruch. Jedni szli pod parasolami, inni jechali taksówkami, a jej garbus stał bezpiecznie zaparkowany na podjeździe pod dom Vivienne. Ta zaś wyczuła intuicyjnie, że Delila będzie chciała teraz pozostać sama i już życzyła jej dobrej nocy, ale jeszcze na odchodnym zatrzymała się w pół kroku.

- Przepraszam, ale muszę cię jeszcze o coś zapytać.

Delila odwróciła się od okna.

- Słucham, co takiego?

- Kiedy będę miała zaszczyt poznać tego twojego Charliego?

Na sam dźwięk tego imienia Delila poczuła mrowienie w końcach palców, ale siłą się na zachowanie spokoju, odgarnęła z czoła niesforny kosmyk włosów.

- Wpierw sama muszę się z nim spotkać.

- Jak to, więc on się ciebie nie spodziewa? - Oczy Vivienne zabłyśły z ciekawości.

- Niezupełnie. - Delila wróciła myślami do propozycji Charliego dotyczącej dokończenia ich rozmowy. - Muszę do niego zadzwonić.

- No to jazda, dzwoni! - Vivienne wyciągnęła komórkę z wewnętrznej kieszeni pikowanego płaszcza.

Delila niepewnie spoglądała na małą czarną nokię. Chociaż w wyobraźni przećwiczyła tę rozmowę setki razy i głównie po to przyjechała do Londynu - teraz, gdy miała szansę wcielić w życie swoje marzenia, stchórzyła.

- O tej porze? Już za późno, może jutro...

- Jak wolisz. - Vivienne schowała komórkę z powrotem do kieszeni. - Tylko nie zwlekaj z tym za długo, bo ci go ktoś sprzątnie sprzed nosa!

Uniosła brwi porozumiewawczo i zamknęła drzwi za sobą, zostawiając ją samą z Fatssem.

Delila pluła sobie w brodę, że nie skorzystała z okazji. Przecież mogła po prostu wykręcić numer Charliego i powiedzieć „cześć”. Okazało się, że zareagowała bardziej nerwowo, niż się spodziewała. Wyciągnęła z portfela wizytówkę i któryś raz z rzędu powiodła palcem po wypukłym druku. „Zadzwońię do niego jutro” - powtarzała sobie, aby się upewnić, że to nic wielkiego. Wiedziała jednak, że to nieprawda. Jutrzejszy dzień miał odmienić jej życie raz na zawsze. Jeszcze leżąc w łóżku, przytulając do siebie zwiniętego w kłębek Fatsa, wyszeptala mu w ucho: „Jutro...”, ale zaraz rytmiczne chrapanie psa ukołysało ją do snu.

Co u ciebie, koteczku?

Tra-la-la!

Co tam słyszeć nowego?

Tra-la-la!

Delila otworzyła oczy, ale przez chwilę miała wrażenie, że nadal śni. Pokój, w którym się znajdowała, wydawał jej się tyleż obcy, co znajomy, ale skąd dochodziły dźwięki piosenki Toma Jonesa? Przypomniała sobie, że przebywa w gościnnym pokoju Vivienne - wciąż jednak nie rozumiała, kto tu mógł słyszeć Toma Jonesa. Wygramoliła się z łóżka, nadeptując przy tym na Fatsa, który gniewnie zawarczał.

- Och, przepraszam, maleństwo! - Nachyliła się i ucałowała go w czarny wilgotny nosek. Charcik polizał ją po policzku na znak, że dał się przeprosić. - Mamy teraz tylko siebie, wiesz?

Przemawiała do psa czule, głaszcząc go po miękkich, kłapciastych uszach. W jego obecności wszystko wydawało się mniej obce, a więc mniej przerażające. Wstając, rzuciła okiem na swoje odbicie w podłużnym lustrze wiszącym po wewnętrznej stronie drzwi. Widok nie nastroił jej optymistycznie!

Powinna była wziąć prysznic i przebrać się w czyste rzeczy, bo spała w tym, co wczoraj miała na sobie. Wyjrzała do holu, z którego wychodziło troje drzwi. Za każdymi z nich mogła znajdować się łazienka, ale jak trafić na właściwe? Nie chciała próbować na chybił trafił, żeby nie nadzieć się na Vivienne, której akurat zachciałoby się przebrać w strój pielęgniarzki!

Wolała nie ryzykować. „Chromolę!” - postanowiła, gmerając w kufrze. Przebrała się w swoje ulubione, powycierane na kolanach dzinsy i sweterek wycięty w szpic, o dwa numery za mały. Jeszcze raz zerknęła w lustro i uznała, że wygląda jak ośmiolatka. Nie był to efekt, który pragnęła uzyskać w pierwszym dniu pobytu w stolicy światowej mody.

Wyciągnęła kosmetyczkę i odszukała w niej podkład. Roztarła go starannie, uważając, aby nie pozostawić na linii szczęki wyraźnej granicy między umalowaną twarzą a nieumalowaną szyją, co często można było zauważyć u ekspedientek w działach perfumeryjnych. Pragnęła tym sposobem stworzyć wrażenie, że tę opaleniznę zafundowała sobie na Riwierze, a nie na stoisku Bootsa w Bradfordzie. Twardą i tępą konturówką zaznaczyła maksymalnie zmysłowy kształt ust, a trzy warstwy tuszu miały nadać rzęsom równie zalotny wyraz jak w powieściach Barbary Cartland. Ukończone dzieło nie wzbudziło jednak jej aprobaty. Mimo uważnej lektury czasopism dla kobiet, które zamieszczały dokładny instruktaż prawidłowego makijażu, nigdy nie zdołała zgłębić tej sztuki do końca. Wyglądała raczej jak transwestyta przebrany za kobietę! Ze złością sięgnęła po chusteczkę higieniczną, nasączyła ją oliwką dla dzieci i zmyła cały efekt swojej pracy. Zdecydowała, że tego ranka raczej wystąpi bez makijażu.

Koteczku, koteczku,

Tak umiesz mnie rajcować,

Że chciałbym cię całować,

Więc idź się umalować,

Bo oczy masz jak kot!

Koteczku, koteczku, kocham cię, kocham cię,

Ciebie i kocie oczy twe!

Tom Jones darł się na cały regulator, a Delila z hallu nasłuchiwała, skąd dochodzi ta muzyka. Pomyślała, że z kuchni, więc podeszła na palcach do drzwi i pchnięciem otworzyła je na oścież.

Oczom jej ukazała się Vivienne w kanarkowożółtym kimonie, z włosami nawiniętymi na jaskrawe, plastikowe lokówki. Piskliwym głosem próbowała wtórować Tomowi Jonesowi, trzymając w jednej ręce karton z mlekiem, jakby to był mikrofon, a w drugiej wymachując do taktu miseczką z płatkami śniadaniowymi. Na widok Delili znieruchomiała, rozlewając przy tym mleko.

- Och, kochanie, mam nadzieję, że się nie gniewasz? - zaszcebiotała, ślizgając się na rozlanym mleku. Odstawiła ryżowe płatki i ucałowała Delilę w oba policzki, ciągnąc za sobą obłok perfum. - Przepraszam, że dobrałam się do twojej kolekcji płyt, ale tak lubię tego seksownego Walijczyka...

Delila zbladła jak ściana, widząc porozrzucane na kanapie okładki od albumów i czarne winylowe krążki ułożone jeden na drugim. Na gramofonie stereo z szybkością trzydziestu trzech obrotów na minutę wirowała płyta z jej niepowtarzalnej, jedynej w swoim rodzaju kolekcji Toma Jonesa...

- Vivienne, na miłość boską! - Rzuciła się do gramofonu i błyskawicznym ruchem zdjęła igłę z płyty. Od razu zapanowała cisza, więc delikatnie ściągnęła krążek z talerza i wydmuchała kurz z rowków. Słyszała przyspieszone bicie serca, bo nigdy nie darowałyby sobie, gdyby któraś z tych płyt uległa jakimukolwiek uszkodzeniu. Stanowiły przecież dumę i ukochanie jej matki, a oprócz kilku zdjęć i drobiazgów - także najdroższą pamiątkę po niej. Ilekroć ich słuchała, nawet trzeszczenie igły na zdartych rowkach cofało ją w wyobraźni do lat siedemdziesiątych, przywołując wspomnienie matki. Nawet gdy miała chandrę, czuła się rozdrażniona lub w dołku psychicznym - wystarczyło, aby wyjęła czarny krążek z okładki i położyła go na talerz gramofonu, a już zły nastrój mijał.

Na szczęście tym razem płycie nie przybyła żadna nowa rysa, więc Delila odetchnęła z ulgą. Miejsce lęku zajęła teraz złość, więc wbiła w Vivienne wściekły wzrok.

- Ani się waż więcej ich dotykać, rozumiesz? - wrzasnęła histerycznie, aż jej przeraźliwy głos wystraszył Vivienne. - Dostałam je od kogoś, kto wiele dla mnie znaczył i gdyby coś się z nimi stało - nie ręczę za siebie!

Vivienne, rozdygotana, dyskretnie pociągała nosem i ocierała łzy rąbkiem kimona. Nikt dotąd tak na nią nie krzyczał, a już na pewno nie ktoś, kogo z dobrego serca przyjęła pod swój dach...

Także Delila ochłonęła i zrobiło jej się przykro, że straciła panowanie nad sobą. Rzadko wpadała w złość, ale kiedy już ktoś wyprowadził ją z równowagi, potrafiła powiedzieć wiele ostrych słów. Wprawdzie była zła na Vivienne, ale nie chciała robić jej przykrości. W końcu skąd ona miała wiedzieć, jaką wartość przedstawiają dla niej te płyty?

- Przepraszam, nie chciałam tak krzyżeć na ciebie. - Spróbowała zdobyć się na uśmiech. - Byłam po prostu zaskoczona...

Usiadła na kanapie i ostrożnie zaczęła układać płyty z powrotem w teczkę, pieczołowicie wycierając każdą z kurzu rękawem swetra. Szczęk zameczków teczki podziałał na nią tak uspokajająco, jakby właśnie uniknęła straszego nieszczęścia.

Vivienne przycupnęła przy niej na kanapie z miną psotnego dziecka, które przed chwilą oberwało po łapach za podbieranie słodczy ze spiżarni. Wydęła dolną wargę i uporczywie mieszała swoje płatki, unikając wzroku Delili. Wyglądała, jakby straciła całą energię.

- Ja... nie wiedziałam, że to dla ciebie takie ważne - wyjąkała słabym głosem. - Czy mi wybaczysz?

Cała złość opuściła Delilę tak prędko, jak się pojawiła. Czy zresztą na taką Vivienne można się było długo gniewać?

- Ależ oczywiście! - zapewniła. - Każdemu wolno się pomylić.

Vivienne błyskawicznie odzyskała kontenans i sprężystym ruchem zeskoczyła z kanapy.

- Cudownie! W takim razie chodźmy po zakupy!

- A co mamy kupować? - Delila się zdziwiła, lecz po chwili przyszło jej do głowy, że gospodyni w zamian za gościnę oczekuje od niej zaopatrzenia spiżarni. Zaniepokoiło to ją, bo nie planowała spędzenia dzisiejszego dnia w hali supermarketu, a poza tym miała przy sobie tylko pięćset funtów. Ta suma musiała jej wystarczyć, dopóki... no, dopóki nie spotka się z Charliem. Nie potrafiła natomiast przewidzieć, co nastąpi potem. Próbowała to sobie wyobrazić, ale z równym prawdopodobieństwem mogłaby przewidywać wygraną na loterii.

Tymczasem Vivienne niecierpliwie wyplątywała z włosów wałki. Po wyciągnięciu ostatniego miała całą głowę w lokach w stylu prerafaelickim. Odrzuciła je do tyłu i wyjaśniła z pewnością siebie:

- Jak to co? Ciuchy! Zapomniałaś, że masz dzisiaj wyjątkowo ważną randkę?

Delila poczuła nieprzyjemny ucisk w gardle. Przecież dziś miała zadzwonić do Charliego!

- Nn... no rzeczywiście - plątała się, nie umiając dobrać właściwych słów. - Ale wiesz, pomyślałam, że zadzwonię do niego wieczorem, kiedy będzie mniej zajęty...

- Nawet nie próbuj szukać wykrętów. Po prostu i chciałybyś, i boisz się, jak panienka w noc poślubną.

Delila pokraśniała. Czyżby aż tak było to po niej widać?

- Nie da rady - wyznała szczerze. - Muszę przedtem strzelić sobie kielicha dla kurażu.

- Tak mi mów! - Vivienne klasnęła w dłonie z zadowolenia. - Najpierw połączmy po sklepach, a potem skoczmy do baru na drinka. Mój ulubiony sposób spędzania czasu!

- Ale... - zaczęła Delila, choć już wiedziała, że nic nie wskóra. Znała Vivienne dopiero od niedawna, ale zdążyła ją poznać na tyle dobrze, aby wyczuć, że ta dziewczyna nie cofnie się z raz obranej drogi. Porwana nurtem jej niespożytej energii mogła najwyżej biernie unosić się na fali.

- No, jazda, jazda! - ponaglała Vivienne, ściągając ją z kanapy i popychając ku drzwiom wyjściowym. - Zapalaj maszynę, a ja za chwilę dołączę.

Znikła w drzwiach sypialni, emanując podnieceniem i zapachem perfum Chanel nr 5.

Delila zaparkowała swego garbusa pod małym sklepem o nazwie Przygoda, utrzymanym w kolorach srebra i fioletu, położonym nieopodal kawiarni Prima Donna. Chętnie wysiadła z samochodu, ponieważ nawet podczas dziesięciu minut jazdy Vivienne zdążyła już wypełnić go dymem z papierosów. Trzymając przy uchu komórkę, równocześnie wypaliła pół paczki Marlboro Light! Delila chciała zaczerpnąć świeżego powietrza, ale w tym miejscu było ono przesycone mieszaniną spalin i kuchennych wyziewów z pobliskiej restauracji. Przypominało jej to Bradford. Okazuje się, że świat jest mały.

Vivienne z okrzykiem „Ciao, ciao!” wrzuciła komórkę do torby w ludowym stylu i też wygramoliła się z wozu. Przeciwsłoneczne okulary odsunęła z czoła, tak, aby przytrzymały loki rozrzucone w „artystycznym nieładzie”.

- Jesteśmy na miejscu - zaanonsowała, od razu rzucając okiem na witrynę sklepową. - Tylko popatrz na tę kiecę, czy nie jest super?

Nie przyglądała się dłużej, tylko od razu znikła we wnętrzu sklepu. Delila zatrzymała się jednak na chwilę, aby przyjrzeć się tak szumnie wychwalanej kreacji. Sukienka sprawiała wrażenie, że pozszywano ją sznurkiem z kawałków materiału zanurzanego kilkakrotnie w farbie po przewiązaniu w kilku miejscach. Wykończona była aksamitną lamówką i przerzucona niedbale przez gałęzie suchego drzewka użytego do dekoracji wystawy. Nie wyglądało to zbyt estetycznie i Sandra z pewnością potrafiłaby sklecić coś podobnego na swej maszynie Singera na cele dobroczynne.

Mimo to Delila zainteresowała się zawartością sklepu, bo gdyby rzeczywiście chciała spotkać się z Charliem, to przecież nie miała co na siebie włożyć, a przecież oglądanie nic nie kosztowało. Weszła więc do środka, lecz tam drogę zastąpił jej mocno opalony mężczyzna w stroju typowym dla wykidajły - czarnej koszulce polo, nylonowych spodniach i skórzanych, sznurowanych butach.

- Przepraszam, czy mógłbym zobaczyć pani kartę kredytową? - zapytał nosowym akcentem stanów środkowoatlantyckich.

Delila nie rozumiała, jaki związek ma karta kredytowa, z tym, że ona chce tylko obejrzeć parę kiecek? Zmieszana, cofnęła się o krok.

- A co, to nie jest zwykły sklep odzieżowy? Ochroniarz odgarnął z czoła przegubem ręki strąk tłustych czarnych włosów.

- To nie jest żaden sklep, tylko ekskluzywna galeria ubioru! - burknął, przysuwając swoją twarz stanowczo zbyt blisko jej twarzy.

Delila zaczerwieniła się, nie tyle ze wstydu, co ze złości. Taki dupek miałby ją stąd pogonić? Niedoczekanie! Nie mogła zwyczajnie zrejterować, zwłaszcza kiedy kątem oka zauważyła, że dwie ekspedientki beczelnie się na nią gapią.

- O, ja głupia, całkiem zapomniałam! - wycedziła z wymuszonym uśmiechem. - Przecież moja karta jest w torbie... „... ty durniu!” dokończyła pod nosem i cofnęła się do wejścia, gdzie na progu położyła swój plecak z demobilu. Pochyliła się i celowo zaczęła wykladać jego zawartość prosto pod glany pana wykidajły, który w zakłopotaniu przestępował z nogi na nogę. Znalazła się tam sucha karma dla Fatsa, pojedyncza podpaska i niedojedzony batonik Twix, a kiedy wyłożyła już tyle środków higieny osobistej, że starczyłoby na zaopatrzenie małej apteki - z udaną obojętnością zaczęła przerzucać papiery w swoim portfelu, niby szukając karty. Oczywiście, nie miała nic takiego, bo kelnerki zazwyczaj nie posiadały kart kredytowych.

- A cóż ty tu, na miłość boską, wyprawiasz? - U wejścia zjawiała się Vivienne, wciśnięta w coś w rodzaju wielkiej pończochy zrobionej z sieci rybackiej.

- Ta pani szuka swojej karty kredytowej! - powiedział ironicznie ochroniarz, zanim Delila zdążyła się odezwać. Zgrzytnęła więc tylko zębami, bo sam ton jego głosu działał jej na nerwy.

- Głuptasie, ona nie musi niczego szukać, bo jest ze mną! - Vivienne żartobliwie szturchnęła pana wykidajłę. Ten od razu poczerwieniał i zaczął nerwowo sapać.

- Och, przepraszam, panno Pendlebury! - Opuścił się na klęczki i zaczął pospiesznie zbierać przedmioty wyładowane przez Delilę z plecaka. - Zaszło nieporozumienie!

Delila spojrzała ze zdziwieniem na Vivienne, która mrugnęła do niej porozumiewawczo. Nie widziała dotąd, żeby ktoś tak nagle i tak gruntownie zmienił zachowanie - z butnego bęcwała przeobraził się w uniżonego lizusa. Musiała przyznać, że zrobiło to na niej wrażenie.

- Chodź, chodź, tu się dopiero napatrzysz! - Vivienne ciągnęła ją za rękaw jak dziecko w sklepie z zabawkami.

Okazało się, że na niewielkiej powierzchni sklepu kręciło się pełno nienaturalnie szczupłych kobiet z włosami rozjaśnionymi na różne odcienie koloru blond, z usminkowanymi ustami i sztuczną opalenizną. Wszystkie niekompletnie ubrane, szczebiotały między sobą wysokimi, afektowanymi głosikami i wytrwale grzebały w stosach łaszków, coraz to przymierzając któryś i podziwiając swoje odbicie w sięgających do podłogi lustrach w złotych ramach. Radziły się też ekspedientek, czy dobrze wyglądają w tych czy innych modelach, czym biedne dziewczęta czuły się prawdziwie zaszczycone. Krążyły wokół klientek, prześcigając się w pochlebstwach - „Zachwycająco, wygląda pani po prostu zachwycająco!”. - Sprawiało to wrażenie pełnego obiektywizmu, na który zdawała się nie mieć wpływu pięćdziesięcioprocentowa prowizja od sprzedaży.

Delila postawiła plecak na podłodze i zabrała się do przeglądania zakiecików zszywanych z aksamitnych łatek, które wyglądały, jakby zbiegły się w zbyt gorącym praniu. Więc to miały być te ekskluzywne ubiory, których tak pilnowano? Przyłożyła do siebie jedno z takich wdzianek, które ledwo zakrywało jej piersi. Żałowali materiału, czy co? Niedbale odłożyła ciuszek na półkę, ale

natychmiast przyskoczyła ekspedientka i zaczęła skrupulatnie składać go w kostkę, jakby to była serwetka. Delila zastanawiała się już, czy na końcu rozłoży go w wachlarzyk?

- Dobrze mi w tym? - Za sobą usłyszała głos Vivienne, która właśnie rozsunęła zasłone przymierzalni. Zamiast siatkowej sukienki obcisłej jak pończocha miała teraz na sobie sznurowany gorset, a do tego spódniczkę sięgającą kolan, w kształcie abażura z pikowanego aksamitu w odcieniu fuksji, która wydymała się akurat nie tam, gdzie trzeba. - No, jak?

Delila rozpaczliwie usiłowała dobrać trafne określenie. Znała Vivienne dopiero od paru godzin, lecz nie sądziła, aby ucieszyło ją porównanie, że wygląda jak Kolombina z pantomimy.

- Jest taka... oryginalna! - Próbowała nadać głosowi entuzjastyczne brzmienie, ale wypadło to dość bezbarwnie.

- Oryginalna? - Vivienne prychnęła, kręcąc piruety przed rozplływającymi się w zachwytach ekspedientkami. - Mnie się raczej wydaje, że mam w sobie więcej z Cyganki, niż myślałam.

Panienki sklepowe piałły peany, aż podskakiwały perełki na ich chudych szyjach. Delila patrzyła na nie z obrzydzeniem. Wolałaby, aby Vivienne nie wychodziła z tego sklepu w tak wyzywającym stroju. Z ciekawości spojrziała na wieszak obity haftowanym jedwabiem - czy nie ma na nim metki z ceną? Nie było, bo właściciele galerii Przygoda kierowali się zasadą, że jeśli ktoś pyta o cenę, to znaczy, że nie stać go na zakup. Zebrała się jednak na odwagę i spytała:

- Ile to kosztuje?

W całym sklepie dał się słyszeć szmer zgorszenia, jakby wszyscy naraz wciągnęli powietrze w płuca. Delila jednak nie dała się zbić z tropu i nie zważając na oburzone spojrzenia, powtórzyła pytanie, prowokując wyraźnym akcentem z Yorkshire:

- Pytam, ile kasy za te kieckę?

Starsza rangą pracownica sklepu, która nosiła okulary w grubych czarnych oprawkach, czym przypominała Elvisa

Costello, pokaślując dla dodania sobie powagi, udzieliła odpowiedzi:

- Spódnica model „burdelówka” i ręcznie haftowany gorset, to razem... trzy tysiące funtów, proszę pani! - Te ostatnie słowa ledwo przeszły jej przez gardło.

Delila parsknęła z pogardą. Trzy patyki? Czy oni robią sobie jaja? Jaki idiota zapłaciłby za takie szmatki równowartość dwutygodniowych wakacji na Karaibach?

- Chyba ją wezmę - zdecydowała Vivienne, wzbudzając pomruk aprobaty wśród ekspedientek czyhających niczym sępy.

- Czy jesteś tego pewna? Wydaje mi się, że mają tu mnóstwo ładniejszych rzeczy... - Delila rozpaczliwie rozglądała się wokół w nadziei, że wypatrzy coś, co jej się spodoba. Czuła się, jakby brała udział w jakiejś wielkiej mistyfikacji, takiej uwspółcześnionej wersji „nowych szat cesarza”. Tymczasem dama podobna do Elvisa Costello dwukrotnie szturchnęła ją w ramię:

- Czy to pani samochód, ten zielony volkswagen?

Delila błyskawicznie się odwróciła.

- Tak! - odwarknęła zaczepnie, bo posądzała ekspedientkę o stosowanie taktyki wyuczonej w szkole handlowej - odwrócić uwagę kłopotliwej klientki, aby bez przeszkód oskubać jej łatwowierną przyjaciółkę.

- Oj, to chyba będzie mandacik! - Okularnica zarechotała.

Delila wyjrzała na drugą stronę ulicy akurat wtedy, kiedy policjant z drogówki spisywał jej numer rejestracyjny.

- A niech to szlag trafi! - Wybiegła ze sklepu, pozostawiając Vivienne w rękach jego pracownic, które z myślą o swojej prowizji już holowały ją triumfalnie do kasy. - Niech pan poczeka! - Impulsywna jak zawsze, rzuciła się na maskę samochodu. - Pan nie może wypisywać mi mandatu! Przecież nie zaparkowałam w niedozwolonym miejscu ani nie złamałam żadnego przepisu!

Policjant nie zwracał uwagi na jej protesty i spokojnie wprowadzał dane do przenośnego komputera.

- Przecież mówię, że nie zaparkowałam w niedozwolonym miejscu! Pan nie ma prawa wypisać mi mandatu! - Podniosła głos, prawie krzyczała, jednak bez skutku.

Stróż porządku publicznego nawet nie podniósł na nią oczu, tylko oderwał wydrukowany przed chwilą kwitek, wsadził go w plastikową koszulkę i zatknął za zepsutą wycieraczkę garbusa. Potem spokojnie ruszył w kierunku następnego samochodu.

- A to drań! Faszysta! - mruzczała pod nosem Delila, wyciągając druczek z kopertki. Miała ochotę kłać jeszcze głośniej, kiedy odczytała wysokość grzywny. Jakim prawem ten gliniarz skasował ją na czterdzieści funtów za to tylko, że zwyczajnie zostawiła samochód na ulicy? Jednak obok wysokości kary dodano jeszcze drobnym drukiem uzasadnienie: „Samochód zaparkowany bez zezwolenia w dzielnicy mieszkaniowej”. Delili chciało się wyć. Cóż to za jakieś zakazane miasto? W sklepach żądają karty kredytowej, do zaparkowania potrzebne jest zezwolenie... Zupełnie jak w którejś powieści Orwella!

Podarła druczek mandatu i wyrzuciła go do kanału ściekowego. Przechodzień obdarzył ją nieprzychylnym komentarzem, za co spiorunowała go wzrokiem. Oparta o karoserię samochodu, przymknęła oczy pod marcowym słońcem i czekała na Vivienne. Stanowczo dzień nie zapowiadał się dobrze, ale pocieszała się, że chyba nie może już być gorzej.

W końcu Vivienne w podskokach przybiegła ze sklepu, wymachując triumfalnie kartonowym pudłem wielkości średniej tablicy ogłoszeniowej.

- Teraz mogłybyśmy się czegoś napić! - zaszczębiotała radośnie.

- O, tak! - Delila zgodziła się od razu. Tym, czego teraz najbardziej potrzebowała, był właśnie alkohol, i to w dużej ilości. Sięgnęła do kieszeni dzinsów po kluczyki od samochodu, ale nie znalazła ich tam, gdyż oczywiście zostały w plecaku.

- Zabrałaś może mój plecak ze sklepu? - zerknęła na Vivienne, która akurat próbowała wyłuskać ze swojej wielkiej torby telefon komórkowy dzwoniący gdzieś na dnie.

- Że co? - rzuciła nieobecnym głosem, dogrzebując się w końcu do komórki. Od razu skupiła uwagę na rozmówcy. - O, cześć, Hillary!

Delila westchnęła, bo oznaczało to, że czekała ją jeszcze jedna przeprawa. Czym prędzej wbiegła do sklepu, mijając groźnego wykidajkę. Niestety, na podłodze nic nie leżało. Strach ją obleciał, więc zaczęła pierwszą z brzegu ekspedientkę.

- Przepraszam, czy nie zostawiłam u was plecaka?

- Obawiam się, że nie - wyrecytowała mechanicznie pracownica, spoglądając na nią z góry.

Czując ucisk w żołądku, Delila zaczęła w panice miotać się po sklepie. Nagabywała cały personel, ale od wszystkich słyszała taką samą odpowiedź. Skąd, nic podobnego nie mogło tu się zdarzyć! W jej oczach wezbrały łzy, bo skoro zginął plecak, to razem z nim i portfel, a w nim wizytówka Charliego, na której był jego numer telefonu! Załamana, wyszła na miękkich nogach na zewnątrz i opadła bezsilnie na chodnik przed sklepem. Nie myślała już o Vivienne, która przez cały czas rozmawiała z kimś przez komórkę, ale nagle uświadomiła sobie konsekwencje tego, co się stało. Mało tego, że straciła możliwość kontaktu z Charliem, ale i wszystkie pieniądze, jakie miała ze sobą, a więc pech był podwójny. Otarła oczy, próbując powstrzymać łzy, ale i tak zaczęły ściekać po policzkach. Co miała teraz zrobić, kiedy znalazła się bez grosza przy duszy na londyńskim bruku?

9

- Nie martw się, wszystko będzie dobrze! - Sam opiekuńczym gestem otoczył ją ramieniem. - Z nami nie zginiesz!

Delila uśmiechnęła się słabo, wycierając czerwone i zapuchnięte oczy skreconą serwetką nasiąkniętą dżinem. Twarz miała całą w plamach, bo przepłakała ponad godzinę, z czego pierwsze dwadzieścia minut pod sklepem Przygoda. Nie ruszyłaby się stamtąd, gdyby Vivienne nie zdecydowała wziąć sprawy w swoje ręce. Nie chciała, aby rozhisteryzowana przyjaciółka robiła z siebie widowisko, więc odholowała ją do baru przy restauracji Kuchnia Domowa. Po drodze wstąpiła do Sama, aby poprosić go o radę, co ma zrobić z tą zagubioną owieczką z północy. Sam stanął na wysokości zadania, bo i Vivienne zawsze mogła liczyć na jego pomoc. Mogła zwrócić się do niego z każdym problemem - na przykład, gdy porzucił ją kolejny kochanek, albo gdy kąpiąc się zauważyła na swoich udach pierwsze oznaki cellulitisu, a już Sam sprowadzał sprawę do właściwych wymiarów. Te-

raz, gdy Delila potrzebowała pomocy, jak zwykle w takich wypadkach zamknął wcześniej kawiarnię i dołączył w barze do obu dziewcząt, zaopatrzony w dzin z tonikiem i krzepiący uśmiech.

- Jasne, że to nic miłego zostać okradzionym, ale świat się na tym nie kończy. - Gładził Delilę po włosach, a ona machinalnie potakiwała, bezwiednie drąc na kawałki rozmiękłą podstawkę pod kufel z piwem. Nawet nie próbowała nic powiedzieć, bo skupiła się na opanowaniu pociągania nosem. Wysiłki okazały się daremne, bo ilekroć wracała myślami do swojego obecnego położenia - natychmiast z oczu i nosa ciekły jej słone strużki, bo nie mogła pogodzić się z faktem, że całe jej miesięczne pobory znikły jak kamfora. Wycierając z impetem nos, starała się nie dopuszczać do siebie myśli, że bez pieniędzy i adresu Charliego będzie musiała wrócić do swego poprzedniego życia. Na samą myśl o tym oczy jej znów zbierały łzami.

- W końcu to tylko kwestia pieniędzy, prawda?

Delila w zamyśleniu przygryzła dolną wargę. Sam mylnie sądził, że przyczyną jej rozpacz jest tylko utrata oszczędności - nie wiedział natomiast nic o istnieniu Charliego i zagubieniu jego numeru telefonu. Dotąd nie wspomniała mu o tym, bo sądziła, że to nie pasuje.

- Dziękuję ci, Samie! - Podniosła głowę i zmusiła się do uśmiechu.

- Za co mi dziękujesz?

- Za to, że chcesz mnie wysłuchać, nie radzisz mi, żebym się wzięła w garść i że w ogóle tu jesteś.

Mówiła prawdę, bo ten dobry, wyrozumiały Sam przez dwa ostatnie dni nie robił nic innego, tylko pomagał jej uporządkować swoje życie. Dzięki Bogu, że zaraz po przyjeździe trafiła właśnie na niego, bo inaczej nie wiadomo, co by się z nią stało. Zupełnie, jakby miała anioła stróża.

Sam przykrył jej rękę swoją i szeroko się uśmiechnął, demonstrując dwa rzędy równych, białych zębów. Zdążył już polubić Delilę, a teraz, kiedy Vivienne przyprowadziła ją do baru - rozczulił go widok jej piegowatej buzi zapuchniętej od płaczu i zmiętej odzieży, oblepionej psią sierścią. W niczym nie przypominała dam z wyższych sfer, których pełno kręciło się po Notting Hill, drepczących na szpilkach i szpanujących kreacjami z luksusowych domów mody. Delila przynajmniej nie próbowała szpanować.

- A może spróbowałabyś zadzwonić do Charliego?

- Co takiego? - Delila gryzła kostkę lodu.

- Tak mi się tylko przypomniało. Może on potrafiłby ci jakoś pomóc?

- Skąd wiesz o Charliem? Vivienne ci powiedziała? - Spróbowała wyobrazić sobie Vivienne przekazującą Samowi pikantne plotki za pośrednictwem telefonu komórkowego.

- Nie. Sama wymówiłaś jego imię, zanim w pełni odzyskałaś przytomność.

- Czy powiedziałaś o nim coś więcej? - Od razu przybrała postawę obronną.

- Nie, tylko imię... Przepraszam cię, naprawdę nie miałem nic złego na myśli! Wydawało mi się po prostu, że gdyby nękały cię teraz kłopoty finansowe, to może on pomógłby ci stanąć na nogi?

Sam od razu pożałował, że w ogóle o tym wspomniał, bo zorientował się, że poruszył drażliwą materię. Istotnie, sama wzmianka o Charliem spowodowała, że Delila znowu poczuła się niepewnie.

- Może by i pomógł, ale nie mam z nim kontaktu. Jego wizytówka została w moim plecaku - wymamrotała ponuro.

Wizytówka? Czyżby to oznaczało, że znajomość Delili z Charliem miała wyłącznie charakter zawodowy? Sam z trudem ukrywał miłe zaskoczenie. Dręczyło go bowiem podejrzenie, że Charlie jest chłopakiem Delili, a głębi serca wołałby, aby tak nie było.

- Więc spróbuj dowiedzieć się o jego telefon w biurze numerów - poradził.

Delila poczuła, że wstąpiła w nią wątpliwa nadzieja. Rzeczywiście, w tym całym zamieszaniu nie pomyślała, by po prostu zadzwonić do informacji. Wystarczy, gdy poda nazwę wytwórni filmowej, a zaraz otrzyma potrzebne namiary. Pojawił się tylko jeden szkopał. Nie mogła przypomnieć sobie nazwy ani adresu wytwórni, ba, nawet nazwiska Charliego! Spróbowała przywołać z pamięci obraz jego wizytówki metodą mnemotechniczną Uri Gellera, prezentowaną kiedyś w telewizji. Niestety, nic z tego nie wyszło. Z pamięci ulotniło się dosłownie wszystko.

- Nie mogę, bo zapomniałam, jak się nazywa jego firma! - westchnęła żałośnie, skręcając w palcach nitki z wytartego rękawa swojej dżinsowej kurtki. Wyobrażała sobie, co Sam o niej pomyśli. Mało tego, że bez mieszkania i bez grosza, to jeszcze straciła pamięć!

- Dobra, mówiłem ci przecież, żebyś się nie martwiła. Jesteś jeszcze w szoku, więc to normalne, że nie pamiętasz pewnych rzeczy. Z czasem sobie przypomnisz, tylko musisz ochłonąć. - Sam łagodnie ujął ją pod brodę.

Spojrzała w jego oczy i spostrzegła, że są takie same jak jej - piwne z zielonkawymi cętkami. Dobrze mówił, że nie ma powodu do rozpacz - bywała już w gorszych tarapatach i zawsze jakoś się z nich wykaraskała. Nabrała więc w płuca duży haust powietrza przesyconego dymem z papierosów i oparami alkoholu. Właśnie, alkohol - tego jej było trzeba!

- No więc teraz ja postawię ci drinka, dobrze? - Wstała, lecz musiała się oprzeć o krzesło, bo po dwóch koniakach i dwóch szklankach dżinu z tonikiem chwiała się już lekko na nogach. - Przynajmniej tyle mogę dla ciebie zrobić!

Sam odchylił się do tyłu w plastikowym krześle awangardowej konstrukcji, lecz nieprzyjemnie uwierającym w siedzenie.

- Przecież nie masz pieniędzy! - Uśmiechnął się na jej propozycję.

Jednak Delila nie przejmowała się już tym, że straciła całą gotówkę - grunt, że wróciło jej poczucie humoru!

- No więc będziesz musiał pożyczyć mi dychę. - Wyciągnęła rękę, czekając, aż Sam sięgnie do kieszeni. Zazwyczaj nie cierpiała pożyczać pieniędzy, ale tym razem wiedziała, że ten chłopak nie będzie miał jej tego za złe. Pod tym względem był zupełnie inny od jej poprzednich znajomych i partnerów. Taki na przykład Lenny gotów był nadłożyć z piętnaście kilometrów, byleby tylko zaoszczędzić pensa na paliwie, a w barze, kiedy to on miał stawiać kolejkę, zawsze w odpowiednim momencie wychodził do toalety. - Czego się napijesz?

- Może być piwo.

- A Vivienne?

- Wydaje mi się, że ona sama już o to zadbała. - Sam wykonał gest w stronę baru, gdzie Vivienne dotrzymywała towarzystwa kilku radcom prawnym, spoconym i prześcigającym się w komplementach. Podwinęła wysoko spódniczkę, aby zademonstrować adoratorom japoński tatuaż po wewnętrznej stronie uda. Starsi panowie dyszeli namiętnie, oczy wyłaziły im na wierzch, a pokaźne brzuchy rozsadały naprężone paski od spodni. Widać było, że Vivienne świetnie bawi się tą sytuacją. Nigdy nie była skromnisią, a oprócz seksu zawsze najbardziej lubiła skupiać na sobie uwagę otoczenia.

Delila podeszła więc chwiejnym krokiem do baru i wdrapała się na wysoki stółek. Czekala, aż ktoś ją obsłuży, co trwało ponad piętnaście minut. Zaczęła już się niecierpliwić i była gotowa zrezygnować z zamówienia, gdy wysoki, oszałamiająco przystojny barman raczej podpłynął niż podszedł do niej.

- Czym mogę pani służyć? - zmarszczył czoło, robiąc minę à la James Dean.

Delila westchnęła. A cóż to znowu za dupek? Mało było jednego bramkarza w koszulce polo, teraz ten zgrywa buntownika bez powodu?

- Hmm... Proszę piwo, wódkę i colę.

- Że jak? Że kuolę? - Sparodiował jej akcent, filuternie mrugając okiem.

Delila gniewnie prychnęła. Czy to miały być żarty, czy nieudolny podryw? Jeśli tak, to trafił kulą w płot. Najchętniej poradziłaby mu, żeby się odpieprzył, ale zmieniła zdanie i odpowiedziała mu takim samym mrugnięciem. Dał się na to złapać, bo lubieżnie łypnął okiem. Delila złożyła wargi w wdzięczny dzióbek i wyszeptała zmysłowo:

- Czy mogę coś panu powiedzieć?

- Tak, słucham? - Zawadiackim ruchem odgarnął grzywkę z oczu i nachylił się do niej ponad bufetem. Owionął ją obłok wody po goleniu. Oblizła usta i przybliżyła je do jego ucha.

- Czy ktoś już panu mówił... - zaczęła i zrobiła pauzę dla efektu, pozwalając temu zarozumiałemu przystojniaczkowi napęcznić z dumy, aby nagle syknąć scenicznym szeptem: - ...że pan ma niedopięty rozporek?

Chwył był ograny, ale wciąż skuteczny. Barman jak sprężyna odskoczył od bufetu i odruchowo spojrział w dół, na swoje czarne, skórzane spodnie. Roześmiała się gromko, bo wygrała to starcie, a

zarozumialec nawet nie próbował jej się zrewanżować. Usiłował odzyskać równowagę, zonglując butelkami z wódką i colą, porcjując lód i plasterki cytryny. Delila pękała ze śmiechu, kiedy majestatycznie kroczył z pojemnikiem na słomki. Przypominało jej to dokumentalny film Davida Attenborougha o roztargnionym barmanie.

- Przepraszam, czy pani już coś zamówiła? - Przysiadł się do niej niewysoki mężczyzna około czterdziestki, o ciemnej cerze i z wyraźnie włoskim akcentem.

- Tak - odpowiedziała z wymuszonym uśmiechem.

- To świetnie! - Jego mięsiste wargi też rozchyliły się w uśmiechu, odsłaniając kilka złotych zębów. Przysunął się bliżej, a Delila w myśli usiłowała telepatycznie ponaglić barmana, aby przyniósł wreszcie te drinki. - Pani pozwoli, że się przedstawię. Mam na imię Vince, a ten lokal... - teraz z kolei on zrobił pauzę dla efektu - ... należy do mnie!

Kątem oka dostrzegła wyciągającą się ku niej rękę ozdobioną kilkoma złotymi sygnetami i bransoletami. Zauważyła też, że na każdym członie jego palców rosły kępki czarnych włosków, jak u pająka. Serce podeszło jej do gardła, bo zrozumiała, że nie ma drogi odwrotu. Nie marzyła wprawdzie o konwersacji towarzyskiej z podtatusiałym, włoskim podrywaczem, ale nie mogła udawać, że go nie widzi. Miała już przedtem do czynienia z takimi typami, którzy przyczepiali się jak rzep do psiego ogona i nie można było się ich pozbyć inaczej, niż przyjmując zaproszenie na kolację lub dyskretnie dając do zrozumienia, że cierpi się na jakąś wyjątkowo uporczywą i zaraźliwą chorobę. Uznała więc, że chwilowo znalazła się w sytuacji bez wyjścia.

- A ja Delila. - Wyciągnęła do niego rękę, którą Vince mocno uścisnął, przytrzymując w swojej dłużej, niż to było konieczne.

- Czy mogę wiedzieć, jaka jest pani opinia o moim lokalu?

Wypiął przy tym dumnie pierś i Delila zauważyła czarne, kręcone włosy wyzierające spod kołnierzyka lśniącej, atlasowej koszuli.

- Bardzo tu miło. - Uśmiechnęła się z aprobatą.

- A wie pani, że w podziemiach mam jeszcze restaurację?

- No, nie. - Modliła się, żeby tylko nie przyszło mu do głowy zaprosić jej tam na kolację.

Nie cierpiała sytuacji, kiedy mężczyzna proponuje wspólne wyjście, a ona te propozycję odrzuca. Choćby odmawiała jak najuprzejmiej, mężczyźni zawsze czuli się urażeni w swojej męskiej dumie i od razu stawali się niegrzeczni... Spoglądała więc na Vince'a wyczekująco, choć z drugiej strony, gdyby choć trochę się jej podobał, perspektywa kolacji, gdy jest się bez grosza przy duszy, wygląda całkiem zachęcająco.

W którymś momencie olśniło ją, że oto ma przed sobą gotowe rozwiązanie swoich problemów finansowych! Wprawdzie była to ostatnia rzecz, jaką chciałaby się zajmować w Londynie, ale wiedziała, że to przynajmniej umie robić. Nie musi przecież zaangażować się na długo. Najwyżej na

jakieś dwa tygodnie, dopóki nie odnajdzie Charliego, a wtedy już rozpocznie całkiem nowe życie! Zmieniła więc minę z chłodnej na zachwyconą, uśmiechając się promiennie i wstrząsając głową, aż włosy rozsypały się swobodnie po plecach.

- Potrzebuje pan może kelnerki?

- A chciałyby pani pracować w mojej restauracji? - W jego głosie zabrzmiało niedowierzenie, jakby usłyszał coś zbyt pięknego, aby było prawdziwe.

- Z chęcią, jeśli ma pan wolny etat.

Spróbowała wykrzesać z siebie tyle entuzjazmu, ile mogła wzbudzić w niej myśl o ponownym podjęciu pracy kelnerki. Dopiero gdy pomyślała o pieniądzach, łatwiej jej było zdobyć się na uśmiech godny Miss Świata, jaki rezerwowała zwykle na specjalne okazje w rodzaju rozmowy kwalifikacyjnej, pierwszej randki lub wizyty u lekarza. Starła się, aby ten grymas nie schodził z jej policzków.

- Czy pracowała już pani przedtem jako kelnerka? - Vince najwidoczniej nie był pewien, czy dowiedział się już wszystkiego.

- Owszem, przez dłuższy czas. Bardzo lubię tę pracę. - No, niechby Pascal to usłyszał, dopiero by podskoczył!

- Cóż, myślę, że znajdzie się u nas wolne miejsce. - Vince, rozpromieniony, zapalił opasłe cygaro, długie na dwanaście cali, i pociągnął mocno, aż wypuścił spory kłęb wonnego dymu. - Proszę tu przyjść jutro o siódmej.

Oblizwał wargi i zaczął namiętnie przeżuwać ośliniony koniuszek cygara Monte Christo. Na szczęście akurat barman przyniósł zamówione napoje. Delila zmieszała wódkę z colą i łyknęła tego, żeby nie myśleć za dużo.

- W takim razie do zobaczenia jutro o siódmej! - rzuciła szybko, pragnąc czym prędzej się stąd ulotnić. Nie zdążyła jednak, bo Vince wycisnął jej na obu policzkach mokre pocałunki. Siłą woli zapanowała nad sobą, aby nie okazać obrzydzenia, bo porządnie ją przy tym oślinił.

- Nie mogę się już doczekać, moja piękna!

W tym momencie Delila uznała, że teraz albo nigdy. Szybkim ruchem przebiła się przez tłum otaczający bufet, rozlewając po drodze część piwa przeznaczonego dla Sama. Ze wstrętem myślała, co za obleśny typ z jej nowego pracodawcy, ale przynajmniej oznaczało to dla niej zarobek. Dotarła do Sama, anonsując mu z uśmiechem:

- Dostałam pracę!

- Gdzie?

- Tu. Od jutra zaczynam.

- Gratuluję! - Sam chwycił ją w pasie i uściskał, choć aby zrównać się z nią, musiał zgiąć się wpół. Zachichotała piskliwie, unosząc drinki wysoko nad głowę.

- Daj spokój, bo wyleję na ciebie tę resztkę piwa, jaka mi została.

Od razu rozluźnił uchwyt i niezręcznie się odsunął.

- Przepraszam, poniosło mnie - sumitował się, a na jego policzki wystąpiły rumieńce.

- Och, nie wygłupiaj się, trochę wypiliśmy i tyle! - Delila odstawiła szklanki na stół. W swoich usiłowaniach, aby odzyskać stracone pieniądze, nie zauważyła zakłopotania Sama ani jego spojrzeń rzucanych w jej kierunku.

Prawda, że wypił kilka piw, ale jego reakcje nie miały nic wspólnego z alkoholem. Rzecz w tym, że kiedy znajdował się w bezpośredniej bliskości Delili, miękły mu nogi i wilgotniały ręce. Objawy te świadczyły bezbłędnie, że oszalał na jej punkcie. Mało tego, że wydała mu się tak piękna i seksowna, że pragnął wiecznie trzymać ją w objęciach i okrywać pocałunkami, ale zwyczajnie się w niej zakochał. Marzył, aby rozmawiać z nią, dowiedzieć się o niej jak najwięcej, oglądać razem z nią stare filmy, gotować dla niej swoją ulubioną potrawę, jeść razem z nią w łóżku zamówioną pizzę... Po prostu chciał być z nią. Koniec i kropka.

Uśmiechnął się do Delili, która, roześmiana, tańczyła wokół stołu. Wyglądała na tak szczęśliwą i beztroską, że nie miał sumienia mącić tej radości swoim kiepskim humorem. Wzniósł więc toast butelką z piwem:

- No to wypijmy za twoją nową pracę. Zdrowie!

- Zdrówko! - Wesoło brzęknęła szklanka.

Okazało się, że Sam miał rację. Wszystko znów było na dobrej drodze.

10

- Kurczę blade! - Delila zaklęła, kiedy stwierdziła, że jej ostatnia para cienkich rajstop, jakich trzy pary nabyła ostatnio w drogerii, nie nadaje się do użytku.

Spojrzała na zegarek - było już wpół do siódmej, a za pół godziny miała przecież stawić się w Kuchni Domowej. Wskoczyła więc do holu i załomotała do drzwi sypialni Vivienne.

- Vivienne, czy nie mogłabyś pożyczyć mi rajstop?

Drzwi otworzyły się gwałtownie i stanęła w nich Vivienne, ubrana w fartuch po kolana zapinany z przodu na napy i biały, plastikowy czepek pod prysznic. W lewej ręce trzymała wałek do ciasta.

- Jak wyglądam? - spytała, robiąc półobrót. - Za pół godziny ma do mnie przyjść Dwayne.

- Kogo tym razem udajesz? - Delila usiłowała stłumić śmiech.

- Kucharkę.

Teraz już nie mogła powstrzymać śmiechu. Wyglądało to zupełnie jak w telewizji!

- A jesteś pewna, że Dwayne leci na kucharki?

- Jasne! Wszyscy faceci lubią przebieranki.

Delila pomyślała o Lennym. Może na tym właśnie polegał jej błąd w postępowaniu z nim? Kto wie, czy takie przebieranki nie ubarwiłyby ich monotonnego pożycia? Zaraz jednak odrzuciła ten pomysł, bo chyba żaden seksowny kostium nie przeobraziłby Lenny'ego w supersamca, a wręcz przeciwnie. Jedynym przebraniem, jakie uznawał u Delili, był czarno-czerwony koronkowy staniczek-bardotka i atlasowe majteczki w formie sznureczka między nogami. Dodać do tego jeszcze podwiązki, a byłby w siódmym niebie...

- Przepraszam, że pytam, ale co masz zamiar robić z tym wałkiem?

- Jeśli Dwayne będzie niegrzeczny, to dostanie tym po pupie! - Vivienne kręciła młynki wałkiem jak tamburmajor batutą.

Delila chętnie dowiedziałaaby się czegoś więcej na temat fantazji seksualnych Dwayne'a, ale bała się spóźnić do nowej pracy.

- Aha, byłabym zapomniała... Chciałam cię zapytać, czy mogłabyś pożyczyć mi jakieś rajstopy. Moje wszystkie są dziurawe, a nie zdążę już kupić nowych.

Vivienne poprawiła czepek.

- Chętnie, kochanie, tylko, widzisz, ja nie noszę rajstop. To dobre dla sekretarek. Chyba że... poczekaj chwileczkę! - Odwróciła się do swojej stylowej komody i wyciągnęła z niej górną szufladę. - Jeśli chcesz, możesz sobie wybrać coś z tego.

Sądząc po zawartości szuflady, Vivienne nie należała do tych osiemdziesięciu procent kobiet, które zaopatrują się w bieliznę u Marksa i Spencera. Przerzucała niezliczone pary elastycznych majtek, staników z otworami w miejscu brodawek sutkowych i gumowych pasów.

- O, tu jest, a ja go tyle czasu szukałam! - zawołała, wyciągając z szuflady i rzucając na łóżko coś, co przypominało gorset. I rzeczywiście był to gorset, ale nie taki, jakie nosiły nasze babcie, tylko skórzany, nabijany błyszczącymi nitami! - Widzisz, o to mi chodziło.

Uradowana, podsunęła Delili kilka paczek siatkowych pończoch.

- Mogę ci dać też pasek do podwiązek - zaproponowała.

Delila jęknęła, bo nie bardzo chciała wyglądać jak szansonistka z Folies Bergere. Nie miała jednak wyboru, na jej zegarku dochodziła już szósta czterdzieści dwie, więc mogła albo założyć kabaretki, albo iść z gołymi nogami! Zrezygnowana, wzięła pończochy i w biegu zawołała do Vivienne:

- Baw się dobrze!

- Postaram się! - odrzyknęła Vivienne, zatraskując drzwi swojej sypialni za pomocą wałka.

Delila w pośpiechu wcisnęła się w pasek do podwiązek, ale kręciła się w nim nerwowo, bo nie była przyzwyczajona do noszenia tak niewygodnych części garderoby. Co mogło podniecać mężczyzn w takim narzędziu tortur, przypominającym średniowieczny pas cnoty? Otrząsnęła z kurzu czarną spódniczkę i oceniła finalny efekt w lustrze. Ocena wypadła pozytywnie, więc pocałowała Fatsa, który

spał na łóżku zwinięty w kłębek, zabrała kluczyki do samochodu (na szczęście znalazła zapasowy komplet, zanim Vivienne wypróbowała swoje talenty w dziedzinie dorabiania wytrychów, czego nauczył ją Dwayne), założyła swe jedyne pantofelki na szpilkach i wybiegła z holu. Nie czekało jej nic ciekawego, jedynie nudne kelnerowanie, ale dopóki nie miała innej pracy, nie chciała spóźnić się do tej.

W Kuchni Domowej panował już ożywiony ruch. Przy barze zadawały szyku modelki, których figury poprawiał chirurg plastyczny za pomocą silikonu. Panowie stylizowani na George'a Hamiltona, zlni zapachami Cacherei i Grecian 2000, stawiali im koktajle Delboy, a po kątach początkujący piosenkarze rockowi, w lustrzanych okularach i welwetowych garniturach, zabawiali rozmową kandydatki na przyszłe gwiazdy filmowe. Te zaś wydymały zmysłowo wargi i puszczały dymki z papierosów, nie dostrzegając nawet, że ich adoratorzy plotą głupstwa.

Delila poczuła się skępowana w tym towarzystwie, bo jej ubiór pasował raczej do gospodyni domowej bądź stenotypistki, a nie do aktorki lub modelki. Z ulgą przyjęła więc pojawienie się Vince'a, który ze swym nieodłącznym cygarem, oblizując wargi, przepychał się do niej przez tłum gości.

- *Bella, bella!* - gruchał namiętnie, zbliżając się w obłoku dymu z cygara. - Chodź, poznam cię z twoimi koleżankami.

Chwyił ją za rękę spoconą dłonią i ściskając policyjnym chwytem, poprowadził na zaplecze baru, a stamtąd po schodach do pustej sali restauracyjnej.

- Zaczynamy podawać posiłki od wpół do ósmej, więc masz dosyć czasu, aby przebrać się w strój służbowy.

Cóż to mógł być za strój? Delila rzuciła okiem na swoje odbicie w jednym z luster pokrywających całą ścianę. Nie wyglądała źle - przecież biała bluzka i czarna spódniczka to typowy ubiór kelnerki. W tym momencie zobaczyła jednak zbliżającą się ku nim dziewczynę czy raczej jej odbicie, bo w rzeczywistości dziewczyna znajdowała się za nimi. Kiedy odwróciła się do niej - Vince położył jej pulchną rękę na ramieniu.

- Delila, przedstawiam ci Fifi. Będziecie pracowały razem.

Fifi była platynową blondynką w czarnej aksamitnej minisukience przylegającej jak druga skóra. Obfity biust prawie wylewał się z głębokiego dekoltu, więc Delila zadrżała z przerażenia, aby sama nie musiała wkładać takiego stroju. Gdyby była wierząca, upadłaby w tej chwili na kolana i zaniósłaby modlitwę do nieba!

- O, fajnie, że jesteś. - Fifi błysnęła zębami w hollywoodzkim uśmiechu, nie przestając żuć gumy. - To ty teraz będziesz ze mną sprzedawać papierosy?

- Rzeczywiście mam to robić? - Delila spojrzała pytająco na Vince'a.

- A czemuż by nie? - Vince ssał cygaro. - Tylko najładniejsze dziewczęta dostają najlepsze zajęcia, a roznoszenie papierosów to najlepsza robota na świecie!

Z zapalem klasnął w ręce dla podkreślenia wagi swych słów, ale Delila spojrzała na niego ze zdziwieniem. Odkąd to wciskanie gościom papierosów w takiej podłej knajpie miało być najlepszym zajęciem na świecie? Pięciocentymetrowe szpony Fifi, która właśnie polerowała je o sukienkę, nie stanowiły zachęcającej reklamy dla tak błyskotliwej kariery.

- Czy nie mówił pan, że mam być kelnerką? - Delila nie ustępowała. W porównaniu z roznoszeniem papierosów kelnerstwo nagle wydało się jej niezwykle atrakcyjnym zajęciem. Wolą już serwować pieczone i jarzynki niż grać rolę „dziewczynki z zapałkami”.

- O nie, nie! - tokował zawzięcie Vince, ściskając jej rękę w swojej i błyskając złotymi zębami. - Ty jesteś *bellissima*, za piękna, żeby tkwić w kuchni między przystawką a daniem głównym! Chcę, żebyś była przez cały czas tu, na sali, żeby widzieli cię wszyscy moi klienci!

Zamaszyście wyrzucił ramiona przed siebie. W sukurs przyszła mu Fifi.

- Słuchaj, to dużo lepsza fucha niż kelnerowanie! - Okrasiła swoje zapewnienie łobuzerskim mrugnięciem. - Goście dają większe napiwki, a przy okazji można się trochę pośmiać! Tylko trzymaj się mnie, kochana, a pójdzie nam jak z płatka.

Delila ustąpiła, bo dalsza dyskusja była bez sensu. Najważniejsze, że znalazła pracę, a jeśli dzięki temu zarobi więcej pieniędzy - proszę bardzo, może nawet założyć krótszą spódniczkę niż normalnie.

- Dobrze, więc gdzie mam się przebrać? - przeszła do konkretów.

- O tam. - Fifi wydłubała sobie gumę spomiędzy zębów i wsadziła jej resztki z powrotem do ust. Kręcąc tyłeczkiem, ruszyła w stronę toalet na swoich siedmiocentymetrowych szpilkach. Delila podążyła za nią, a Vince, promieniejąc zadowoleniem, zawołał za nimi:

- Do zobaczenia, moje piękne!

- No nie, ja nie mogę wyjść w tym między ludzi! - Delila złapała się za głowę. „Strój służbowy” okazał się czymś o wiele gorszym, niż sobie wyobrażała.

Fifi, kiedy znalazła się poza zasięgiem słuchu Vince'a, przestała zgrywać się na „słodką idiotkę” i zaczęła mówić normalnym głosem.

- Nie bądź głupia, wyglądasz cudownie! - próbowała podtrzymać ją na duchu. - Tylko pomyśl, ile dziś zarobisz!

Delila z lękiem spoglądała przez palce na swoje odbicie. Sukienka, którą włożyła, miała kształt skąpej rurki z lycry, obcisłej jak elastyczna pończocha zdrowotna. No i ten kolor! Srebrny, nie stalowy, ale zwyczajnie srebrny, gładki i błyszczący jak folia aluminiowa do pieczenia. Może Vince'owi się coś pomyliło i postanowił podać ją na stół w charakterze pieczonego indyka?

- Wyglądasz tak, że można cię schrupać! - zachwyciła się Fifi.

- Aha, to znaczy, że wyglądam jak coś, co powinno się znaleźć na stole, a nie obok?

- Ależ uwierz mi, że jest ci w tym naprawdę wspaniale! - Fifi ściągnęła włosy Delili do tyłu w koński ogon. - Wiem, wiem, co myślisz. Jak można wierzyć takiej głupiej blondynce, prawda?

Delila usiłowała zaprzeczyć, ale Fifi kontynuowała swój wywód:

- Nie mam ci tego za złe, bo wszyscy tutaj tak myślą, ale ja tylko udaję taką blondynkę z kawałów! Naprawdę nazywam się Lisa i piszę pracę doktorską z literatury okresu wiktoriańskiego. Zatkanę cię, co? Każdego zatyka, kiedy się dowiaduje. Oczywiście nie mówię tego tym spasionym wieprzom, którym sprzedaję papierosy i robię do nich słodkie oczy. Oni wolą myśleć, że jestem słodką blondynką o ptasim mózdzku, bo to poprawia ich samopoczucie. A kiedy lepiej się czują, to i nam więcej wpada do kieszeni, a w końcu po to my obie tu jesteśmy. - Uśmiechnęła się kwaśno. - Ja potrzebuję pieniędzy, żeby zrobić doktorat, a ty...?

Głos jej zawisł w powietrzu.

- ...żeby zacząć nowe życie - dokończyła Delila, przeglądając się w lustrze.

- No właśnie, a sprzedawanie szlągów, nawet w tych idiotycznych kieckach, nie jest najgorszym środkiem do tego celu!

Patrząc na swoje odbicie, Delila pomyślała, że nowy strój odmienił ją nie do poznania. I o to właśnie chodziło, aby nikt jej nie poznał! Lisa miała rację, mówiąc, że ta praca stanowiła tylko środek wiodący do celu. Wytrzyma kilka dni, najwyżej tydzień, i wyrwie się stąd, byleby tylko odnalazła Charliego.

- No, pora już ruszać do akcji - zakomenderowała Lisa, zbierając nadmiar szminki z warg chusteczką higieniczną. Delila zaś próbowała poprawić pończochy. Niestety, po raz któryś z rzędu tego wieczoru żałowała, że dała się namówić na założenie pasa. Klamerki wciskały jej się w uda, formując górki i dołki widoczne przez cienką lycrę, co wyglądało jak zaawansowane stadium cellulitis.

Lisa wstrząsnęła swoje złociste loki i już była gotowa do wyjścia, ale w porę się zreflektowała.

- Kurde, byłybyśmy zapomniały o najważniejszym!

Kluczykiem wydobytym z kieszonki otworzyła szafę i wyjęła stamtąd dwie tace, na których piętrzyły się paczki papierosów różnych marek. Jedną z nich podała Delili.

- Nie bój się, to wcale nie jest ciężkie - zapewniła. Delila zawiesiła sobie tacę na szyi. Przypominała teraz bileterki z kina, które w przerwie filmu rozbiegały się między rzędami, nawołując: „Prażona kukurydza, lody!”. W każdym razie taka taca zasłaniała prawie całą srebrną sukienkę i stanowiła coś, za czym można się było schować. Fifi tymczasem wyregulowała pas nośny na taką długość, że jej piersi stykały się z paczkami Benson and Hedges. Przybrała ponownie pozę „słodkiej blondynki”, wypięła biust i pupcię, szczebiocząc sztucznie egzaltowanym głosem:

- Gotowa?

- Bardziej niż kiedykolwiek! - odpowiedziała Delila, dla kurażu ściskając tacę z całej siły.

Przez szparę między zasłonami przedostał się promyk słońca i zatrzymał się na czole Delili, widocznym spod kołdry. Instynktownie wtuliła twarz w poduszkę, ale było już za późno, bo wyrwała się ze snu. Z westchnieniem odciągnęła kołdrę z twarzy i otworzyła oczy, początkowo jeszcze zamglone snem. Kiedy już odzyskała ostrość widzenia - pierwszą rzeczą, na której zatrzymała wzrok, była jej srebrna sukienka, zwinięta razem z paskiem do podwiązek i siatkowymi pończochami, przewieszona przez oparcie krzesła.

Widok ten wzbudził wspomnienia minionej nocy, która dostarczyła jej wielu nowych przeżyć i doświadczeń. Najgorsza była pierwsza godzina. Czuła się jak debiutująca uczestniczka lokalnego konkursu piękności, która w kostiumie kąpielowym, zżerana treścią, przechadza się nerwowo tam i z powrotem wzdłuż zaimprovizowanego wybiegu. Chwilami zadawała sobie pytanie, co ona w ogóle tu robi i usiłowała przemykać się przez salę, nie zwracając niczyjej uwagi. Znajdowała się jednak w wyjątkowo skomplikowanym położeniu, bo dotąd przywykła ostentacyjnie ignorować zaczepki mężczyzn, a teraz musiała przystawać przy nich, uśmiechać się i wysłuchiwać ich życzeń. Wiedziała bowiem, że jeśli tego nie zrobi, straci klienta, a co za tym idzie - i zarobek. Próbowwała więc podpatrywać Fifi, która z zawodową pewnością siebie krążyła po sali, zatrzymując się przy biznesmenach, zwłaszcza tych z platynowymi kartami stałego klienta, a mijając drobnych ciułaczy, którzy drobiazgowo przeliczali otrzymaną resztę.

Wydawało się, że przychodzi jej to bez trudu, więc Delila starała się ją naśladować, ale praca panienki sprzedającej papierosy okazała się cięższa, niż przypuszczała. Musiała bowiem dzielić czas między bar a salę restauracyjną, szybko też zorientowała się, że przechadzając się między stolikami, sprawia wrażenie, jakby znajdowała się tu wyłącznie dla rozrywki konsumentów. W barze czuła się bezpieczniej, bo w słabszym oświetleniu była mniej widoczna, za to bardziej narażona na zaczepki. Zdarzyło się to, na szczęście, tylko dwa razy. Raz trafił się Francuz, który podawał się za projektanta ubiorów, specjalizującego się w damskich kostiumach. Zaoferował się, że uszyje jej taki, ale do tego potrzebne mu były jej... wymiary! Jeszcze bardziej nachalny, choć w sympatyczny sposób, okazał się pijany Irlandczyk, który ciągle ją przywoływał, aby pod pretekstem kupna papierosów móc z nią pogawędzić. Zdażył kupić dziesięć paczek, zanim ostatecznie przeniósł się do sali jadalnej.

Godziny pracy upływały jednak powoli. Około północy Fifi spostrzegła, że Delila goni resztkami sił i zaproponowała jej, że sama pokreśli się dłużej przy ostatnich maruderach, aby mogła wcześniej wyjść. Widać było, że bardzo tego potrzebuje, gdyż bolały ją nie tylko nogi, lecz i policzki od stałego utrzymywania przylepionego do ust sztucznego uśmiechu. Delila poczuła się trochę lepiej dopiero wtedy, gdy podliczyła zarobione pieniądze. Samych napiwków wypadło trzydzieści pięć

funtów, czyli nieźle jak na pierwszą noc, a gdyby do tego doliczyć jeszcze stałe pobory...? Wyliczyła, że w ciągu dwóch tygodni zwróci się jej suma, którą utraciła.

Vivienne załomotała w drzwi sypialni Delili i wsadziła głowę do środka.

- O, już nie śpisz, to dobrze. Może byśmy wyskoczyły gdzieś na lunch?

Kiedy wyjęła z ust papierosa, wypuściła przy tym szarobłękitny obłoczek dymu. Delila skrzywiła się, bo nie chciała już więcej wdychać dymu. Przetarła oczy i podparła się na łokciu.

- Która to już godzina?

- Wpół do trzeciej.

- O rany, tak późno? Musiałam być chyba padnięta.

- A jak ci poszło?

- Całkiem nieźle - wyznała Delila z lekkim skrepowaniem. Nie była pewna, czy ma powiedzieć Vivienne, że jej praca polega na roznoszeniu papierosów, gdyż raczej nie uważała tego za zaszczytną funkcję. Zanim jednak zdecydowała się na odpowiedź, Vivienne już wypatrzyła jej srebrną sukienkę.

- Każą wam chodzić w czymś takim? - zainteresowała się. Oddzieliła sukienkę od paska z pończochami i przyłożyła do siebie, oglądając swoje odbicie w lustrze. Stwierdziła, że strój ledwo zakrywa pupę. - Dla kelnerki to chyba trochę ryzykowne, nie?

- Widzisz, okazało się, że wcale nie mam być kelnerką. - Delila westchnęła z rezygnacją. - Kazali mi sprzedawać gościom papierosy.

- Handlujesz papierosami? To cudowne! - W głosie Vivienne zabrzmiał szczery podziw.

Delila nie spodziewała się takiej reakcji.

- Uwierz mi, że wcale nie tak bardzo.

- Jak to, na pewno wszyscy faceci się na ciebie gapią?

- Owszem, tego akurat nie brakuje.

- Naprawdę? - Vivienne przysiadła na brzegu łóżka i założyła nogę na nogę. Temat coraz bardziej ją zaciekawiał. Może nawet sama zgłosiłaby się na taką posadę, tylko że wtedy musiałaby rzeczywiście pracować, a to nie wchodziło w grę. Praca nie znajdowała się na liście zainteresowań Vivienne, natomiast były na niej zakupy, ćwiczenia w siłowni, seanse u masażystki, wycieczki zagraniczne i seks.

- To co, zjemy razem lunch? Mogłybyśmy pójść do którejś z moich ulubionych knajpek, a potem przejść się po Portobello. Odkąd nakręcili tam film *Notting Hill* - wszędzie pełno turystów, którzy koniecznie chcą zobaczyć księgarnię Hugh Granta albo miejsce, gdzie Julia Roberts rozlała sok pomarańczowy. Naprawdę nie wiem, czy ci ludzie nie mają nic innego do roboty niż fotografować każde niebieskie drzwi, licząc, że to właśnie te z filmu? - narzekała, oglądając swoje paznokcie, z których podpryskiwał lakier. - To mi przypomina, że muszę umówić się na wizytę u manicurzystki. Może skoczę do niej po lunchu.

Delila uśmiechnęła się, rozbawiona chaotyczną gadaniną Vivienne.

- Dobra, rób jak chcesz. Tylko wrzucę coś na siebie i spotkamy się na dole.

- Super! - Vivienne, uradowana zbiegła na dół. Po chwili Delila usłyszała, jak umawia się przez telefon na francuski manicure.

U Connora musiały poczekać w kolejce, aż zwolni się stół. Vivienne głośno wyrażała swe niezadowolenie, natarczywie nagabując kelnera, kiedy wreszcie znajdzie się dla nich wolne miejsce. Ten, rzecz jasna, tylko bezradnie wzruszał ramionami, a Delila uśmiechała się, przeproszając za zachowanie koleżanki. Potrafiła wczuć się w jego sytuację, ponieważ sama jako kelnerka po wielokroć musiała uspokajać zdenerwowanych klientów i uprzejmie odpowiadać na ich oczywiste impertynencje.

- To potrwa jeszcze najwyżej kilka minut - zapewniała. Sama ciekawie przyglądała się tacom pełnym bogato dekorowanych ciastek, tacom z kandyzowanymi owocami i wielkim koszom z kanapkami o egzotycznie brzmiących nazwach. W barze, mimo wczesnej pory popołudniowej, panował wielki ruch. Chyba Vivienne miała rację, zastanawiając się, kiedy ci ludzie pracują. Może tylko kręcili się, rozmawiając przez komórki, popijając cappuccino i zadając szyku markowymi ciuchami? Nawet kobiety z małymi dziećmi miały eleganckie fryzury i szczupłe, zadbane nogi na niebotycznych obcasach, a więc na pewno nie musiały pchać się z siatkami i wózkami do autobusu. W supermarkecie, odprężone i zrelaksowane, zapewne od niechcienia wybierały słoiczek oliwek czy innych horrendalnie drogich pikli w zalewie z najlepszej oliwy tłoczony na zimno.

W końcu zwolnił się jakiś stół. Vivienne zamówiła sałatę, ale ledwie skubnęła kilka listków, za to wypaliła prawie paczkę papierosów.

- Od jak dawna mieszkasz w Londynie? - pytała Delila, zabierając się do swojej porcji jajek w koszulkach.

- Od urodzenia! - oświadczyła dumnie Vivienne, wydmuchując dym prosto w talerz Delili. - Urodziłam się w Hampstead i tam też mieszkaliśmy, dopóki nie skończyłam siedemnaście lat. Wtedy moi rodzice postanowili wysłać mnie do klasztornej szkoły z internatem.

Klasztorna szkoła, to brzmiało imponująco! Delila sądziła, że do takich szkół uczęszczają tylko członkowie rodziny królewskiej.

- Dlaczego to zrobili?

Vivienne uśmiechnęła się tęsknie do własnych wspomnień.

- Widzisz, że mną już od małego były kłopoty. Mama nieraz mi powtarzała, że właśnie dlatego zostałam jedynaczką. Po prostu po mnie rodzice nie odważyli się już mieć więcej dzieci! - Ironicznie przewróciła oczami. - Mój ojciec przebywał przez większość czasu poza domem, więc pewnie w ten sposób chciałam zwrócić na siebie uwagę. Ale dopiero w tamtej szkole odkryłam facetów, prochy i wódę. Pewnie wpłynęło na to przebywanie w towarzystwie siostrzyczek, bo nie masz pojęcia, co tam wyprawiałam!

Zadowolona z siebie, przerwała jednak wynurzenia, bo dostrzegła wyraz twarzy Delili.

- Nie bój się, od tamtego czasu zdążyłam dawno się ustatkować. Przez picie trafiłam do wariatkowa, więc dałam sobie z tym spokój, tak samo jak z marychą. Właściwie wyzbyłam się już prawie wszystkich nałogów, bo rzuciłam prochy, picie, gluten, białą mąkę i kofeinę. Jedynym nałogiem, jaki jeszcze mogłabym rzucić, jest seks! - Jednak ten ostatni pomysł wydał się jej tak niedorzeczny, że parsknęła głośno, rozdmuchując popiół aż na sąsiedni stół.

- No i papierosy... - podsunęła Delila, starając się unikać wściekłego wzroku sąsiadów.

- O nie! - zaprotestowała żywiołowo Vivienne. - Czymś przecież muszę się truć!

- W porządku, ale nie musi pani przy okazji podtruwać innych! - wtrącił się jeden z panów siedzących przy sąsiednim stole. Głośno przełknął ślinę i odgarnął kosmyk wybrylantynowanych włosów, który dyndał mu nad czołem jak wahadło.

- O rany, mamy tu inspektorów ochrony środowiska! - odpaliła z mety Vivienne.

Delila skuliła się na swoim krześle, gdyż mimowolnie stała się świadkiem kłótni, która rozgorzała między Vivienne a sąsiadami. Nie wiedziała, że wychodzenie gdziekolwiek z Vivienne wiązało się z dużym ryzykiem.

- Słyszałaś, co za bezczelny typ? - pieniała się Vivienne, kiedy już spacerowały po Portobello. - „Zagrożenie dla środowiska”, rzeczywiście! Większe zagrożenie stwarzała jego agresywna marynarka!

Jeszcze do tej pory trwałby spór z obrońcami czystości powietrza, gdyby nie Delila, która wyciągnęła Vivienne z lokalu, aby nie wpakowała się w gorsze kłopoty. Dla odwrócenia jej uwagi spytała, wskazując na mały sklepik o fasadzie wyłożonej drewnem, przed którym tłoczyli się turyści, aby się przed nim sfotografować:

- Czy to jest ta księgarnia Hugh Granta?

- Aha! - odburknęła Vivienne, którą ekscesy podczas lunchu wprawiły w zły humor. - Patrz, nalazło tej stonki, przejść nie można. Co warte jest zdjęcie przed czymś takim?

Delila nie ustosunkowała się do tych uwag, bo w głębi serca sama chętnie zrobiłaby sobie takie zdjęcie, choć nigdy głośno nie przyznałaby się do tego. Nie widziała dotąd prawdziwego planu filmowego, a zdjęcie mogłaby przesłać ciotce Shirley, która była fanką Hugh Granta.

- No pewnie - mruknęła, siląc się na chłodny dystans, choć dobrze rozumiała entuzjazm turystów obwieszonych mapami i aparatami.

Minęły antykwariaty przesycone zapachem stęchlizny, wciśnięte między sklepy oferujące obuwie i artykuły elektroniczne z przeceny. Od frontu przesłaniały je stoiska z warzywami i owocami, wykraczające poza krawężniki i zachodzące aż na jezdnię. Z powodu chłodu straganiarki ponakładały na siebie po kilka swetrów, a ich ręce w rękawiczkach z poobcinanymi palcami, którymi skręcały papierowe tutki na marchewkę i fasolę lub ważyły ziemniaki, były czerwone i spękane. Vivienne opowiedziała Delili, że w weekendy panuje tu obłądny ruch, ale trudno było sobie wyobrazić, by mógł

być jeszcze większy niż teraz. Na całej ulicy kłębił się tłum przechodniów prowadzących rowery, jeżdżących na deskorolkach lub łyżworolkach, objuczonych pełnymi siatkami produktów lub bukietami kwiatów. Przed barem na rogu siedziały na ławkach grupy piwoszy, zagryzając swój ulubiony napój kartoflami w mundurkach, serwowanymi z przyczepy gastronomicznej.

Delila była zachwycona specyficzną atmosferą tego miejsca, tym bardziej że nigdy przedtem nie widziała czegoś podobnego. Z głupkowskim uśmiechem wysłuchiwała komentarzy Vivienne, a oczami strzelała na boki, starając się jak najwięcej zapamiętać.

- Popatrz, tam idzie Sam! - zawołała Vivienne.

Delila spojrzała we wskazanym kierunku i rzeczywiście dostrzegła zbliżającego się ku nim Sama. Dźwigał wielką skrzynię wypełnioną kartonami z mlekiem i w skupieniu torował sobie drogę między straganami i tłumami kupujących. Na widok Vivienne i Delili rozpromienił się w szerokim uśmiechu.

- Cześć, co wy tu robicie? - Cmoknął Vivienne w oba policzki, a Delila zarumieniła się na myśl, że zaraz i ją pocałuje. Nie przywykła jeszcze do tutejszego obyczaju całowania się przy każdej okazji, od powitania do pożegnania. Stała więc sztywno, jakby kij połknęła, co wprawiło Sama w zakłopotanie, choć z innego powodu. Od tamtego wieczoru w Kuchni Domowej nie mógł przestać o niej myśleć, a kiedy ją znów zobaczył - jeszcze silniej uświadomił sobie, jak mocno jest nią zauroczony.

- Byłyśmy u Connora na lunchu, a przy sąsiednim stoliku siedział taki nieprzyjemny bubek... - Vivienne od razu przystąpiła do rzeczy, bez bawienia się we wstępne uprzejmości. Nie dotarło tylko do niej, że Sam i tak nie słuchał, bo przez cały czas uśmiechał się nieśmiało do Delili, pragnąc nawiązać z nią rozmowę. Słowotok Vivienne przerwał na szczęście ostry dzwonek jej komórki, więc zaczęła grzebać w torebce, aby wyjąć aparat.

- No i jak ci wczoraj poszło? - Sam odezwał się nareszcie choć nie przypuszczał, że będzie go to kosztować tyle nerwów.

- Całkiem nieźle - rzuciła lekko Delila. Nie chciała jednak wdawać się w szczegóły, więc zmieniła temat. - A ty czemu nie jesteś w kawiarni?

- Dostawca mleka nigdy nie może zdążyć na czas. - Wzruszył ramionami, mimo że trzymał na nich karton. - Dlatego wolę sam zrobić zakupy, żeby nie zostać bez mleka do kawy. Kawiarnia bez kawy to chyba kiepski interes, prawda?

- A kto prowadzi ten interes, kiedy ciebie nie ma? - uśmiechnęła się Delila. - Zatrudniasz dużo personelu?

- Chyba żartujesz? - parsknął. - Przy takim czynszu, jaki płacę, ledwo mogę sam zarobić na siebie. Właściciel kamienicy chciałby wycisnąć ze mnie cały przychód!

W tym momencie zdał sobie sprawę, że za bardzo się rozpędził, więc zmienił ton:

- To znaczy, mój kumpel Patrick mnie zastępuje. Musiałś go widzieć tamtego wieczoru. To chłopak z Jamajki, z dreadami do ramion...

Nie zrozumiała, o czym mówi, więc szybko dodał:

- ...albo i nie. Kiedy się mdleje, trudno kogokolwiek zauważyć.

- Nawet o tym nie mów, tak mi głupio! Pewnie pomyślałeś, że jestem zdrowo szurnięta.

- Skądże znowu, raczej słodka.

Na chwilę spotkały się ich spojrzenia, ale zaraz Vivienne wtrąciła swoje trzy grosze.

- Słuchajcie, kochani, muszę lecieć. Dzwoniła moja manicurzystka, Christina, że będzie mogła mnie przyjąć wcześniej, jeśli dotrę do niej w ciągu pięciu minut. - Posłała im całusa w powietrzu. - Do miłego, Samie. Delilo, zobaczymy się w domu.

Puściła się biegiem, stukając obcasikami czółenek od Gucciego. Delila spojrzała znacząco na Sama i parsknęła śmiechem.

- Ona chyba ma pełnego fioła! Nie przypuszczam, abym jeszcze kiedykolwiek spotkała kogoś takiego.

- I na pewno nie spotkasz, bo ona jest okazem jedynym w swoim rodzaju! - Odprowadził wzrokiem Vivienne, która ostentacyjnie kręcąc tyłeczkiem, przebiegła obok grupki robotników. Ci na jej widok przerwali swoje zajęcia i zagwizdali z aprobatą. - Ale za to ma złote serce.

- Wiem o tym - przyznała Delila. Czują przecież głęboką wdzięczność dla Vivienne, która ofiarowała jej dach nad głową.

- Dobra, muszę już lecieć. - Gestem głowy wskazał karton, od którego solidnie rozbolewały go ramiona. - Jeszcze Patrick pomyśli, że uciekłem i zostawiłem go z całym majdanem...

Wciąż jednak ociągał się z odejściem, nie chcąc jej zostawiać.

- Może wpadłabyś na kawę? - zaproponował. Tak pragnął porozmawiać z nią dłużej, dowiedzieć się o niej czegoś więcej... Miał już na języku z tysiąc pytań.

- Chętnie, ale teraz muszę wracać do domu i wyprowadzić Fatsa na spacer. Biedak, przez cały dzień siedzi zamknięty... - Uśmiechnęła się przepraszająco.

- Trudno. - Starał się ukryć rozczarowanie. - Ale to nic, na pewno jeszcze się zobaczymy. Wpadaj do mojej kawiarni, kiedy tylko znajdziesz się w pobliżu.

- Dziękuję, z przyjemnością. - Kiwnęła głową, ale odwróciła się w niewłaściwym momencie, bo akurat wtedy, kiedy Sam chciał na pożegnanie pocałować ją w policzek. Skutkiem tego zderzyli się nosami. Zachichotała wstydliwie i odeszła. To samo zrobił Sam, ale jeszcze odwrócił się i balansując skrzynką trzymaną w jednym ręku, drugą pomachał do niej.

- Kawa na koszt firmy! - zawołał za nią, ona ze śmiechem odwzajemniła pożegnalny gest. Spotkanie to utwierdziło ją w przekonaniu, że słusznie postąpiła, przyjeżdżając do Londynu. Poznała

tu takiego sympatycznego Sama i uroczo zwariowaną Vivienne, a nawet znalazła pracę - kiepską, co prawda, ale zawsze pracę. Do pełnego szczęścia brakowało jej jeszcze tylko odnalezienia Charliego.

Wzięła głęboki oddech i w podskokach skierowała się ku domowi, swobodnie wymachując rękami. Nie wiedziała, że z pewnej odległości obserwuje ją Sam. Odprowadzał wzrokiem jej drobną figurkę z lokami powiewającymi przy każdym kroku, gdy torowała sobie drogę w tłumie. Stał, dopóki nie znikła mu z oczu. Dopiero wtedy powlókł się z powrotem do swojej kawiarni, z kartonem na ramieniu, a Delila w sercu.

12

Po tygodniu pracy w restauracji Delila zaczęła mieć poważne wątpliwości. Dni bowiem mijały, ale żaden nie przybliżał jej do spotkania z Charliem, który się nie pojawiał. Po każdym wieczorze spędzonym w Kuchni Domowej padała na łóżko jak kłoda, zmęczona i przesiąknięta dymem papierosów. Czyżby jej przyszłość miała polegać na odsypianiu do południa i zwlekaniu się z łóżka co wieczór, aby zaczynać od nowa? Nic więc dziwnego, że już nie biegła do pracy w takich podskokach jak na początku.

Za każdym razem, gdy tylko otwierała drzwi sali restauracyjnej, z zapartym tchem rozglądała się pomiędzy stolikami, czy wśród gości nie dostrzeże Charliego. Prawdę mówiąc, nie spodziewała się zbyt, że go zobaczy, bo gdyby przychodził do tego lokalu, do tej pory musiałaby natknąć się na niego. Zmuszała się do uśmiechu, kiedy czuła wzrok Vince'a siedzącego przy barze, ale wmawiała sobie, że przepracuje tu jeszcze najwyżej dwie noce i kropka!

- Przepraszam, czy mogę poprosić Silk Cuty? - Ładna, dwudziestokilkuletnia kobieta w obciętej u dołu koszulce wymachiwała jej pod nosem banknotem pięcioletnim.

Delila przejrzała zawartość swej tacy. Owszem, były tam papierosy Marlboro, Marlboro Light, B&H, Camele... ale zbrakło Silk Cutów!

- Gdyby pani była łaskawa poczekać chwileczkę, zobaczę u koleżanki... - wyjąkała.

Panna Obcięta Koszulka prychnęła z pogardą.

- No, dobrze, ale w takim razie proszę mi przynieść do stolika. Siedzę ze znajomymi, przy tym ostatnim oknie.

- Ależ oczywiście! - Delila uśmiechnęła się, chociaż w duchu pomyślała: „A to dopiero chamka!”. Znała już przedtem takie damy, zadzierające nosa wobec kelnerów, ekspedientek i sprzedawczyń papierosów. - Zaraz je pani przyniosę.

- Tylko niech to nie trwa za długo, dobrze?

Panienka odfrunęła w swoją stronę, a Delila w porę ugryzła się w język i ruszyła w kierunku Fifi, która zawzięcie flirtowała z dwoma bankowcami.

Fifi już z daleka machała do niej ręką. Przedstawiła ją swoim towarzyszom.

- To moja koleżanka Delila. Delilo, poznaj Boba i Briana, chłopaków od Shellinga, Tellinga i Andersona.

Delila wrzuciła na twarz dobrze wyćwiczony uśmiech i uściśniła dłonie dwóch Amerykanów około pięćdziesiątki, ubranych w kosztowne, włoskie garnitury, a do tego krawaty... z Myszką Miki! Nie przypuszczała, że ktoś w dzisiejszych czasach może jeszcze nosić tak niegustowne dodatki. Sądziła raczej, że odeszły do lamusa razem z innymi podobnymi gadżetami modnymi w latach osiemdziesiątych, jak na przykład kowbojskie buty. Spojrzała w dół i na nogach obu panów ujrzała właśnie... kowbojskie buty!

- Ma pan ładny krawat - zagadała do Boba, aby coś powiedzieć.

- Coś takiego, a ja myślałem, że jest zupełnie zwariowany! - Bob się rozpromienił. - Pasuje mi do skarpetek, prawda?

Podwinął nogawkę, ukazując nad cholewką buta skrawek owłosionej skóry i skarpetkę z drukowanymi motywami... Kaczora Donalda!

Delila z trudem opanowała śmiech. Szkoda, że nie ma tutaj Sama ani Vivienne... A co by było, gdyby jej znajomi z Bradfordu zobaczyli faceta w skarpetkach w Kaczory Donaldu i krawacie z Myszką Miki? Próbowała sobie wyobrazić, jak by potraktowano kogoś takiego w gospodzie Pod Kaczką i Psem. Nawet jeśli Vera nie zabiłaby go swoją gryzącą ironią, to wuj Stan i inni stali klienci baru przez cały wieczór bezlitośnie używaliby sobie na takim dziwaku...

- No i jak ci się podoba praca tutaj? - Brian próbował nawiązać rozmowę, pociągając łyk martini.

- Och, jest bardzo fajna! Można spotkać tylu ciekawych ludzi... - Delila sama się dziwiła, że plecie takie głupstwa. Może jeszcze trochę, a zacznie opowiadać, jak marzy o pracy wśród dzieci lub chorych zwierząt? Miała już dość tej idiotycznej gadki i bała się, że lada moment zapyta Briana, czy bywa tu częściej? Zawczasu więc zwróciła się do Fifi: - Słuchaj, żebyś nie zapomniała. Masz może Silk Cuty? I czy my je w ogóle prowadzimy, bo nie mogłam znaleźć ani jednej paczki.

Fifi demonstracyjnie przewróciła oczami. Nachyliła się i wyszeptowała jej do ucha:

- Prowadzimy, ale staramy się z tym nie afiszować. Widzisz, te szlugi palą sami skąpcy, tacy, którzy zamiast napiwków udzielają dobrych rad!

Powróciła do poprzedniej pozycji i głośno odpowiedziała:

- Na ogół nimi nie handluję, ale chyba gdzieś tu mam ze dwie paczki. - Sięgnęła pod warstwę pudełek zapalek. - Chcesz, to bierz, bo ja trzymam z palaczami Marlboro! - dodała, mrugając porozumiewawczo.

Delila przeprosiła towarzystwo przy stoliku i ruszyła w stronę stołu numer sześć, starając się nie wyrzucić. Od dzieciństwa miała bowiem pecha do nieszczęśliwych wypadków. Tyle razy z

połamanymi kończynami lądowała w szpitalu, że aż matka ją straszyla, iż w końcu tam zamieszka. Oczywiście żartowała, ale nauczyło to Delilę większej ostrożności. Szkoda, że tego samego nie nauczyło jej matki!

Stół pod ostatnim oknem był duży i prostokątny. Siedziało przy nim dosyć ciasno stłoczonych osiem osób - czterech mężczyzn i cztery kobiety w wieku między dwudziestką a trzydziestką. Jedli właśnie deser - galaretkę, lody, szarlotkę z kremem lub pudding chlebowy, bo takie leguminy serwowała Kuchnia Domowa. Panowie popijali to płonącymi drinkami sambuca, panie zaś szampanem lub kawą z ekspresu, do której zamówiły po kawałku gorzkiej czekolady, miały najwyraźniej zapotrzebowanie na ziarno kakaowe.

- Jeśli pani w dalszym ciągu życzy sobie Silk Cut, to proszę bardzo. - Delila udawała pewną siebie, choć w środku zżerały ją nerwy. Nie cierpiała zwracać się do większych grup klientów, szczególnie podpitych.

- Tutaj, proszę! - Panna Obcięta Koszulka machała do niej ręką. Siedziała na końcu stołu, a przy każdym ruchu pobrzękiwały jej tanie plastikowe bransoletki, które nosiła nad zegarkiem marki Cartier. Wspierała się na ramieniu młodego bruneta, który próbował podpalić kolejną baterię szklanek z sambucą.

Delila przeciskała się do niej między krzesłami, co z tacą pełną papierosów nie było łatwe. Przepraszając kogoś po raz n-ty za potrącenie myślała, że podobnie muszą się pewnie czuć kobiety w ciąży. Klientka chciwie odebrała od niej paczkę i zapłaciła piątkę, czyli dokładnie tyle, ile kosztowały bez napiwku. A więc Fifi miała rację! Już zawracała z powrotem na salę, kiedy zatrzymał ją ciemnowłosy osobnik.

- Ma pani może zapalki? Jakoś to nie chce mi się palić.

Kiedy podniósł na nią wzrok, z wrażenia upuściła pudełko zapalek do jego szklanki. To był Charlie! Ten sam Charlie Mendes z wytwórni filmowej LLB, którego nazwiska zapomniała, a teraz wróciła jej pamięć wraz z obłądnymi skurczami żołądka i przyspieszonym tętnem. Już właściwie straciła nadzieję, że kiedykolwiek znów go zobaczy...

Uświadomiła sobie, że gapi się na niego z rozdziawioną gębą.

- Charlie? - wyjąkała.

- Czy my się skądś znamy? - Obejrzał się, marszcząc czoło w wyrazie, który zapamiętała i tyle razy widziała w wyobraźni.

Nogi ugięły się pod nią.

- Tak, ze szpitala w Bradford. Kręciłeś film... - Trudno jej było zdobyć się na więcej niż urywane zdania.

- Rany boskie, Delilo, to ty? - Odgarnął włosy z oczu, aby lepiej widzieć jej srebrną sukienkę i tacę wyładowaną papierosami. - Co ty tu, u licha, robisz?

- Ja tu pracuję.

- Myślałem, że mieszkasz w Yorkshire?

- Tak było, ale przeniosłam się do Londynu.

- No proszę, a zawsze mi się wydawało, że to ja zacieram po sobie ślady! - roześmiał się Charlie. Sam się sobie dziwił, że tak bardzo ucieszyło go to spotkanie. Spodobała mu się od razu, kiedy zobaczył ją w szpitalu. Nie była pierwszą ani ostatnią dziewczyną, która mu się podobała, ale uderzyło go w niej zupełnie co innego niż u innych kobiet. Zwykle podniecały go długie nogi i wydatne kości policzkowe, tymczasem Delila nie miała żadnej z tych cech. Owszem, była ładna, ale urodą przeciętną, nie zwalającą z nóg, a wtedy w szpitalu wyglądała do tego dość nieporządnie. Musiała jednak mieć w sobie coś szczególnego - to coś, co skłoniło go, że dał jej wizytówkę. Nie przypuszczał, aby kiedykolwiek miał ją znów zobaczyć, ale chciał mieć przynajmniej ku temu sposobność. I oto nagle taka sposobność się nadarzyła!

Przy jego stoliku zrobiło się bardzo cicho, bo zebrane tam towarzystwo pożerało zdziwionym wzrokiem Delilę. Charlie wstał i ogłosił:

- Chłopaki, dziewczyny, chciałbym przedstawić wam moją kumpelę Delilę.

Lekko cmoknął ją w policzek, od czego zakręciło się jej w głowie - a więc stało się, co się miało stać!

Oszołomiona, zaczęła wymieniać uściski dłoni ze znajomymi Charliego, choć widziała wszystkich jak przez mgłę. Może to i lepiej, bo nie zauważyła, że Panna Obcięta Koszulka wypuszcza kółka dymu i mierzy ją spojrzeniem, które zamroziłoby piankę na cappuccino.

- No więc kiedy dokończymy tamtą rozmowę? - W ucho wionął jej szept Charliego.

Pamiętał nawet i o tym!

- Mmm... może jutro wieczorem? - wyjąkała, porażona urzeczywistnieniem się jej marzeń. Naprawdę umawiała się na randkę z tym seksownym przystojniakiem z telewizji, który tak wesoło żył sobie w Londynie! Serce waliło jej jak młot kowalski.

- O ósmej będzie dobrze? - upewnił się z łobuzerskim uśmieszkiem.

- No pewnie! - Musiała przełknąć ślinę, bo w ustach było sucho jak na Saharze.

- Daj mi swój adres, to po ciebie przyjadę. - Ogarnął ją przeciągłym, pożądliwym spojrzeniem. Delila śledziła, na czym zatrzymał się jego wzrok - na jej srebrnej minisukience! Z rozczochranego i zapłakanego kocmołucha w szpitalu przeobraziła się w seks-bombę!

Zapisała mu swój adres na wieczku pudełka od zapalek.

- Mam nadzieję, że mnie odczytasz - zastrzegła się. Miała dość pewną rękę, ale dziś tak drżała z emocji, że jej pismo zamieniło się w słabo czytelne bazgroły.

- Poradzę sobie. - Powiódł palcem po nabazgranych długopisem zakrętach. - No więc, widzimy się jutro!

- Tak, do jutra! - Delila uśmiechnęła się tylko i nie mówiąc nic więcej, odmaszerowała. Wiedziała, że będzie odprowadzał ją wzrokiem, więc starała się z wdziękiem przedelfilować przez salę, nie zważając na klientów proszących ją o papierosy ani na grupy młodzieniaszków chcących postawić jej szampana. Teraz, kiedy odnalazła Charliego, miała to wszystko gdzieś.

13

- Dwayne odszedł ode mnie! - poskarżyła się Vivienne, zaciągając się papierosem.

- Jak to odszedł? - zainteresował się Sam, odrywając brzeg torebki z cukrem i wysypując kryształki do kawy. - To on w ogóle był z tobą?

Vivienne strzepnęła popiół na podłogę.

- Owszem, byliśmy sobie bardzo bliscy. Tak się świetnie rozumieliśmy, ale teraz... - Nabrała w płuca dużo powietrza, jakby zbierała odwagę potrzebną dla dokończenia zdania. - Teraz porzucił mnie, zwyczajnie jak śmiecia!

O dziesiątej rano kawiarnia Prima Donna pustoszała po pierwszym, porannym szczycie śniadaniowym. Sam padał z nóg, bo przez bite cztery godziny parzył kawę i szykował zapiekane kanapki dla aroganckich urzędników z City. Kiedy w końcu znalazł wolną chwilę, aby przegryźć rogalika i poczytać gazetę - do lokalu wkroczyła Vivienne w markowej budrysówce narzuconej na jaskraworóżowe sari. Ciężko opadła na krzesło niczym podróżnik po długiej wędrówce i ostrym tonem zażądała tradycyjnego, angielskiego śniadania, oznajmiając, że musi się należycie odżywiać. Sam nie skomentował tego ani słowem, nie wspomniał też o jej rzekomym uczuleniu na produkty zbożowe i mleczne. Wiedział bowiem, że gdy Vivienne miała swój zły dzień, próby wyperswadowania jej czegokolwiek były w najlepszym razie nieprzyjemne, a w najgorszym - niebezpieczne! Złożył więc spokojnie gazetę, wstał i nalał oleju na dużą patelnię. Po pięciu minutach postawił jej zawartość przed Vivienne i przysunął sobie krzesło.

- Rzucił mnie, opuścił, zostawił na lodzie! - żaliła się Vivienne, wbijając w sadzone jajko widelec jak sztylet. Żółtko rozlało się po plasterkach bekonu, tworząc kałużę wokół wzgórką duszonej fasolki.

- Kiedy to się stało?

- Wczoraj wieczorem. Drań zadzwonił i powiedział, że odchodzi ode mnie do jakiejś flądry, która nazywa się Trisha i pracuje na stoisku ze słodyczami w pasażu handlowym. Masz pojęcie?

- A czy próbował się jakoś usprawiedliwić?

Vivienne odkroiła pasek bekonu i wgryzła się w niego z impetem.

- Coś nawijał, że chce żyć z normalną dziewczyną. Nie rozumiem, czego on ode mnie chce. Czy ja jestem nienormalna?

Sam zagryzł wargi, aby opanować uśmiech. O Vivienne można było powiedzieć prawie wszystko z wyjątkiem tego, że jest normalna.

- Co to w ogóle znaczy „normalny”? - Vivienne kontynuowała monolog. - Czy taka cipcia, która handluje gumami do żucia i marmoladkami, jest bardziej normalna ode mnie?

Podniosła głos o oktawę wyżej. Skrzywiła się tak, że z czoła odlepiła się jej hinduska kropka i wpadła do talerza. „Jezu!” - jęknęła, oblizła znaczek i przyklepiła go sobie ponownie, tyle że odwrotnie.

- Skąd, ale kto dziś jest... - zaczął Sam, ale mu przerwała.

- Otóż to. Pieprzył głupoty, bo jasne, że chodzi tu o wiek.

Sam nawet nie próbował się z nią sprzeczać. Nachylił się tylko przez stół, opierając podbródek na rękach.

- Jak to? Ile ten Dwayne ma lat?

- Dziewiętnaście, ale ja nie mówię o nim, tylko o tej jego cukierkowej panience.

- A ile ona ma lat?

- Szesnaście. Słodka szesnastka! - wycodziła jadownicę Vivienne, nadziewając na widelec pieczarkę i wymachując nim przed nosem Sama. - Wiek w sam raz do sprzedawania cukierków!

Sam lekko się z niej podśmiewał, bo Vivienne potrafiła złościć się bardzo zabawnie.

- Wiem, że nawet nie zechcesz tego słuchać... - zaczął ostrożnie, przytrzymując jej rękę z niebezpiecznie nastawionym widelcem - ... ale ona bardziej pasuje wiekiem do niego.

- A ja mogłabym być jego matką, prawda? - warknęła.

- Tego nie powiedziałem, ale on jest nastolatkiem i ona też. A zresztą sama mówiłaś, że jesteście z sobą tylko dla seksu.

- Wiem, wiem! - Vivienne z niesmakiem odrzuciła widelec. - Nie mogę tylko znieść, że puścił mnie kantem dla takiej bzdziągwy, która jeszcze nie ma rozstępów, cycki jej sterczą i ma ledwo szesnaście lat! Co taka smarkata może mu dać? Toż to jeszcze dzieciak!

Sam wyczuł, że Vivienne zamierza dłużej drażnić swój ulubiony temat pożycia mężczyzn z młodszymi od siebie kobietami. Spróbował więc odwieść ją od tego, rzucając podchwytliwe pytanie:

- A nie chodzisz już z tym wojskowym?

- Generałem w stanie spoczynku! - poprawiła z gniewem. „Wojskowy” w ustach Sama zabrzmiało tak, jakby to był jakiś smarkaty żołnierz. - Tak, oczywiście, mam jeszcze w odwodzie Harolda, a to jest jakaś pociecha. Facet w tym wieku powinien być szczęśliwy, że w ogóle ma jakąś babę!

Sam też się ucieszył, że udało mu się uniknąć awantury.

- Może się czegoś napijesz? - zaproponował. - Mam dobrą herbatkę rumiankową.

Rysy twarzy Vivienne złagodniały.

- O tak, dziękuję ci, kochany. I jeszcze dziękuję, że chciałeś wysłuchać moich żalów. Musiałam po prostu komuś to powiedzieć.

- Nie ma sprawy. - Sam odkręcił kurek bojlera, aby wypuścić parę. - Tylko czemu nie porozmawiałas o tym z Delilą? Zdawało mi się, że dobrze ze sobą żyjecie.

- Tak, ale ona jeszcze spała, kiedy ten łobuz do mnie zadzwonił. Chyba późno wróciła z roboty... - Vivienne nie dokończyła zdania, bo w kawiarni pojawił się muskularny młodzieniec. Na zewnątrz przy poręczach zostawił rower. Miał na sobie sarong i ciemne okulary w formie opaski wokół głowy. Vivienne na jego widok zeskoczyła z krzesła i z miną wampa rzuciła się, aby przytrzymać mu drzwi.

- Cześć! - skinął jej głową, podnosząc okulary nad czoło. Nieco zakłopotany tak wylewnym przywitaniem uśmiechnął się wstydliwie i z wyraźnym australijskim akcentem poprosił Samę o kanapkę. Mając przed sobą przybysza z antypodów, Vivienne natychmiast zrobiła skromną minkę, co bez pudła działało na takich osiłków.

- Gdzie w Australii pan mieszka? - Oparta o pojemną lodówkę w stylu amerykańskim przystąpiła od razu do ataku, tonem pracownika informacji turystycznej.

- W Manly Beach koło Sydney - pochwalił się młody „plażowy byczek”, bawiąc się bransoletkami plecionymi z kolorowych sznurków.

- Naprawdę? - huknęła, lecz w ułamku sekundy pozytywnie oceniła jego muskulaturę i już bardziej przymilnym głosem zaszczebotała: - Och, jakie to szykowne!

Vivienne chciała właśnie upolować sobie nowego faceta, więc jak czujny wyżeł od razu zwietrzyła trop. Taki cudzoziemiec stanowił łatwą zdobycz. Przeszkodził jej jednak Sam. Liczył bowiem, że dowie się od niej czegoś więcej o Delili.

- Ciekawe, jak jej leci w tej knajpie? Nie widziałem jej od czasu, kiedy w zeszłym tygodniu nadziałem się na was na Portobello.

Mówiąc, równocześnie przekroił bułeczkę na pół. Zdołał jednak odwrócić uwagę Vivienne od atletycznego Australijczyka.

- Och, biedactwo tak haruje, że co noc przychodzi kompletnie wypompowana - odpowiedziała.

- No, myślę, że nie jest jej źle. Roi się tam od sprytnych chłopaków! - rzucił obojętnie, wycinając przy tym zgrabne trójkątne kawałki sera mozzarella.

- Już tam Delila sobie z nimi poradzi! - Vivienne zachichotała prowokująco. - Oj, czyżbyś czuł do niej miętę?

- O kurczę! - Sam w tym momencie zaciął się w palec, na którym pokazała się kropelka krwi.

- Nic ci się nie stało?

- Skąd, to tylko draśnięcie. - Ze złością wyrzucił do kubła krojony właśnie pomidor i podstawił palec pod kran z zimną wodą.

Vivienne przyglądała mu się z ciekawością. Co też mogło tak pobudzić spokojnego zwykle Sama? Czyżby to była Delila? Musiał jednak mieć bzika na jej punkcie, bo zauważyła, jak drgnęły mu mięśnie policzka, kiedy żartowała sobie z jego słabości. Widać było, że coś mu leży na wątrobie, ale nie był tak wylewny jak ona i niechętnie odkrywał karty. Toteż, jeśli chciała wycisnąć coś z Sama, musiała postępować bardzo ostrożnie. Tyle tylko, że takie postępowanie nie leżało w jej naturze.

- Zabujałeś się w niej, co? - wypaliła prosto z mostu.

Sam spłonął rumieńcem.

- Skąd, po prostu ją lubię i nie chciałbym, aby ktoś ją wykorzystał!

Zerwał osłonki z plastra z opatrunkiem i przykleił go sobie na skaleczony palec, wyrównując pomarszczone brzegi.

- Chyba że tym kimś byłbyś ty, co? - Vivienne nie wierzyła ani jednemu jego słowu.

Nachmurzył się, wycierając ręce w fartuch. Przyjaźnili się z Vivienne od lat, ale nie miał zamiaru ujawniać przed nią swych prawdziwych uczuć. Wolał poczekać na odpowiedni moment, kiedy będzie mógł wyznać Delili, co naprawdę czuje, zanim dowiedziałyby się tego od tej papli Vivienne.

- Oj, pewne osoby chyba myślą tylko o jednym! - próbował się wykręcić.

Australijczyk w tym czasie zakaszlał znacząco i podrapał się po karku. Vivienne gestem zaczepno-odpornym założyła ręce na piersiach.

- Co to ma znaczyć? - rzuciła opryskliwie.

- Dobrze wiesz, Vivienne, nie udawaj niewiniątka.

Urażona, wysunęła podbródek i sprawdziła na swoim odbiciu w wypolerowanej płycie drzwi lodówki, czy szminka dobrze się trzyma.

- No, ja bym się tam o nią nie martwiła - przycięła złośliwie. - Jej teraz w głowie jakiś Charlie...

Sam odsunął ją z drogi, aby otworzyć drzwi lodówki. Nabral garść posiekanych listków bazylii i posypał nimi obficie kanapkę.

- To nic takiego, tylko jej znajomy z pracy.

- Skąd wiesz? - odburknęła Vivienne, rozzłoszczona, że Sam wiedział więcej niż ona.

- Sama mi o tym powiedziała jakieś dwa tygodnie temu. - Zawinął kanapkę w papierową torebkę. - Wtedy, w Kuchni Domowej, kiedy pokazywałaś tamtym facetom, co masz pod spódnicą...

Vivienne zerknęła na Australijczyka, który przeglądał ulotki leżące na kontuarze. Udawał, że nie słucha tej rozmowy, ale kto by się na to nabral? Nie zwracając na niego uwagi, dalej podpuszczała Sama:

- W takim razie czemu tak rozpaczliwie chciała do niego zadzwonić?

Sam podał klientowi kanapkę.

- Nie wiem, może miał jej załatwić jakąś robotę w Londynie? Zdaje się, że po to tu przyjechała.

- Może i tak... - mruknęła, nie w pełni przekonana. Widziała błysk w oku Delili, ilekroć wymieniała imię Charliego. Nikomu oczy tak nie błyszczą, kiedy mówi o pracy! Robota jest czymś, co trzeba znosić, jak mały członek lub owłosione plecy partnera, aby móc osiągnąć cel, jakim są w pierwszym przypadku pieniądze, a w drugim - orgazm. W drodze bezpośredniego skojarzenia przyszedł jej na myśl odnośny narząd Harolda, ale zaraz się pocieszyła, że może nie będzie tak źle. Zauważyła przecież od razu zarys genitaliów Australijczyka, rysujących się pod cienkim jedwabiem tajlandzkiego saronga.

Młody człowiek nałożył z powrotem okulary i wyciągnął w kierunku Sama banknot dziesięciofuntowy. Sam z uśmiechem pokręcił głową.

- To było na koszt firmy. Przepraszam, że dałem panu czekać.

- Dzięki, stary, trzymaj się! - Australijczyk się roześmiał. Kiedy na odchodnym ostatni raz rzucił okiem na Vivienne - gwałtownie podniósł mu się poziom testosteronu. Zadziałał typowy dla mężczyzn atawistyczny mechanizm wywodzący się jeszcze z epoki kamiennej. Ówczesny pracownik też pragnął wykorzystać ostatnią szansę przekazania swoich genów przed ryzykownym polowaniem na mamuta...

- Może się jeszcze kiedyś zobaczymy... - Posłał Vivienne uśmiech pełen nadziei.

- Może... - Zatrzepotała rzęsami. Zadowolony z siebie opuścił lokal.

- Nie powinnaś podrywać takich szczawików! - Sam potrząsnął głową z dezaprobatą. - On mógł mieć najwyżej dwadzieścia jeden lat. Pożarłabyś go żywcem!

- I o to mi właśnie chodzi! - zarechotała tubalnym śmiechem. Zalotnie zwichrzyła włosy, kontrolując efekt w wypolerowanych drzwiach lodówki. Traktowała flirtowanie jako grę, w której raz wygrywała, a raz przegrywała. Kątem oka obserwowała, jak Sam w zamyśleniu podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. - Pewnie myślisz o Delili, co?

- Nie! - wyraźnie drgnął.

Vivienne nie przerywała zabawy włosami, ale ściszym głosem dodała:

- Rób jak chcesz, ale jeśli nie pomyliłam się co do twoich uczuć, sam mi to kiedyś przyznasz. Takie dziewczyny jak Delila nie trafiają się codziennie.

Nie odpowiedział, bo za oknem zobaczył coś, co mogłoby dowodzić, że Vivienne nie miała racji.

Na tle szarzyzny zimowej odzieży przechodniów na Westbourne Grove jaskrawo wyróżniał się czerwony, o dwa numery za duży dres Delili. Biegła ulica, a za nią włókł się leniwie Fatso, przystając przy sklepach ze starzyzną i obsikując rokokowe toaletki tudzież szafkowe zegary po pradziadku, które kupcy wystawili na chodnik. Sam śledził ich drogę, bo miał wrażenie, że zbliżają się do jego kawiarni.

I rzeczywiście, po chwili drzwi lokalu otworzyły się na oścież.

- Cześć, Sam, cześć, Vivienne! - wydyszała Delila. Pochyliła się do przodu z rękami opartymi na kolanach i wykonała kilka głębokich oddechów. - Myślałam, że przelecimy się trochę z Fatsem, ale widzę, że staruszek potrzebuje zmienić koło, prawda, maleństwo?

Fatso zaprotestował pojedynczym szczeknięciem, ale skóra na jego klatce piersiowej napięła się jak na bębnie.

- No i jak ci wczoraj poszło? - Vivienne nie była w stanie powstrzymać ciekawości.

- Cudownie! - Delila przeciągnęła się z zachwytem. Po minionej nocy obudziła się z zamętem w głowie i od razu załomotała do drzwi sypialni Vivienne, ale bardzo się rozczarowała, bo jej nie zastała. Koniecznie chciała podzielić się z kimś wiadomościami o Charliem i dlatego postanowiła pójść do Sama. Wprawdzie jako mężczyzna nie interesował się specjalnie opisem wyglądu Charliego ani drobiazgową analizą każdego wypowiedzianego przez niego słowa, mimo to jednak chciała mu to powiedzieć. Tak postąpiłby każdy, kto otrzymał dobre wiadomości.

- Nadziałaś się na jakieś drętwe typy? - podpuszczała ją Vivienne.

Sam gniewnie chrząknął i kopnął ją pod stołem w kostkę. Vivienne próbowała odwzajemnić mu się tym samym, ale chyba źle trafiła, bo Fatso głośno zaskowyczał.

- Owszem, było paru, ale zgadnij, na kogo się jeszcze nadziałam? - Opadła na krzesło, próbując ukryć podniecenie.

- No, na kogo? - spytał Sam.

- Na Charliego? - podsunęła Vivienne.

- Jak na to wpadłaś? - Delila poczuła lekkie rozczarowanie, bo to miała być niespodzianka!

- Na ogół jestem dość domyślna! - Vivienne uśmiechnęła się chytrze, unikając wzroku Sama.

Rzeczywiście, nie trzeba było geniusza, aby domyślić się, że w grę wchodzi mężczyzna. Delila promieniała, a w oczach miała ten sam błysk, jaki pojawiał się, ilekroć w rozmowie padało imię Charliego. Vivienne poczuła lekkie ukłucie zazdrości.

- A myślałam, że zgubiłaś jego numer telefonu - mruknął Sam, jakby nieco urażony.

- No bo zgubiłam, ale on wczoraj sam przyszedł do restauracji z kumplami. Czy to nie cudowne, że świat jest taki mały? - Wyglądała na szalenie zadowoloną z siebie.

- No i co dalej? - ponaglała ją Vivienne.

Delila nie mogła już dłużej zachowywać najważniejszej wiadomości dla siebie.

- Umówił się za mną na randkę dziś wieczorem! - oświadczyła triumfalnie, bo w końcu musiała wypowiedzieć te słowa na głos. Nadal nie mogła uwierzyć, że to prawda.

- Jak to, myślałem, że znacie się tylko na płaszczyźnie zawodowej?

- Zawodowej? - Delila spojrzała na Sama błędnym wzrokiem. - Co ci przyszło do głowy?

Vivienne ze swej strony zmierzyła Sama spojrzeniem o treści „...a nie mówiłam?”.

Sam był zdruzgotany, bo zrozumiał, że wyciągnął błędne wnioski. On tu jak idiota czekał na odpowiedni moment, aby wyznać jej swe uczucia i umówić się na spotkanie, a ona tymczasem myślała o kimś zupełnie innym. Ten inny chłopak zjawił się nie wiadomo skąd i zniweczył wszystkie nadzieje, jakie on w niej pokładał. Spojrzał z ukosa na Delilę, która, rozbawiona, słuchała relacji Vivienne na temat atlety z Australii. Wyglądała zachwycająco, aż Sam z westchnieniem odwrócił się, nie mogąc tego znieść. Nie mógł pojąć, dlaczego tak jest, że najbardziej pragniemy tego, czego nie możemy dostać?

- ...i szkoda, że nie widziałas, jakiego miał dużego! - gorączkowała się Vivienne, wałąc pięścią w stół. Delila pokładała się ze śmiechu, bo dawno już nie czuła się tak świetnie - ba, nie miała bladego pojęcia, że w ogóle można się tak czuć. Zawsze podejrzewała, że życie może mieć więcej powabów, niż poznała ich do tej pory ale nie przypuszczała, że aż tyle.

To tak, jakby człowiek żył oszczędnie, aż kiedyś odkrył, jak to wspaniale żyć w luksusie.

Ocierając łzy z oczu, zauważyła dopiero teraz, że Sam spogląda martwym wzrokiem gdzieś w przestrzeń.

- Ej, cóż tak zamilkłeś?

Sam i Vivienne spojrzeli po sobie. Nawet jeśli Vivienne chciała coś powiedzieć, to po krótkim namyśle ugryzła się w język, bo wzrok Sama mógł zabijać.

- Och, nic takiego, po prostu jestem zmęczony. Pracuję dziś od szóstej rano, prawda, Vivienne?

Vivienne spojrzała na niego porozumiewawczo i wylewnie potwierdziła:

- No, żebyś wiedziała, jaki Sam jest zmordowany! Po prostu nosem się podpiera!

- Wiem, co to znaczy być przez cały dzień na nogach! - powiedziała Delila ze współczuciem.

Sama obracała stopami w kostkach, bo jeszcze odczuwała skutki całonocnego dreptania na szpilkach. - Też miałam ciężką noc.

Vivienne ciągle nie mogła przejść do porządku dziennego nad rewelacją o Charliem.

- No więc dokąd on cię w końcu zabiera?

- Sama jeszcze nie wiem. Obiecał tylko, że o ósmej po mnie przyjedzie.

- Co? Przyjedzie do nas? - Teraz Vivienne nie mogła powstrzymać podniecenia. Warto było zostać w domu, żeby obejrzeć taki rzadki okaz, jak przystojny producent telewizyjny do wzięcia! Postanowiła, że dziś spławi Harolda.

- Chyba tak właśnie powiedział. Prawdę mówiąc, nie wszystko do końca załapałam. On mnie tak rajcuje...

Na dźwięk tego słowa Sam, nie przestając bawić się łyżeczką, wygiął ją pod kątem prostym. Odkąd to ten jakiś Charlie zaczął ją rajcować? Do tej pory ledwo o nim wspominała, a teraz gęba jej się nie zamyka! Ze złości tak zgiął łyżeczkę, że pękła. Czegoś tu nie rozumiał. To tak, jakby obejrzał początek filmu, a potem szybko przewinął taśmę do końca.

- Jesteś pewien, że dobrze się czujesz? - dopytywała się z niepokojem Delila, bo Sam zachowywał się naprawdę dziwnie.

- Nie, to znaczy tak, wszystko w porządku! - Uśmiechnął się, ale ten uśmiech prędko zamarł.

Delila nie bardzo uwierzyła, bo wyczuwała, że coś wisi w powietrzu. Może Sam pokłócił się z Vivienne? Jakoś tak dziwnie tręcali się pod stołem... Vivienne też nie zachowywała się normalnie, ale to i bez tego rzadko się jej zdarzało... Spojrzała na zegarek. Dochodziło wpół do dwunastej, a więc do randki zostało osiem i pół godziny. W brzuchu jej burczało, podobnie jak w dzieciństwie, kiedy w dzień wigilijny oczekiwała przyjścia świętego Mikołaja z prezentami. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, miała dziś szansę zdobycia stu osiemdziesięciu pięciu centymetrów prawdziwego mężczyzny!

- No, chyba będę lecieć. - Nachyliła się, aby przypiąć smycz do obroży Fatsa. - Muszę już zacząć się szykować na wieczór, tylko chciałam ci się pochwalić dobrą wiadomością!

Oczy miała błyszczące podnieceniem, więc Sam tylko niezręcznie cmoknął ją w policzek.

- Tak, to rzeczywiście wspaniała wiadomość. Baw się dobrze.

- Żebyś wiedział, że będę! - Otwierając drzwi, zauważyła na zewnątrz grupkę japońskich turystów pozujących do zdjęcia pod markizą. - A ty sobie dobrze odpocznij!

Sam z uśmiechem patrzył, jak Vivienne pomachała za nią papierosem i wesoło zawołała:

- Czekam cię w moich niskich progach!

Drzwi zadźwięczały przy zamykaniu. Wtedy Sam zwrócił się do Vivienne:

- Nie mów mi tego, co chcesz powiedzieć.

- A niby co takiego chcę?

- No, że miałaś rację, co do Charliego, mnie i w ogóle.

- Dobra, trzymam gębę na kłódkę.

- I niech tak zostanie.

Wrócił za ladę, wylał do zlewu to, co zostało w jego filiżance i obserwował fusy spływające przez otwór ściekowy. Był obecnie w takim nastroju, że skojarzyło mu się to z jego własnym życiem przeciekającym przez palce.

„Wieczorem najlepiej będziesz wyglądać w czarnym, jedwabnym spodniemie, a do tego obowiązkowo czółenka bez pięt wysadzane brylancikami i odpowiednia biżuteria...” przeczytała Delila w starym numerze „Vogue” ze zbiorów Vivienne. Mogła tylko westchnąć, gdyż takiego kompletu raczej nie dostałaby za pięćdziesiąt funtów!

Dochodziła szósta po południu, a ona wciąż nie mogła się zdecydować, co ma na siebie włożyć. Czarną, poszerzaną spódniczkę z dobraną do niej czarną koszulową bluzką? A może czarne dzwony i takież T-shirt? Aby uniknąć niekończących się rozważań, postanowiła szukać porady w „Vogue”. Nie znalazła tam jednak bardziej konkretnych sugestii niż te, aby po pierwsze - schudnąć do granic możliwości i po drugie - wydać majątek u Harveya Nicholasa! Zdegustowana takimi radami zajrzała na strony poświęcone pielęgnacji urody. Naprzeciw zdjęcia Naomi Campbell zamieszczono artykuł reklamujący metodę „dziesięciu kroków dla uzyskania płaskiego brzucha i zgrabnych ud”. Nie brzmiało to jednak zbyt przekonująco. Delila sądziła, że nie wystarczy kilka podskoków z dwiema puszkami fasolki między udami, aby nogi nabrały takiej smukłości jak u modelek, tym bardziej że żaden z pięćdziesięciu rodzajów fasolki zachwalanych przez Heinza nie gwarantował „wydłużenia nóg”.

Z niesmakiem odrzuciła pismo. Szkoda, że nie zamieszczano w nim ostrzeżeń: „Czytanie tych głupstw może poważnie nadważyć twoją równowagę psychiczną, stan konta i szacunek dla samej siebie”.

Z holu rozległo się wołanie Vivienne:

- Delila, kochanie, gdzie jesteś?

- Tutaj! - odskrzyknęła, słysząc trzaśnięcie drzwiami i tupot nóg Vivienne, która po chwili pojawiła się w salonie.

- A więc to dziś ma być ta upojna noc! - wykrzyknęła, ale przez nieuwagę przydepnęła brzeg swego sari i poleciała jak długa prosto na stolik do kawy.

Delila złapała ją w locie, zanim zdążyła zrzucić na podłogę tacę i spodeczki.

- Nie umiem się ruszać w tych szmatach! - narzekała. - Takie zbliżenie Wschodu z Zachodem może jest dobre dla jakiejś Jemimy Khan, ale nie dla mnie. Zresztą, spytam o to Fatimę z klubu jogi, bo to musi mieć coś wspólnego z moją *karmą*!

Ze złością wyplątywała się ze zwojów jedwabiu, ale nie omieszkała wrócić do poprzedniego tematu:

- No więc w co chcesz się ubrać na ten fascynujący wieczór?

Nie miała zbyt dobrego mniemania o garderobie Delili, składającej się głównie z dzinsów i bawełnianych koszulek.

- Chyba... te czarne dzwony z topikiem, które dwa tygodnie temu zamówiłam z katalogu - wyjąkała Delila, skręcając pasmo włosów między kciukiem a palcem wskazującym.

Vivienne nie posiadała się z oburzenia. Ostatni raz widziała reklamę takiego katalogu na ulotce, którą wetknięto między kartki niedzielnego dodatku do gazety. Na reprodukowanych tam zdjęciach modelki prezentowały szlafroki w kwiaty i sukienki przewiązane paskiem. Brrr, koszar!

- Dlaczego nie weźmiesz czegoś z moich rzeczy? - zapytała z pozorną obojętnością.

Delila poczuła się urażona tą propozycją. Czy to, że nie chciała wydać trzech patyków na ekstrawagancką kreację, od razu dyskwalifikowało jej gust?

- A co złego jest w moich? - prychnęła.

- Ależ absolutnie nic, ale przyszło mi właśnie do głowy, że mam coś idealnego dla ciebie! - Wyraźnie podekscytowana, w pośpiechu opuściła salon, klnąc po drodze swoje powłóczyste sari.

Delila pozostała, siedząc po turecku na podłodze. Wcale nie była zachwycona tym, że Vivienne chce dobrać dla niej strój wieczorowy. Czyżby jej własne ciuchy nie nadawały się do niczego? Cóż lepszego może wykombinować ta zwariowana dziewczyna? Chryste, byleby to nie był jakiś dziwaczny model z galerii Przygoda! Charlie, który już raz widział ją w srebrnej sukience, gotów jeszcze wziąć ją za striptizerkę z nocnego lokalu!

- Jeśli chcesz uwodzić, to tylko w tym! - oświadczyła tymczasem Vivienne, potrząsając buńczucznie kawałkiem czarnego materiału. - Nazywam to moją tajną bronią!

Delila już nie czuła urazy do Vivienne, gdyż to, co przyniosła, było naprawdę wspaniałe. Podnosząc łasek do światła, przekonała się, że to czarna sukienka, ściślej, bardzo mała czarna! Kiedy ją przymierzyła, uznała, że trzyma się to głównie dzięki sile woli i dwóm ramiączkom grubości sznurówki.

- Czy do mnie pasuje taka sukienka? - Biła się z myślami, wspinając się na palce i oglądając się ze wszystkich stron w lustrze wiszącym nad kominkiem. Nie była pewna, czy tak mikroskopijna kiecuszka, nie zakrywająca prawie niczego, nie wyda się niestosowna.

- Pasuje, też coś! - prychnęła Vivienne. - Ona cię wprost przeobraża, wyglądasz jak Liz Hurley!

Istotnie, nawet bez makijażu i z brudnymi włosami związanymi w kucyki Delila prezentowała się fantastycznie.

- No, a jak się w tym czujesz? - spytała Vivienne.

- Jakbym wygrała milion w totka! - wyznała szczerze Delila, bo naprawdę podobała się sobie. Minisukienusia ściągnięta w pasie podnosiła jej piersi, uwydatniając ponętą szczelinę między nimi.

- I prawidłowo, bo to mniej więcej tyle kosztuje! - zagruchała przesłodzonym głosem Vivienne, dopiero widząc przerażoną minę Delili, roześmiała się na cały głos. - Oczywiście żartowałam. Dostałam ją w prezencie od firmy „Dolce & Gabbana”.

Delila nie od razu zrozumiała znaczenie tej nazwy. Dotychczas miała do czynienia z markową odzieżą jedynie na łamach magazynu „Hello!”, który kiedyś przeglądała razem z Jeanem-Claudem, zastępcą szefa kuchni w L'Escargot. Wyśmiewano tam amazonkę Pippe i czcigodną Arabelle w zakietach ze złotymi guzikami od Jackie O. Chanel.

- Jesteś pewna, że to za dużo nie odsłania? - Delila wahała się, stojąc przed lustrem z rękami na biodrach.

- Chcesz być seksowna czy nie? - Vivienne się zniecierpliwiła. - W czym zamierzasz iść na romantyczną kolacyjkę we dwoje, w ogrodniczkach?

Jednak Delila nadal czuła się niepewnie, bo wprawdzie chciała być seksowna, ale w taki sposób, który najwyżej prowokuje do postawienia jej drinka, a nie sugeruje, że gotowa jest wykonać striptiz na indywidualne zamówienie.

- Nie chciałabym wyglądać jak ktoś, kim nie jestem! - tłumaczyła.

- A niby dlaczego? - Vivienne się zdumiała. - Wszyscy tak robią.

Delila jeszcze raz rzuciła okiem na swoje odbicie i postanowiła, że powierzy losowi wybór między tą sukienką a wypisanymi z katalogu czarnymi dzwonami i topikiem. Z kieszeni dzinsów wyciągnęła monetę funtową. Orzeł miał oznaczać jej wypróbowany komplet, podczas gdy reszka - „tajną broń” Vivienne do uwodzenia mężczyzn. Wyrzuciła reszkę, co ją ucieszyło, choć głośno się do tego nie przyznawała. W gruncie rzeczy zawsze marzyła o takiej sukience, a teraz trafiała się ku temu idealna okazja.

- Naprawdę chcesz mi ją pożyczyć? - spytała dla pewności.

- No pewnie, od dawna jej nie noszę. Nie wydaje mi się, abym w tych dniach miała dużo okazji do uwodzenia. - Vivienne przygryzła dolną wargę i ze zrezygnowaną miną opadła ciężko na kanapę, ale Delila nie słuchała jej żalów.

- Świetnie, w takim razie lecę się wykapać. Mogę, prawda? Muszę się już zacząć szykować do wyjścia.

- Pewnie, że musisz! - Vivienne ze smutkiem pokiwała głową, miętosząc w palcach rozpruty materiał sari. - Och, ci młodzi zakochani! Ten szal namiętności, te dwa serca złączone...

Delila pozostawiła Vivienne razem z jej smętnymi rozmyślaniami i bez słowa wysunęła się z salonu.

Spędziła w łazience godzinę, szorując nogi pumeksem i nakładając na całe ciało krem peelingujący, w którego skład wchodziły pokruszone orzechy i płatki owsiane. Wyszła stamtąd ze skórą zaczerwienioną, lecz o wiele gładszą. Z nerwów nie była w stanie niczego przełknąć. Tymczasem na dole zadzwonił telefon. Słysząc było, jak Vivienne go odbiera, a potem huczy głośno jak syrena strażacka:

- Delilo, kochanie, to do ciebie!

Delila zbiegła po schodach, owinięta tylko w ręcznik. Wiedziała, że ten numer telefonu znali tylko Sam, Vince i Charlie, a więc musiał to być jeden z nich. Biegając, powtarzała w duchu jak zaklęcie, aby Charlie nie powiadamiał jej, że odwołuje spotkanie. Wyrwała słuchawkę Vivienne, która jeszcze coś komuś szybko tłumaczyła.

- Słucham? - Siłła się, aby jej głos brzmiał spokojnie i poważnie. Nie przyszło jej to łatwo, gdy w pobliżu kręciła się Vivienne, strzygąc uszami i gestykułując gwałtownie.

- Cześć, Delilo, tu Charlie! - Po drucie popłynął jego miły głos. - Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że zarezerwowałem dla nas stolik w restauracji „Interna”, to jest w Soho...

Odczekał chwilę, licząc, że coś mu na to odpowie, ale ponieważ milczała, mówił dalej:

- Tylko, widzisz, okazało się, że będę musiał zostać w pracy trochę dłużej niż myślałem, więc chyba nie dam rady po ciebie przyjechać. Myślałem właśnie, że może lepiej byłoby, gdybyśmy się spotkali o ósmej już na miejscu...

- No jasne! Nie widzę przeszkód! - Delila wołała nie patrzeć na Vivienne, bo ta przez cały czas kiwała głową jak pluszowe pieski, stawiane czasami przez taksówkarzy za tylnym siedzeniem.

- Na pewno? Obawiam się, że to niegrzecznie z mojej strony, ale wiesz, jak to czasem bywa w wytwórni.

- No, wyobrażam to sobie! - skłamała gładko.

- Czekaj, ktoś tam dzwoni z drugiego aparatu... Dobra, pogadamy później.

- No to cześć. - Odłożyła słuchawkę, wściekła na samą siebie. Czyżby zapomniała języka w gębie? Charlie gotów pomyśleć, że umawia się na kolację z osobą używającą głównie słówka „no”. Zgaszonym wzrokiem obejrzała się na Vivienne. - Pewnie wyszłam na ostatnią idiotkę?

Okazało się jednak, że Vivienne była zbyt podekscytowana, by podsłuchiwać. Zacierała tylko ręce z satysfakcją:

- Idźcie na kolację do „Interny”, jak cudownie! A jego głos przez telefon brzmiał zupełnie bosko!

- Niech lichy porwie cały ten telefon! - Delila z nienawiścią spoglądała na aparat.

- Przestań się wygłupiać, tylko się pośpiesz, bo masz niecałą godzinę. Zamówię ci taksówkę.

- Raczej pojedę metrem.

- W tym stroju? - Vivienne zamarła z oburzenia.

- Co mi się stanie? Chyba nie jestem już małolată!

- Akurat! Niech tylko ktoś zajrzy ci w dekolt, a schrupie cię żywcem! - Vivienne aż się zatrzęsła. - Jechałaś już kiedyś metrem?

- Bo to raz? - zełgała bez zająknięcia. W rzeczywistości nie widziała na oczy nawet planu linii metra, a tym bardziej nie weszła w życie do wagonu kolejki, ale za nic nie przyznałaby się do tego. Prawda bowiem była taka, że nie miała przy sobie nawet dziesięciu funtów, więc mogła jechać tylko

metrem, autobusem albo iść piechotą. Z trojga złego wolą wybrać to najmniejsze, przynajmniej tak się jej wydawało.

- Więc na pewno wiesz, że nie mają tam wagonów pierwszej klasy, a w tłoku możesz się ocierać o różnych złodziei i włóczęgów... - Delila wbiegała już po schodach na górę, lecz wciąż huczał za nią dudniący głos Vivienne: - Żebyś przynajmniej potem nie mówiła, że cię nie ostrzegałam!

Zatrzasnęła za sobą drzwi sypialni, bo w ciągu niecałych piętnastu minut musiała przedzierzgnąć się w wymalowanego wampa. Sądziła, że przyjdzie jej to bez trudności, ale zwątpiła, kiedy w lustrze dostrzegła piegowatą buzię, mokre włosy i palce z obgryzionymi paznokciami. Dopiero wtedy obleciał ją strach.

16

W nerwowym pośpiechu pociągnęła rzęsy tuszem, usta szminką, a pięgi zamaskowała sztyftem korekcyjnym. W biegu porwała dzinsową kurtkę (którą Vivienne oceniła jako „bardzo szykowną”), mapkę linii metra - „tylko pamiętaj, że masz wysiąść na Tottenham Court” - i pokuśtykała na stację, bo po całym tygodniu spędzonym na wysokich obcasach każdy krok sprawiał jej ból. Po dalszych piętnastu minutach stała już w kolejce do kasy biletowej, która się wlokła niemiłosiernie, bo czwórka turystów pragnących nabyć sieciowe bilety miesięczne próbowała wyrazić swoje życzenie za pomocą mieszanki słów niemieckich, francuskich i gestów. Zanim przyszła jej kolej, kasjer tak się zmęczył, że zasunął żaluzję w okienku.

Delila przełknęła wiązaną bardzo nieparlamentarnych słów i przeszła do automatu. Straciła dalsze pięć minut, aby wybić odpowiedni limit czasowy, po czym próbowała wsadzić w szparę banknot pięcioletni, aż za którymś razem maszyna go połknęła, a na wyświetlaczu ukazał się komunikat: „Tylko odliczone kwoty”. Bliska płaczu, musiała zwrócić się o pomoc do kolejarza w odbłaskowym fartuchu i czapce z daszkiem, który bezczelnie zapuścił żurawia w jej dekolt, a dopiero potem pomógł jej odzyskać pieniądze i wydał bilet.

W uszach dźwięczały jej przestrogi Vivienne, kiedy wbiegła na ruchome schody i natychmiast zaklinowała się obcasem między metalowymi żeberkami. „O kurczę!” - zaklęła pod nosem, wierząc piętą. Na domiar złego nie znała zasad panujących w metrze i stanęła po niewłaściwej stronie. Przekonała się o tym szybko, kiedy o mało nie zdmuchnął jej ze schodów jakiś śpieszący się facet, krzycząc w pędzie: „Z drogi, głupia krowo!”. Na szczęście zdążyła w porę uwolnić but i bezpiecznie dotarła na peron, gdzie na pocieszenie kupiła sobie batonik z automatu.

Na tablicy świetlnej pojawił się pomarańczowy wydruk informujący: „Epping - 2 minuty”. Odczytała na swoim zegarku godzinę 19.45. Stojący obok biznesmen w nieprzemakalnym płaszczu

przysunął się do niej bliżej, jakby nie starczyło mu miejsca na peronie. Udawał, że czyta „Financial Timesa”, ale znad okularów z połówkami szkieł coraz to rzucał jej ukradkowe spojrzenia.

Kolejka ze świstem wjechała na peron. Delili przypomniał się film *Przesuwane drzwi*, więc zaraz wyobraziła sobie wagon pełen jurnych Johnów Hannah i romantycznych Gwyneth Paltrow. Teraz jednak nie oglądała filmu, lecz wsiadała do kolejki linii Centralnej z Ealing Broadway do Epping, planowy odjazd 19.50, zatrzymującej się na każdej stacji. Od razu została wciśnięta w kąt wagonu i rozpaczliwie próbowała złapać równowagę, chwytając się jakichkolwiek stałych elementów przyśrubowanych do podłoża. Było to jednak trudniejsze, niż się wydawało, bo kolejny wstrząs wagonu rzucił ją między wędrownego grajka, wykonującego na akordeonie piosenki Simona i Garfunkela, a dwudziestu pięciu rozwydrzonych studentów z kolorowymi plecakami od Benettona. Zanim dojechała do przystanku Tottenham Court Road, była już dostatecznie zmaltretowana, a na domiar złego czyjś parasol wciskał się jej w krzyż.

Na przystanku drzwi wagonika rozsunęły się niczym Morze Czerwone rozstępujące się przed Izraelitami. Delila z ulgą skoczyła na peron. Już na zewnątrz odwróciła się, aby przynajmniej zmierzyć karcącym spojrzeniem faceta, który szturchał ją parasolem. Stała jednak jak wryta, bo za nią stał łysawy mężczyzna po czterdziestce, w opiętej, „nadmuchanej” kurtce i spranych, podejrzanie wzdymających się džinsach. Zrobiło jej się niedobrze, bo typek wprawdzie chytrze się uśmiechał, ale nie miał parasola!

Roztrzęsiona, wydostała się nareszcie ze stacji i łatwo dotarła na Soho, gdzie od razu zauważyła monumentalny biały budynek restauracji „Interna”, oświetlonej błękitnymi, pulsującymi lampami. Przez obrotowe drzwi weszła do holu, gdzie w recepcji siedziała ruda dziewczoja wzrostu metr osiemdziesiąt, odziana w skąpą białą tunikę o linii trapezu.

- Dobry wieczór! Jestem tu umówiona z Charliem Mendesem. - Głos Delili odbił się echem w pustym holu, bo bezwiednie mówiła bardzo głośno, tak ogłuszył ją grający nad uchem akordeonista.

Ruda panna przeciągnęła polakierowanym na purpurowo paznokciem po karcie notatnika. Nawet w niekorzystnym świetle stuwatowej żarówki wiszącej bezpośrednio nad głową jej makijaż prezentował się nienagannie. Delila ze zgrozą pomyślała o warstwie podkładu na swoim podbródku, która na pewno już utworzyła skorupę.

- Tak, zgadza się, ma pani zarezerwowany stolik - oznajmiła, taksując Delilę wzrokiem. Dopiero na widok sukienki od Dolce & Gabbana błysnęła białymi zębami w uśmiechu. - Proszę iść przez bar.

Delila szła sztywno po błyszczącym parkiecie, próbując stąpać z powagą i godnością. Czowała się jednak niepewnie, ponieważ nigdy jeszcze nie była w tak wytwornym lokalu. Ani umywała się do niego włoska restauracja w Bradfordzie! Atmosfera tego miejsca sugerowała, że właściwie powinno

się tu rozmawiać szeptem. Stłumiony szum rozmowy dochodził od stolika efektownych blondynek, rozpartych w obitych czarną skórą fotelach i dumnie obnoszących opaleniznę prosto z Karaibów...

Delila zdjęła kurtkę i wśliznęła się na wysoki stółek przy barze. Przerzuciła kartę napojów, ale nie było na niej tanich pozycji - mniej niż pięć funtów kosztowała tylko woda z kranu! Zamówiła więc dzin z tonikiem, bo pamiętała swoją kompromitację towarzyszącą prośbie o wódkę z colą. Starła się unikać kontaktu wzrokowego z hałaśliwym towarzystwem po lewej stronie, ale nadal czuła się niepewnie, jak ośmiolatka udająca dorosłą osobę w wieczorowej sukni mamy. Sączyła więc tylko dzin przez słomkę, nerwowo bawiąc się kosmykiem włosów. W takich chwilach żałowała, że nie nauczyła się palić! Było już dwadzieścia po ósmej. Gdzie, do jasnej cholery, podział się ten Charlie?

- Delilo, wyglądasz zachwycająco!

Podniosła oczy znad swego drinka i zobaczyła Charliego w białej lnianej koszuli z rozpiętym kołnierzykiem. W jej wycięciu widać było pierś pokrytą gładką, opaloną na brąz skórą. Chłopak wręcz tryskał seksapilem.

- Cześć! - pisnęła, czując, jak hormony zmieszane z alkoholem uderzają jej do głowy.

Charlie pochylił się nad nią i ucałował ją w oba policzki, drażniąc skórę kilkudniowym zarostem. Czuć było od niego słaby zapach whisky.

- Przepraszam, że się spóźniłem, ale musieliśmy jeszcze się napić z moim zespołem.

- A myślałam, że tak długo pracowałeś!

- No, wiesz, jak to bywa w takiej wytwórni. Po ukończeniu filmu zawsze robimy zrzutkę na flachę.

Przezornie przytaknęła, choć nie miała bladego pojęcia o tych sprawach.

- W każdym razie pozwól, że przedstawię ci resztę mojego zespołu. Przyszło im na myśl, żeby dołączyć do nas, jeśli oczywiście nie masz nic przeciwko temu.

Ładne nic! Była wściekła. Z wymarzonej kolacyjki we dwoje zrobiła się nagle zbiorowa impreza. Skrywając rozczarowanie, wymieniła uściski rąk z „resztą zespołu”, którą stanowili Wendy, Nickii, Mandy, Andy, Jamie i Johnny. Wszyscy w skórzanych kurtkach i z komórkami, nawet nie zdawali sobie sprawy, jak bardzo przypominają bohaterów programu telewizyjnego dla dzieci. Z uśmiechem przywitała się z nimi i natychmiast zapomniała ich imiona. Wprawdzie zżerały ją nerwy, ale bardzo chciała zrobić dobre wrażenie na kolegach Charliego, bo wierzyła, że gdy oni ją polubią - Charlie polubi ją jeszcze bardziej. Miało to znaczenie szczególnie na początku znajomości, a liczyła, że to jest początek...

Okazało się, że Nickii (z wyraźnie wymawianym podwójnym „i”) i wczorajsza panna Obcięta Koszulka to jedna i ta sama osoba. Uśmiechnęła się nieszczerze i zaszczębiotała:

- Och, Delilo, jak się cieszę, że cię znów spotykam. Bez tej tacy z papierosami wyglądasz zupełnie inaczej!

Roześmiała się głośno i powiodła wzrokiem po zebranych, jakby była aktorką czekającą na oklaski. Delila nie była pewna, czy to miał być przycinek, ale czuła przez skórę, że chyba tak. Starła się tym nie przejmować, ale coś jej mówiło, że raczej się z tą Nickii nie zaprzyjaźni. Pierwsze wrażenie również nie wypadło zachęcająco. Nickii miała na głowie wysoką czapę z białego futra. Wydawało się jej pewnie, że wygląda jak Julie Christie grająca w *Doktorze Żiwago*, ale bardzo się myliła - przypominała raczej królika.

- Skąd jesteś? - zagruchała przymilnie Wendy, przekrzywiając głowę i trzepocząc rzęsami dużych niebieskich oczu. Marzyła o karierze prezenterki telewizyjnej, więc na każdej nowo poznanej osobie ćwiczyła technikę prowadzenia dialogu.

Delila pomyślała, że od przyjazdu do Londynu pytano ją o to co najmniej sto razy. Teoretycznie powinna była udawać, że po raz pierwszy słyszy tak interesujące pytanie, ale trudno udawać zachwyty, kiedy powtarza się rutynową odpowiedź:

- Z Bradfordu.

- To gdzieś koło Szkocji? - Wendy w zakłopotaniu skrzywiła swój guziczkowaty nos.

- Mniej więcej. - Delila przytaknęła uprzejmie, bo nie był to odpowiedni moment na lekcję geografii.

- Tak właśnie myślałam, bo mam wrodzony dar rozpoznawania akcentów. Od razu wyczułam, że jesteś Szkotką! - Wendy promieniała, wyraźnie zadowolona z siebie, a Delila nie miała serca wyprowadzać jej z błędu.

- A ty pochodzisz z Londynu? - próbowała podtrzymać gasnącą rozmowę.

- Ja? Skąd, z Tunbridge Wells! - zachichotała. Jeśli miała takie wyostrzone ucho do akcentów - powinna była w pierwszej kolejności zarzucić swój, bo przypominał zgrzyt ciętego szkła.

Charlie zamówił dwie butelki szampana.

- No i jak ci się ten lokal podoba, Delilo? - pytał, muskając dłonią jej kolano. - Zaprojektował go mój przyjaciel.

- Jest taki... niezwykły! - Delila odczuwała przerażającą pustkę w głowie. Jak zresztą mogła na poczekaniu wymyślić inteligentny komentarz do aranżacji wnętrza, jeśli równocześnie czuła palce wędrujące po jej rzepce kolanowej? - To znaczy, jeszcze w życiu nie widziałam takiej restauracji.

Po chwili pożałowała tego, co powiedziała. Przecież zrobiła z siebie kompletną idiotkę!

- Urządzono ją na wzór gabinetu lekarskiego - wyjaśniał dalej Charlie.

- No to super! - mruknęła, gryząc słomkę. Tymczasem jego palce zawędrowały pod obrębek sukienki i powoli zaczęły posuwać się coraz wyżej wzdłuż uda.

- Chętnie sam bym cię zbadał! - szepnął jej do ucha, a ona, spijając ostatnie krople dżinu z kostek lodu, pomyślała, że sprawy posuwały się naprzód o wiele szybciej, niż sądziła.

- Fajne są te buteleczki z lekarstwami, co je tu wszędzie porozstawiali! - Dla zyskania na czasie zweeklowała na inny temat, żywo gestykulując i na zmianę to rozkładając, to krzyżując nogi, aby ręka Charliego straciła oparcie. - Czy są prawdziwe?

- Pewnie tak - ocenił, podśmiewając się z jej zakłopotania. - Czekaj, naleję ci nowego drinka. A może wolisz szampana?

Po plecach Delili przebiegł dreszczyk podniecenia. Samo brzmienie słowa „szampan”, tak romantyczne i niecodzienne, wyzwało nastrój radosnego oczekiwania.

- O tak, proszę!

Charlie skinął na barmana, który właśnie nalewał szampana do wydłużonych kieliszków i ustawiał je na bufecie. Wziął od niego jeden taki kieliszek i podał Delili, zatrzymując przy tym dłużej swoje palce wokół jej palców. W jego oku pojawił się łobuzerski błysk.

- Moglibyśmy już coś zjeść, bo umieram z głodu! - Nickii wbiła w Charliego gniewne spojrzenie, strzepując popiół z papierosa na podłogę. Reszta towarzystwa wydała z siebie pomruk aprobaty.

Charlie z flegmą odwrócił się na swoim stołku barowym.

- Jeszcze chwileczkę, najpierw coś dla zaostrenia apetytu! - zarządził. Zdejmował z bufetu ustawione tam kieliszki szampana i rozdawał po kolei wszystkim. Potem wznosił pierwszy toast:

- Za naszą wspaniałą produkcję. - A obracając się do Delili, dokończył: - I zdrowie Delili, honorowego członka naszego zespołu!

Wszyscy trącili się kieliszkami, delektując się musującym płynem barwy miodu. Nickii wychyliła swój duszkiem, patrząc spode łba na Charliego, który, uśmiechnięty, trzymał w ręce kieliszek szampana i patrzył na Delilę.

Stół jadalny z politurowanego dębu obitego wiśniową skórą przypominał duże biurko. Charlie posadził Delilę obok siebie, reszta rozsiadła się wokół stołu, zachłannie wczytując się w karty dań, którym nadano formę powiększonych druczków recept.

- Od jak dawna myślałaś, żeby przenieść się do Londynu? - zapytał Charlie, pociągając łyk Dom Perignon i przenikliwie wpatrując się w oczy Delili. Wytrzymała jego spojrzenie.

- Od niepamiętnych czasów - odpowiedziała śmiało.

- Coś podobnego, jak ty zawsze potrafisz zaskoczyć człowieka!

- Mówią, że wszyscy lubią niespodzianki, prawda?

Wypijała już drugi kieliszek szampana, ale sama nie mogła uwierzyć, że zdobyła się na taką ciętą ripostę. Najwidoczniej mieszanka wybuchowa Dom Perignon i jej własnego popędu płciowego przeobrażała ją w bezceremonialną flirtiarę. Wpatrywała się pożądlwym wzrokiem w jego usta, wspominając, że ostatnim człowiekiem, który wzbudził w niej taką namiętność, był sobowtór Ewana McGregora, który kiedyś przyszedł naprawić centralne ogrzewanie.

- I co, podoba ci się Londyn? - Wysączył do dna swojego szampana, nalał sobie drugi kieliszek, a Delili dołał do pełna.

- O tak, zwłaszcza dziś wieczór! - Roześmiała się, obserwując, jak bąbelki szampana podpływają pod powierzchnię. Równocześnie sama się sobie dziwiła, jak łatwo pod wpływem tego napoju biorą w łeb wszystkie postanowienia, by udawać niezdobytą twierdzą.

- No, to trzeba będzie tak zrobić, żeby było więcej tych wieczorów. - Z uśmiechem trącił się z nią kieliszkiem.

Rozmarzonym gestem skinęła głową, gdyż zdawała sobie sprawę, że flirt nabiera coraz mocniejszych rumieńców. Czuła się tak naładowana elektrycznością, że starczyłoby jej mocy na oświetlenie całego Blackpool! Nabrała powietrza w płuca i wypaliła:

- To byłoby super!

- Super... - wymruczał Charlie, podnosząc do ust jej palce i ocierając o swoje wargi.

Przełknęła ślinę, zaciskając wargi, aby nie wyrwało się z nich westchnienie lub, co gorsza, jęk rozkoszy. Zapowiadała się lepsza gra wstępna, niż w jej poprzednich doświadczeniach seksualnych. Słyszała przyspieszone bicie serca, a wszyscy koledzy Charliego, jak i cała restauracja, jakby przestali istnieć. Miała jedynie świadomość własnego ciała i tego, że Charlie pieścił palce wilgotnym czubkiem języka. Policzki jej płonęły, zarówno wskutek podniecenia, jak wypitego alkoholu. Przypominało to lekturę kiczowatych romansideł, gdzie przy opisach cikliwych scen miłosnych aż człowieka skręcało, bo widział siebie na miejscu bohaterów powieści. Teraz Delila dała sobie słowo, że nie będzie już nigdy śmiała się z takiej literatury, bo te opisy, choć banalne, odpowiadały dokładnie temu, co sama czuła.

- Czy mogę przyjąć od państwa zamówienia? - zapytał kelner, który zjawił się, nie wiadomo skąd, ubrany w zielony lekarski kitel i także spodnie, jakby żywcem wyjęty z planu serialu *Ostry dyżur*.

Jego przyjście otrzeźwiło nieco Delilę, wywarło także przemożny wpływ na zachowanie reszty towarzystwa. Od razu powyłączali komórki i wsadzili nosy w karty. Wendy i Mandy przy akompaniamencie licznych „ochów i achów” zastanawiały się nad potrawą o nazwie „płonące shitake w winie porto”, Jamie i Johnny przedłożyli nad to danie mus ze szparagów, natomiast Delila zamówiła zwyczajnego kurczaka.

- No wiesz, co za ohyda! To ty nie jesteś wegetarianką? - wydziwiała Nickii, otaczając się obłokiem dymu papierosowego.

Na szczęście Delila była zanadto odurzona alkoholem i pieszczotami, aby się obrazić. Odpowiedziała więc spokojnie:

- Ja nie, a ty?

- Naturalnie, że jestem! Zjadanie martwych zwierząt jest odrażające, prawda, Charlie?

Nickii wyduła wargi, by odwrócić uwagę Charliego od Delili. Ten jednak tylko się oblizał i z flegmą zadysponował:

- Dla mnie proszę befsztyk, średnio wysmażony.

Zranił tym uczucia Nickii, która obrażona opadła na krzesło, ze złością gasząc papierosa.

Zamówionym potrawom towarzyszyły kolejne kieliszki merlot i chardonnay, szklaneczki whisky i sambuca. Nic więc dziwnego, że rozmowa przestała się kleić, przybierając postać luźnych, nie powiązanych z sobą wypowiedzi. Andy i Wendy całowali się przez stół. Jamie i Johnny tak objedli się muszem ze szparagów, że sami pozielenieli od tego na twarzach. Mandy, histerycznie łkając, zwierzała się Nickii ze swoich kłopotów z nadwagą, niewiernością przyjaciela i debetem na koncie. Jaką taką przytomność umysłu zachowali tylko Delila i Charlie, który nie patrząc na wysokość kwoty uregulował rachunek, objął Delilę w pól i wyprowadził z lokalu. Na dworze padało.

- Może pójdziemy teraz do mnie? - zapytał Charlie, otaczając Delilę ciasniej ramieniem.

Przez cienki materiał sukienki czuła ciepło jego ciała, co było wrażeniem tak oszałamiającym, że przymknęła oczy.

- No i jak? - ponaglał, ujmując ją pod brodę.

Odchylił jej głowę do tyłu i pocałował w usta, wsuwając język między wargi. Delili wydawało się, że już jest w niebie. Chętnie by tam została, ale nie teraz, bo oboje za dużo wypili. Wiedziała, że jeśli chce jeszcze kiedyś zobaczyć Charliego - dziś musi wrócić do domu sama. Wuj Stan zawsze powtarzał, że z uwodzeniem mężczyzn jest tak samo, jak z łowieniem ryb na wędkę - łatwo jest złapać upatrzoną ofiarę na haczyk, ale dużo trudniej przyholować do brzegu.

Charlie jęknął namiętnie i jeszcze głębiej wpił się w jej usta.

- Chyba lepiej pójdę do domu. - Niechętnie uwolniła się z jego objęć.

- Dlaczego? - mamrotał zmysłowo Charlie, a jego niebieskie oczy zachodziły mgłą. Nieczęsto w życiu spotykał się z odmową! - Ja naprawdę chcę spędzić tę noc z tobą!

- Ja też, ale nie dzisiaj. - Niełatwo było odrzucić pokusę, kiedy się wypilo prawie dwie butelki szampana Dom Perignon i niewiele mniej innych mocnych trunków!

Charlie delikatnie pocałował ją w szyję. Sam też był zbyt pijany, żeby próbować nakłonić ją do zmiany zdania, choć pragnął jej ze wszystkich sił.

- To może zobaczymy się jutro? - zaproponował.

- O tak, chętnie! - Poczwała ulgę, gdyż świadczyło to, że jej modlitwy zostały wysłuchane, bo długo nie wytrzymałaby bez niego. Zatrzymała przejeżdżającą taksówkę, która zawróciła i podjechała do krawężnika.

- Zadzwoń do ciebie. - Charlie z westchnieniem wypuścił ją z rąk.

Nie odpowiedziała, tylko bez słowa wsiadła do taksówki. W duchu dziękowała wujowi Stanowi za cenne wskazówki, bo wszystko wskazywało, że Charlie połknął haczyk. Pozostawało jeszcze przyholować go do brzegu. Nie mogła już się tego doczekać.

17

- Boże, jak fatalnie się czuję! - jęczała Delila, ściskając dłońmi skronie.

- Nie trzeba było pić tyle szampana! - karcącym tonem pouczała ją Vivienne, cała złana potem.

- To się pije powoli, nie jednym tchem, jak jakieś tanie wino.

Delila nie mogła odpowiedzieć, bo zrobiło jej się słabo. Ćwicząc intensywnie na „wiosłach” w klubowej siłowni, do której uczęszczała Vivienne, nie mogła sobie darować, że dała się namówić do picia. A już całkiem niepotrzebnie wypila o tę jedną sambukę za dużo!

Tymczasem Vivienne pedałowala dziarsko na rowerku treningowym, gromko zachęcając Delilę:

- No, gazu, dawaj, gazu!

- Nie mogę, niedobrze mi! - Delila usiłowała powstrzymać wzbierającą w gardle falę nudności, ale niewiele brakowało, aby Vivienne otrzymała cały wysokoprocentowy „gaz” na swoje adidasy.

- Jeśli nie potrafisz kontrolować picia, to nie powinnaś w ogóle pić! - oświadczyła z namaszczaniem Vivienne, poprawiając opaskę wchłaniającą pot.

Delila puściła te uwagi mimo uszu, choć Vivienne nieraz potrafiła dobrze dać się we znaki, bo uważała, że dziesięć lat abstynencji uprawnia ją do prawienia kazań na temat szkodliwości używek. Zdaniem Delili było to niesprawiedliwe, gdyż Vivienne miała za sobą dwanaście lat rozpusty, narkotyków i alkoholu, zanim zdecydowała się zerwać z nałogiem.

Dochodziła dziewiąta rano, a więc dopiero siedem godzin minęło od jej namiętych pocałunków z Charliem. Oblizwała wargi, bo zdawało się jej, że wciąż czuje ich smak, a może był to smak szampana Dom Perignon? W głowie waliły wściekle młoty w tym samym tempie, co rytm telewizyjnych ćwiczeń odchudzających transmitowanych przez 21 monitorów znajdujących się w siłowni. Co za lichy podkusiło ją, aby dać się zaciągnąć do tej izby tortur, gdzie musiała wykonywać pompki i przysiady, choć najchętniej wykonałaby pad, ale do łóżka przy boku Fatsa!

- No, puść wreszcie farbę! - Vivienne nie ustępowała. - Niech się dowiem, co ten rajcowny filmowiec powiedział ci, kiedy już wychodziliście z knajpy!

- zaproponował mi, żebyśmy poszli do niego.

- zaproponował ci, a ty co? Czemuś z nim nie poszła?

- Bo bałam się, że straci do mnie szacunek, jeśli pójdę z nim do łóżka już na pierwszej randce! - wymamrotała Delila, kryjąc twarz w dłoniach.

- Z byka spadłaś? - Vivienne dosłownie zatkąło.

- Nie - zaprotestowała śmiało Delila, mrużąc oczy w jaskrawym świetle.

- Co ty, masz jeszcze wianek?

- Ależ skąd!

- To co, u licha, wyprawiasz?

- Nie wiem - wymamrotała Delila słabym głosem. Sama zadawała sobie to pytanie, kiedy rano obudziła się sama. Wczoraj alkohol dodawał jej odwagi, ale kiedy jeszcze raz przemyślała sprawę - zaczęła mieć wątpliwości. A co, jeśli on pomyśli, że jest oziębła albo jeszcze gorzej - cnotliwa? Gotów spisać ją na straty! Może wuj Stan miał rację, jeśli chodziło o ryby, ale Charlie mógł być taką rybą, która zerwała się z haczyka... Z westchnieniem dokończyła: - Wolałam poczekać, aż sytuacja się wyklaruje.

- Poczekać, coś podobnego! - szydziła Vivienne, rzucając się z wściekłością na aparaturę pomiarową rowerka. - Ona chce czekać, kiedy taki wspaniały facet sam się pcha do łóżka.

- Vivienne! - syknęła Delila, ze skrzepowaniem oglądając się przez ramię. Ćwicząca na sąsiednim aparacie kobieta w ciąży, z błyszczącą fryzurą na pazia i zarumienionymi policzkami, spoglądała na nie karcącym wzrokiem.

- No, taka dupa wołowa jak ty to rzadki okaz przyrodniczy! - zawyrokowała Vivienne, wzruszając ramionami i pstrykając gumką swojego stanika. - I tak masz fart, bo ja, od kiedy opuścił mnie Dwayne, muszę robić te rzeczy z Haroldem trzy razy w tygodniu! A zapewniam cię, że w tym wypadku ilość nie przechodzi w jakość.

Vivienne mówiła to wszystko z zamkniętymi oczami i falującymi nozdrzami. Delila podziwiała jej talent do zwekslowania każdej rozmowy na własne problemy.

- Coś znów jest nie w porządku z Haroldem? - spytała dla podtrzymania konwersacji.

- Zapytaj raczej, co nie jest!

- A wydawało mi się, że go lubisz!

- Niby tak, ale problem nie tylko w tym, że zamawianie viagry przez internet kosztuje kupę szmalu. Gorsza sprawa, że jemu... - Vivienne zniżyła głos. - Jak by tu powiedzieć...

Delila przysunęła się bliżej, ale to samo zrobiła też kobieta w ciąży.

- ...nie do końca staje.

- No wiesz, Vivienne!

- Nie jesteśmy chyba dziećmi! - warknęła urażonym tonem.

- Przepraszam, mów dalej. - Delila usiadła prosto, siląc się na powagę.

- Więc kiedy jest już we mnie, to tak jakbym używała tampaxu... Dmucha i dmucha godzinami, jakby przepychał zlew, zanim się spuści. Czasem mam wręcz ochotę malować sobie wtedy paznokcie.

- A mówiłaś kiedyś, że wprowadzacie jakieś... no, sztuczki!

- Owszem, próbujemy, ale Harold ma słabe serce i nie wolno mu się za bardzo podniecać. Staruszek może wytrzymać najwyżej lekkie baty...

Kobieta w ciąży znacząco zakaszlała i skromnie obciągnęła wokół brzucha koszulkę z nadrukiem „Uwaga, dziecko na pokładzie!”.

Vivienne wesoło pomachała do niej ręką i zawołała:

- Ty przynajmniej nie musisz się o to martwić, kochana! Wiemy już, co robisz ze swoim face-tem.

Przyszła matka ciężko podniosła się z materaca do ćwiczeń i pomrukując gniewnie, zmierzała drobnym kroczkiem w stronę wyjścia.

Delila zasłoniła usta dłonią, by stłumić śmiech. Vivienne natomiast promieniała. Otarła czoło z potu chusteczką higieniczną i zeszła z rowerka.

- No, to nogi już mają dość. Teraz zajmiemy się pupą! - oznajmiła.

- Hej, cześć, dzieciaki! - Nad uchem Delili rozległ się tubalny, męski głos z rozwlekłym amerykańskim akcentem. Od drzwi siłowni zmierzał ku nim wysoki, dobrze umięśniony osiłek w granatowej dresowej bluzie z nadrukiem: „Linton Villas Fitness Club zawsze do twoich usług”. Wylewnie poklepał Vivienne po plecach, demonstrując w uśmiechu owoc dziesięcioletniej pracy ortodontów, wartości około dwudziestu tysięcy dolarów. - Co porabiasz, mała? Dawno się nie widzieliśmy!

- Ja się świetnie bawiłam, a ty? - Vivienne próbowała uśmiechnąć się uprzejmie mimo zaciśniętych zębów.

- Mnie też ostatnio wspaniale szło. Nakręciłem masę filmów i spotów reklamowych, no i oczywiście ten scenariusz...

Vivienne przerwała mu w pół zdania.

- Poznaj moją przyjaciółkę Delilę.

Delila zdawkowo skinęła głową, starając się nie patrzeć na nienormalnie rozdęte mięśnie na szyi młodego atlety. Na ich tle jego głowa wydawała się mała jak ziarnko grochu.

- Cześć, jestem Wybawca. - Wyciągnął do Delili łapę wielką jak patelnia. Uścisnęła ją, próbując nie parsknąć śmiechem. - Aktor, scenarzysta, odtwórca roli Gladiatora i osobisty trener do twoich usług.

Delila przerażonym wzrokiem śledziła, jak niepokojąco nabrzmiewają jego żyły. Sprawiało to wrażenie, jakby pod koszulką miał wentyl bezpieczeństwa, przez który w każdej chwili można wypuścić powietrze, pozostawiając pustą powłokę skóry pokrytej opalenizną ze słoiczka i garnitur nie-naganych zębów.

- To ładnie - rzuciła obojętnie Delila. Była zanadto zmęczona i skacowana, aby wymyślić jakąś dowcipną ripostę.

Tymczasem Vivienne zeszła z kolejnego stanowiska do ćwiczeń z drgającymi mięśniami pośladek.

- Szkoda, że nie możemy dłużej pogadać, ale właśnie wybierałyśmy się do sauny. Prawda, kochanie? - zwróciła się do Delili tonem aż nadto ożywionym.

- Ttt... tak, rzeczywiście - potwierdziła Delila.

Wybawca zadrzał i drzenie mięśni przebiegło mu falą od pach do kostek.

- Dobra, dzieciaki, zobaczymy się kiedy indziej. Miło mi było cię poznać, Deirdre.

- Delilo! - poprawiła pod nosem Delila, oswobodzając się z symulatora wiosłowania. Idąc w ślad za Vivienne do pomieszczenia z tabliczką „Sauna” podziwiała ją, że może z siebie wykrzesać jeszcze tyle energii.

Strużki skroplonej wilgoci ściekały po ścianach łaźni, wyłożonych białą glazurą. Delila oparła się o ich chłodną powierzchnię w obawie, że udusi się w tym upale jak potrawa w szybkowarze.

- Ależ tu gorąco! - jęknęła.

- Pomyśl tylko, ile trucizn usuwasz z organizmu! - pouczyła karcącym tonem Vivienne, która leżała nago na najwyższej półce.

Delila czuła, że tym, co ulatniało się jej przez skórę, był przede wszystkim alkohol. Jej pot musiał mieć smak szampana.

- Mam nadzieję, że Charlie zadzwoni. - Wróciła do poprzedniego tematu.

- Na pewno. Wszyscy mężczyźni mają instynkt łowiecki i nie lubią wracać do domu bez zdobyczy.

- Nie chciałabym, aby dzwonił tylko dlatego, że ma ochotę przespać się ze mną.

- Naprawdę? - Vivienne nie była przyzwyczajona do takich poglądów.

- Tak, bo wolałabym, żeby chciał mnie bliżej poznać.

- Coś podobnego! - zdziwiła się Vivienne. Dla niej bliższe poznanie znaczyło tyle, co sprawdzenie, czy nowy partner woli dawać klapsy, czy je otrzymywać. - Mam nadzieję, że zostawiłaś włączoną sekretarkę?

- No pewnie! - Sprawdzała to co najmniej dziesięć razy.

- Świetnie. Na pewno będzie na nas... to znaczy na ciebie czekać jakaś podniecająca wiadomość.

- Oby! - Delila przymknęła oczy, chyba po raz setny przeżywając jego pocałunki. Reszta nocy rozpływała się w alkoholowej mgłę, ale te chwile potrafiła doskonale wyodrębnić z całości. Pamiętała jego przesycone alkoholem usta, jego język rozsuwający jej wargi, miękkość połączoną z jędrnością jego ciała wyczuwalnego przez lnianą koszulę... Raz po raz odetchnęła pełną piersią, czując między udami wilgoć, co oznaczało silny pociąg fizyczny.

- No, a co sądzisz o naszym Wybawcy? - Vivienne sprowadziła ją na ziemię głosem, który po-
działał jak kubek zimnej wody.

- To dupek, któremu się wydaje, że jest Supermenem. - Delila przeciągnęła się leniwie, wyciera-
jąc kark białym, frotowym ręcznikiem.

- Całkowicie się z tobą zgadzam. - Vivienne westchnęła, zakładając ręce za głowę i przeciągając
się jak kot. - Nie mam pojęcia, co mnie podkusiło, żeby się z nim przespać.

- Coś ty, Vivienne, to niemożliwe!

- Obawiam się, że całkiem możliwe.

- I jak było? - Po dziesięciu latach monogamicznego związku z Lennym Delila przejawiała ży-
we zainteresowanie możliwościami seksualnymi innych mężczyzn.

- Och, mocno się rozczarowałam. Mało tego, że używa woskowego balsamu do ciała, to jeszcze
naciera się oliwką dziecięcą i taki się robi śliski, że nie ma go za co złapać!

Delila zaniósła się śmiechem, bo wyobraziła sobie Wybawcę w roli oskubanego kurczaka, na-
tartego tłuszczem przed pieczeniem.

- Próbowałam już chyba wszystkiego - zwierzała się dalej Vivienne. - Nakładałam gumowe rę-
kawiczki, posypywałam go talkiem, ale i tak wyslizgiwał mi się z rąk jak ryba, a na moich atłasowych
prześcieradłach zostawiał smugi samoopalacza. Nie puściły nawet w pralni chemicznej i będę musiała
oddać je na zbiórkę dla biednych.

Tymczasem drzwi łaźni parowej otworzyły się i weszły przez nie dwie damy w średnim wieku,
obwieszone biżuterią. Usadowały na półkach swoje wypielegnowane ciała, na których znać było rękę
szwajcarskiej masażystki. Rozmowa ich obracała się wokół kosztów utrzymania Freddiego i Felixa w
szkole z internatem oraz zupełnie wyjątkowego materiału na zasłony, nabytego u Johna Lewisa.

Vivienne wstała ze swojej półki i zarządziła:

- No, chodźmy już, bo skóra nam się pomarszczy jak u starych bab.

Zamotała sobie na głowie turban z ręcznika i wraz z obłokiem pary ulotniła się przez wahadło-
we drzwi. Tymczasem Delila ze wstydu nie wiedziała, gdzie ma oczy podziać. Niewyparzony język
Vivienne stale stawiał ją w kłopotliwej sytuacji. Ze spuszczoną głową, owinięta ręcznikiem, szybko
opuściła pomieszczenie, ciesząc się, że starsze panie, zaaferowane materiałem na zasłony, nie widziały
jej przez gęstą parę.

Powiesiła ręcznik na haku, weszła do kabiny prysznicowej i zaciągnęła za sobą różową plasti-
kową zasłonę. Zaczynała się już denerwować, bo powinna była znaleźć się w domu, aby sprawdzić,
czy Charlie przypadkiem nie dzwonił i upewnić się, czy przez swoją powściągliwość nie popsuka
wszystkiego. Modliła się, aby zaraz po wejściu do mieszkania mogła od razu zobaczyć czerwone
światelko na automatycznej sekretarce, co oznaczałoby, że ktoś nagrał dla niej wiadomość.

Minęły dwa dni, a telefon wciąż milczał. Delila pograżała się w coraz głębszą depresję. Przez ostatnie czterdzieści osiem godzin doświadczała istnej huśtawki uczuciowej, jak kamyk „kaczka” odbijający się od powierzchni wody miotła się od nadziei do rozczarowania i frustracji, by wreszcie wpaść w otchłań rozpacz.

Jak mogła myśleć, że to będzie takie proste. - z dnia na dzień przeplancować się z Bradfordu do Londynu, od razu wylądować w ramionach księcia Charliego i odtąd żyć długo i szczęśliwie w oparach szampana i płonącej sambuki? Sęk w tym, że istotnie tak myślała. Nie próbowała nawet zastanawiać się, co robi, gdy jej plan nie wypali. Po prostu nie dopuszczała do świadomości takiego wariantu.

Święcie wierzyła w powodzenie swoich zamierzeń. Gdy miała siedem lat i nie mogła się zdecydować, czy bardziej marzy o karierze tancerki, czy o posiadaniu domku na drzewie - matka udzieliła jej zbawiennej rady. Brzmiała ona tak: możesz mieć wszystko, co zechcesz, ale musisz wiedzieć, czego naprawdę chcesz. I rzeczywiście, odkąd Delila zdecydowała, że woli wspinać się na drzewa niż tańczyć, w ciągu najbliższych dwóch tygodni miała już swój wymarzony domek, zbudowany z pomocą rudego Gary'ego z naprzeciwka.

Kiedy już konstrukcja została ukończona, mama zapakowała jej na drugie śniadanie kanapki z serem i piklami. Delila jadła je, spoglądając z góry na dach szopy w ogrodzie sąsiada. Nie zapomniała nigdy tego wspaniałego uczucia, jak również świadomości, że gdy się raz coś postanowi - można osiągnąć wszystko.

Niestety, im była starsza, tym wybory życiowe stawały się trudniejsze i wymagały więcej odwagi. Łatwiej było rzucić trykoty i baletki niż przyjaciela, dom, pracę i całe dotychczasowe życie. Właśnie dlatego tak długo żyła z Lennym, mieszkała w Bradfordzie i pracowała w tym samym zawodzie kelnerki. Dopiero poznanie Charliego uświadomiło jej, czego naprawdę pragnie. A spędzony wspólnie wieczór w restauracji Interna pozostawił jej iskierkę nadziei, że może i on pragnie tego samego. Z pomocą w tym miała jej przyjść, oprócz własnej determinacji, także sukienka od Dolce & Gabbana.

Jednak po dwóch dniach nie wydawało się to takie oczywiste. Oba wieczory spędziła w Kuchni Domowej, licząc, że Charlie się tam pokaże, ale nie dał znaku życia. Tylko Vince naprzykrzał się coraz bardziej - deptał jej po piętach, sączył w ucho czule słówka (*bellissima* i tym podobne) oraz natrętnie zapraszał do swojej garsoniery na kawę i tiramisu. Delila nie chciała stracić pracy, więc powstrzymywała się od powiedzenia mu wprost, gdzie sobie może wsadzić swoje tiramisu. Zamiast tego wymawiała się to koniecznością przestrzegania diety, to znów górą bielizny do prasowania... Była czasami naiwna, ale nie aż tak. Dobrze wiedziała, jakiego rodzaju deser czeka na nią w garsonierze Vince'a.

W niedzielę rano telefon wreszcie zadzwonił. Delila odebrała go spoconą z wrażenia dłonią, ale szybko się rozczarowała, bo dzwonił nie Charlie, a Sam. Proponował jej wspólny wypad do Brighton, korzystając z przypadającego w ten weekend dnia wolnego od pracy. Nie ujawniając zawodu, zgodziła się, bo wolała spędzić cały dzień na plaży niż wdychać dym papierosów Vivienne. Szkopuł tkwił tylko w tym, że Sam musiał oddać swój samochód do warsztatu po zderzeniu z autobusem linii 27, więc chciał wiedzieć, czy Delila mogłaby zawieźć ich swoim.

Delila zarzuciła próby wyprzedzenia autobusu i zjechała na pas ruchu przeznaczony dla pojazdów wolniejszych. Przed nią toczył się stary datsun bluebird wyładowany rodziną złożoną z dwojga dorosłych i dwojga dzieci oraz chyba całym wyposażeniem ich domu. Widać było, że to typowa rodzina w drodze nad morze, bo mniej więcej ośmioletnia dziewczynka przez cały czas waliła swego brata zieloną plastikową łopatką po głowie. Delili zrobiło się smutno, bo uświadomiła sobie, czego jej samej brakowało. Owszem, raz matka zabrała ją do Scarborough, ale była wtedy zbyt mała, żeby coś z tego zapamiętać, a o tym wydarzeniu przypominały jej tylko zdjęcia. Uwieczniono na nich pulchnego pędraka siedzącego na osiołku i atrakcyjną brunetkę w kapeluszu z napisem „Pocałuj mnie”, która przytrzymywała dziecko, aby nie spadło. Matka musiała bardzo lubić ten kapelusz, ponieważ na wszystkich zdjęciach miała go na głowie...

Sam, kontrolując drogę w atlasie, rzucił mimochodem:

- No i jak ci poszło wtedy na randce?
- Całkiem nieźle.
- Tylko „nieźle” to coś słabo! - Sam powiódł palcem wzdłuż krętej, czerwonej linii oznaczającej szosę klasy A, jakby planował trasę podróży.
- Skąd, było cudownie, tylko że on od tamtej pory ani razu nie zadzwonił.
- Aha - mruknął enigmatycznie Sam, nie mając pewności, czy powinien się z tego cieszyć.
- Widać niezbyt się mną interesuje...
- Pewnie tak...

Delila spojrzała na niego spode łba.

- No wiesz! Myślałam, że zaprzeczysz. Powinieneś mnie zapewniać, że z całą pewnością go zainteresowałam, a jeśli nie dzwoni, to z jakiegoś ważnego powodu.
- To właśnie miałem na myśli. Na pewno zadzwoni, jeśli naprawdę tego chcesz... - Zawiesił głos.
- On mi się naprawdę podoba... - wyznała, patrząc w przednią szybę. - Jest po prostu wspaniały! Tak chciałabym, żeby zadzwonił...

Sam nachylił się, aby pogłaskać Fatsa, który leżał zwinięty w ciasny kłębek u jego nóg. Kiedy zaproponował wycieczkę do Brighton, nie przypuszczał, że będzie musiał znosić niewidzialną obec-

ność Charliego, a sam zostanie na lodzie. Wpatrzony w czarne wymowne oczy Fatsa, miętosząc jego aksamitne uszy, bąknął cichym głosem:

- A więc jesteśmy tylko przyjaciółmi, prawda?

Nawet i ten wąty głos utonął w szumie silnika o pojemności 1,1. Od tamtego pamiętnego dnia w kawiarni Sam pielęgnował żdźbło nadziei, że ich znajomość przerodzi się w coś więcej niż przyjaźń, ale Delila najpierw musiałaby zmienić zdanie co do Charliego.

- Jak właściwie jest w tym Brighton? - spytała, włączając radiomagnetofon, z którego rozległy się trzaski.

- Fajnie. Na pewno ci się spodoba.

- Często tam bywasz?

- Wychowałem się w Brighton, a moja matka nadal tam mieszka.

- To może wpadniemy do niej?

- Właśnie chciałem to zaproponować, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Bynajmniej, chętnie poznam twoją mamę. - Manipulowała pokrętełm strojenia radia, nastawiając je kolejno na różne stacje. W końcu straciła cierpliwość, włożyła kasetę do kieszeni magnetofonu i przełączyła na jej odtwarzanie. Na kasecie akurat nagrany był utwór Toma Jonesa „Delila”. Znała słowa na pamięć, więc kołysała głową rytmicznie w takt melodii i nuciła razem z wykonawcą:

My, my, my, Delila

Why, why, why, Delila...

Sam kątem oka obserwował, jak ruchami rąk zaakcentowała moment, kiedy do gry włączyły się trąbki. Razem z piosenką skończyła się taśma, więc nacisnęła przycisk przewijania.

- Czyżbyś była wielbicielką Toma Jonesa?

- Można to i tak nazwać. - Mówiła cicho, bo w gardle jej zaschło od śpiewu do wtóru z Tomem. Odgarniając włosy z oczu, dodała bez zastanowienia: - Fajnie, że namówiłeś mnie na ten wyjazd.

- Ja też się cieszę, że jedziesz ze mną. - Mówiąc to, nie podnosił oczu znad kartek atlasu drogowego.

- Dobrze, ale muszę cię o coś zapytać. - Patrzyła przed siebie, tylko w kącikach jej ust igrał lekki uśmieszek.

- Co takiego?

- Dlaczego przeglądasz mapę Walii?

Sam roześmiał się, bo nie mógł już dłużej w ten sposób się maskować.

- Pewnie myślisz, że nie umiem czytać mapy.

- Ja też nie umiem. - Uśmiechnęła się szeroko, lecz kiedy zwróciła twarz ku niemu - dostrzegł na jej policzkach łzy. Dopiero wtedy zorientował się, że płakała.

Brighton pękało w szwach, gdyż do brytyjskich tradycji należał wyjazd nad morze w wielkocny weekend. Nawet lodowate podmuchy wiatru nie były w stanie odstraszyć zawziętych wypiarzy. Emerycy porzysiadali się na leżakach nad samym morzem, zabezpieczając się od chłodu kapturami z przezroczystej folii lub tweedowymi czapkami. Rodziny wołały raczej chronić się w grajdołkach na kamienistej plaży. Mamusie ze świeżą trwałą ondulacją dokarmiały kanapkami z szynką i serem swoje otyłe, nastoletnie córki z walkmanami na uszach, narzekające na zimno i nudę. Tatusiowie z brzuchami rozdętymi od piwa, pogrążeni w lekturze gazety „Sun”, jednym okiem kontemplowali zdjęcie roznieglizowanej piękności na trzeciej stronie, a drugim uważali na swoje dzieci, zanurzające zaczerwienione od zimna palce w morskiej wodzie. Delila przyglądała się innej grupie dzieci, daremnie usiłujących zbudować zamek z kamyków i błota. Zastanawiała się, czy nie ma wśród nich dziewczynki, która przyjechała datsunem bluebird.

- Ojciec zwykle przyjeżdżał tu ze mną na weekendy. Kupował mi lody i opowiadał historyjki o piratach i ich statkach. - Sam wziął plastikowe mieszadełko z kiosku, gdzie sprzedawano hot-dogi. Zanurzył je w polistyrenowym kubeczku, próbując rozkruszyć kostkę cukru na dnie. - Dopóki nie miałem więcej niż dziesięć lat, nawet wierzyłem w te opowiadania, dopiero później do mnie dotarło, że znajdowaliśmy się przecież na plaży w Brighton, nie w Kornwalii.

- Czy twój ojciec mieszka z mamą? - zapytała Delila, parząc sobie język kawą.

- Nie, bo uciekł ze swoją sekretarką. Typowy przypadek, kiedy facet po czterdziestce dostaje małpiego rozumu na punkcie dwudziestopięcioletniej blondynki. Byłoby to śmieszne, gdyby nie było tragiczne.

- Przepraszam, palnęłam głupstwo.

- Nic się nie stało, to wszystko miało miejsce ponad dziesięć lat temu. Zdążyłem już przejść nad tym do porządku dziennego.

- Czy nadal się widujecie?

- Właściwie nie, bo od dawna żyliśmy ze sobą jak pies z kotem. Początkowo nienawidziłem go za krzywdę, jaką wyrządził mamie, ale z czasem poczułem pewną ulgę. Przynajmniej ustały kłótnie w domu! - Usiadł przy jednym z zielonych, rozkładanych stolików i dodał filozoficznie: - Wszystko to jest mocno skomplikowane.

- Nie pleć głupstw! - zgasiła go Delila, bezmyślnie bawiąc się miękkimi butelkami z ketchupem, musztardą i sosem chili. Machinalnie zaczęła zdrapywać zaschnięte krople tych przypraw, które przylgnęły do szyjek, ale w porę przerwała to mało apetyczne zajęcie. - Czy twoja mama została w tym samym domu?

- Nie, bo ojciec zaciągnął na niego kredyt hipoteczny. Potem odszedł od mamy, żeby z tą sekretarką, Jackie, zamieszkać w Hiszpanii, a tymczasem jego firma zbankrutowała, więc dom został zajęty na poczet długu. Teraz moja biedna mama musi wynajmować mieszkanie, bo ten drań po dwudziestu dwu latach małżeństwa nie zostawił jej złamanego grosza. - Ze złością zgniótł w garści polistyrenowy kubeczek. - A jak się sprawy mają z twoimi rodzicami? Czy mieszkają w Bradfordzie?

- Ojciec tak, ze swoją drugą żoną.

- A co się dzieje z twoją mamą?

Delila milczała przez chwilę, wreszcie powiedziała:

- Nie żyje.

- Co, twoja mama umarła? - Sam nie mógł uwierzyć.

Nie podnosząc na niego oczu, przytaknęła.

- To stało się we wtorek, trzynastego września 1981 roku, za kwadrans trzecia po południu. Mama zawsze pracowała do piątej, ale tego dnia były moje dziewiąte urodziny, więc zwolniła się wcześniej, żeby przygotować wszystko na przyjęcie. Gdyby wyszła z pracy o zwykłej porze, może żyłaby do dziś.

- Co to było? - wyszeptał poruszony.

- Kierowca ciężarówki wypił o jedno piwo za dużo i nie wyrobił się na zakręcie. Wjechał na krawężnik, a mama akurat szła chodnikiem. Ze swoją wagą pięćdziesięciu trzech kilo nie miała szans w konfrontacji z dwiema tonami!

Sam położył ciepłą rękę na jej zmarzniętych palcach.

- Tak mi przykro, Delilo. Szkoda, że mi wcześniej tego nie powiedziałaś. Wyszedłem na ostatniego durnia.

- Nie masz powodu tak sądzić. Ja akurat wiem, co to znaczy stracić kogoś z rodziców, bez względu na to, czy umarł, czy odszedł. Tak czy siak, czujemy się opuszczeni. - Uspokajająco ucisnęła jego rękę.

- To dlatego zrobiło ci się smutno w samochodzie?

- Wszystko przez tę piosenkę. Moja mama ją uwielbiała i w naszym domu było ją słyszeć od rana do nocy. Stąd się wzięło moje imię. - Uśmiechnęła się kwaśno, patrząc gdzieś w przestrzeń. - Ojciec odszedł od nas, kiedy byłam zupełnie mała, więc słuchając maminych płyt z Tomem Jonesem wyobrażałam sobie, że to był mój tatuś! Wiesz, takie tam dziecięce bajdurzenie... - Urwała, w zakłopotaniu bawiąc się mankietem dżinsowej kurtki.

W tym momencie Fatso, jakby celowo chcąc sprowokować zmianę tematu, zaskomlał. Najwyraźniej zaleciał go zapach hot-dogów z kiosku, w którym je sprzedawano.

- Oj, ten łakomczuch chyba jest głodny! - zauważyła Delila.

- Chodźmy, nakarmimy go u mojej mamy. - Sam uśmiechnął się szeroko. - Na pewno coś naszykowała. Przecież wiesz, jakie są matki...

Urwał, bo zrozumiał, że palnął głupstwo, ale Delila nie dała mu tego poznać.

- Dobra, nie musisz obchodzić się ze mną jak z jajkiem! - pocieszyła go i puściła się biegiem, ciągnąc Fatsa na smyczy i pokrzykując: - No, jazda, ruszaj się!

- Poczekaj, przecież nie znasz drogi! - zawołał za nią, ale nie zważała na niego, zręcznie wymijała rowery i wózki inwalidzkie. Pokręcił tylko głową z podziwem i pomyślał, że Delili trudno dotrzymać kroku.

- Mamusiu, to jest Delila.

Matka Sama wytarła ręce w fartuch i wyściskała Delilę tak wylewnie, jakby była jej od dawna niewidzianą przyjaciółką. Delila, wciągając w płuca zapach konwalii i płynu Lenor do płukania tkanin, stała sztywno, jakby kij połknęła, bo nie wiedziała, jak ma się zachować. W Yorkshire takie „nie-dźwiedzie uściski” rezerwowano dla całkiem małych dzieci, zakochanych lub babć. W innych sytuacjach ludzie pomyśleliby, że zwariowała.

- Miło mi cię poznać, kochanie! - zaszczębiotała piskliwym głosem z silnym akcentem zachodnioangielskim. - Tylko, widzicie, spodziewałam się was później, więc z obiadem jestem jeszcze w proszku.

Odgarniając z czoła czarną fryzowaną grzywkę, zostawiła na włosach białą smugę mąki. Upodobniła się przez to do krępego, rumianego borsuka wzrostu metr czterdzieści pięć, obwiązanego fartuchem. Sam spoglądał na nią z uśmiechem nacechowanym czułością.

- Niedobry jesteś, Samuelu, prawie nigdy nie odwiedzasz starej, biednej matki! - gderła, podsuwając mu policzek, na którym Sam posłusznie wycisnął pocałunek.

- Wiem, wiem, ale miałem kupę roboty w kawiarni - usprawiedliwiał się.

- Potrzebna ci ta kawiarnia! - prychnęła starsza pani, zabierając się do obrywania zewnętrznych listków z główek brukselki. - Dobrze wiesz, że mógłbyś siedzieć w biurze!

Wymachiwała nożem, zataczając nim kręgi w powietrzu i rozsypując listki po całej kuchni.

- Pewnie wcale ci nie wspomniał, że jest prawnikiem! - zwróciła się do Delili. - Przepraszam, kochanie, ale zapomniałam twojego imienia. Aha, Delila. Wiedziałaś, że mój syn, gdyby chciał, mógł zostać znanym adwokatem?

- Ależ, mamu, przecież studiowałam prawo tylko przez dwa lata! - zaprotestował Sam. - Z tym nie mógłbym być nawet radcą prawnym.

- Tak czy siak, zmarnowałaś sobie karierę. - Zdecydowanymi ruchami zaczęła kroić brukselkę.

- A czy kucharz to coś gorszego? Przecież sama lubisz gotować.

- Żebyś choć był prawdziwym kucharzem! Podawanie ludziom kanapek i jajecznicy to jeszcze nie jest gotowanie.

- To tylko na początku, później się zmieni. - Sam sięgnął ręką do zlewu i zaczął podjadać surową fasolkę szparagową z durszlaka.

- Przestań mi natychmiast lasować! - Matka trzepnęła go ścierką po rękę.

Śmiejąc się, cofnął rękę i objął matkę w talii.

- Oj, mam, mam, co ja bym bez ciebie zrobił? - jęknął żartobliwie, opierając głowę na jej ramieniu.

- Nie mam pojęcia. - Opędzała się od niego jak od uprzykrzonej muchy i następnie włożyła ochronne rękawice z grubego materiału, aby zajrzeć do piekarnika, gdzie piekły się ziemniaki.

W kuchni panował zaduch jak w łaźni parowej. Para z gotującej się marchewki i fasolki zasnuła okna mgłą, co przypomniało Delili saunę w fitness-clubie, w którym niedawno były z Vivienne. Z tym tylko, że zamiast olejku eukaliptusowego pachniało głównie sosem cebulowym. Matka Sama też ociekała potem. Delila zaoferowała jej swoją pomoc, ale spotkała się ze stanowczą odmową.

- Nie pleć głupstw, kochanie, przecież doskonale panuję nad sytuacją - wydyszała, mieszając równocześnie w dwóch rondelkach i pouczając Sama, jak ma nakryć do stołu: - Co ty stawiasz za talerze, przecież mamy gościa! Wyciągnij porcelanę po babci Godfrey!

Poruszała się ruchem wahadłowym między kuchnią a stołem, znosząc niezliczone półmiski i ustawiając je na białej przeszywanej wstawkami serwecie. Obcasiki jej czółenek postukiwały przy tym, jakby stepowała. Delila wpatrywała się w nią jak urzeczona. Czy to możliwe, że jej matka, gdyby dożyła porównywalnego wieku, też przeobraziłaby się w taką dobroduszną, emanującą ciepłem gospozię? Czy dobiegając pięćdziesiątki, ubierałaby się u Marksa i Spencera, zestawiając garderobę pod kolor? Trudno było to sobie wyobrazić. Dla matki czas zatrzymał się już na zawsze i w pamięci Delili trwała jako szczupła, dwudziestoosmioletnia kobieta, która potrafiła przypalić nawet gotowe paluszki rybne, nosiła dzwony o obniżonej talii i marszczone kołnierzyki à la księżna Diana, a na sobotnich dyskotekach piła cinzano lub lemoniadę.

- Bądź tak dobry, Samuelu, i pokrój mięso - poprosiła matka. - Robisz to tak dobrze jak nikt!

Wręczyła Samowi duży. nóż i z rękami na biodrach przyglądała się, jak kroił pieczeń wołową w idealnie cienkie plasterki. Delila zazdrościła Samowi takiej matki, która wciąż troszczyła się o jego prawidłowe odżywianie i zawsze trzymała jego stronę, bez względu na to, gdzie był i co robił. Dużo gorszy materiał na matkę stanowiła jej macocha Sandra!

- No popatrz, czy to nie wygląda cudownie? - Podsunęła Delili pod nos półmisek precyzyjnie pokrajanej pieczeni. - Widziałaś kiedy, żeby ktoś robił to lepiej niż Samuel?

- Oj, mam, przynudzasz! - Sam jęknął. Zaczął już żałować, że w ogóle przyprowadził tu Delilę, bo czuł, jak stopniowo traci w jej oczach. - Delila na pewno nie chce w kółko słuchać o moich umiejętnościach kulinarnych.

- Jestem pewna, że chce - oświadczyła jego matka tonem pobłażliwej wyższości. - Prawda, kochanie?

Promieniejąc macierzyńską dumą, zaczęła nakładać na talerze góry gotowanej marchewki. Delila nie ośmieliła się protestować, nawet kiedy na jej talerzu znalazła się pełna chochla sosu cebulowego, tylko z pensjonarskim uśmiechem chwaliła:

- To wygląda naprawdę wspaniale!

Mrugnęła porozumiewawczo do Sama, odpowiedział jej tym samym, ale zaraz zmienił wyraz twarzy na normalny, bo matka, ciężko dysząc, wklinowała się na miejsce obok niego. Opiekuńczo otoczył ją ramieniem.

- To było fantastyczne! - Wzniósł toast winem w kryształowym kieliszku, jednym z czterech pozostałych po dwudziestej rocznicy ślubu rodziców. - Dziękuję ci, mamo!

- Ja też bardzo pani dziękuję. - Delila, uszczęśliwiona, trąciła się z nim kieliszkiem.

- Mów mi Gladys! - zaproponowała starsza pani, która po kilku łykach wina zaróżowiła się na twarzy jak niedosmażony befsztyk w środku.

20

Gladys przysnęła w swoim fotelu, z głową odchyłoną do tyłu i otwartymi ustami, chrapiąc głośno. Trwało to już ponad godzinę, lecz przedtem zdażyła opróżnić do czysta swój talerz, a na deser jeszcze spory kawałek placka z kruszonką i kremem. Posiadała widać wrodzoną zdolność magazynowania energii potrzebnej w procesie trawienia. Delila, widząc to, zaoferowała się, że pozmywa.

- Twoja mama musi być strasznie zmęczona - ubolewała. - Na pewno mordowała się z tym wszystkim od świtu.

Oskrobała formę do pieczenia z resztek, opłukała pod kranem i podała Samowi, który ustawił ją na szczycie chwiejnej piramidy różnych naczyń stojących na kredensie.

- Wiem, ale ona zawsze uwielbiała tę całą krzątaninę - przyznał. - Chyba tego brakowało jej najbardziej po odejściu ojca. Ja wtedy już studiowałem, więc nie miała przy kim się krzątać.

- Lubieś studia? - Delila zadała to pytanie, choć sama zakończyła edukację w połowie drogi. Nie pozdawała wszystkich potrzebnych egzaminów, bo wolała uciec z Lennym niż przerabiać powieści Jane Austen. Na jej wyobrażenie o studiach składały się po części telewizyjne migawki z tradycyjnych regat wioślarskich Oxford-Cambridge, a częściowo wrażenia z projekcji *Rydwanów w ogniu*. Na tej podstawie ukuła sobie wizerunek studentów jako osobników o bladych, nalanych twarzach, ubranych w szetlandzkie swetry i sztruksowe spodnie, pograżonych w gorących dyskusjach o polityce i filozofii, a w przerwach oddających się rozpuście.

- Niespecjalnie - odpowiedział. - Owszem, koledzy byli fajni, ale prawo zupełnie mnie nie interesowało. Zawsze wolałem zostać kucharzem, to ojciec usiłował mnie zmusić, żebym poszedł w jego ślady.

- Twój ojciec jest prawnikiem?

- Tak, i to radcą prawnym, ale chyba kiepskim, skoro nie umiał uchronić przed bankructwem własnej firmy.

- Co się działo potem?

- Kiedy od nas odszedł, pomyślałem, że chromolę całe prawo i będę robił to, co lubię. Rzuciłem studia i przenieśliem się do szkoły gastronomicznej.

- A co na to powiedziała twoja mama?

- Udaje, że ją to martwi, ale wiem, że w głębi duszy jest zadowolona. Zawsze lubiła gotować i chyba odziedziczyłem to po niej.

- Na gotowaniu też można zarobić kupę szmalu. Weź choćby te programy Delii Smith w telewizji! - Delila przypomniała sobie, jak umierała z nudów, siedząc przed telewizorem obok Lenny'ego, który pilotem przeskakiwał z kanału na kanał, ale zawsze na dłużej zatrzymywał się przy programach z cyklu *Gotowanie na ekranie*. Nie mogła pojąć, dlaczego fascynuje go akurat tematyka gastronomiczna, chociaż żywił się głównie daniami na wynos z indyjskiej restauracji, serwowanymi na tackach pokrytych folią.

- Kiedy ja wcale nie chciałem prowadzić tych pogadank kulinarnych w telewizji! - Sam wzdrygnął się, wycierając wielką patelnię. - Ani mi się śni pouczać gospodynie domowe, jak mają piec placek z dżemem. Nie mam też zamiaru zasuwać w jakiejś melinie dla alfonsów i pedałów! Wiesz, czego chciałem najbardziej? Przekształcić moją kawiarnię na restaurację i samemu ją prowadzić!

- Ach, to byłoby super! - Delila cmoknęła z zachwytem, szukając w zlewie ostatniej łyżeczki. - Myślisz, że dasz radę?

- Kiedyś na pewno. Właściciel tego lokalu, który dzierżawię, chętnie by mi go odsprzedał, tylko żąda jakiejś niebotycznej sumy. Wiem, że to krwiopijca, ale jakie mam inne wyjście? Żeby go spłacić, muszę mieć gotówkę.

- I jak masz zamiar ją zdobyć? - Delila odetkała zlew i wygarnęła stamtąd do kubła na śmieci odpady z brukselki.

- Mogę tylko wypruć sobie żyły i oszczędzać - oświadczył, zawijając rękawy koszuli. - Chyba że wygram na loterii. Zawsze byłem niepoprawnym optymistą, więc wierzę, że coś musi się zmienić.

Delila, patrząc, jak z uśmiechem wycierał z piany zęby widelców, o które z brzękiem obijała się jego bransoletka, nie miała wątpliwości, że można mu wierzyć. Vivienne zawsze mawiała, że jego numer telefonu powinien brzmieć 999, ale określenie to nie oddawało całej prawdy. Owszem, Sam

często spełniał funkcję pogotowia w sytuacjach kryzysowych, ale miał też własne marzenia i ambicje. Nie chciał do końca życia jedynie zaparzać kawy i smażyć jajecznicy. Liczył, że prędzej czy później dorobi się własnej restauracji i zasłynie jako znakomity szef kuchni, opracowujący wykwintne jadłospisy dla wybrednych klientów. Była pewna, że uda mu się dopiąć swego.

Sam pochylił swoją długą postać nad kuchenką, aby wytrzeć palniki gazowe. Przy tym ruchu dół koszulki wysunął mu się z dżinsów, ukazując pasek skóry na plecach. Delila miała sposobność dobrze mu się przyjrzeć, więc stwierdziła, że jest szczupły, lecz dobrze umięśniony, jak biegacz długodystansowy. Workowate dżinsy nie zamazywały zarysu jego długich, lekko pałakowatych nóg, których stopy okrywały wciąż te same sandały. Przez dłuższy czas nie mogła oderwać od nich oczu. Pożornie normalne sandały, jednak zdawały się wywierać na nią jakby magnetyczny wpływ.

Gladys zachrapała głośniejsze i gwałtownie się obudziła.

- O rany, musiałam chyba trochę się zdrzemnąć! - Wstając w popłochu z fotela, porządkowała przypląszczone loki. - Zostaniecie na noc, kochani? Posłałam łóżko w gościnnym pokoju.

Sam obejrzał się na Delilę, nagle czując się dziwnie skrępowany.

- Dziękujemy, mam, ale my jesteśmy tylko przyjaciółmi.

Gladys zaniosła się nerwowym chichotem, aż jej pierś falowała w górę i w dół, jak pompa tłocząca.

- Boże, a skąd ja mam wiedzieć, jak to z wami, młodymi, bywa?

- Myślę, że raczej wrócimy jeszcze dzisiaj do Londynu. - Delila próbowała ratować sytuację.

Obejrzała się na Sama, oczekując od niego potwierdzenia.

Nie zawiódł jej oczekiwań, choćby dlatego, aby nie posądziła go, że działając w porozumieniu z matką, chce ją podstępnie zatrzymać. Nie zmieniało to jednak faktu, że chętnie by to zrobił!

- Tak, przecież muszę otworzyć kawiarnię.

- Coś ty, toż to święto! - zaprotestowała jego matka, wyraźnie zawiedziona.

- Wiem, ale nie mogę sobie pozwolić na utratę zarobku - powiedział, całując matkę w czoło. -

Może wpadnę do ciebie za jakieś dwa tygodnie.

Gladys westchnęła tak ciężko, jakby to miał być ostatni oddech w jej życiu.

- Dobrze, nie martw się o mnie, jakoś sobie dam radę sama.

- W porządku, nie będę. - Uśmiechnął się szeroko. Już trzymał Fatsa za obrozę, czekał tylko, aż Delila się pożegna. Ale trwało to wyjątkowo długo. Gladys tokowała namiętnie, przyciskając Delilę do swego moherowego swetra, pachnącego wodą toaletową i odciskając na jej policzkach ślady perłowo-różowej szminki Yardleya. Po jakichś pięciu minutach Sam zdecydował się zakończyć ceremonię pożegnalną, stanowczo wyciągając Delilę na zewnątrz.

Ze śmiechem wpakowali się do garbusa. Delila przekręciła kluczyk w stacyjce, ale bez skutku. Powtórna próba też nie dała efektu. Zdębiała, bo jak dotąd silnik zawsze zapalał. Ze złością walnęła pięścią w kierownicę, akurat w tym miejscu, gdzie włącza się klakson.

- Poczekaj, spróbuję zajrzeć. - Sam wygramolił się z wozu. - Może mama specjalnie wykręciła świece, żeby nas zatrzymać?

Przeszedł na tył samochodu i odchylił przerdzewiałą klapę. Delila skrzyła lusterko wsteczne, aby obserwować jego czynności, ale zobaczyła tam przede wszystkim Gladys, która dziwnie szybko pojawiła się na schodkach od frontu i stała z triumfującą miną zwycięzcy teleturnieju, nie próbując nawet ukryć radości z takiego obrotu spraw.

Postanowili więc poczekać do rana, aż będą mogli wezwać pomoc drogową. Delila nie była pewna, czy ma aktualną polisę ubezpieczeniową, a Gladys nalegała, żeby napili się herbaty, bo właśnie zaparzyła świeżą... Po dwóch filiżankach herbaty, tak mocnej, że mogła przeżreć szkliwo na zębach, do której zjedli pół paczki ciasteczek z pozostałym kremem, Sam zaproponował Delili spacer po plaży, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Na samo słowo „spacer” Fatso nastawił uszu i zaczął jak oszalały merdać ogonem. Widząc jego proszące spojrzenie, Delila założyła kurtkę i wzięła smycz. Wyszli razem na wieczorną przechadzkę w chłodnym, kwietniowym powietrzu.

Po stromych, betonowych stopniach zeszli na kamienistą plażę. Zapadał już zmierzch, więc plaża opustoszała. Siedziało tam tylko dwoje nastolatków w kozuszkach, dzieląc się paczką papierosów i popijając tani jabłecznik. Delila spuściła Fatsa ze smyczy, a on, jak pocisk wystrzelony z pistoletu, popędził w stronę wody. Wskakiwał i wskakiwał do wody, po chwili jego chude nogi wyglądały jak mokre wyciorki do butelek. Delila tak się śmiała, aż musiała przystanąć. Sam zrobił to samo, uradowany jej dobrym humorem. Podobało mu się w niej wszystko - profil twarzy, zadarty w śmiechu nosek, nierówne dolne zęby, gdyż jako dziecko za wcześnie przestała nosić aparat... Nawet włosy w strąkach, jak na głowie mitycznej Meduzy, które opadały wzdłuż policzków i dalej na ramiona... Jeden kosmyk zaplątał się w kołnierz kurtki, więc Sam poczuł nieodpartą potrzebę, aby sięgnąć ręką i wyplątać go...

- Co cię właściwie skłoniło, aby przenieść się do Londynu? - rzucił z pozorną obojętnością, podnosząc z ziemi garść kamyków i przepuszczając je między palcami.

Delila, nie odrywając wzroku od chlapiącego się w wodzie Fatsa, wsunęła ręce do kieszeni dzinsów.

- No, wiesz, po prostu mieszkałam w tym Bradfordzie od urodzenia, aż w końcu mi się znudziło. Potrzebowałam jakiejś zmiany, czegoś nowego i bardziej podniecającego...

Urwała, bo nie chciała wtajemniczać Sama w okoliczności, w jakich poznała Charliego. Gdyby opowiedziała mu o wypadku z pierścionkiem i wydarzeniach w trakcie pobytu na izbie przyjęć w szpitalu - pomyślałby, że zachowała się jak zakochana nastolatka albo zupełna wariatka!

- I co robiłaś w Bradfordzie?

Przykucnęła obok niego na piętach. Podniosła większy kamyk, przesunęła palcami po jego gładkiej powierzchni i z impetem wrzuciła do morza.

- Mieszkałam z moim przyjacielem Lennym i pracowałam jako kelnerka - odpowiedziała, patrząc przed siebie na rozległy przestwór morza. - Żyliśmy ze sobą dość długo, ale w końcu musieliśmy się rozstać (w tym momencie przypomniała sobie, jak złapała Lenny'ego in flagranti z June).

- A co się stało z twoją pracą?

- Olałam ją. Kelnerowanie to gówniana robota.

- Dlaczego więc dalej to robisz?

- Jak myślisz? - prychnęła pogardliwie. - Dla pieniędzy, tak samo, jak ty pracujesz w kawiarni.

- Tak, ale ja nie mam zamiaru na tym poprzestać, to tylko początek. - Oglądając się na nią, kątem oka zobaczył zaciśnięte w odruchu obronnym wargi. Zorientował się, że niechcący poruszył drażliwą materię. - Nie zrozum mnie źle, ja wcale ci tego nie wytykam. Przykro mi tylko patrzeć, jak marnujesz się w takiej robocie, chociaż zasługujesz na coś lepszego. Jesteś przecież inteligentna, bystra, masz takie poczucie humoru... Owszem, możesz dorywczo popracować w tym charakterze, dopóki nie uregulujesz swojego życia osobistego, ale przecież na pewno jest coś, co chciałabyś robić, o czym od dawna marzysz?

Zamilkł, gdy zdał sobie sprawę, jak donośnie brzmi jego głos na tle cichego chlupotu fal morskich. Zupełnie jakby prawil kazanie!

Delila siedziała skulona, machinalnie grzebiąc palcami wśród kamyków. Sam pożałował swojego nieokiełznanego języka, bo wyszło na to, że ją obraził. Już szykował się do przeprosin, gdy odezwała się głosem tak cichym, że ledwo słyszalnym poprzez szum fal.

- Owszem, kiedyś o czymś marzyłam. Jako mała dziewczynka potrafiłam godzinami bawić się słoikami farb, mieszając różne kolory. Mój wujek pracował jako malarz pokojowy i dekorator, więc dni wolne od zajęć chodziłam z nim do domów klientów i podziwiałam, jak potrafi przeobrazić pokój, zmieniając tylko kolor ścian... Chyba już wtedy postanowiłam, że tym właśnie chciałabym się zajmować, tylko nie wiedziałam jak...

Przerwała, aby zetrzeć rękawem kroplę rosy, która osiadła jej na nosie.

- Dopiero kiedy byłam dużo starsza, usłyszałam po raz pierwszy nazwę „dekoracja wnętrz”. Dowiedziałam się, że pod tym pojęciem kryje się nie tylko to, co można zrobić przy użyciu farby i papieru. To tak, jakby obraz nagle zrobił się o wiele większy i znalazło się na nim więcej ciekawych rzeczy. W szkole zawsze byłam dobra z plastyki i rysunku technicznego, a jeszcze nauczyciele skierowali mnie na odpowiednie kursy... Marzyłam o studiach projektowania wnętrz, bo już wiedziałam na pewno, że chcę to robić. Miałam mnóstwo pomysłów, niektóre całkiem zwariowane, ale inne zupełnie

praktyczne, projekty mieszkań, sklepów, restauracji... - Spojrzała na Sama. - Ale mówię głupstwa, prawda?

- Skąd, nie ma w tym nic głupiego. - Widząc, że wzrusza ramionami, dodał: - Nie rozumiem tylko, dlaczego w takim razie nie podjęłaś studiów w tym kierunku?

- Marzenia marzeniami, a życie życiem.

- Tak wcale nie musi być. Dobrze wiesz, że jeszcze teraz nie jest za późno, żebyś zapisała się na studia zaoczne lub wieczorowe. Jeśli tylko zechcesz, możesz znaleźć mnóstwo sposobów, by realizować marzenia...

Nie odpowiedziała, tylko wpatrzyła się w czubki swoich butów, machinalnie skubiąc kawałek podeszwy, który zaczął odstawać. W głowie miała kompletny zamęt. Sam brutalnie wtargnął w najtajniejsze zakątki jej duszy i obudził pragnienia, które po dziesięcioletnim pożyciu z Lennym właściwie przestały istnieć. Nie przypuszczała, że ktokolwiek mógłby potraktować jej aspiracje poważnie, a nie wyśmiewać jej jak Lenny. Sam wcale nie uważał jej za idiotkę, wprost przeciwnie, wierzył, że mogłaby jeszcze ukończyć studia z zakresu projektowania wnętrz i zrobić w tej dziedzinie karierę. Wykraczało to znacznie poza sferę marzeń.

Czuła się jednak niepewnie, gdyż zdażyła już wybić sobie z głowy te dziecinne, jak myślała, rojenia, a teraz Sam ponownie przywrócił je do życia. Wmawiał jej, że to, z czego zrezygnowała dziesięć lat temu, jest całkiem możliwe. Może i miał rację, tylko że teraz marzyła już o czym innym - o podniecającym życiu u boku Charliego. W końcu po to przecież przyjechała do Londynu, bo tego pragnęła najbardziej na świecie.

- Zimno mi! - poskarżyła się, bo nie mogąc dać sobie rady z huśtawką sprzecznych emocji, wołała skupić uwagę na ostrym wietrze. Najpierw zaczęła rozcierać ręce, potem przysunęła złączone dłonie do ust, aby chuchać na nie ciepłym powietrzem.

- Daj, ogrzeję ci. - Sam ujął jej dłonie we własne, gorące jak grzanka świeżo wyjęta z tosterka. - Lepiej chodźmy już.

Chętnie wstała, bo zeszywniała z zimna i bezruchu. Zagwizdała na Fatsa, który wysforował się daleko naprzód, obwąchując ślady krabów i wyrzucone na brzeg wodorosty. Przybiegł jednak szybko z powrotem, wzięli go na smycz i skierowali się ku domowi. Sam ściągnął swoją starą, barankową kurtkę i narzucił na ramiona Delili, która uśmiechnęła się z wdzięcznością. Po raz pierwszy przejawy jego czułości nie wzbudzały w niej zażenowania. Może to, że opowiedzieli o swoich marzeniach, zbliżyło ich do siebie, w każdym razie w ich wzajemnych stosunkach zaszła zmiana. Sam także zdawał sobie z tego sprawę, bo przyciągnął Delilę mocniej do siebie, a i ona czuła się z tym swobodnie i naturalnie. Poszli więc do domu przytuleni do siebie, wzajemnie ochraniając się przed podmuchami wiatru. Pod ich stopami chrzęściły kamyki, a u boku biegł mały piesek o pięknej sylwetce charta.

W gościnnym domu matki Sama Delila zaczęła ziewać. Dopiero teraz poczuła zmęczenie, spętęgowane obfitym posiłkiem i spacerem na świeżym powietrzu. Sam po dżentelmeńsku zaoferował się, że będzie spał na kanapie w salonie, a gościnny pokój odstąpił Delili i Fatsowi, przestrzegając tylko, aby pies nie zbliżał się do elektrycznego grzejnika. Odprowadził ją do pokoju, poczekał, aż otworzyła drzwi i wpuściła Fatsa do środka.

- Jesteś pewien, że dobrze ci się będzie spało na kanapie? - spytała, odgarniając włosy z czoła.

Sam przecząco potrząsnął głową, zwracając równocześnie uwagę na cienki, srebrny łańcuszek w zagłębieniu między jej obojczykami, nachylenie szyi i małą żyłkę pulsującą na płątku usznym. Jak mógł dobrze spać na kanapie, kiedy najchętniej położyłby się obok Delili, czuł przy sobie jej drobne ciało, całował w szyję i ten delikatny płatek uszny? Szczególnie podniecała go teraz, tak uroczo zaspansana i rozczochrana! Czuł, że teraz albo nigdy. Spojrzał na nią, ale spostrzegł, że ona też patrzy na niego, czekając, aby pierwszy się odezwał.

- No, to miłych snów! - wydusił, ale po chwili sam ledwie mógł uwierzyć, że zwrócił się do niej w taki sposób, jakby co najmniej był jej dziadkiem!

Zapadło kłopotliwe milczenie, aż w końcu Delila, opierając się o framugę drzwi, bąknęła:

- Nawzajem!

Dopiero teraz zaświtało jej w głowie, że, być może, Sam chciał powiedzieć lub zrobić coś więcej. Czekala na to, ale on się nie odezwał. Po prostu po tym jednym zdaniu, które wypowiedział, odebrało mu mowę. Delila też poczuła się niezręcznie, choć na plaży zdążyli już znacznie zbliżyć się do siebie, tak fizycznie, jak i psychicznie. Wtedy nie przeszkadzało jej, że obejmował ją ramieniem, ale w jego domu krępowala się zwyczajnie uściskać go na dobranoc. Może to tapeta w kwiatki i perkalowe zasłony dopomogły w sprowadzeniu rzeczy do właściwych wymiarów i przypomniały o granicach ich poufności?

Starala się zobaczyć wyraz jego twarzy, ale nie zdołała, gdyż stał akurat w cieniu. Nie miała więc innego wyjścia, tylko powiedzieć cokolwiek. Nie mogli przecież sterczeć tak przez całą noc!

- No to do zobaczenia jutro. - Tyle tylko była w stanie wykrztusić.

- Tak, do jutra! - Sam z wymuszonym uśmiechem wcisnął ręce do kieszeni. Delila znikła za drzwiami sypialni. Kiedy zatrzasnęły się za nią - nie musiał już udawać dobrego humoru i zmełł w ustach gniewne słowa.

Delila, ledwo znalazła się w sypialni, rzuciła się na łóżko przykryte bladoniebieską kapą i wpatrzyła się w kremowe ściany. Jeszcze przed chwilą wydawało jej się, że Sam chciał coś powiedzieć czy zrobić. Może nawet zamierzał ją pocałować? No nie - aż pokładała się ze śmiechu! Sam z pewnością nie patrzył na nią w ten sposób, przecież byli tylko dobrymi kumplami. Swoją drogą ciekawe, co zrobiłaby, gdyby rzeczywiście próbował. Odepchnęłaby go czy nie? W końcu skarciła sama siebie za głupie myśli. Musiała chyba być bardzo zmęczona, żeby tak bredzić!

Nie rozbierając się, najpierw posadziła Fatsa na łóżku, a potem sama wśliznęła się pod puchową kołdrę, z rozkoszą wdychając zapach świeżo wyprasowanej pościeli, przesiąkniętej wonią saszetek zapachowych i płynu do płukania tkanin. Przytuliła się do Fatsa, ale gdy tylko zamknęła oczy - przyśniła się jej pieczeń wołowa z kartoflami, Gladys w moherowym swetrze, Sam i... nie wiedziała, co jeszcze, bo zapadła w głęboki sen. Była to pierwsza noc, kiedy nie śniła o Charliem.

21

Do Londynu dotarli dopiero o piątej po południu, gdyż cztery godziny zajęła im jazda szosą M23, zatłoczoną do niemożliwości samochodami powracających weekendowiczów. Drogę powrotną umilały im taśmy z piosenkami Toma Jonesa i przygotowana przez troskliwą Gladys wałówka - kanapki z pieczoną wołowiną i dwie butelki herbaty, jedna słodzona, druga nie. Delila już od siódmej rano czekała na mechanika ze stacji obsługi, który nie dość, że przyjechał znacznie później, niż zapowiadał, to od razu wyprowadził ją z równowagi. Najpierw długo kręcił głową nad jej samochodem, prychnął pogardliwie, aby w końcu orzec, że ten gruchot nadaje się już tylko na złom. Nie dała się jednak łatwo zniechęcić, bo nie miała zamiaru rozstawać się z ukochanym garbusem. Wdzięcząc się, trzepocząc rzęsami i popłakując, zdołała więc na tyle zmiękczyć fachowca, że doprowadził wóz do stanu jakiejś takiej używalności.

Przy Westbourne Grove musiała użyć hamulca ręcznego, bo okładziny hamulcowe miała starte do grubości bibułki. Ominęła bezalkoholowy bar Mungo's Jamba i rząd zielonych kontenerów na śmieci, aby z chrzęstem blach zajechać na parking koło kawiarni Prima Donna. Nie wyłączyła silnika w obawie, że mogłaby drugi raz go nie zapalić.

- Dziękuję za tak miły weekend! - uśmiechnęła się do Sama z wdzięcznością. Była co prawda zmęczona, ale dawno już nie miała tak dobrego nastroju. Najwidoczniej po dwóch tygodniach pobytu w gwarnym, zatłoczonym Londynie i pojadania w biegu morskie powietrze i pożywny, domowy posiłek wywarły na nią zbawienny wpływ. No i przestała wreszcie wbijać wzrok w telefon, czekając na wiadomość od Charliego.

Sam początkowo nie zareagował na jej słowa, więc przypuszczała, że nie usłyszał ich wskutek głośnej pracy silnika. Powtórzyła więc, prawie krzycząc:

- Mówiłam, że dziękuję ci za miły weekend!

Aż podskoczył, bo przerwała tok jego myśli. Zastanawiał się właśnie, czy powinien zaprosić Delilę na kolację i w myśli przepowiadał sobie, co ma powiedzieć. Postanowił bowiem, że więcej nie będzie puszczać spraw na żywioł, aby znów nie wysnęła mu się jakaś niefortunna odzywka w rodzaju „miłych snów”. Pocierając ręką szczecinę niegolonego zarostu, zdecydował się na ryzyko:

- Hmmmm... tego... zastanawiałem się właśnie, czy nie chciałabyś zjeść dziś ze mną kolacji? Zobaczyłbym, czy... tego... jeszcze potrafię gotować...

Nie przeszło mu to łatwo przez gardło, ale zabrzmiało to lepiej niż wczoraj. Teraz czekał na odpowiedź, co zdawało się trwać wieki.

- Ależ bardzo chętnie! - rzuciła lekko, ze śmiechem. - Tylko jeśli karmisz tak, jak twoja mama, to niedługo zrobię się szersza niż dłuższa.

Sam wytrzeszczył oczy, gdyż prawdę mówiąc, nie spodziewał się pozytywnej odpowiedzi. Był przygotowany raczej na odmowę, więc kompletnie go zatkało.

- Żartowałam, głuptasie! - Dała mu sójkę w bok. - O której to ma być?

- Hmmmm... gdzieś około ósmej.

- Super! Już się nie mogę doczekać!

Machała za nim ręką, kiedy już wysiadł i, oszołomiony, powoli się oddalał. Odjeżdżając, widziała jeszcze we wstecznym lusterku jego malejącą sylwetkę. Wrzucając trzeci bieg, wspominała ze śmiechem swoje przemyślenia ostatniej nocy. Też coś, wyobrażała sobie, że Sam będzie chciał ją pocałować? Był dla niej po prostu fajnym kumplem i łaska boska, że go poznała, ale przecież wcale się w niej nie zakochał, tak samo, jak ona w nim. To, że ona była kobietą, a on mężczyzną, nie oznaczało automatycznie, że między nimi musiał wytworzyć się pociąg seksualny. Mogli przecież pozostawać w związku platonicznym, czyli zostać po prostu dobrymi przyjaciółmi! Zadowolona zwiększyła obroty silnika, choć znosiło ją w bok na dwóch łyśych oponach, i skręciła na rondzie w kierunku domu.

Sam śledził oddalającego się w chmurze spalin „garbusa”, nie mogąc uwierzyć, że Delila przyjęła zaproszenie na kolację. Z radości przymknął oczy i wciągnął głęboko w płuca spory haust londyńskiego powietrza. Jeszcze nigdy nie wydało mu się ono tak aromatyczne!

- Hej, jest tam kto? - Delila z trzaskiem zamknęła za sobą drzwi frontowe i w podskokach pokonała tor przeszkód na zagraconym korytarzu. Zauważyła, że radzi sobie z tym coraz lepiej i gdyby nabyła więcej wprawy, mogłaby przedostawać się tamtędy z zamkniętymi oczami.

- Jestem w salonie, kochanie! - odpowiedział jej tubalny głos Vivienne.

Delila wpadła tam z impetem, wołając „cześć!”. W drzwiach stanęła jak wryta. Vivienne spoczywała w niedbalej pozie na kanapie u boku siwowłosego, łyśawego jegomościa w dobrze zaawansowanym wieku. Okrywała się czymś, co przypominało skórę zdechłego zwierzęcia, a na jej palcu tkwił pierścień z brylantem wielkości mniej więcej kostki Rubika. Czyżby w ciągu jednego, świątecznego weekendu Vivienne przeobraziła się w Elizabeth Taylor?

Rozpromieniona, zamachała do niej ręką z kanapy.

- Delilo, przedstawiam ci mojego narzeczonego, Harolda! - Czule pociągając staruszka za mięsiste uszy, wycisnęła wilgotny pocałunek na czubku jego łyśiny i zwróciła się znów do Delili: - Czy to nie cudowne?

Delilę kompletnie zatkało. Ten narzeczony na oko liczył sobie około dziewięćdziesiątki! Mało tego, że w jego lewym uchu tkwiła brązowa ebonitowa końcówka aparatu słuchowego, to jeszcze skórę miał przezroczystą i upstrzoną plamami wątrobianymi. Tak zwykle wyglądają ludzie w wieku, kiedy otrzymują już telegram z gratulacjami od królowej.

Vivienne w radosnych podskokach obiegała pokój dookoła, o mało nie strącając swoim futrem bibelotów z porcelany.

- W lipcu weźmiemy ślub kościelny. Czy to nie jest zachwycające?

Delila uważała, że odpowiedniejsze byłoby raczej wyrażenie „przerażające”. Ciekawe, czy ten dziadyga zdawał sobie sprawę, że następnym razem przekroczy próg kościoła nogami do przodu?

- Nie za szybko? - spytała ostrożnie Delila, nie chcąc psuć koleżance zabawy. Z drugiej strony jednak miała przeczucie, że ktoś powinien tę dziewczynę ściągnąć z obłoków. Ten jej Harold leżał teraz rozwalony na kanapie, nie wiedząc o bożym świecie. Tylko czekać, kiedy zacznie się ślinić.

- Może i za szybko - przyznała Vivienne - ale tak nalegał, że nie mogłam odmówić.

Delila miała na końcu języka pytanie: „Dlaczego nie?”. Zadała jednak inne:

- Kiedy to on tak nalegał?

W gruncie rzeczy ono też było głupie. Ten stary ramol nie wyglądał na kogoś, kto byłby w stanie nalegać.

- W jego wiejskiej rezydencji, tuż przed wyjazdem na polowanie - odpowiedziała Vivienne.

- To pewnie wtedy upolował tego lisa? - Delila wskazała na futerko.

- Głuptasie, to norki! Harold dał mi je w prezencie zaręczynowym, razem z pierścieniem. Widziałś go?

- Trudno byłoby nie zauważyć! - mruknęła Delila. Nie mogła zrozumieć, co się stało z Vivienne. Gdzie się podziała ta cyniczna, bezpruderyjna awanturnica, jaką знаła dotychczas? - Kiedy jeździłaś do tej jego wiejskiej rezydencji?

- Wczoraj. Trudno chyba, żebym przesiedziała cały weekend sama w domu! - Wymówiła te słowa z naciskiem jako wyraźną aluzję pod adresem Delili.

- Ach, więc to przeze mnie tak wpadłaś, czy raczej dałaś się złapać?

- Psssst! - syknęła Vivienne, kładąc palec na usta. - Nie mów tak głośno!

- Nie przypuszczam, aby był w stanie to usłyszeć.

Vivienne z ponurą miną wypchnęła ją szybko do kuchni, szczebiocząc przez ramię:

- Poczekaj chwileczkę, kochanie, tylko trochę tu sobie poplotkujemy!

Harold z trudem podniósł ciężkie powieki, chrząknął i znów je opuścił...

- Co tu się, do jasnej cholery, dzieje? - zaatakowała ją Delila.

- Po prostu pobieramy się z Haroldem! - oświadczyła Vivienne, wyzywająco unosząc podbródek i czule gładząc futerko z norek. - Zwyczajnie, będę panną młodą i tyle!

- Odkąd to zapragnęłaś zostać panną młodą? - Delila wciąż nie mogła przetrwać tej nowiny. Vivienne rozmawiała już z nią o tylu rzeczach - o seksie, mężczyznach, swoim uczuciu na produkty zbożowe, ale nigdy o małżeństwie.

- Chyba każda kobieta tego chce, dlaczego ja mam być inna! - Spojrzenie, jakie rzuciła Delili, było wręcz błagalne. - Dobrze ci mówić, jesteś dopiero po dwudziestce, a ja mam już trzydzieści pięć lat, w tym roku skończę trzydzieści sześć. Czas ucieka, młodsze modelki już mnie wypierają z rynku i jeszcze trochę, a zostanę na lodzie... - Pewnie pomyślała w tym momencie o swoim byłym przyjacielu Dwayne'u, który opuścił ją dla szesnastoletniej sprzedawczynie cukierków. - Wszystkie moje koleżanki są już albo zamężne, albo zaręczone. Prawdziwa epidemia! Gdziekolwiek się obejrzysz, wszędzie zdjęcia dam w powiewnych białych sukniach, nawet na okładce „Vogue'a”. A jeśli wszyscy się pobierają, to znaczy, że czas na działanie!

Robiła w tym momencie wrażenie osoby tak samotnej i opuszczonej, że Delila poczuła się winna. W gruncie rzeczy kto jej dał prawo do sądzenia innych? Sama też nie pokierowała swoim życiem jak należało...

- Przepraszam cię. - Zaczęła się szybko wycofywać. - Nie chciałam być wobec ciebie złośliwa. Po prostu zaskoczyłaś mnie z tym Haroldem i tyle. Nie chciałabym też, żebyś się wpakowała w coś, czego będziesz później żałować...

Urwała, bo zabrzmiało to jak stare, wyświechtane powiedzonko: „Rób tak, jak ci mówię, ale nie rób tak, jak ja robię”.

Vivienne zatrzepotała rękami i zrobiła minkę małej, niezaradnej dziewczynki.

- Byłaś dla mnie taka niemiła! - poskarżyła się, wydymając dolną wargę.

Delila, chcąc ją udobruchać zmieniła temat:

- Ale pierścionek masz super! - Pochlebstwo było dla Vivienne tym samym, co wrząca woda dla kupnego makaronu. Dopiero co sucha, twarda i zimna - po chwili stawała się ciepła, miękka i apetyczna.

- Prawda? - wykrzyknęła radośnie, od razu odżywając. - Harold odziedziczył go po matce. Złoto jest osiemnastokaratowe, szlif książęcy, a sam brylant ma pięć karatów. Czy to nie jest cudowne?

Delila entuzjastycznie przytaknęła, przez uprzejmość nie szczędząc „ochów i achów”.

- A nie wydaje ci się... - zaczęła ostrożnie - że Harold jest może dla ciebie trochę za... poważny?

Vivienne chuchnęła na brylant w pierścionku i przetrąła go do połysku brzegiem grubej, ochronnej rękawicy. Dopiero wtedy udzieliła odpowiedzi.

- Wiem, że on nie jest materiałem na idealnego męża. Grunt, że jest słodki i że mnie kocha.

Podniosła pierścionek pod światło, wymachując triumfalnie serdecznym palcem.

- A ty go kochasz? - zapytała Delila.

Vivienne przeniosła wzrok z pierścionka na nią.

- W każdym razie bardzo go lubię.

- Ale czy jesteś w nim zakochana?

- Bo ja wiem? A po czym to poznać?

- To wspaniałe uczucie, ale może też być bardzo przykre. Tak czy siak, każdy wie, czy jest zakochany, czy nie jest.

- No cóż, nie można mieć wszystkiego! - westchnęła Vivienne, wtulając się w swe norki.

- A niby dlaczego nie?

- Bo życie jest życiem, nie powieścią Barbary Cartland.

Delila wcale się z nią nie zgadzała. Czy życie miało oznaczać to samo co pożycie z niedołężnym starcem, łysym i niedosłyszącym? Czy nie mogła przynajmniej pomarzyć sobie o prawdziwej miłości i o tym, że porywa ją przystojny brunet, najchętniej o imieniu Charlie?

- Dobrze, niech przynajmniej jedna z nas ma faceta! - westchnęła, nachylając się nad kuchenką.

- Jak to, a co się stało z twoim Charliem?

- Nic, po prostu więcej nie zadzwonił.

Vivienne wydała zdławiony okrzyk przerażenia, zasłaniając usta dłonią.

- Och, kochanie, całkiem zapomniałam...

- O czym?

- Charlie zostawił dla ciebie wiadomość.

- O rany, kiedy? - Delila nie wierzyła własnym uszom.

- Wczoraj. - Vivienne nerwowo przełknęła ślinę.

- Wczoraj?

- Tak.

- I co powiedział?

W obawie przed jej gniewem Vivienne zaczęła trzepać bez sensu i związku:

- Słuchaj, on był w Szkocji, Widocznie kręcił tam film, na Hebrydach czy innym zadupiu. Nie mógł zadzwonić, bo tam nie było telefonów. Nie rozumiem, jak ludzie mogą obywać się bez komórek. To chyba zupełnie prymitywy...

- Dobrze, ale co powiedział? - Delila przerwała jej ze złością.

- Że przyjedzie po ciebie o ósmej.

- Dziś?

- Tak, o ósmej!

Delila umilkła, najpierw zbladła, potem poczerwieniała, a w końcu roześmiała się od ucha do ucha.

- Wiedziałam, że skoro nie dzwoni, to musi mieć ważny powód! Od razu poznałam, że na pewno nie wciska mi kitu!

Vivienne przez grzeczność nie chciała jej przypominać, że jeszcze dwa dni temu wygłaszała całkiem inne poglądy. Kiedy Delila wracała z pracy w Kuchni Domowej, gdzie próbowała zalać robaka wódką i Red Bullem - na cały głos wyzywała Charliego od kłamców i miała ochotę kopnąć telefon!

- No i co, spotkasz się z nim?

- Pewnie! - wyrzuciła z siebie jednym tchem Delila. Jakże Vivienne mogła w to wątpić? - Przy dobrych układach może odbędzie się podwójne wesele!

Zachichotała na widok miny Vivienne i z radosnym podnieceniem popędziła ku drzwiom.

- Muszę jeszcze szybko wziąć prysznic! Posiedzisz trochę z Fatsem? - rzuciła w biegu i po chwili jej nogi zadudniły po schodach. Biorąc po dwa, trzy stopnie naraz śmiała się w duchu, że jednak wuj Stan nie miał racji. Okazało się, że bez trudności usidliła chłopaka, trzeba było tylko trochę poczekać, no, a taki Charlie wart był tego.

22

Sam odwinął rybę z gazety i z lubością wciągnął jej zapach. Chyba nic na świecie nie pachnie tak przyjemnie jak świeży łosoś! Wystarczy go natrzeć kolendrą, skropić sokiem z cytryny i upiec na warstwie listków rukoli, a potem dodać tylko odrobinę masła szałwiowego. Delicje!

O wpół do siódmej kawiarnia jeszcze świeciła pustkami, bo gdy Delila zgodziła się na kolację, postanowił nie otwierać lokalu. Zamiast tego skoczył na Portobello po niezbędne zakupy. Z pietyzmem wybrał najświeższą rybę, a owoce i warzywa obmacywał i wachał, dopóki nie wybrał najdojrzalszych, choć sprzedawcy nie byli tym zachwyceni. Odwiedził także miejscowego handlarza win - posiadacza imponująco czerwonego nosa - aby zasięgnąć jego porady w sprawie doboru odpowiedniego wina do każdej potrawy. Słowem - wziął się, aby zaimponować *Delili* kompozycją menu i wystrojem wnętrza, jakich nie powstydziałaby się najlepsza restauracja w Londynie.

Nałożył więc fartuch i przystąpił do przygotowywania składników: pęczków świeżych ziół, torebek pomidorków koktajlowych i grzybków, główki czosnku, kawałka pikantnego parmezanu... Czynił to w podnieceniu, bo tego wieczoru postanowił wyznać *Delili* swe uczucia i sprawdzić, co ona czuje względem niego. Odniósł bowiem wrażenie, że podczas spaceru po plaży coś między nimi zaiskrzyło. Może był to tylko przebłysk nadziei, ale zawsze lepsze to niż nic.

Otworzył słoik malin i obtoczył je w zastygającym syropie - miały posłużyć do dekoracji specjalnego puddingu. Spróbował jedną i pociekła mu ślinka. Taki deser stanowiłby ozdobę niejednego wystawnego menu! Przez następne półtorej godziny zajmował się nadawaniem potrawom wykwintnego wyglądu, smaku i zapachu. Posiekał zioła, usmażył grzybki, utarł parmezan i ubił śmietankę. Wszystkie sosy pieczolowicie ukreślił i przetaił, szparagi poukładał na półmisku z precyzją chirurga, a butelkę czerwonego wina zawczasu odkorkował, aby jej zawartość mogła „oddychać”. Zaciągnął

żaluzje, ławki poodsuwał pod ściany, a na środku sali ustawił rustykalny stół na kozłach. Oświetlił lokal rozproszonym światłem małych, nastrojowych lampek, a w stalowym pojemniku na śmieci, zastępującym wazon, umieścił duży bukiet białych lilii. Za pięć ósma zdjął fartuch, przeczesał palcami półcentymetrową szczecinkę na głowie i odprężony oparł się o automat do coca-coli. Odczuwał satysfakcję ze swojej pracy, dzięki której zdołał przemienić kawiarnię w romantyczną grootę, a przynajmniej jemu się tak wydawało

Nalał sobie szklaneczkę wina, przebrał się w czystą koszulę świeżo odebraną z pralni i usiadł przy stole, przecierając jeszcze serwetką noże i widelce. Miał zamiar położyć jedną lilię z bukietu przy nakryciu Delili, ale zrezygnował z tego pomysłu, gdyż wydał mu się banałem w stylu *Randki w ciemno*. Planował intymną kolacyjkę we dwoje, ale bez taniego sentymentalizmu. Pociągnął łyk wina i spojrzał na zegarek - było już piętnaście po ósmej. Coś ta Delila się spóźniała! Może nie zdążyła się wyszykować albo zagadała się z Vivienne, która oczywiście musiała jej opowiedzieć o swoim najnowszym podboju seksualnym? W trakcie tych rozmyślań osuszył zawartość szklanki i nalał sobie drugą. Równocześnie spekulował, że, być może, Delila zrezygnowała z pieszego spaceru i zamówiła taksówkę. Wstał, aby rzucić okiem na przygotowane potrawy i uznał, że wszystko jest dopięte na ostatni guzik. Tymczasem duża wskazówka ściennego zegara w mahoniowej obudowie zbliżała się do pozycji wpół do dziewiątej. Gdzie ta Delila się podziała?

W tym momencie zadzwonił telefon, którego przenikliwy sygnał przebił się przez cikliwą piosenkę kubańską z płyty kompaktowej. Podniósł słuchawkę i przycisnął ją podbródkiem do obojczyka, bo w tym samym czasie przyprawiał sałatę.

- Słucham?

- To ty, Samie? - Delila dzwoniła chyba z komórki.

- Tak, to ja. Co z tobą? Czekasz na taksówkę? - Sposób, w jaki trzymał słuchawkę, utrudniał mu wyraźny odbiór, więc odłożył sztucce sałatkowe i wziął tubkę w rękę.

- Nie, bo widzisz, jestem akurat z Charliem... Jedziemy razem na otwarcie jakiejś wystawy... - W tle słyhać było męski głos i chichot Delili. - Przykro mi, że z naszego dzisiejszego spotkania nic nie wyjdzie. Wiem, że szykowałeś jakąś kolację, ale akurat Charlie zadzwonił... - Znów zachichotała. - To znaczy, on dzwonił już przedtem, ale Vivienne zapomniała mi powiedzieć. Chciałam dać ci znać wcześniej, ale wyleciało mi z pamięci... Samie, słyszysz mnie? Samie...

Sam przyłapał się na tym, że w milczeniu ścisnął słuchawkę.

- Tak, jestem przy telefonie.

- No więc jeszcze raz cię przepraszam. Chyba nie narobiłam ci kłopotu?

- Skądże, ugotowałam tylko spaghetti. - Równocześnie ogarnął wzrokiem wymyślne potrawy, wino i kwiaty. - To żaden problem.

- Może innym razem... - W tym miejscu na linii wystąpiły szумы i trzaski. - Muszę kończyć, bo wjeżdżamy w tunel. Zadzwoń do ciebie jutro. Cześć!

- No to cześć. - Sam odłożył słuchawkę na widełki, ale nadal stał jak wrośnięty w ziemię. W głowie dźwięczało mu echo jej słów „Może innym razem...”. Ze smutkiem patrzył na lilie stojące smętnie w zaimprovizowanym flakonie, na migoczące, nastrojowe światełka i smakowicie przyrządzone potrawy, w których dekorację włożył tyle serca. Czuł się jak ostatni idiota, bo zwyczajnie wszystko spieprzył. Jak mógł być tak głupi, aby uwierzyć, że wygra w konkurencji z Charliem? Delila miała go gdzieś, kochała tylko Charliego.

W wisielczym nastroju wysączył do dna zawartość szklanki wina i nalał sobie następną. Cóż innego pozostało porzuconemu mężczyźnie, który miał za jedyne towarzystwo trzy butelki wina merlot? Z każdym kolejnym łykiem czuł, jak alkohol uderza mu do głowy. Nie mógł zrobić nic więcej, jak tylko utopić smutki.

23

- Jak to się wyłącza?

- Tym czerwonym guziczkiem. - Charlie śmiał się serdecznie, obserwując niezdarne manipulacje Delili z jego komórką.

- Ach, tak! - Uśmiechając się głupkowato, zakończyła rozmowę i rozsiadła się wygodnie na czarnym skórzanym siedzeniu srebrzystego BMW cabrio.

- No więc kim jest ten jakiś Sam? - Charlie dodał gazu i wrzucił czwarty bieg, przejeżdżając z dużą szybkością przez Ladbroke Grove.

- To tylko znajomy - skłamała, próbując zminimalizować znaczenie tej znajomości, aby Charlie nie wyciągnął błędnych wniosków.

- Akurat, głowę daję, że leci na ciebie! - Mrugając wymownie, zdjął rękę z dźwigni zmiany biegów i położył na jej nodze. - Często gotuje ci kolację?

- To nie jest tak, jak myślisz - zaprotestowała. - On po prostu jest kucharzem i czasem wypróbuję na mnie nowe przepisy. W tym momencie pomyślała o odrzuconym zaproszeniu Sama i Zrobiło się jej trochę niewyraźnie. A nuż się obraził?

- Zakład, że chciał wypróbować nie tylko to! - drażnił się z nią Charlie, znacząco ściskając jej udo.

Delila zachichotała, ale z pewnym zażenowaniem, bo jego dotyk wprawiał ją w rozkoszne drżenie.

- Och, nic z tych rzeczy. Sam jest tylko dobrym kumplem. - Wyzbyła się obaw. Sam na pewno nie będzie na nią zły. Może nawet się ucieszył, bo przecież wiedział, jak czekała na telefon od Charliego.

- Oj, coś moja pani za dużo mi się sprzeciwia! - Charlie nie patrzył na nią, ale na jego wargach wykwitł łobuzerski uśmiezek. Delila wyglądała przez okno, kontemplując mijane w pędzie domy. Za nic nie przyznałaby się do tego, ale była zadowolona, że jest o nią zazdrosny.

Na małym rondzie skręcili ostro w lewo, w ulicę obsadzoną drzewami. Charlie dodawał gazu, omijając wyboje, sennych policjantów i przechodniów, aż zahamował i precyzyjnie wpasował swój pojazd w lukę między zielonym samochodem typu kombi a sportowym mercedesem.

Zaparkowali pod dawnym urzędem pocztowym, wciśniętym między równie stare domy. Po przeciwnej stronie ulicy, pod ścianą komunalnego bloku z czerwonej cegły przepychała się grupka kilkunastoletnich chłopaków w dresach. Dzieląc między siebie transporter z sześcioma butelkami piwa i paczkę papierosów, pożerali wzrokiem luksusowe samochody ustawiające się w rzędzie przy przeciwległym krawężniku. Taki widok był darem nieba dla wyrostków, którzy dopiero co zdali egzaminy na prawo jazdy.

- Gdzie jesteśmy? - zainteresowała się Delila, wysiadając z wozu.

Miejsce, w którym się znaleźli, przypominało jej bowiem „rozrywkową” dzielnicę Bradfordu. Ilekroć przejeżdżała tamtędy, starała się nie patrzeć na prostytutki, które pilnowały przypisanych sobie rewirów chodnika. Teraz, w minispódniczce i czółenkach na wysokich obcasach (pożyczonych od Vivienne, której kolekcja butów nieomal dorównywała sławnej kolekcji Imeldy Marcos), ni stąd, ni zowąd poczuła się zupełnie jak jedna z nich. W odruchu obronnym założyła ręce na piersiach.

- To ta galeria, o której ci mówiłem - wyjaśnił Charlie, nakładając skórzaną kurtkę. - Chodź, przedstawię cię autorom wystawy, to moi znajomi.

Objął ją w pół ramieniem i pocałował w czubek nosa.

- Nie denerwuj się, zobaczysz, jak będzie fajnie!

Zajrzał jej głęboko w oczy i nie zważając na rodzący się w nich niepokój nacisnął dzwonek domofonu. Na dźwięk uruchomionego od wewnątrz automatu do otwierania pchnął ciężkie, stalowe drzwi.

Weszli do pomieszczenia, w którym kłębiły się tłumy ludzi trzymających w ręku kieliszki szampana. Przy akompaniamencie szmeru rozmów i pobrzękiwania szkła goście snuli się między czterema ścianami, na których wisiały kolorowe płótna oświetlone reflektorami punktowymi. Charlie zaprowadził Delilę na środka sali, gdzie wziął z rąk apatycznego kelnera dwa kieliszki moët i podał jej jeden z nich.

- Zostań tu, zaraz wrócę - szepnął jej do ucha, łaskocząc kark swym gorącym oddechem.

- A ty gdzie się... - zaczęła, ale zanim dodała „...wybierasz?“, jego szerokie plecy już znikły w tłumie. Pozostawiona sama sobie, z nerwów pociągnęła duży łyk szampana i obróciła się na szpilkach o 360 stopni wokół własnej osi. Zauważyła na sali wiele znanych twarzy. W jednym kącie dwie prezydentki telewizyjnych programów dla dzieci, w sportowym obuwiu i stanikach podnoszących biust, chichotały, zaciągając się na zmianę jednym skrzętem z marihuany. Gdzie indziej znów paczka panienek ze „śmietanki towarzyskiej“ rozpijała już druga skrzynkę szampana, wymieniając zachwyty na temat swojej biżuterii. Natomiast na obrazy właściwie nikt nie zwracał uwagi.

Delila opróżniła swój kieliszek i sięgnęła po następny, bo czuła się nieco nieswojo w otoczeniu tylu osób znanych z telewizji lub pisma „Hello!“. Znanych, co znaczy, że ona znała ich, a nie oni ją: Mimo to traktowała ich jak starych przyjaciół, bo przecież spędziła tyle miłych wieczorów, oglądając ich na ekranie lub na stronach tygodnika. Z telewizyjnych wiadomości dowiadywała się o najstaranniej ukrywanych sensacjach z ich życia. Korciło ją, aby włączyć się do ich rozmowy, nie miała jednak śmiałości. Nie należała przecież do ich towarzystwa i nie wiedziałyby nawet, kiedy ma się śmiać - na pewno wzięliby ją za kompletną wariatkę!

Po dwóch kieliszkach szampana wyzbyła się lęku, za to pojawił się niepokój. Nudziło ją oczekiwanie na Charliego, więc zaczęła bez celu kręcić się po sali, porywając po drodze kolejny kieliszek szampana i garść pasztecików z wędzonym łososiem. Kiedy już z grubsza zaczęła pojmować, o co w tej zabawie chodzi - nagle poczuła na sobie czyjeś palące spojrzenie. Zorientowała się, że o mały włos, a wpadłaby na damę z galerii ubioru Przygoda, podobną do Elvisa Costello. W porę uskoczyła na bok, chowając się za plecami osobnika przypominającego mamuta włochatego. Gdy przypatrzyła mu się uważniej, okazał się tęgą, nienaturalnie owłosioną kobietą w średnim wieku - redaktorką kroniki towarzyskiej w gazecie o zasięgu krajowym.

Znajdując się tuż obok nie sposób było nie podsłuchać jej rozmowy z tyczkowanym facetem młodszym od niej mniej więcej o połowę. Bubek w czarnym aksamitnym garniturze i koszuli ozdobionej falbankami, z wypielęgnowaną hiszpańską bródką, tak żywo gestykulował wymachując rękami w koronkowych mankietach, jakby przynajmniej dyrygował Orkiestrą Filharmonii Narodowej.

- Wspaniale są te ostre pociągnięcia pomarańczowym markerem, co za głębia! - zachwycał się namiętnie, marszcząc czoło jak zawodowy krytyk sztuki.

- Rzeczywiście, szczególnie w połączeniu z tym niebieskim tuszem, zupełnie jak u Pollocka! - rozmarzyła się włochata dama, prowokująco oblizując lepkie od szminki wargi i przysuwając się bliżej.

Delila rzuciła okiem na obraz, którego dotyczyła dyskusja. Wydał się jej plątaniną zygzaków nabazgranych markerem i długopisem, jak na karteczkach przy aparacie telefonicznym, na których kreśli się pobieżne notatki. Po bliższym przyjrzeniu się zauważyła tytuł dziełka - „Nuda“, autorstwa Petal Plummer. Nazwa ta oddawała dokładnie to, co sama w tej chwili czuła. Charliego nie było już

prawie od trzech kwadransów. W tym czasie, gdyby tylko dorwała paczkę flamastrów, mogłaby sama namalować coś podobnego.

- Delilo, chciałbym cię przedstawić moim wspianiałym kumpelkom.

Odwracając się, zobaczyła za sobą Charliego, który każdym ramieniem obejmował inną talię, nie szerszą niż pięćdziesiąt centymetrów. Z zabójczym uśmiechem zaprezentował jej dwie niemal identyczne piękności, jakby żywcem wyrwane z dżungli amazońskiej.

- Pollen i Petal Plummer, a to Delila.

Odniosła nieodparte wrażenie, że kurczy się w oczach, niczym Alicja w Krainie Czarów po wypiciu zawartości buteleczki z napisem „Wypij mnie”. Przy opalonych bliźniaczkach o bujnych fryzurach, patrzących na nią z góry, czuła się, jakby nie miała więcej niż pięć centymetrów wzrostu. Te dwudziestokilkuletnie córki sławnego w latach sześćdziesiątych aktora i modelki, które teraz zuły gumę i zaciągały się ziołowymi papierosami, często pozowały do zdjęć na tle egzotycznego sztafażu, mając we włosach kwiaty migdałowca i mało co poza tym.

- Cześć! - pisnęła z pozorną nonszalancją, udając, że nie wie, kim one są.

Siostry Plummer uśmiechnęły się niedbale i wypuściły przez nozdrza obłok aromatyzowanego dymu.

- Te obrazy są kapitalne, szczególnie „Nuda”. - Delila, aby coś powiedzieć, powtórzyła za bubkiem w koszuli z falbankami: - Te ostre pociągnięcia pomarańczowym markerem, co za głębia!

Niestety, te same słowa wypowiedziane rozwlekłym, jorkszyrskim akcentem nie wypadły już tak samo. Bliźniaczki zdawkowo kiwnęły głowami, zaciągnęły się papierosami i mocniej przyłgnęły do Charliego.

Delila umilkła, gdyż jasne było, że to Charlie, nie ona, stanowi obiekt ich zainteresowania. Sfrustrowana tym, że ją ignorują, porwała z obnoszonej przez kelnera tacy następny kieliszek szampa, rzucając rywalkom wyzywające spojrzenie. Gdyby wszystkie inne sposoby zawiodły - gotowa była bodaj urznąć się na ich koszt! Wpatrzyła się w Charliego błagalnie, jakby mówiąc bez słów: „Proszę, wyjdźmy już stąd!”. On jednak nawet nie próbował wyplątać się z zaistniałej sytuacji - przeciwnie, wyglądał na zadowolonego.

- Kochanie, muszę wyjść na chwilę - zaatakowała go w końcu z wymuszonym uśmiechem. - Gdzie tu jest pewne miejsce?

- Po twojej lewej stronie. - Charlie wyciągnął rękę i odebrał od niej kieliszek szampa. - Ja się tymczasem zajmę twoim szkłem.

Uśmiechając się obleśnie, napił się z jej kieliszka.

- Tylko nie siedź tam za długo! - dodał z łobuzerskim mrugnięciem.

Od razu przeszła jej złość na niego. Alkohol wypaczył zdolność prawidłowego osądu, więc bez trudu wmówiła sobie, że bliźniaczki to tylko koleżanki Charliego i wcale go nie podrywały, najwyżej

żartowały. Uspokojona, zrewanżowała mu się takim samym mrugnięciem i zaczęła się przepychać w kierunku damskich toalet.

Kolejka do kabin była tak długa, że aż okrążyła umywalki. Delila syknęła, bo bardzo jej się chciało sikać po dużej ilości szampana prawie bez zakąski. W rogu pomieszczenia siedziała zażywna kobieta z wielką szopą włosów ułożoną w kształcie ula. Na stoliku przed sobą porozkładała buteleczki perfum, lakiery do włosów, kosmetyki Constance Carroll i miętowe czekoladki. Dla zachęty wymachiwała próbkami tych produktów, proponując ich zastosowanie. Delila uprzejmie wymówiła się od spryskania dezodorantem marki Tweed and Impulse.

Widziała jednak, że niektóre dziewczyny wyciągnęły karty kredytowe. Zaszokowało to ją - ile, na miłość boską, może kosztować popsikanie lakierem Vidal Sassoon czy poprawienie makijażu transparentnym pudrem? W górnej kieszeni namacała jakieś drobniaki. W dobrych układach mogło tego być ze dwa funty - za mało nawet na jedno pociągnięcie rzęs tuszem. Założyła więc tylko nogę na nogę, oparła się o ścianę i czekała. Na razie zwolniła się jedna kabina. Wyszły z niej dwie dziewczyny, energicznie pociągając nosami, na co reszta kolejki zareagowała konspiracyjnym chichotem. Delila nie mogła już tego wytrzymać. Ośmielona wypitym alkoholem, zaczęła głośno sarkać:

- Co wy tam, do jasnej cholery, tak długo robicie?

Stojąca za nią utleniona blondynka zaśmiała się domyślnie.

- A co, bardzo ci się chce?

- Jeszcze jak! - Delila boleśnie skrzywiła usta. Jej pęcherz rozciągnął się chyba dwukrotnie. Czowała, że się posika, jeśli natychmiast nie wejdzie do kabiny.

- Mnie też! - syknęła blondynka, przysuwając się bliżej. - Jeśli chcesz, mogę odpalić ci działkę.

Ze swego portfela dyskretnie wysunęła małą paczuszkę zawiniętą w celofan i wcisnęła ją w dłoń Delili, szepcząc:

- Jedyne pięć dych.

Delila dopiero teraz pojęła, o co chodzi - blondynka proponowała jej kokainę! Odruchowo cofnęła się, bo choć wyrosła w społeczeństwie trapionym plagą narkomanii, o której bez przerwy trąbiły środki masowego przekazu - sama jednak dotąd nie zetknęła się z tym zjawiskiem. Pod Kaczką i Psem nawet coca-coli nie serwowano samej, tylko z lodem i cytryną oraz paczką chipsów bekono- wych. W klubach można było natknąć się raczej na ecstazy lub LSD, ale Delili to nie pociągało. Właściwie nigdy nie brała mocniejszych narkotyków, jeśli nie liczyć pobudzających tabletek z azotanem amylu, jakie w wieku piętnastu lat wykradła z szuflady Sandry.

Tymczasem otworzyły się drzwi upragnionej kabiny, więc szybko zwróciła paczuszkę zasko- czonej blondynce. Zdażyła tylko rzucić pospiesznie: „Dziękuję, może kiedy indziej”, zanim wpadła do kabiny, gdzie nie musiała już niczego udawać.

Charliego zastała już samego. Siedział przy stoliku zastawionym pustymi butelkami po szampanie, porządnie podpity.

- Chodźmy już, bo mi się nudzi! - szepnęła mu do ucha, wściekła, że tak się wygłupiła w toalecie.

- Jasne. - Od razu się zgodził. Sięgnął po jej dżinsową kurtkę, ale najpierw przyciągnął ją do siebie i zanurzył nos w jej włosy. - Przepraszam, że tak wypadło, ale musiałem pogadać z kilkoma osobami. Dobrze się bawiłaś?

- No pewnie! - skłamała, opierając głowę na jego ramieniu i wdychając ciepłą, przenikliwą mieszaninę zapachu jego skórzanej kurtki i wody po goleniu. Chętnie pozostałaby w tej pozycji na zawsze.

- Dobra, chodźmy stąd. Może pojedziemy teraz do mnie? - Delikatnie pocałował ją w ucho. Sennym ruchem kiwnęła głową, lecz nie usłyszał konkretnej odpowiedzi, ponaglił ją: - Co?

- O tak, chętnie! - wyszeptała z rozkoszą. Tym razem nie miała już żadnych skrupułów. Niczego na świecie nie pragnęła bardziej niż spędzenia nocy z Charliem.

24

Delila złożyła głowę na piersi Charliego. Jeszcze nie ochłonęła po najwyższych uniesieniach, jakie dotąd знаła tylko z opisów na łamach „Cosmopolitan”, więc westchnęła i czule powiodła ręką po jego gładkiej, brązowej skórze. Zrobili to - kochali się, pieprzyli czy jak by to jeszcze nazwać - nawet dwa razy i było cudownie. No, może jeden drobiazg - została w rajstopach zamotanych wokół kostek.

Pod wpływem alkoholu i żądzy zahamowania Delili znikły równie szybko jak jej bielizna. Charlie też nie należał do wstydlivych. Rozgrzewając ją pocałunkami, błyskawicznie pozbył się koszulki i dżinsów, obnażając ciało, jakie dotychczas Delila widziała tylko na opakowaniach bielizny od Calvina Kleina. Po dziesięciu latach oglądania wyłącznie bladego i owłosionego ciała Lenny'ego, tu i ówdzie zwiotczałego jak stara kanapa - zabrakło jej słów do wyrażenia swoich uczuć. Pewnie dlatego przez następne półtorej godziny wydawała tylko entuzjastyczne jęki i pomruki.

Nie oznacza to oczywiście, że wszystko poszło bez przeszkód. Najpierw daremnie próbowała założyć mu prezerwatywę. Nie miała w tym wprawy, bo przez lata pożycia z Lennym używała pigułki, a nie pamiętała już czasów szkolnych, kiedy na lekcjach przysposobienia do życia w rodzinie młodzież ćwiczyła nakładanie „gumki” na próbówkę. Po dwóch nieudanych próbach Charliemu, zapewne wskutek nadużycia alkoholu, zanikła potencja. Musiała więc przeciwzyć na nim opanowane na kursach pierwszej pomocy sztuczne oddychanie metodą „usta-usta”, aby przywrócić mu sprawność i dobre samopoczucie.

Po wszystkim Charlie leżał na plecach z zamkniętymi oczami, a ona uniosła głowę, aby mu się przyjrzeć. Był tak przystojny, że przysunęła się bliżej, wdychając jego zapach. Pokój nareszcie przestał wirować jej przed oczami, co oznaczało, że całkiem wytrzeźwiała. Seks okazał się lepszym lekarstwem na kaca niż dwie tabletki nurofenu lub kanapka ze smażonym bekonem. Uśmiechała się do siebie, ciągle nie dowierzając, że oto leży pod jedną kołdrą z Charliem. Podskórnie obawiała się, że lada chwila może zadzwonić budzik i ocknie się u boku Lenny'ego...

Jednak pokój i łóżko były prawdziwe, tak samo jak Charlie, ze swoimi wspaniale umięśnionymi, długimi nogami, płaskim brzuchem i wilgotnymi kosmykami ciemnych włosów spadającymi na czoło. Jego opalona, lekko spocona skóra błyszczała w świetle lampki nocnej jak u konia zgrzanego po wyścigu. Powiodła palcami wzdłuż widocznej na przedramieniu niebieskiej żyły biegnącej do nadgarstka i dłoni, aż przykrył swoją ręką jej palce.

- Cześć! - spojrzał na nią spod ciężkich powiek.

- Cześć! - uśmiechnęła się do niego, szczęśliwa, lecz niepewna, jak powinna się teraz zachować. Czy lepiej udawać chłód, czy domagać się dalszych pieszczot? Jak dotąd, nie miała zbyt dużego doświadczenia w spaniu z chłopakami. Na wszelki wypadek zapytała wymijająco: - Jak się czujesz?

- Trochę jestem śpiący. A ty? - Uśmiechnął się, gładząc ją lekko po twarzy.

- Ja też - skłamała, nie odrywając wzroku od jego bladoniebieskich oczu.

Charlie odwzajemnił to spojrzenie, zanim oplótł ją ciasno ramionami i nogami, przewrócił na bok i zaczął całować po szyi, łopatkach i piersi, na co aż przymykała oczy z rozkoszy. Nie robił wcale wrażenia śpiącego, a gdy ukradkiem wsunęła rękę pod kołdrę, stwierdziła, że w głowie mu raczej wszystko inne niż sen.

- Chyba się już rozbudziłem - wydyszał jej w ucho. Powiódł ustami po jej piersi, aż przyssał się do prawego sutka.

- Ja też! - wyszeptała omdlewająco. Tym razem już nie kłamała.

Promienie słońca wpadające przez białe muślinowe firanki, oświetliły wnętrze sypialni. Delila przyglądała się temu spod rzęs i spostrzegła, że wszystko wokół było białe - ściany, zasłony, kapa na łóżko czy nieliczne meble. I nie była to matowa biel farby emulsyjnej, ale kremowa, gładka biel alabastru, jaką spotyka się w muzeach czy galeriach sztuki. Miała wrażenie, że znajduje się we wnętrzu wielkiego białego kokonu.

Zsunęła się z łóżka, narzuciła na siebie puszysty biały szlafrok i wyruszyła na spacer po mieszkaniu. W przeciwnym rogu sypialni znalazła spiralne, metalowe schody prowadzące w dół, do przestronnego salonu. Zeszła po nich ostrożnie, ze śmiechem próbując sobie wyobrazić, jak oboje pokonali te schody wczoraj po imprezie. Pewnie trzymali się kurczowo i poręczy, i siebie nawzajem, bo zmysł równowagi musieli mieć mocno zachwiany.

W mieszkaniu Charliego panowała wzorowa czystość. Tak w kuchni, jak w salonie, lśniły wyfroterowane na wysoki połysk parkiety, stał sprzęt elektroniczny najnowszej generacji i meble projektowane na zamówienie, a kineskop telewizora przewyższał wielkością panoramiczny ekran kina w Leeds. Kręciła głową we wszystkie strony, bo wyglądało to akurat tak, jak sobie wyobrażała. Nie było tu ordynarnych, pętelkowych dywaników, gazowych kominków z plastikowymi atrapami węgla i mosiężnymi okapami, abażurów z frędzelkami ani tapet z paskiem z firmy Laura Ashley! Nie, ten apartament urządzono według najnowszej mody, lansowanej w luksusowych magazynach. Zawsze marzyła o takim mieszkaniu!

Włączyła czajnik bezprzewodowy z nierdzewnej stali i zaczęła penetrować klinicznie czyste półki kredensu w poszukiwaniu kawy. Wszystko jedno, Nescafe czy Gold Blend, każda postawiłaby ją na nogi. Niestety, nie znalazła ani kawy rozpuszczalnej, ani herbaty ekspresowej, ani nawet cukru. Na półkach piętrzyły się tylko nieskazitelnie białe talerze i wysmukłe kieliszki do wina. Stanowiło to kompletne przeciwieństwo spiżarni Vivienne, pękającej w szwach od torebek bezglutenowego muesli, egzotycznych herbat owocowych i ekologicznych chrupek udających ciasteczka czekoladowe.

Klęczała właśnie na czworakach z głową w lodówce, kiedy poczuła na ramieniu rękę Charliego i usłyszała jego głos: - W czym ci mogę pomóc?

Z przestachu aż podskoczyła, uderzając głową o kant zamrażalnika.

- Mmmm... tego... szukałam, czy nie ma tu gdzieś mleka. - Tymczasem woda się zagotowała i czajnik automatycznie się wyłączył. Dodała jeszcze: - I masz może kawę?

Charlie, rozespany, tylko w dzinsach, z zakłopotaniem drapał się po piersi i głowie.

- Przepraszam cię najmocniej, kochanie, ale chwilowo nie mam w domu nic do jedzenia. Sprzątaczką zwykle mi coś zostawia, ale ostatnio ciągle gdzieś wyjeżdżałem, więc to nawet nie miało sensu. Tylko to ma sens - pocałował ją zachłannie.

Delila kręciła się niespokojnie, bo z samego rana nie wyglądała zbyt korzystnie. Jeżeli wczoraj wieczorem, pod wpływem alkoholu, przypominała Brigitte Bardot z lat pięćdziesiątych z jej zaokrąglonymi kształtami, podczernionymi oczami i nadąsanymi usteczkami, dzisiaj mogła najwyżej odpowiadać temu samemu pierwowzorowi w wydaniu z lat dziewięćdziesiątych. Szminka z ust starła się częściowo o poduszkę, częściowo przy całowaniu i pieszczotach, a kredka i cień do powiek rozpląnęły się w czarne kręgi pod oczami, jakby miała za sobą dwie rundy walki przeciw mistrzowi wagi ciężkiej.

- Muszę umyć twarz! - postanowiła.

- Wcale nie musisz, bo wyglądasz cudownie.

Nie pamiętała, kiedy ostatnio ktoś powiedział, że jest piękna, nie licząc robotników w workowatych kombinezonach i niewyżytych kierowców ciężarówek, których obsługiwała w przydrożnym barze. Raptem poczuła się onieśmielona, mimo że poprzednio w łóżku poczynała sobie całkiem śmiało. Wolała więc zmienić temat.

- Masz odlotową chatę.

- Miła jesteś, ale wprowadziłem się tu dopiero dwa tygodnie temu. - Uśmiechnął się szeroko. -

Dziękuję, że aprobujesz mój gust.

- Rany boskie, jak ja bym chciała tak mieszkać... - Urwała, aby nie pomyślał, że mu się narzuca.

- No więc dlaczego tego nie zrobisz?

- Czego nie zrobię?

- Nie wprowadzisz się do mnie? Sama powiedziałaś, że u tej koleżanki zatrzymałaś się tylko tymczasowo, a tu jest miejsca aż zanadto.

- Ależ... my się jeszcze tak mało znamy...

- Nie powiedziałbym tego, a ty? - Wsunął rękę pod jej szlafrok, przyparł ją do kuchenki i zaczął całować.

- Ależ... - Szukała dalszych wymówek, ale w końcu dała sobie spokój. Oprzeć się Charliemu było równie trudno, jak na dzień przed miesiączką odmówić sobie czekolady z orzechami.

- No więc co ty na to? - Odsunął się nieco.

Nic na to nie odpowiedziała, bo po prostu ją zatkalo. Tak właśnie, odebrało jej mowę, jakby dostała pałką w łeb.

Przełknęła ślinę. Czy to wszystko działo się naprawdę? Czy coś takiego mogło się przydarzyć dziewczynie z Bradfordu, która za cały majątek miała rozklekotanego garbusa, kolekcję płyt Toma Jonesa i chrapiącego charta? Właśnie, był jeszcze Fatso...

- Ale ja mam psa... - To mogła być kolejna wymówka.

- No to co? A ja mam kota. Na pewno się polubią.

Ujął w obie dłonie jej twarz i pocałował wgłębienie między obojczykami. Nie musiał wykazywać zbyt wielkiej siły przekonywania, gdyż o niczym innym nie marzyła, odkąd się poznali. Tyle tylko, że marzenie urzeczywistniło się wcześniej, niż przypuszczała. Kątem oka dostrzegła rząd przytwierdzonych do ściany flakonów w kształcie probówek. Tak jakby czekały tu na nią, przygotowane specjalnie, aby wypełniła je gerberami! Takimi, jakie damy o długich włosach, jeżdżące sportowymi samochodami, kupowały na tuziny w kwiaciarni za rogiem domu Vivienne. Kwiaty, pakowane w brązowy papier i wiązane rafią, kosztowały po pięć funtów za sztukę. Delila uważała, że to rozbój na równej drodze. W swoim rodzinnym mieście kupowała bukiety różowych goździków przybrane puszystą gipsówką i owinięte w drukowany celofan po dwa funty za pęczek albo trzy pęczki za piąta.

- No, jeśli jesteś pewien, że tak będzie dobrze... - Jeszcze się wahała, ale powoli ustępowała.

- Głuptasku, to będzie bardziej niż dobrze! - Porwał ją w ramiona i zaniósł do salonu, jak Rhett Butler Scarlett O'Hare. Położył ją na rozkładanej kanapie, obitą miękkim aksamitem i przykucnął tuż obok.

- Chyba nie dałbym rady wnieść cię po schodach. - Roześmiał się.

Delila promieniała szczęściem. A więc udało się jej złapać tego fantastycznego przystojniaka! Wuj Stan byłby z niej dumny.

25

- Przeprowadzam się do Charliego!

Vivienne wypluła trzymany w ustach łyk herbaty z dzikiej róży na nowy numer czasopisma „Młoda Para”.

- Co robisz? - wychrypiała tonem duszącej się papugi kakadu.

Delilę przejął dreszcz. Dopiero co wyszła od Charliego, podniecona jego pieszczotami, a tu zastała Vivienne pochłoniętą przygotowaniami do ślubu. Broszurka Debretta „Przemówienia i toasty” mieszała się ze zwojami tiulu na welon, a skrawki kremowego jedwabiu wały się zarówno na podłodze, jak w koszyczku Fatsa, wybitym materiałem w szkocką kratę, który dostał w prezencie od Vivienne.

- Chcę zamieszkać z Charliem - powtórzyła. - No, wiesz, jak mąż z żoną.

- Czyś ty całkiem zwariowała? - Vivienne wyciskała herbatę z torebki confetti, którą jako premię dla czytelników przyklepiono do okładki pisma. Niestety, zawartość torebki zdążyła już się przemienić w czerwoną papkę.

- Nie! - odburknęła niegrzecznie Delila, nieco urażona reakcją Vivienne, daleką od entuzjazmu.

- Powiedziałam przecież, że będziemy żyć ze sobą, ale nie mówiłam, że się pobierzemy!

Ostatnie słowa wymówiła z naciskiem, spoglądając znacząco na Vivienne.

- No, dobrze już, dobrze. Rozumiem, o co ci chodzi... - Vivienne gwałtownie zeskoczyła ze stołka, bo kropelka uprzednio rozlanej herbaty stoczyła się z blatu stołu i kapnęła na jej eleganckie spodnie firmy Prada. Z okrzykiem „O kurde!” porwała pierwszy przedmiot, jaki się jej nawinął pod rękę, aby zetrzeć nim plamę. Na nieszczęście tym przedmiotem okazała się akurat przemoczona torebka confetti. Skutkiem tego z małej, różowej plamki zrobiła się wielka i czerwona.

Vivienne zaczęła rozpaczliwie trzeć plamę, nie zdając sobie sprawy, że tylko pogarsza sytuację. Każdemu pociągnięciu jej ręki towarzyszyły kolejne wiązanki, co bardziej śmieszyło Delilę, niż denerwowało. Miała wrażenie, że ogląda scenkę z telewizyjnego sitcomu. Vivienne gładziła poplamione spodnie pieszczotliwie jak kota, uskarżając się:

- One były zupełnie nowe, prosto z wybiegu. Właściwie zrobiono mi je na zamówienie!

Delila przerwała jej.

- Słuchaj, chciałam ci podziękować, że mnie gościłaś przez te dwa tygodnie. Naprawdę nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

Vivienne gapiła się na nią szklanym wzrokiem.

- To znaczy, że wyprowadzasz się już, w tej chwili?

- No, tak, bo Charlie mówił, że za kilka godzin przyjedzie po rzeczy. Przecież wiesz, że mój wóz znowu nie nadaje się do użytku!

Istotnie, po wycieczce do Brighton garbus Delili wydał swe ostatnie tchnienie i znalazł miejsce ostatecznego postoju przy krawężniku.

- A co będzie z naszymi babskimi pogaduchami, łażeniem po sklepach... - Głos Vivienne zadrzął, jakby nabrzmiały łzami. - Wieczorami będę tylko oglądać jakieś wyciskacze łez na wideo i chrupać popcorn...

- Przecież nawet nie masz odtwarzacza wideo.

- Nie udawaj, że nie wiesz, o co chodzi. Będzie mi ciebie brakować!

Pod wpływem tych słów Delila wyraźnie złagodniała.

- Ależ ja nie wyprowadzam się za granicę, tylko na tę samą ulicę! A za dwa miesiące ty wychodzisz za męża, więc tak czy siak, musiałabym szukać sobie innego mieszkania.

- Nieprawda, bo mogłabyś równie dobrze zostać tutaj. To już zupełnie rozśmieszyło Delilę.

- Daj spokój, Vivienne. Jak to sobie wyobrażasz: ty, ja i Harold?

Vivienne dopiero teraz zrozumiała komizm sytuacji. Przestała pociągać nosem, za to zaczęła wręcz nieprzyzwoicie chichotać.

- Tak, masz rację, to rzeczywiście byłoby śmieszne - przyznała. - Tym bardziej że mój kochany Harold zawsze miał skłonność do trójkątów. Co prawda, sędzę, że teraz będzie miał pełne ręce roboty ze mną.

Delila przytaknęła, starając się nie wzdrygać na myśl o zgrzybiałych rękach Harolda. Kojarzyły się jej z serkiem pleśniowym Danish Blue, bo były równie stare i poprzerastane niebieskimi żyłkami.

Vivienne odzyskała na powrót zimną krew. Otarła oczy rąbkiem tiulu na welon.

- Dobrze, ale tak na poważnie, czy jesteś pewna, że postępujesz słusznie?

Delila przypomniała sobie, jak Charlie, półnagi, tylko w wytartych lewisach, całował ją na pożegnanie, kiedy dziś rano opuszczała jego apartament. Na samą myśl o tym przechodziły ją rozkoszne ciarki.

- Tak, jestem tego pewna - oświadczyła.

Vivienne gestem udanej bezradności rozłożyła ramiona, otwartymi dłońmi do góry.

- *Que sera, sera...* - zanuciła.

Delila wzniosła oczy ku sufitowi, bo wiedziała, że Vivienne specjalnie dla niej urządza to całe przedstawienie.

- Muszę już zacząć się pakować - zapowiedziała, biorąc pod pachę Fatsa, który właśnie pochłoniął całą miseczkę potrawy z baraniny. Najedzony i ociężały, przestał interesować się tym, co działo się wokół niego.

Vivienne zapaliła papierosa, rozganiając dym brzegiem welonu.

- Dobrze, kochanie. Będę teraz musiała sama zająć się przygotowaniami do ślubu.

Delila nie zwracała już uwagi na chwytły Vivienne, obliczone na wzbudzenie litości. Starając się nie stąpać po skrawkach jedwabiu, skierowała się ku drzwiom do holu.

- Aha, żebym nie zapomniała! - zawołała za nią Vivienne. - Rozmawiałam dzisiaj z Samem. Nie wyglądał na szczęśliwego.

Delila zawróciła na miejscu. Z wrażenia całkiem zapomniała o istnieniu Sama.

- Aha, pewnie się obraził, bo odwołałam spotkanie z nim. Bardzo był zły?

- Może za mocno powiedziane, ale przecież go znasz. - Vivienne spojrzała na nią wymownie. Musiała chyba wiedzieć, co Sam do niej czuje. Czy nie powiedział jej tego w Brighton?

- Nie przypuszczałam, że weźmie to sobie do serca. Wiedziałam, że chciał ugotować coś specjalnego, ale kiedy powiedziałaś mi, że Charlie dzwonił... Przecież on wie, że kocham Charliego!

Vivienne wypuściła kilka kółek z dymu, otwierając i zamykając usta jak ryba. Najwyraźniej Sam nic nie powiedział Delili, a ona też się nie domyśliła...

- Może powinnaś do niego zajrzeć - zaproponowała. - Ma dzisiaj ciężkiego kaca, bo sam wypił wino, które kupił specjalnie dla ciebie!

W tym momencie wiedziała, że jest okrutna, ale nie mogła się powstrzymać. Bardzo lubiła Sama, a nie miała wątpliwości, jak zareaguje, kiedy się dowie, że Delila zamierza zamieszkać z Charliem. Wolła więc, żeby sama mu to powiedziała, bo nie miała ochoty odgrywać roli zwiastuna złych wieści.

- Dobra, spakuję swoje ciuchy i pójdę go przeprosić - zgodziła się Delila. Poczula się nagle diabelnie winna. - No to na razie!

Bez przekonania pomachała ręką. Przypominała Vivienne przekłuty balon, z którego powoli uchodzi powietrze.

- Uszy do góry! - Vivienne uniosła filiżankę herbaty w geście żartobliwego toastu.

Delila jednak opuściła salon z nosem na kwintę.

Sam przygotowywał właśnie „jajka à la Benedict” dla sześciu zażywnych i hałaśliwych turystów amerykańskich. Wyglądał na zmęczonego, więc Delila niespokojnie kręciła się przy barze, zastanawiając się, co mu powiedzieć, podczas gdy Fatso przysypiał u jej nóg. W gruncie rzeczy nie wiedziała, czego właściwie się boi. Na pewno Vivienne jak zwykle przesadziła.

- Cześć, Samie! - Postanowiła przełknąć tę żabę, siląc się na lekki ton.

- O, to ty, cześć! - rzucił beznamiętnie przez ramię, nie przestając mieszać sosu holenderskiego do jajek.

Przygryzła wargę. Może jednak tym razem miała rację? Bawiąc się końcem smyczy Fatsa, odchrząknęła i zaczęła:

- Słuchaj, chciałam cię przeprosić za wczorajszy wieczór. Mam nadzieję, że nie sprawiłam ci kłopotu?

- Nie - odburknął lakonicznie, głosem stłumionym przez kłęby pary, z której wyławiał jajka w koszulkach, aby następnie ułożyć je na grzankach z pełnoziarnistego chleba. Balansując talerzami trzymanymi na długość wyciągniętej ręki, przeszedł bezceremonialnie obok niej, niosąc zamówione danie śliniącym się niecierpliwie Amerykanom, którzy zdążyli już zjeść szósty koszyczek chleba i wylizali talerzyki z porcjami masła.

Wahała się, czy powinna powiedzieć mu, że przeprowadza się do Charliego. Chyba nie był to dobry moment, zważywszy jego aktualny nastrój, ale czy jeszcze kiedyś nadarzy się lepszy? Chciała to załatwić, zanim wyprowadzi się od Vivienne, bo w końcu był jej przyjacielem, czyż nie?

- Postanowiłam zamieszkać z Charliem.

Sam z wrażenia upuścił solniczkę, która rozbiła się i białe kryształki rozprysnęły się po całej podłodze. W kawiarni na chwilę ucichł gwar, bo konsumenci urwali rozmowy w pół zdania i powyciągali szyje z ciekawości, co się stało. Przykra cisza trwała zaledwie kilka sekund, bo kiedy goście przekonali się, że to tylko rozsypana sól - wrócili do konsumpcji i podjęli przerwane tematy. Sam i Delila stali sztywno, patrząc na siebie. Sam pierwszy przełamał milczenie.

- Od kiedy?

- Od dzisiaj.

- Ależ ty go prawie nie znasz! - Próbował ją przekonywać, lecz wyglądał na załamane.

Westchnęła, bo zachowywał się, jakby chciał zastąpić jej matkę, którą dawno straciła.

- No to co? Vivienne też nie znałam, kiedy się do niej wprowadzałam, a widzisz, jak nam dobrze ze sobą?

- Jeśli tak, to dlaczego się od niej wyprowadzasz?

- Bo ona niedługo wychodzi za mąż, zresztą od razu ustaliłyśmy, że to tylko tymczasowe, póki nie ułożę sobie życia.

- A teraz już je sobie ułożyłaś?

- Przypuszczałam, że tak powiesz.

Sam dla pozorów schylił się nad ekspresem do kawy, w zakłopotaniu pocierając szczecinkę na głowie. Wiedział, że Delila lubiła tego jakiegoś Charliego, ale nie przypuszczał, że traktowała go poważnie, a co dopiero, żeby z nim zamieszkać! Czuł się wypalony wewnątrz. Dostatecznie wyprowadzał go już z równowagi fakt, że widywała się z innym mężczyzną, a jeszcze bardziej to, że z nim żyła. Nie mógł znieść nawet myśli o tym, ale, niestety, musiał, bo nie miał innego wyjścia. Bąknął więc tylko:

- Cóż, jeśli naprawdę tego chcesz...

- Owszem, chcę tego. - Z uśmiechem skubała wystrzępiony mankiet swojej kurtki. - Dajmy już temu spokój, Samie. Nie chcę się z tobą kłócić, wolałabym, żebyś był zadowolony.

Sam spróbował przełknąć gorzkie rozczarowanie i z wysiłkiem zdobył się na uśmiech. Zdał sobie sprawę, że postępuje jak egoista. Powinien w końcu przestać kierować się własnymi pragnieniami, a pomyśleć o tym, czego ona pragnie. Skoro chciała, żeby był zadowolony z jej decyzji, to powinien przynajmniej udawać, że tak jest, czy mu się to podoba, czy nie.

- To kiedy parapetówka? - Udał wesołość, ale w jego głosie zabrzmiała fałszywa nuta.

Delila jej jednak nie wychwyliła, bo tak się ucieszyła, że pozostają przyjaciółmi, aż zapomniała o swej północnej powściągliwości.

- Już niedługo! - roześmiała się radośnie, wtulając twarz w jego fartuch.

Tymczasem pod kawiarnię podjechał srebrzysty sportowy samochód. Delila dostrzegła go kątem oka i poznała wóz Charliego.

- Muszę już iść, bo Charlie czeka. - Zaczęła się wycofywać. Sam rozsunął palcem paski poziomej żaluzji w oknie i wyjrzał przez utworzoną między nimi szparę. Rysy jego twarzy stężały.

- Chyba to nie Charlie Mendes? - zapytał z przerażeniem.

- Tak, a bo co?

Sam prychnął z niesmakiem i opuścił żaluzję do położenia wyjściowego tak gwałtownie, że aż z brzękiem uderzyła o szybę.

- To znaczy, że to ma być ten twój Charlie? - Niespodziewanie podniósł głos, ponownie wzbudzając zaniepokojenie wśród konsumentów.

- Chyba właśnie ci to powiedziałam, prawda? - Tym razem Delila się zdenerwowała. Co wstąpiło w tego łagodnego, miłego Sama, że nagle zaczął na nią krzyczeć? - I co z tego, że to on? Znasz go?

Sam zaczął nerwowo przechadzać się wzdłuż bufetu, nie zważając na klientów stojących w kolejce do kasy, ostentacyjnie wymachujących rachunkami.

- Owszem, znam go aż za dobrze! - burknął przez zaciśnięte zęby, rozdymając nozdrza i gniewnie potrząsając głową. - Nie mogę, wprost nie mogę uwierzyć, że to ten sam człowiek.

- Jak to ten sam?

- No, ten, z którym się spotykałaś i z którym chcesz się związać!

Przyjął od Amerykanów plik pięciofuntowych banknotów i rzucił im na spodeczek garść drobniaków reszty. Turyści szeroko pootwierali oczy, zdumieni jego wybuchem złości. Towarzyszący im kilkunastoletni chłopak w bermudach i z aparatem ortodontycznym na zębach szybko nastawił aparat fotograficzny. Najwidoczniej do galerii brytyjskich osobliwości wartych uwiecznienia, oprócz Big Bena i gmachów parlamentu, zaliczył także ekscentrycznego Anglika z ogoloną głową i wybuchowym temperamentem.

- Nie mogę uwierzyć, że chodzi o niego! - Sam wciąż nie mógł się uspokoić. - Ten skurwysyn Charlie Mendes z tą swoją pieprzoną bryką! Na diabła ci on potrzebny?

- Ponieważ jest bardzo miły - wycedziła Delila przez zaciśnięte zęby.

- Miły? Chyba żartujesz! To menda, a nie Mendes!

Delila daremnie próbowała zachować spokój. Nie mogła przecież znieść, żeby Sam obrażał człowieka, z którym zamierzała spędzić resztę życia!

- Możesz sobie myśleć, co chcesz; mam to gdzieś! - oświadczyła. - Zrobię, co zechcę i z kim zechcę, i ani myślę pytać cię o pozwolenie. Kim ty w ogóle jesteś, żeby mówić do mnie w ten sposób? Masz mnie za idiotkę?

Sam poczerwieniał, ale nie dawał za wygraną.

- Trzeba być rzeczywiście ostatnią idiotką, żeby chcieć żyć z kimś takim - przekonywał. - Miałem cię za mądrzejszą. Nie słyszałaś, że to największy gangster w okolicy?

- Jeśli nie wiesz, o czym gadasz, to lepiej się zamknij! - Delila nie była w stanie zapanować nad głosem nabrzmiałym gniewem.

- Nie wiem, czyżby? - Sam zdecydowanym krokiem podszedł do okna, jednym ruchem ręki poderwał żaluzję i wskazał w tamtym kierunku palcem. - O nim mówię, o tym nieudaczniku, który wciąż sam siebie nie może odnaleźć. Co on może ci dać? Najwyżej cię przeleci... jeśli już tego nie zrobił. - Drugą część zdania wymamrotał pod nosem, ale Delila usłyszała, zbladła i zagryzła wargi.

- Niech cię szlag trafi! - wymówiła cicho, lecz wyraźnie, przez napływające do oczu łzy gniewu.

Na Sama te słowa podziały jak policzek. Od razu przestał jej prawić morały, ba, nawet pożałował tego, co dotąd powiedział. Chętnie cofnąłby to wszystko, ale było już za późno.

Tymczasem Delila podniosła w górę Fatsa i przycisnęła go do piersi.

- Może ci się wydaje, że znasz Charliego, ale wcale go nie znasz! - wypaliła. - Jesteś po prostu zazdrosny!

Serce podeszło mu do gardła. Czyżby zdołała go zdemaskować? Może w końcu domyśliła się, że jest zazdrosny, bo ją kocha?

Nic z tych rzeczy. Delila nie miała bladego pojęcia o rzeczywistych przyczynach jego złości. Nie rozumiała, że nagadał jej tyle przykrych rzeczy tylko dlatego, że oszalał na jej punkcie. Gdyby to rozumiała - ugryzłaby się w język, zanim wypowiedziała słowa, którymi zamierzała ostatecznie pognać Sama.

- Tak, jesteś zazdrosny, bo jemu się powiodło, a tobie nie! Czego się w życiu dorobiłeś, tej syfiastej kawiarni? To ty jesteś nieudacznik, a nie on!

Sam aż się skurczył, bo dopiero teraz zrozumiał, co naprawdę o nim myślała. A więc był dla niej tylko życiowym nieudacznikiem, zagrzebanym w syfiastej kawiarni? Zrobiło mu się niedobrze. I po co mu to było, ta cała awantura? Odwrócił się, aby nie patrzeć w oczy Delili. Nie czuł już złości do

niej, tylko do siebie. Gdyby nie stracił panowania nad sobą, może nie usłyszałyby tej przykrej prawdy? Co za ironia losu - chcąc ją chronić, tylko zranił ją, a przy okazji i siebie.

Kibicujący całemu zajściu Amerykanie czekali z zapartym tchem, co się jeszcze wydarzy.

- Myślę, że powiedzieliśmy sobie już dość. Najlepiej będzie, jeśli pójdę - zdecydowała Delila tonem kompletnie wypranym z emocji. W milczeniu utorowała sobie drogę ku wyjściu między stolikami, a każdy jej krok na kafelkowej posadzce odbijał się echem. Drzwi zamknęły się za nią z dźwiękiem dzwonka. Sam jak odrętwiały odprowadzał ją wzrokiem, kiedy wsiadała do bmw. Pojazd od razu ruszył z miejsca i nabrał prędkości, a Samowi wydał się srebrnym pociskiem skierowanym wprost w jego serce.

26

Vivienne ostrożnie usiadła na wyściełanym foteliku, pokrytym pokrowcem z pętelkowanego nylonu w jadowitych czerwopurpurowych kolorach. Musiała uważać, bo na siedzeniach można było znaleźć nie tylko masę niedopałków, ale nawet napoczętą paczkę chipsów serowo-cebulowych. Zebrała się na odwagę i podniosła ją dwoma palcami, trzymając na długość ramienia od siebie.

- Bądź tak dobry i zabierz to... - poprosiła Sama, nie patrząc na niebiesko-żółtą plastikową torebkę, która przejmowała ją głębokim obrzydzeniem. Kręcąc głową, Sam odebrał od niej paczuszkę i wrzucił ją do popielniczki, i bez tego wypełnionej po brzegi.

- Jak mogłeś zaprosić mnie do takiej speluny? - syknęła Vivienne scenicznym szeptem, gdy tylko Sam zajął miejsce obok niej. - Tylko popatrz, kto tu siedzi? Sama...(tu ściszyła głos) klasa robotnicza!

Słowom tym towarzyszyło wymowne spojrzenie pod adresem kędzierzawego faceta siedzącego przy barze, pochłoniętego lekturą „Big Issue”.

- Przestań wreszcie być taką cholerną snobką! - ofuknął ją Sam znad kufła piwa. Vivienne wyzywająco skrzyżowała ręce i założyła nogę na nogę. Pluła sobie w brodę, że w ogóle zgodziła się przyjąć propozycję spotkania w takiej pijackiej melinie. Jak Sam mógł wyskoczyć z czymś takim?

Istotnie, w gospodzie Pod Baranią Głową automaty do gry walczyły o lepsze z mosiężnymi elementami dekoracyjnymi końskiej upręży i telewizorem o wielkim ekranie, nastawionym na kanał Sky Sport. Vivienne spoglądała spod oka na barmankę - rumianą, biuściastą brunetkę ubraną w koszulkę drukowaną we wzór cętek lamparta i złoty łańcuszek na szyi. Dama ta ostentacyjnie podrywała pilnego czytelnika „Big Issue”, pogryzając równocześnie solone orzeszki i gładząc pompkę dozownika z piwem Guinnessa.

- Może byś coś zjadła? Ja stawiam! - Sam próbował jakoś rozerwać Vivienne, ale na jej wyдутych wargach nie zagościł nawet cień uśmiechu. Zmierzyła tylko pogardliwym wzrokiem barowe me-

nu, wypisane na szkolnej tablicy kolorową kredą. Miało to zapewne uatrakcyjnić zachwalane potrawy, ale nie bardzo było czym się chwalić. Do wyboru proponowano tu albo wołowinę z cynaderkami zapiekaną w cieście (odgrzewaną w kuchence mikrofalowej), albo „Posiłek oracza” złożony z bagietki, góry pikli i pół funta sera cheddar. Nie brzmiało to zachęcająco dla kogoś, kto, jak Vivienne, uznawał ser tylko pod postacią cienkich plasterków parmezanu artystycznie ułożonych na podkładzie z listków rukoli.

- Oj, chyba odechciało mi się jeść! - marudziła, podnosząc do ust szklankę ciepłego toniku. Pozostał na niej ślad szminki, więc wytarła brzeg szklanki swoim kaszmirowym swetrem niedbale narzuconym na ramiona à la St.Tropez i ostrożnie upiła łyżeczek.

- Dobra ta woda? - zażartował Sam, chcąc podtrzymać rozmowę.

- Mokra! - odpaliła Vivienne, nabijając wyciśnięty plasterek cytryny na mieszadełko i wyrzucając go na blat stołu. - No, jazda, gadaj, o co chodzi. Przez telefon mówiłeś, że to coś pilnego.

- Bo to jest pilne.

- I cóż to takiego? Mam nadzieję, że miałeś ważny powód, aby zrywać mnie z łóżka o jakiejś idiotycznej porze i ciągnąć na drugi koniec miasta?

- Chodzi o Delilę.

- Tak też myślałam - westchnęła. - Pewnie ci powiedziała, że wyprowadza się do Charliego.

- Otóż to właśnie. - Od razu przypomniał sobie wczorajszą kłótnię i wbił przygnębiony wzrok w kufel z piwem.

- Chyba dobrze mi się zdaje, że nie jesteś tym zachwycony?

- Zachwycony? Czym? Tym, że poleciała na Charliego Mendesa? Zmiłuj się! - Sam wysączył resztki piwa z kufła i z głośnym stuknięciem postawił go na stole. Sam dźwięk nazwiska Charliego Mendesa przyprawiał go o atak furii. Jednak pohamował się, bo przy stoliku w przeciwnym końcu sali siedzieli motocykliści w skórzanych kombinezonach, którzy stale przychodzili tu na piwo i gdyby jakiś frajer ze swoją panienką ośmielił się ich zaczepić - nie obeszłoby się bez mordobicia!

Vivienne wołała uniknąć awantury, która w najlepszym razie zakończyłaby się sążnistym rachunkiem z pralni po wzajemnym oblewaniu się piwem i obrzucaniu zapiekanką z wołowiną. Przytrzymała więc rękę Sama i szybko zagadała:

- Czy to ten łobuz Charlie Mendes, którego ojciec, lord Reevesbury, zmarł dwa lata temu?

Sam ponuro pokiwał głową.

- Ten sam, jakbyś zgadła.

Vivienne z przejęcia aż plasnęła w rękę.

- O rany, ale sensacja! Przecież on chyba przejął dwie kamienice, kupę szmalu na koncie i tyle firm, jakby grał w „Monopol”?

Piała z zachwytu, nie zdając sobie sprawy, jak dalece rani uczucia Sama. Równocześnie starała się zwrócić na siebie uwagę pana czytającego „Big Issue”, co się udało, gdyż w końcu przeniósł wzrok znad rubryki ogłoszeń na jej gołe nogi.

- Także i moją kawiarnię - dokończył tymczasem Sam.

- Kawiarnię? - powtórzyła Vivienne, początkowo nie rozumiejąc, co ma tu do rzeczy kawiarnia. Dopiero z wyrazu twarzy Sama, jego zaciśniętych zębów i zwięzonych ze złości oczu, domyśliła się, o co chodzi. - Twoją kawiarnię? Cafe Prima Donna?

W tym momencie do rozmowy wtrącił się dotychczasowy pilny czytelnik „Big Issue”.

- Przepraszam państwa... - zagaił, nachylając nad ich stolikiem swoją potężną postać metr dziewięćdziesiąt dwa wzrostu.

- Słucham? - zmroziła go Vivienne ostrym, nieprzyjaznym tonem głosu. Dopiero gdy odsunął się na tyle, że mogła objąć wzrokiem całą jego sylwetkę, spostrzegła, że ten czterdziestoparoletni mężczyzna jest całkiem przystojny. Miał mocno zarysowaną szczękę, romantycznie rozwichrzone czarne włosy, marzące oczy o ciężkich powiekach i atletyczną figurę z dobrze rozbudowaną klatką piersiową. Im dłużej na niego patrzyła, tym bardziej jej się podobał.

- Czy mam przyjemność z panną Pendlebury? - spytał, nerwowym ruchem odgarniając pasmo włosów, które zmysłowo opadło mu na oko.

- Tak - rzuciła ze zdziwieniem, próbując w popłochu przypomnieć sobie, skąd ten diaboliczny przystojniak może znać jej nazwisko.

- Jestem pastor Giles McTaggart. Poznaliśmy się na plebanii opactwa Najświętszej Marii Panny, gdzie omawialiśmy termin pani ślubu z panem Haroldem...

Mówił pełnym, niskim głosem z lekkim szkockim akcentem. Nieśmiało wyciągnął do niej rękę, różową i mięsistą jak szynka.

Vivienne dopiero teraz doznała olśnienia. A więc to był wikary, z którym w zeszłym tygodniu ustalali datę ślubu z Haroldem! Zapamiętała wtedy, że był przystojny, ale wyleciało jej z głowy, że aż tak.

- Przepraszam, nie poznałam pastora bez sutanny - usprawiedliwiała się, bo dopiero teraz zauważyła koloratkę wystającą spod szetlandzkiego swetra. Wyciągnęła do niego wypiełgnowaną dłoń, którą pastor nerwowo uściśnął swoimi grubymi palcami.

- Nie gniewa się pani, że przeszkodziłem w rozmowie z pani... hm... przyjacielem? - Uśmiechnął się niepewnie do Sama, licząc, że zostanie mu przedstawiony.

- To mój stary, dobry kumpel Sam! - Vivienne z naciskiem dokonała prezentacji, choć z przeżenieniem uświadamiała sobie, co wielebny McTaggart musiał w tej chwili o niej pomyśleć. Jakże to, przyszła panna młoda bez rumieńca popija drinki w zakazanej knajpie w towarzystwie mężczyzny innego niż jej narzeczony? Pewnie ją wziął za ostatnią dziwkę!

Tymczasem pastor wylewnie uściskał rękę Sama i uśmiechnął się na całą szerokość kwadratowej szczęki.

- Miło mi pana poznać! Będę miał zaszczyt wydawać za mąż pannę Pendlebury.

- To wspaniale. - Sam z podziwem wpatrywał się w tak potężnie zbudowanego mężczyznę.

- Mmmm... tego... to znaczy, będę udzielał ślubu tej młodej damie i jej narzeczonemu. - Wielebny McTaggart poczerwieniał z zakłopotania. Uwolnił wreszcie rękę Sama i zwrócił się do Vivienne.

- Cieszę się, że państwo wybraliście właśnie nasze opactwo. I jeszcze raz chciałbym pani podziękować za datek na odnowienie dachu kościoła, to bardzo szlachetnie z waszej strony. - Ponownie zwrócił się do Sama: - Pozwolicie państwo, że się przysiadę?

- Ależ proszę bardzo! - Vivienne rozplątała się w uprzejmościach, zanim Sam zdążył otworzyć usta. Pastor przysunął więc sobie krzesło od strony Sama.

- Czy pan dobrze zna obojga państwa młodych?

- No... - Sam już chciał zaprzeczyć, ale Vivienne rozpaczliwymi gestami sygnalizowała mu, żeby potwierdził. - Tak, przyjaźnimy się.

Skłamał gładko, choć tylko raz miał okazję widzieć Harolda. Zdarzyło się to wtedy, kiedy przechodząc obok domu Vivienne, wpadł do niej na herbatkę i miał sposobność zetknąć się twarzą z twarzą z garniturem jego sztucznych zębów.

- Wspaniale, w takim razie na pewno spotkamy się na ślubie! - Pastor promieniał. - Głowę daję, że będzie tam więcej panów, którym panna Pendlebury złamała serce, nieprawdaż?

Sam ze śmiechem przytaknął, patrząc, jak ta pyskata Vivienne gwałtownie się zarumieniła.

- Proszę, niech pastor mówi mi Vivienne! - wyszeptała, spłoniona.

- Vivienne... cóż to za piękne imię! - Pod jego wzrokiem trzepotała rzęsami i uśmiechała się wstydliwie, ale Sam wiedział już, że są to sygnały ostrzegawcze. Podobnie zachowywała się wobec Australijczyka, murarza i setek nie podejrzewających niczego mężczyzn. Oznaczało to, że rozpoczyna polowanie, a tym razem zagięła parol nawet na osobę duchowną!

- Chyba będę musiał już iść. - Wielebny McTaggart zrobił ruch, jakby chciał wstać.

Próbował tym sposobem uniknąć wzroku Vivienne, ale bez efektu.

- Tak prędko? - wydyszała z minką bezradnej dziewczynki.

Zwykle to skutkowało, ale tym razem nawet Vivienne nie była w stanie wygrać w konkurencji z Panem Bogiem.

- Naprawdę muszę. - Prawdę mówiąc, wcale nie sprawiał wrażenia, jakby chciał się stąd ruszyć.

- Jak to, przecież musimy jeszcze omówić sprawy organizacyjne. - Vivienne ruszyła do ataku. - Chodzi o mszę i dobór hymnów... - Wytoczyła najcięższe działa.

- Chyba rzeczywiście musimy. - Spojrzał na zegarek. - Myślę, że dziesięć minut nie zrobi mi różnicy.

Wielebny McTaggart zamienił się z Samem na miejsca, aby siedzieć bliżej Vivienne. Sam skorzystał z chwilowego zamieszania, aby zamówić następny kufel piwa. Barmanka mrugnęła znacząco i z lubością zaczęła tłoczyć napój z beczki, podzwaniając przy tym złotą biżuterią. Sam tymczasem z bezpiecznej odległości przyglądał się Vivienne pogrążonej w rozmowie z pastorem. Tworzyli razem dziwną parę: jej drobna figurka w najmodniejszych ciuchach obok jego zwałistej postaci w spranym swetrze i zdeptanych buciorach. Jednak po kilku minutach duchowny ponownie spojrzął na zegarek i niechętnie się oddalił, w biegu poprawiając koloratkę i machając ręką Samowi. Wychodząc z baru, o mało nie wpadł na stół okupowany przez motocyklistów popijających jabłecznik.

- Na miłość boską, Vivienne, przecież on jest pastorem! - burknął Sam, wracając do stolika z pełnym kuflem.

- Nie wymawiaj imienia boskiego nadaremno! - Vivienne rozparła się na fotelu, obciągając obrębek spódnicy, wyraźnie z siebie zadowolona.

- Odkąd zrobiłaś się taka pobożna?

- Od jakichś dziesięciu minut - oświadczyła, dostojnie sznurując usta. - Ale zejdźmy ze mnie. Zaczęłaś coś mówić o Charliem i twojej kawiarni...

Odrzuciła loki do tyłu i poprawiła makijaż, przeglądając się w złotej puderniczce Chanel. Zatrzasnęła jej wieczko i znacząco spojrzała na Sama. Ten zaś podrapał się po głowie pokrytej tygodniową szczecinką i westchnął.

- Charlie Mendes to ten skurwysyn, który odziedziczył po ojcu prawa do dzierżawy mojej kawiarni.

- Aha, to on podwyższył ci czynsz? - Wreszcie załapała.

- Podwyższa mi go za każdym razem, ilekroć kupi sobie nowy wóz. Jeszcze zanim dostał tę pieprzoną robotę w telewizji, nieraz przyłaził mi do lokalu, brał sobie, co chciał, zamawiał kawę dla wszystkich swoich kumpli i grosza za to nie płacił. Gorzej, parę razy przyłapałem go na gmeraniu w kasie, jakby był u siebie.

- Obawiam się, że jest - mruknęła Vivienne, wysączając ostatnie krople toniku.

Sam walnął pięścią w stół, aż rozlał swoje piwo, a Vivienne o mało nie udławiła się kostką lodu.

- Gówno jest! To moja kawiarnia. Zbudowałem ją od zera. Przedtem była tu jakaś pieprzona pralnia samoobsługowa!

Vivienne podskoczyła, przerażona tym nagłym wybuchem. Zrewanżowała mu się też niezbyt taktownie, czego na pewno nie nauczyła się w klasztornej szkole.

- Oj, czy on czasem nie uwiódł ci kelnerki?

- Owszem, i traktował ją jak śmiecia, tak, jak traktuje wszystkich. To dwulicowy kłamca!

Spojrzeni wymownie po sobie, gdyż oboje pomyśleli o Delili.

- Ja w każdym razie nie mam zamiaru jej tego mówić - zastrzegła się zdecydowanie Vivienne. -
Tobie też nie radzę, bo nie będzie ci za to wdzięczna.

- Wiem, bo już próbowałem. - Sam w zakłopotaniu potarł ręką czoło.

- Kiedy?

- Wczoraj.

- I co?

- I pokłóciliśmy się jak jasna cholera!

- Dziwisz się? - Vivienne westchnęła. - Nie ma sensu tłumaczyć zakochanej dziewczynie, że jej idol jest oszustem i draniem, bo i tak ci nie uwierzy.

Dostrzegła swoje odbicie w mosiężnej ozdobie z końskiej uprzęży i stwierdziła na tej podstawie, że jej kołnierzyk ze sztucznego futerka źle leży, więc go poprawiła.

- Tym bardziej, jeśli jest milionerem i najbardziej atrakcyjną partią w całej Anglii... - dodała. -
À propos, czy to prawda, że ma kolekcję najnowszych modeli ferrari?

- Vivienne!

- Przepraszam, kochanie, ale ja zawsze tak się wszystkim przejmuję... - Proszącym gestem złożyła wargi w dzióbek. - Słuchaj, cholernie mi przykro, że ci nie wyszło z Delilą, ale jestem pewna, że niedługo wszystko obróci się na lepsze. Zostaw ją na razie w spokoju, niech ochłonie. Jeśli to wszystko, co powiedziałeś o tym Charliem, jest prawdą, to sama szybko zmieni o nim zdanie... Przepraszam, plotę głupstwa. Wiem, że jestem kiepską pocieszycielką w porównaniu z tobą!

Odpowiedział jej smutnym uśmiechem.

- No, ale teraz rzeczywiście muszę już lecieć. Mam jeszcze to i owo do omówienia z Gilesem.

- Z Gilesem? Zdążyliście już wypić brudzia? Oczy Vivienne zwięzły się ze złości.

- To, że on jest pastorem, nie oznacza, że nie możemy mówić sobie po imieniu.

- Dobra, dobra. - Podniósł ręce do góry w markowanym geście kapitulacji, ale nie mógł sobie darować komentarza: - I co wy tam chcecie omawiać? Rozmiar jego organu... przepraszam, organów?

- Cha, cha, cha, bardzo śmieszne! - fuknęła. - Czasem zachowujesz się zupełnie jak dziecko.
Odkąd się zaręczyłam, nie w głowie mi takie rzeczy!

- Dajmy na to! - Sam zaśmiał się niedowierzająco, a Vivienne wychwyciła nutkę ironii.

- Do zobaczenia. Zadzwoń do mnie! - Pożegnała się, zbierając swoje drobiazgi - torebkę od Chanel, komórkę, apaszkę od Hermesa, parasolkę od Mulberry'ego... Cmoknęła Sama w oba policzki i z wyraźną ulgą wybiegła z baru, elektryzując swoimi szpileczkami dywan z tworzywa sztucznego. Sam obserwował ją, jak wsiadła do taksówki, a po chwili rozplynęła się w londyńskim ruchu ulicznym. Zdany na własne towarzystwo, spojrzął na pusty kufel i zastanawiał się przez chwilę, czy powinien zamówić następny. Jeśli to zrobi - przypuszczalnie upije się po raz drugi w ciągu ostatnich trzech dni.

Rozważał tę ewentualność, napotykał wzrok barmanki, żującej melancholijnie słomkę. Westchnął smętnie, wstał i pomaszerował w kierunku bufetu.

27

Sięgnij po moje usta, po moje ramiona;

Należą już do ciebie, powiedz tylko słowo...

Z dwóch głośników stereo rozbrzmiewały najnowsze przeboje Toma Jonesa, nastawione na cały regulator. W ich takt Delila wirowała po garsonierze Charliego, ubrana tylko w niebieskie majteczki od Marksa i Spencera. Naprawdę nie były już niebieskie, lecz szare, od zbyt częstego prania w wysokich temperaturach. Cóż stąd jednak, że bielizna nie pochodziła od Calvina Kleina - za to marzenia, o mieszkaniu żywcem wyjętym z kart „Elle” i o nowym życiu u boku oszałamiającego przystojniaka, spełniły się co do joty. Delila manifestowała swoją radość, śpiewając tak głośno, że zagłuszała Toma Jonesa:

Wszystkie bogactwa świata, te nieocenione,

Mogą twoimi być;

Więc sięgnij po me usta, po moje ramiona,

Zacznij na nowo żyć...

Od muzyki i śpiewu szklane probówkowate flakony w ścianach wibrowały jak klawisze ksylofonu. Kiedy wreszcie płyta się skończyła, bez tchu opadła na kanapę obitą materiałem w kolorze karmelu i ustami delikatnie zbierała pianę z filiżanki cappuccino. Wystarczyły dwadzieścia cztery godziny spędzone pod dachem Charliego, aby zarzuciła swój wieloletni nawyk picia czarnej kawy rozpuszczalnej na rzecz mlecznej kawy z pianką. W miarę, jak akcja serca wracała do normy - spokojnie popijała ten napój, rozglądając się po swoim nowym otoczeniu. Znajdowały się tam trzy wielkie okna balkonowe, przez które widać było głównie niebo nad Londynem. W wypolerowanych deskach podłogi z jasnego drewna mogła się swobodnie przejrzeć, a przy stole ze szklanym blatem zmieściłaby się cała drużyna piłkarska. Przede wszystkim jednak rzucała się w oczy przestronność tego apartamentu, całe metry wolnej przestrzeni.

Nie wierzyła własnemu szczęściu - przecież to tak, jakby zatrzymała się w pięciogwiazdkowym hotelu! Wprawdzie nigdy dotąd nie mieszkała w takim hotelu, ale raz, w Harrogate, skorzystała tam z toalety i nawet ona wyglądała fascynująco. Zachwyciła się wtedy marmurowymi posadzkami, puszystymi ręcznikami - nie papierowymi, odwijanymi z rolki, do jakich przywykła - i kostkami mydła do jednorazowego użytku, opakowanymi w papier z wytłoczoną nazwą hotelu. Oczywiście zwędziła kilka, podobnie jak popielniczkę i garść cukierków z porcelanowej wazy stojącej w holu. Przecież wszyscy tak robili, no nie?

Teraz miała do własnej dyspozycji taki pięciogwiazdkowy apartament z rezerwacją na czas nieograniczony. Na pewno wkrótce przyzwyczai się do niego, podobnie jak do picia cappuccino z pianką zamiast ulubionej, rozpuszczalnej Nescafe. Z błogim uśmiechem przymknęła oczy, a gdyby była kotem - na pewno by zamruczała.

Tymczasem szczęknął zamek drzwi. Delila nie otwierała oczu, udając, że śpi, bo jeśli to Charlie, to obudzi ją długim pocałunkiem. Jednak Charlie na pewno nie zadałby pytania:

- A pani to kto?

Zamrugła powiekami i usiadła. W progu stała dama około sześćdziesiątki z dwiema reklamówkami od Harveya Nicholasa i z pieskiem chihuahua pod pachą. Nie miała ona bynajmniej ochoty ucałować Delili, lecz wybałuszyła na nią oczy i wpatrywała się w nią bardziej uporczywie niż agresywny pies.

Delila przypomniała sobie, że Charlie coś nadmieniał o sprzątacze, która miała przyjść mniej więcej w porze lunchu. Ta kobieta nie wyglądała wprawdzie jak typowa sprzątaczką, bo nie miała na sobie fartucha w kratkę ani gumowych rękawic, tylko kaszmirowy sweterek bliźniak w odcieniu ciepłego brązu i podwójny sznurek pereł na szyi, ale mieszkanie znajdowało się przecież w tak luksusowej dzielnicy...

- Dzień dobry, jestem Delila! - Zeskoczyła żywo z kanapy i wyciągnęła rękę do nieznajomej. Ta jednak zignorowała gest, więc Delila poczuła się nieswojo w samym staniczku i majteczkach od Marksa i Spencera. - Chyba pani wie, gdzie są środki czystości, prawda?

Siliła się na władczy ton, jakby codziennie wydawała dyspozycje sprzątaczkom w samej tylko bieliźnie. W środku jednak trzęsła się ze zdenerwowania, bo nawykła raczej do przyjmowania poleceń niż do ich wydawania.

- Jakie środki czystości?

- No, płyn do czyszczenia, ściereczki... przecież pani wie.

- Jaki znów płyn? - Przybyła rozdziawiła usta jak wrota. Jej piesek, węsząc, podreptał do korytarza, w którym spał Fatso i zaczął przed nim się płaszczyć, chcąc zwrócić na siebie jego uwagę. Jednak Fatso nie zareagował na czworonożnego przybysza, w przeciwieństwie do syjamskiej kotki Charliego, Karmy, która wygięła grzbiet w łuk i przeraźliwie prychając, rzuciła się na intruza, pozostawiając na wyfroterowanym parkiecie szlaczek ze śladów pazurów.

- No, taki płyn, na przykład do mycia sedesu... - tłumaczyła cierpliwie Delila, choć równocześnie myślała, że przez ten czas sama umyłaby muszlę. Natomiast nieznajoma zmroziła ją surowym spojrzeniem:

- Myślę, moja panno, że coś ci się pomyliło.

- Jak to? - W mózgu Delili zaświeciło ostrzegawcze światełko. - To pani nie jest tą panią Baxter, która sprząta u Charliego?

- Oczywiście, że nie. - Dama strząsnęła ze swego ramienia nieistniejący pyłek i spojrzała na Delilę spode łba. - Jestem matką Charliego. A panienka to kto?

Delila zastygła jak słup soli. Jak mogła się tak fatalnie pomylić, i to w stosunku do matki Charliego? Przecież każda dziewczyna wie, że narazić się matce swojego chłopaka to gorzej niż zadrzeć z samym ojcem chrzestnym mafii! Dobrze jeszcze, że nie spotkał jej los konia, którego właściciel miał nieszczęście nastąpić na odcisk wszechmocnemu Don Corleone. Zanim do tego doszło, na szczęście pojawił się

Charlie z wielkim bukietem słoneczników. Miał zamiar wręczyć je Delili, ale w lot ocenił sytuację. Widząc swoją dziewczynę półnągą i wystraszoną, kulącą się pod wzrokiem jego matki jak pod wzrokiem węża - podstawił kwiaty pod nos matce, co dało Delili czas na paniczną ucieczkę, sam zaś wziął na siebie ciężar składania koniecznych wyjaśnień.

- Przepraszam cię za moją nadopiekuńczą mamę. - Charlie leżał na kanapie u boku Delili, spleciony z nią ramionami i nogami. Wyszczęli już dużą dawkę szampana, którego bąbelki przyjemnie łaskotały podniebienie. Delila nie mogła powstrzymać uśmiechu, kiedy przypominała sobie, jak Charlie zmiękczał matkę, nie szczędząc jej komplementów ani whisky. Niezle wstawioną i udobruchaną zapakował razem z psem do bentleya, nakazując kierowcy odwieźć ją prosto do domu. Kiedy już miał to z głowy, poczęstował Delilę japońską potrawą sushi. Pierwszy raz w życiu jadła surową rybę i nie była tym zachwycona - smażona smakowałaby jej dużo lepiej! Popijali to szampanem Dom Perignon, a na deser poszli razem do łóżka.

- Stęskniłem się za tobą... - szeptał jej we włosy. Delila zapragnęła, aby ją ktoś uszczypnął, przekonując tym samym, że nie śni. - Nie mogłem nawet normalnie pracować, bo przez cały czas myślałem, że się tu nudzisz sama.

- Nie martw się o mnie, jakoś sobie dawałam radę. Przez ten czas zdążyłam się dobrze rozejrzeć.

Nie kłamała, bo ledwo wyszedł do pracy - spenetrowała dokładnie jego łazienkę, sypialnię i bieliznę przeznaczoną do prania w poszukiwaniu czegoś podejrzanego. Nie znalazła jednak żadnych niepokojących przedmiotów - na przykład leków przeciw chorobom wenerycznym, zdjęć dawnych sympatii czy części ich garderoby, słowem niczego, co stanowiłoby skazę na jego nieskazitelnym wizerunku.

- Pewnie ci przykro z powodu wczorajszego dnia? - zagadnął.

- Dlaczego właśnie wczorajszego? - Zdążyła już zapomnieć.

- No, przecież wczoraj pokłóciłaś się z tym twoim niby przyjacielem, z tym Samem.

- Ach, to! - Rzeczywiście, wpadła wtedy do samochodu Charliego bliska płaczu. Przez całą drogę do jego mieszkania wylewała przed nim złość na Sama, powtarzając, jakich strasznych rzeczy nagadał o nim i o niej.

- Masz pojęcie, co on powiedział? Czy możesz w to uwierzyć? - łkała, wycierając oczy drżącą ręką.

Charlie zachował się wtedy nadzwyczajnie. Zajechał na parking, zgasił silnik i otoczył ją ramieniem, uspokajając i nalegając, aby o tym zapomniała.

- Widzisz, jestem dosyć znany w tych stronach i dlatego, chociaż nigdy nie słyszałem o tym jakimś Samie, on musiał słyszeć o mnie - tłumaczył, łagodnie gładząc ją po twarzy. - Zresztą wydaje mi się, że on mi zazdrości. Pozycji społecznej, poziomu życia, a przede wszystkim... pięknej dziewczyny!

Delikatnie pocałował ją w usta i od razu zaczęła miarowo oddychać, obeschły jej łzy, a pod osłoną skórzanej kurtki Charliego wszystko nabrało właściwych wymiarów.

- Już dobrze, ja tylko nie cierpię klótni! - Wołała nie myśleć o tym, bo było to zanadto przygnębiające. Zamiast tego naląła sobie więcej szampana, aż bąbelki strzeliły jej nosem. Tego samego zdania był Charlie.

- Wiem, kochanie. Najlepiej nie myśl o nim więcej, bo to nie jest odpowiedni przyjaciel dla ciebie. Szkoda twoich nerwów, nadmiar negatywnej energii nikomu nie wychodzi na zdrowie.

- Ale... - chciała sprostować, że Sam zwykle nie zachowywał się w taki sposób, lecz Charlie zwekslował jej myśli na inny temat, bo po prostu zaczął rozpinać jej bluzkę.

- Teraz nie musisz się martwić nikim i niczym. Ty masz mnie, a ja mam ciebie.

Jęknęła z rozkoszy, kiedy drażnił językiem jej pępek, równocześnie zsuwając z niej dzinsy. Charlie miał rację. Nie musiała się już o nic martwić, bo w jej życiu tylko on coś znaczył. Wydając z siebie kolejny nieartykułowany dźwięk, myślała, że odtąd przestaje ją obchodzić, co ludzie gadają. Niech wszyscy idą do diabła, grunt, że ona właśnie wznosiła się do nieba...

- No więc spotykamy się o pierwszej u Harveya Nicksa.

- Tak, w dziale ubiorów ślubnych. To jest na czwartym piętrze, zaraz obok materiałów obiciodowych. Na pewno tam trafisz, bo z daleka będzie widać mnóstwo grubych panien Sloane w brylantowych diademach i sukniach z morelowego atłasu.

- Co to za panny?

- Moje druhny mają akurat przymiarke sukien. Harold uparł się, żeby zaprosić jego trzy siostrzenice, Hilary, Hermione i Harriet, a ja znów chciałam, żeby mi świadcowały moje dawne koleżanki szkolne, Penny i Wirginia. One wszystkie są bardzo fajne, ale strasznie lubią jeść. Tyją i tyją, więc na ich suknie potrzeba kupę materiału.

- Dobra, muszę już kończyć, zobaczymy się w sklepie. - Delila ze śmiechem odłożyła słuchawkę. Miło było słyszeć, że Vivienne nic się nie zmieniła.

Nie mogła się już doczekać spotkania z byłą współmieszkanką, bo ostatnio długo się nie widziały, głównie z powodu trapiącej Vivienne „gorączki przedślubnej”. Przykra ta przypadłość objawiała się między innymi wyklócaniem się z dostawcami potraw weselnych i kwiatów, płaczem na wiadomość, że zamówiony uprzednio kwartet smyczkowy zaplanował w dniu ślubu tournée po Chinach; wreszcie atakiem hysterii, gdy przypadkowo upuściła na podłogę kuchni tort weselny złożony z pięciu kondygnacji, udekorowany cukrową posypką i złożonymi listkami. Natomiast w związku Delili z Charliem ciągle trwał miodowy miesiąc - obnosiła się wszędzie z głupkowskim uśmiechem i ostentacyjnie wrzucała datki do puszek kwestarzy przy stacjach metra.

Minęło już prawie pięć tygodni, odkąd wprowadziła się z całym swoim majątkiem ruchomym do mieszkania Charliego. Trzydzieści trzy dni trwał nieustanny karnawał. Wieczorami szalała w wytwornych restauracjach, modnych barach i na proszonych kolacyjkach, a dni wypełniały jej zakupy na Ledbury Road, posiedzenia u fryzjera i seanse jogi. Wyniki nie dały długo na siebie czekać - Kopciuszek mógł nareszcie wziąć udział w prawdziwym balu. Miejsce wystrzępionych dzinsów, spranych koszulek i szopy rozczochranych, kasztanowatych włosów zajęły wąskie spódniczki z rozcięciami po bokach, kaszmirowe sweterki i błyszczące loki ufarbowane na blond.

Bynajmniej nie pragnęła tej metamorfozy, ale życzył jej sobie Charlie. Początkowo miała skrupuły, ale wkrótce polubiła zarówno nowe życie, jak swój nowy wygląd. W końcu to było właśnie to, o czym marzyła, kiedy dni upływały jej na pracy, spożywaniu gotowych potraw z indyjskiej restauracji i wieczornym oglądaniu telewizji. Charlie radził jej także, aby zrezygnowała z pracy w Kuchni Domowej - mieliby wtedy więcej czasu dla siebie, no i nie potrzebowała przecież dodatkowych pieniędzy, bo on zarabiał wystarczająco dobrze dla obojga. Sprawił jej tym dużą radość, bo po raz pierwszy od wielu lat nie musiała wykonywać tej nudnej i męczącej pracy, której nie cierpiała. Czym prędzej skorzystała

więc z bmw Charliego, aby podjechać do restauracji i złożyć wymówienie. Biedny Vince nie spodziewał się jej rezygnacji - przeciwnie, liczył raczej, że nawiąże z nią romans. Ściskając jej dłoń w swojej, wilgotnej i lepkiej, szepnął konfidencjonalnie:

- Dla ciebie, *bellissima*, moje drzwi będą zawsze otwarte!

Miała ochotę dodać: „...razem z twoim rozporkiem”, bo zauważyła rozsunięty do połowy zamek błyskawiczny, spod którego wyglądały pasiaste, podejrzenie wzdymające się slipki. Akurat te drzwi wolą zamknąć za sobą na zawsze.

Wysiadła z taksówki przy Sloane Street, ściskając pod pachą Fatsa i nową torebkę od Louisa Vuittona. Pchnęła przeszkłone drzwi, mijając dział perfumeryjny, gdzie od razu rzuciły się na nią ekspedientki z wymalowanymi na czerwono paznokciami i wylakierowanymi fryzurami, na wyścigi proponując bezpłatne próbki perfum lub choćby popsikanie nimi. I wszystko to sprawiła cudowna przemiana jej image'u! Przedtem albo nie zwracano na nią uwagi, albo podejrzewano o zamiar kradzieży testerów!

Wjeżdżając ruchomymi schodami na kolejne piętra, przyglądała się po drodze swemu odbiciu w lustrach. Zastanawiała się, czy też Vivienne ją pozna, bo i sama z trudnością rozpoznawała siebie w tym nowym wcieleniu. Kiedyś wyglądała jak dziadówka i tak też się czuła. Teraz karta płatnicza American Express Charliego miała zadziwiająco pozytywny wpływ na jej wygląd i samopoczucie. Z zadowoleniem zapięła więc górny guziczek sweterka i poprawiła makijaż, używając szminki i cieni do powiek z nowej, subtelnej palety barw. Jedynie cena tych kosmetyków niewiele miała wspólnego z subtelnością. Wczoraj, w ekskluzywnym salonie fryzjerskim w Knightsbridge, podczas suszenia włosów dopadła ją zatrudniona tam wizażystka Charlene. Najpierw skrytykowała używany przez Delilę róż, a potem zaproponowała jej bezpłatną konsultację w zakresie makijażu. Przez godzinę wypróbowała na niej cienie i róże wartości około dwustu funtów, a przy tym usta się jej nie zamykały. Delila puszczała mimo uszu większą część tej gadaniny. Zapamiętała tylko najczęściej używane przez kosmetyczkę słowa: „ umiejętne zestawienie i nakładanie kolorów”. W jej ustach brzmiało to jak ironia, bo makijaż Charlene robił wrażenie, jakby środki upiększające nakładała za pomocą kielni.

- Ach, Delilo, wyglądasz fantastycznie! - Vivienne wybiegła jej na spotkanie w jedwabnej krynolinie koloru kości słoniowej z odpowiednio dobranym stanikiem. Delili skojarzyła się z lalką, która u jej macochy Sandry służyła do maskowania rolki papieru toaletowego. - Ledwo cię poznałam!

Trzymając ją za ramiona, obracała wokół własnej osi, powtarzając:

- To prawdziwy cud!

- Bez przesady! - Delila się roześmiała, czując na sobie pięć par oczu przyszłych drухen. - Ja bym tego nie powiedziała.

- A ja tak! Przedtem wyglądałaś... jak by to powiedzieć... tak prowincjonalnie!

- Dziękuję, miła jesteś! - Nie była pewna, czy ma tę uwagę traktować jako komplement. Zdecydowała jednak, że tak. - No, a jak postępują przygotowania do ślubu?

Vivienne przycisnęła drżącą dłoń do czoła i opadła na fotel.

- Szkoda słów! - zaczęła, ale zaraz rozgadała się w najlepsze, nie ustając w narzekaniach na kłopoty organizacyjne.

Najprawdopodobniej wyobrażała sobie ślub jako coś w rodzaju operacji wojskowej, w której każdy zna swoje miejsce i gotów jest na komendę przystąpić do akcji. W razie gdyby którekolwiek z ogniw zawiodło - cały misternie przygotowany plan, owoc miesięcy pracy, poszedłby na marne.

- Dlaczego, druhnny wyglądają uroczu! - Delila próbowała tchnąć nutę optymizmu w całe przedsięwzięcie.

- Akurat, są grube jak beki! - prychnęła pogardliwie Vivienne. I rzeczywiście, Penny i Wirginia, grubokościste gospodynie domowe i matki dwojga dzieci, miały poście trzęsącego się sadła na bokach, a pośladki jak szafy trzydrzwiowe. Ucieszone, że trafiła się im okazja wypadu do miasta, radośnie opychały się ciasteczkami, gdy tymczasem krawcowa rozpaczliwie próbowała poszerzyć ich suknie z morelowego atlasu choćby o kilka centymetrów. W przeciwieństwie do nich trzy równie grube nastolatki, Hilary, Hermione i Harriet, przyszczate i nabzdyczone, wyklócały się o to, na którą przypada kolej słuchania przebojów Boyzone'a z walkmana. Też ledwo mieściły się w sukienki, a mimo to opychały się batonikami „Mars”, których miały całe torebki.

- Może byś się czegoś napiła? - zaproponowała Delila po namyśle.

- To jest myśl! - Oczy Vivienne rozbłysły. Zebrała w garść wszystkie halki i spódnice, zjechała ruchomymi schodami na parter i majestatycznie wkroczyła do baru. Usadowiła się na wysokim taborecie i zamówiła Krwawą Mary, nie zważając na spojrzenia pań, które przyszły tu zjeść lunch. Z tych zaś jedne były zdania, że kręcą tu pewnie dalszy ciąg filmu „Cztery wesela i pogrzeb”, a inne orzekły, że to prawdziwa panna młoda, której narzeczony uciekł właśnie od ołtarza. Ostatecznie zdecydowały się na drugą wersję.

- Może powinnaś była się przebrać? - podsunęła nieśmiało Delila.

- A po kiego grzyba? - parsknęła Vivienne, jakby panny młode zasiadające przy barze w atlasowych sukniach naszywanych perłami należały do najpowszechniejszych zjawisk na świecie. - Tylko pan młody nie ma prawa mnie zobaczyć, bo to przynosi pecha, ale Harold akurat pojechał do Shropshire poćwiczyć na strzelnicy. Wychyliła duszkiem drinka i oblizwała się z satysfakcją:

- No, od razu lepiej! To prawdziwa strawa dla ducha. - Świdrując Delilę swoimi przenikliwymi oczkami, dodała: - Czy to Charliemu zawdzięczasz tę nagłą zmianę wyglądu?

Delila zarumieniła się i odpowiedziała bez przekonania:

- Nie, to ja doszłam do wniosku, że powinnam zmienić swój image. - Nie chciała przyznać się przed Vivienne, że pomysł wyszedł od Charliego.

- Hmmmm... - Vivienne niedowierzająco wydeła usta. - W każdym razie odnotowuję dużą poprawę. Mam przez to rozumieć, że z Charliem układa ci się świetnie?

- O tak! - potwierdziła wylewnie Delila ze wstydliwym uśmiechem. - A tobie z Haroldem?

- No cóż, jakoś nam życie płynie. Dosłownie, bo musieli mu wszczepić rozrusznik serca.

- O rany, rozrusznik?

- Tak, bo serducho mu nawala. Przez to musiał odstawić viagrę. - Skinęła na barmana, aby nalał jej następnego drinka. - Pozostały nam już tylko pieszczoty, co nie rokuje zbyt pomyślnie na nasz miesiąc miodowy. Pewnie spędzimy go na grze w Scrabble'a, chociaż na wszelki wypadek mam zawsze ze sobą wibrator...

Barman, który zmieniał właśnie popielniczki, musiał coś usłyszeć, bo spiekł raka i z wrażenia przewrócił pojemnik na słomki. Delilę też zatkało. Mniejsza o miodowy miesiąc, ale co z ich dalszym wspólnym życiem? Nie będą chyba przez najbliższe czterdzieści lat rozwiązywać krzyżówek! Tyle tylko, że nie przypuszczała, aby Harold mógł długo pociągnąć, a już na pewno nie do rubinowego wesela!

- Dobra, zejdźmy już ze mnie. Może jeszcze po jednym? - Vivienne próbowała wykrzesać z siebie odrobinę entuzjazmu.

- Czemu nie? Dla mnie może być Kir Royale. - Delila dopiero niedawno dowiedziała się o istnieniu takiego pysznego koktajlu. Miała okazję go spróbować w czasie któregoś z wieczornych wyjść z Charliem.

- No, nareszcie zachowujesz się jak człowiek! - Vivienne była zachwycona. Sama wprawdzie piła już tylko koktajle bezalkoholowe, ale cieszyła się, że Delila nie robi jej wstydu, zamawiając wódkę z colą, i to w półlitrowych szklankach!

Przegadały tak dwie godziny, przechodząc od aperitifów do przystawek. Vivienne uskarżała się, że jest głodna, ale gdy przyszło co do czego - nie wzięła do ust niczego oprócz sałaty. Spoglądała tylko spode łba na Delilę, która zajadała się włoską potrawą *focaccia*.

- Przed ślubem muszę jeszcze zrzucić ze sześć kilo - oświadczyła.

Delila przerwała maczanie chleba w oliwie z oliwek, aby przyjrzeć się drobnej figurce Vivienne, przytłoczonej zwojami kremowego atlasu.

- Ciekawe, z czego? Chyba że utniesz sobie rękę albo nogę! - zażartowała.

- Dobrze ci mówić, jak jesteś taka wąska w biodrach! - warknęła Vivienne. - Niestety, w rodzinie Pendlebury kobiety są dziedzicznie obciążone grubą dupą, nie przymierzając księżna Fergie. Sto lat temu takie kobiety były cenione, bo uważano, że mogą urodzić dużo dzieci, ale dziś wytyka się je palcami.

- No więc jak chcesz się tego pozbyć? - Delila wróciła do swojej zakąski. Wiedziała już, że nie ma sensu przekonywać Vivienne, kiedy ta raz się na coś uprze.

Vivienne zapaliła papierosa i zaciągnęła się głęboko.

- Jedynym rozwiązaniem jest liposukcja. Próbowałam już wszystkiego, nawet przepłukiwania jelita cienkiego. Nic to nie dało, ale nie masz pojęcia, co może wyjść z człowieka drugim końcem! Przypominało to zupełnie pasztet sztrasburski.

Delila odłożyła widelec, bo nagle odebrało jej apetyt na kraby zapiekane w cieście i surówkę.

- Więc jak, umówiłaś się już na zabieg? - Chcąc wybrnąć z tej sytuacji, musiała dostosować się do toku myśli Vivienne.

- Tak, w czwartek. Podobno to nie trwa dłużej niż godzinę.

W tym momencie zadzwonił jej telefon komórkowy. Delila słyszała, jak na drugim końcu linii Hilary, Hermione i Harriet wykrzykują coś do słuchawki.

- Nie, nie możecie pójść na hamburgery do Planety Hollywood - odwarknęła im Vivienne. - Muszę jeszcze omówić listę prezentów z panią Margot z działu materiałów obciowych.

Zanim się rozłączyła, słycać było z tamtej strony jęk rozczarowania.

- Gówniarzeria! - mruknęła pod nosem.

Po lunchu przyjaciółki uregulowały rachunek z przystojnym kelnerem o śródziemnomorskim typie urody. Vivienne zostawiła mu hojny napiwek, a także - myśląc, że Delila tego nie widzi - swój numer telefonu.

- Miałaś może jakieś wiadomości od Sama? - Delila nie mogła sobie darować tego pytania.

Od czasu tamtej kłótni sprzed pięciu tygodni nie rozmawiali ze sobą, próbowała nawet wyrzucić go z pamięci, ale bez skutku - myśli o nim powracały jak ćmiący ból zęba. Ból ten dawał się chwilowo zagłuszyć, kiedy mile spędzała czas w towarzystwie Charliego w restauracji albo klubie lub też oddawała się swemu nowemu hobby - zakupom w luksusowych magazynach. Jednak czasem, podczas bezsennych godzin nocnych, kiedy nie dawał jej zasnąć - na przykład - hałas za oknem sypialni, tępy ból przemieniał się w ostry, szarpiący, nie dający się odpędzić żadnymi sposobami. Wtedy miotała się między wspomnieniami przyjemnego, wspólnego weekendu w Brighton a tamtej fatalnej kłótni. Gdyby tak mogła zadzwonić do niego, przeprosić i wrócić do dawnej przyjaźni! Sęk w tym, że nie mogła. Za dużo się już między nimi zmieniło i nie było powrotu do przeszłości.

- Niewiele - skłamała na oczekaniu Vivienne. Bo fizyczną niemożliwością było, aby dowiedzieć się „niewiele”, skoro przez cały miniony miesiąc rozmawiała z Samem przez telefon trzy razy dziennie.

- I co tam u niego słycać?

- Wszystko w porządku. - To też było kłamstwo.

Nie chciała, aby to od niej Delila dowiedziała się, jak minął Samowi ostatni miesiąc.

- No i dobrze. - Delila uśmiechnęła się półgębkiem. Nie rozumiała, dlaczego podejrzewa, że Vivienne nie mówi całej prawdy ani dlaczego wciąż nie może wyzbyć się poczucia winy. Przecież to

w końcu Sam pierwszy wszczął kłótnię i to przez niego powiedziała mu w złości parę przykrych słów, których potem żałowała. - Mówił ci, że się posprzecaliśmy?

- Coś tam wspominał. - Mówiąc nieprawdę trzeci raz z rzędu, aż skurczyła się w sobie. Na trzy pytania - trzy kłamstwa, niczym święty Piotr, który trzy razy z rzędu zaparł się swego Mistrza... Wolała więc zmienić temat. - Wiesz co, lepiej już wracajmy, zanim te smarkate się nie zmyją w sukienkach z mojego materiału!

Delila z trudem ukryła rozczarowanie.

- Dobra, zadzwonię do ciebie w czwartek, żeby zapytać, jak się udał zabieg. Na razie cześć!

Siląc się na dobrą minę, złapała na rękę Fatsa, który skrył się przed kierownikiem sali pod obfitymi spódnicami Vivienne, i ruszyła w stronę wyjścia.

Vivienne pomachała jej ręką na pożegnanie. Było jej przykro, że okłamała Delilę, ale nie chciała pośredniczyć między nią a Samem, tym bardziej że Sam przykazał jej surowo, aby się nie wtrącała. Jeśli chce dowiedzieć się o nim czegoś więcej, niech zadzwoni do niego sama. Tylko czemu ją to aż tak interesowało, jeśli rzekomo była zakochana w Charliem?

29

- Kochanie, bądź tak miła i naszykuj coś na ząb, a ja zajmę się drinkami - polecił Charlie, wyjmując z lodówki dwie butelki Dom Perignon.

- Ależ, Charlie...

Nawet jej nie słuchał, tylko w biegu rzucił:

- Dziękuję, kochanie!

Przelotnie pocałował ją w czoło, zgarnął tyle kieliszków do szampana, ile objął dłońmi, i popędził do swoich gości, zostawiając ją samą w kuchni. Westchnęła, bo w ciągu ostatnich trzech tygodni ich wzajemne pożycie nie układało się już tak różowo jak przedtem. Po raz czwarty w tym tygodniu Charlie sprosił do domu całą bandę niedoszłych aktorów, muzyków i innych „znakomitości” na zaimprovizowaną popijawę po wyjściu z baru. Po raz czwarty też Delila tkwiła w kuchni, rozkładając na półmiskach krakersy i sery od Harrodsa, podczas gdy inni doskonale się bawili. Nigdy dotąd w myśli jej nie powstało, że jako gospodyni przyjęcia, zamiast krążyć po salonie w wydekoltowanej, wieczorowej sukni, roznosząc paszteciki lub czekoladki „After Eight”, będzie opróżniać popielniczki, napełniać kieliszki i na czworakach wczołgiwać się pod stół, aby wytrzeć rozlane napoje.

Tymczasem z salonu dobiegały odgłosy strzelających korków i brzęku kieliszków, gdy Charlie rozlewał gościom szampana.

- Zdrówko, stary! - tubalnym głosem wznosił toast Ruben, potężnie zbudowany Murzyn z Jamajki, wysoki na metr osiemdziesiąt, a szeroki w barach na jakieś metr dwadzieścia. Miał właśnie za-

miar zaprezentować zebrany swój stary chwyt, polegający na wmówieniu gościom, że handluje na Portobello. Zawsze dawali się na to nabrać i z błyskiem w oku podpytywali, czy ma do sprzedania prochy, czy marychę. On wtedy parskał grzmiącym śmiechem i wyjaśniał, że owszem, handluje, ale wyłącznie antykami, po czym proponował im kupno interesującego okazu wiktoriańskiej porcelany lub zegara po pradziadku! Teraz popijał szampana i bawił się pokrętłami odtwarzacza stereo, wyobrażając sobie, że jest disc jockeyem, kiwającym głową w takt perkusji i gitary basowej.

- Fajny facet, nie? - mruzcili pod nosem dwaj długowłosi muzycy, mocno już pijani, którzy leżeli rozwaleni na kanapie obok dwóch pulchnych portorykańskich dziewcząt - Pippy i Amelii. Te zaś siedziały sztywno, ssąc mocne, miętowe cukierki i uważając, aby ktoś nie zajrzał im pod spódniczki. Zak, pierwszy wokalista w zespole (prywatnie Edward, pochodzący z okolic Londynu), gapił się błędnymi oczami w Amelię i próbował poderwać ją na piosenkę ze swego jeszcze nie nagranych i nigdy nie wydanego albumu, który zatytułował „Bieda”:

W fabryce codziennie zasuwam noce, dnie.

Ta praca, ta praca, wykończy wkrótce mnie!

Amelia z oczami jak spodki słuchała jego pseudosocjalistycznych haseł. Kryło się za nimi przekonanie, że w ciągu najbliższych pięciu lat otrzyma zatrudnienie w City i będzie jeździł porsche 911. Po którymś z rzędu zaciągnięciu się skretem z marihuany podsunął go Amelii, na co Pippie o mało nie zemdląła z wrażenia. Wiedziała, że rodzice będą na nią wściekli, ale poruszony w piosence motyw niesprawiedliwości społecznej nastrajał ją buntowniczo.

- Może ci w czymś pomóc? - zaszczebiotała Nickii, kiedy Charlie napełniał jej kieliszek. - Wyglądasz, jakbyś był cholernie zajęty.

Przysunęła się do niego i wymownie pogładziła go po rękę, na co roześmiał się i ukradkiem uszczypnął ją w tyłek.

- Może później... - szepnął obiecująco.

Nickii zachichotała. Stanowczo, Charlie był dużo zabawniejszy, kiedy ta jego nudna dziumdzia nie kręciła się w pobliżu!

Tym razem jednak Nickii nie miała szczęścia, bo właśnie pojawiła się Delila.

- Podano do stołu! - zaanonsowała, wnosząc półmisek serów i krakersy.

Goście obskoczyli ją jak zgraja głodomorów. Po całym wieczorze picia potrzebowali coś na ząb.

- Mmm... pycha! - dyszał Ruben, porywając dla siebie duży klin sera cheddar.

- Dobrze, że to nie koreczki z sera i ananasa na szpadkach! - przycięła ironicznie Nickii, dźgając wykałaczką porcję brie, jakby szukała w nim oznak życia.

Delila usłyszała tę uwagę i zagryzła zęby. Nietrudno było się domyślić, że Nickii nie jest zachwycona jej przybyciem, z tej prostej przyczyny, że Delila sprzątnęła jej sprzed nosa Charliego, na

którego sama zagięła parol. Delila udawała, że jej nie zauważa, ale miała świadomość, że - czy to się jej podoba, czy nie - Nickii jest starą znajomą Charliego i zawsze będzie się kręcić w jego pobliżu. Ostatnio kręciła się także po jego mieszkaniu, węsząc, robiąc złośliwe uwagi, strząsając popiół na dywan lub żartując z Charliem jak jego najlepsza kumpela.

- Dziękuję kochanie! - wyszeptał namiętnie Charlie, obejmując Delilę ramieniem w talii. - Co bym zrobił bez ciebie?

Mrugnął znacząco i podał jej kieliszek szampana.

- Teraz napij się i baw się razem z nami.

Posłusznie pociągnęła łyk i uśmiechnęła się do niego. Charlie miał rację. Przecież przez całe lata, kiedy wszystkie wieczory spędzała na kanapie u boku Lenny'ego, oglądając w piżamie telewizję, marzyła przecież o tym, by znaleźć się na szykownej imprezie londyńskiej elity. No więc ma już taką imprezę i powinna świetnie się bawić. Opróżniając do dna swój kieliszek i rozglądając się po salonie, zastanawiała się, dlaczego, do jasnej cholery, wcale jej to nie bawi?

- Nudno tu jakoś! - narzekła Nickii, która po czterech kieliszkach szampana przerzuciła się na koktajl Margarita i zdążyła już niezle się wstawić. - Chodźmy zatańczyć. Jak impreza, to impreza!

Nie zwracając uwagi na Delilę, złapała Charliego i pociągnęła na środek pokoju. On zaś rzucił tylko przepaszające spojrzenie Delili i uniósł bezradnie ręce do góry, no bo co miał zrobić? Nickii szalała z nim na parkiecie, a Delili leżały się w głowie różne myśli, ale wszystkie mordercze!

- No to jazda, ruszamy! - zakomenderował Ruben, zadowolony, że udało mu się poderwać kolegów do tańca. Podkręcił odtwarzacz na cały regulator, aż w balkonowych oknach zaczęły drzeć szyby. Sam zaczął wykonywać podskoki i obroty, dopóki pot nie wystąpił mu na czoło, a hawajska koszulka nie przyłgnęła do pleców. - Wszystkie pary tańczą! - ryczał, od czasu do czasu akcentując rytm gwizdkiem i wybuchając salwami śmiechu, aż podrygiwał mu brzuch i błyskał złoty ząb na samym przodzie.

Po niedługim czasie cały salon przemienił się w krąg taneczny. Rob - chudy jak tyczka prezen-ter telewizyjny - podrygiwał po całym parkiecie, wymachując nogami w rytmie wyczuwalnym tylko dla niego. Pippa z kolei posuwała się w kółko ruchem pługa śnieżnego, równocześnie nerwowo łykając szampana i obciągając sobie spódniczkę. Chętnie zatańczyłaby z Amelią lub choćby wokół własnej torebki, ale torebka leżała schowana w bagażniku ich volkswagena golfa, natomiast Amelia całowała się w kącie z Zakiem.

Słowem, wszyscy dobrze się bawili oprócz Delili, do której przyczepił się pijany bywalec klubowy, niejaki Howard, rzekomo pracujący nad swoim pierwszym scenariuszem. Miał na sobie koszulkę z napisem „Mniejsza o jaja”, okulary przeciwsłoneczne od Cutiera i Grossa, a na nadgarstku ręcznie plecione bransoletki - pamiątkę z ostatniej wyprawy turystycznej do Tajlandii. Pewnie sam siebie uważał za kwintesencję olimpijskiego spokoju.

- Sss... skąd jesteś? - wybełkotał.

- Z Bradfordu - odparła beznamiętnym tonem, choć robiło jej się słabo.

- A... tak, pamiętam... byłem tam kiedyś w jakimś pieprzonym klubie... albo może to było Birmingham?

Podrapał się po siedzeniu i wypuścił cały kłęb dymu z marihuany. Delila zdobyła się na uśmiech, ale trudno jej było pozbyć się natrętnego nudziarza. Chwiejąc się na wszystkie strony, zdołał w końcu przytrzymać się framugi drzwi.

- Jestem Irlandczykiem! - wychrypiał, bo jego umysł, przyćmiony alkoholem i narkotykami, nie był w stanie spłodzić niczego innego. Nie wyglądał jednak na Irlandczyka, nie mówił też z irlandzkim akcentem, co nie dziwiło, bo urodził się i wychował w Middlesex, a irlandzkiego pochodzenia była jego prababka. Jedyne kontakty z Zieloną Wyspą nawiązał, uczestnicząc w koncercie zespołu „The Corrs”. Nie przyznawał się jednak do tego, bo scenarzyści mieli ambicje uchodzić za „ludzi z ulicy”.

- To skąd znasz Charliego? - Delila próbowała podtrzymać rozmowę, bo to przynajmniej odwracało jej uwagę od wygibasów na parkiecie.

- A bbbb... bo ja wiem? Pppp... poznaliśmy się w knajpie. - Howard strząsnął popiół z papierosa bezpośrednio na podłogę i przyglądał się, jak jeszcze się żarzył, wypalając dziurkę w eleganckich klepkach parkietu. - Ale gość jest w ppp... porządku, i ttt... ta jego laska też!

- Jaka laska?

- No, ta jego lala! - Howard udawał, że brzdąka na gitarze.

Delila obejrzała się i zaschło jej w gardle. Charlie nie tańczył już, tylko w drugim końcu salonu siedział po turecku na podłodze, zabawiając towarzystwo którąś ze swoich popisowych historyjek - pewnie tą, jak to kiedyś wygrał w Monte Carlo dziesięć patyków, a potem kąpał się nago w oceanie z księżniczką Stefanią. Wendy, Mandy, Andy, Jamie i Johnny w odpowiednich momentach wybuchali histerycznym śmiechem, Nickii dosłownie się do niego przykleiła. Miała niby masować mu kark, ale polegało to głównie na pakowaniu rąk pod jego koszulę. Delila wzięła głęboki oddech, bo tego już było za wiele. Mogła jeszcze znieść złośliwe komentarze na temat zakąsek czy jej taneczne wybryki w stylu Maty Hari, ale niechby przynajmniej ta dziwka trzymała łapy przy sobie! Między niewinnym przekomarzaniem się starych kumpli a otwartym podrywaniem przebiegała cienka linia, i Nickii właśnie ją przekroczyła.

Delila wkroczyła do pokoju, kiedy Charlie właśnie doszedł do pointy, przyjętej huraganem śmiechu. Najgłośniej zarykiwała się Nickii, opierając się o kanapę i zapalając skręta.

- Dobrze się bawisz? - Delila próbowała udawać, że nic nie zaszło, co nie przychodziło jej łatwo.

Nickii wypuściła kółko z dymu.

- Dziękuję, cudownie! - A wyciągając w kierunku Delili pustą szklanę, dodała: - Mogłabym poprosić jeszcze jedną margaritę? Tylko tym razem trochę więcej lodu, dobrze?

Delila policzyła w myśli do dziesięciu. Nie mogła przecież przy wszystkich dać się wyprowadzić z równowagi, bo dopiero sprawiłaby przyjemność rywalce! Zaciśnęła tylko zęby, zabrała szklanę i pomaszerowała z nią do kuchni.

Ledwo wyszła, Nickii wybuchła śmiechem i objęła Charliego za ramiona.

- Ta twoja panienka tylko psuje wszystkim zabawę - oświadczyła. - Nie mogłaby trochę wyluzować?

Charlie odchylił głowę do tyłu, przymknął oczy i zaciągnął się wonnym dymem skręta, którego Nickii właśnie mu podała.

- Tak, rzeczywiście, nie wiem, co ostatnio w nią wstąpiło - przyznał. - Zrobiła się strasznie upierdliwa, wszystko traktuje poważnie, a ja chciałem się tylko zabawić...

Zakaszła się dymem, ale zaczął już odczuwać działanie narkotyku, więc dokończył zupełnie innym tonem:

- Was, dziewczyny, trudno zrozumieć!

- Ejże, nie wszystkie jesteśmy takie! - zaprotestowała Nickii. - To tylko ona...

Musiała jednak liczyć się ze słowami, bo choć znali się z Charliem od dawna - jego aktualną dziewczyną była Delila. Jeśli zatem chciała wygrać konkurencję o jego względy, nie mogła demonstrować złośliwości, bo mężczyźni tego nie lubią. Długo szukała więc odpowiedniego słowa.

- ...jest taka... inna niż my wszyscy! - dokończyła, przysuwając się bliżej do Charliego i rozchylając wargi.

- A wiesz, że dobrze to ujęłaś? Ona jest rzeczywiście inna! - zgodził się Charlie, opierając się wygodnie o kant kanapy. - Ale pewnie dlatego ją tak lubię.

Nickii szybko zamknęła usta i pożałowała, że nie może cofnąć wypowiedzianych słów, zanim rykoszetem odbiją się na niej.

Delila postawiła pustą szklanę na blacie kuchennym, usiłując za wszelką cenę zachować spokój. Chętnie zabiłaby Nickii, a przy okazji także i Charliego, który przecież wcale jej nie odtrącał! Otworzyła szufladę zamrażalnika, chcąc wyjąć pojemnik na lód. Przy tej próbie wyskoczyło z niego ze dwanaście kostek, które rozprysły się po blacie. Zaklęła i pozbierała okruchy, wrzucając je do szklanki. Czowała się obrażona i zlekceważona. Powinna była przecież bawić się razem z Charliem, a nie sterczeć sama w kuchni, kiedy Charlie upijał się, a pewnie i dawał uwodzić Nickii... Napełniła szklanę do połowy tequilą i wermutem, a następnie rozejrzała się za sokiem z limonicy. Niestety, spostrzegła, że się skończył, tak samo jak nalewka cytrynowa. Przejrzała wszystkie butelki, ale nie znalazła nic odpowiedniego. Już była gotowa zrezygnować, kiedy jej wzrok zatrzymał się na plastikowej butelce przy zlewie...

Na usprawiedliwienie Delili trzeba przyznać, że chyba każda kobieta na jej miejscu miałaby ochotę zrobić to samo. Oczywiście to, że miałaby ochotę, nie oznacza, że by to zrobiła, ale i Delila nie była taką samą kobietą jak inne. Zielony płyn do naczyń wyglądał tak samo jak sok z limonki, więc z satysfakcją naląła go do szklanki. Nickii jest już tak pijana, że z pewnością się nie zorientuje!

- Proszę, chyba nie jest za mocny. - Wręczyła Nickii drinka ze słodziutkim uśmiechem.

- Och, co to dla mnie! - Nickii dmuchnęła jej dymem z papierosa prosto w nos. - Nie takie margarity w życiu piłam!

Towarzystwo zachichotało znacząco, a Delila tylko uśmiechnęła się pogodnie. Raz przynajmniej wiedziała coś, o czym inni nie wiedzieli! Tymczasem Nickii przyłożyła szklankę do swych grubo uszminkowanych warg i pociągnęła łyk. Delila obserwowała, czy wypluje, czy przełknie?

Tego, co się potem wydarzyło, Delila nie zapomni do końca życia, podobnie jak ci pechowi imprezowicze, którzy znaleźli się zbyt blisko Nickii w momencie, kiedy wypila do końca tę szczególną margaritę. Już po chwili pozieleniała na twarzy i zwróciła zawartość szklanki wprost na obściskujących się Zaka i Amelię, obryzgując stojących bliżej i tylko o włos nie trafiając w półmisek z serami i krakersami. Oczywiście impreza była skończona, gdyż rozpętało się prawdziwe piekło. Zarzyganą Nickii zniesiono ze schodów i wsadzono do taksówki, przykazując zde gustowanemu kierowcy, aby ją odwiózł do domu. Wszystko to nie trwało dłużej niż piętnaście minut, ale, jak powiada Andy Warhol, każdy może na piętnaście minut stać się sławny.

30

Delila czuła, jak skorupka z mlecznej czekolady rozpuszcza się w jej ustach, odsłaniając miękkie, pomarańczowe nadzienie. Jeszcze zanim zjadła cukierka, sięgnęła po następnego. Tym razem trafił się „Maltański” - chrupiący, miodowy... Jej ulubiony!

Pocieszała się mieszanką czekoladową po swojej pierwszej kłótni z Charliem, połączonej z krzykami, obrzucaniem się wyzwiskami, wygrażaniem sobie, wreszcie ponurym milczeniem. Wszystko zaczęło się, gdy oskarżył ją o spowodowanie wymuszonej rejterady Nickii; ona zaś jego - o flirtowanie. Awantura sięgnęła zenitu, gdy Charlie nazwał Delilę zazdrosną krową, a ona jego - bezczelnym chamem. Najwyraźniej ugodziła go w czuły punkt, bo żyły nabrzmiały mu na szyi, ze złości stłukł kieliszek od wina i wypadł z mieszkania, trzaskając drzwiami tak mocno, jakby chciał wyrwać je z zawiasów. To dlatego teraz, choć minęły już dwie godziny, Delila siedziała samotnie przed telewizorem, oglądając z kasety film „Przyjaciele”, a pod ręką trzymała w pogotowiu paczkę chusteczek higienicznych i torebkę mieszanki czekoladowej.

Miała przy tym okazję to i owo przemyśleć. Okazało się bowiem, że nie wszystko ułożyło się tak, jak chciała. Nie czuła się z tego powodu nieszczęśliwa, ale musiała przyznać, że inaczej sobie

wyobrażała dalsze losy po rozstaniu z restauracją L'Escargot i nudą u boku Lenny'ego. Przede wszystkim dlatego, że Charlie nie był wymarzonym księciem z bajki, w każdym razie nie wyglądał na takiego po dzisiejszej kłótni.

Początek zapowiadał się bajkowo - wylegiwanie się w łóżku do południa, potem zakupy do wieczora, a wieczory spędzane w różnych restauracjach lub na przyjęciach trwającym do trzeciej nad ranem. Jednak po niecałych dwóch miesiącach także i te rozrywki straciły urok nowości, a zaczęły ją po prostu... nudzić! Tak, nudzić, jakkolwiek śmiesznie by to brzmiało! Zakupy przestały być zabawne, jeśli miało się do towarzystwa jedynie kartę kredytową, a przyjęcia, na których Charlie regularnie się upijał, też nie były zbyt atrakcyjne. Prędko się przekonała, że wspólne wyjścia z Charliem oznaczały konieczność przebywania w towarzystwie jego kumpli. Początkowo nie miała nic przeciwko temu - przeciwnie, fascynowała ją możliwość poznania ciekawych ludzi, wykonujących nietuzinkowe zawody i prowadzących oryginalny tryb życia. Kiedy jednak pokonała nieśmiałość, odkryła, że nie ma w nich nic fascynującego. Wszyscy ci świetnie się zapowiadający aktorzy, muzycy czy modelki potrafili mówić wyłącznie o sobie!

Ileż to razy musiała udawać zainteresowanie, kiedy kolejny raz wysłuchiwała planów niedoszłego scenarzysty lub nudnych jak flaki z olejem życiorysów potencjalnych aktorek, piosenkarek i modelek w jednym! Mało tego - wszystkie te osoby traktowały Charliego jako kartę wolnego wstępu na wyżerkę w restauracji, której dalszy ciąg przybierał potem formę obficie zakrapianej balangi w jego mieszkaniu. A najgorsze było to, że Charliemu zdawało się to nie przeszkadzać, wręcz przeciwnie - czuł się jakby zaszczycony, że co wieczór może ich gościć. Kiedy wreszcie zebrała się na odwagę, żeby powiedzieć, co o tym myśli - dał jej do zrozumienia, że jest upierdliwa. Kto wie, może rzeczywiście była - zatraciła już rozeznanie, kim naprawdę jest.

Z westchnieniem dojadła resztę mieszanki i przytuliła się do Fatsa, który wykonywał nerwowe, żujące ruchy pyskiem, bo czekoladowy toffi przylepił mu się do podniebienia. Miała już dość tego wszystkiego i czuła się samotnie. Dobrze zrobiłoby jej towarzystwo Vivienne, która poczęstowałaby ją białym winem i okadziła aromatycznym dymem marlboro lights. Na to, niestety, nie mogła na razie liczyć, bo Vivienne wyjechała z miasta, aby odpocząć po zabiegu liposukcji. Jeśli jednak Vivienne nie mogła być przy niej ciałem (zakładając, że jeszcze coś jej zostało po odessaniu nadmiaru na stole operacyjnym) - to przecież można nawiązać z nią kontakt duchowy dzięki tak wspaniałemu wynalazkowi jak komórka.

Delila wybrała numer Vivienne i uzyskała połączenie. Na drugim końcu linii dały się słyszeć chrapliwe dźwięki przypominające westchnienia. Przyłożyła aparat do ucha i dla pewności spytała:

- Vivienne, to ty?

Odpowiedziało jej najpierw milczenie, w końcu zduszony głos wykrztusił:

- Tak.

- Vivienne, wszystko w porządku?

Znów nastąpiła przerwa, jakby Vivienne miała trudności w mówieniu.

- Tak.

To odpowiadanie monosylabami zaniepokoiło Delilę.

- No więc jak się czujesz?

- Dobrze.

W końcu Vivienne wykrztusiła, że operacja nie była tak bezbolesna, jak się zapowiadała. Chirurg jakoby zapomniał uprzedzić ją, że zabieg polega na wielokrotnym wprowadzaniu pręcika pod skórę pośladków, co przypominało zamiatanie pod łóżkiem trzonkiem od szczotki.

- To znaczy, że operacja się udała?

Vivienne nie odpowiedziała od razu, bo musiała poprawić nadmuchiwane gumowe kółko, na którym siedziała.

- Dajmy na to. Doktor powiedział, że przed zabiegiem moja pupa przypominała mu sznurkową torbę pełną owsianki.

- A co mu przypomina teraz? - spytała ostrożnie Delila, niepewna, czy rzeczywiście chce to wiedzieć.

- Dwie kulki lodów.

Delila z trudnością powstrzymała się od śmiechu, ale Vivienne mówiła to ze śmiertelną powagą i szybko zmieniła temat:

- Dobra, co tam słyhać u ciebie?

- Nic specjalnego. Pokłóciłam się z Charliem - rzuciła Delila obojętnym tonem.

- Coś podobnego! A o co?

- Miał pretensje, że któremuś z jego gości na imprezie wlałam do koktajlu płyn do mycia naczyń. Podobno rzygał jak kot. - Delila, mówiąc to, sama ledwo mogła uwierzyć, że zdobyła się na coś takiego. Co też mogło w nią wstąpić?

- Płyn do naczyń? - wrzasnęła Vivienne w słuchawkę. - To coś ty, na miłość boską, robiła na tej imprezie? Zmywałaś?

- No, może nie aż tak, ale prawie - mruknęła ponuro, przypominając sobie, jak to wszyscy świetnie się bawili, a ona jedna tkwiła w kuchni jak służąca.

- Może się mylę, ale wydaje mi się, że to nie był przypadek.

Delila milczała, bo wstydziła się przyznać, że istotnie zrobiła to celowo. Wczorajszej nocy wydawało się jej to świetnym pomysłem, ale dziś podchodziła do tego bardziej krytycznie. Zgoda, że Nickii zachowywała się skandalicznie, ale i jej reakcja była nieadekwatna, spowodowana mściwością i zazdrością. Obawiała się, że dalsze kontakty z Charliem i jego paczką mogą zaprowadzić ją do „czubków”.

Vivienne najwidoczniej uznała, że milczenie jest znakiem potwierdzenia, bo jej następne pytanie było już konkretne.

- No więc kim ona jest?

- Skąd wiesz, że to była „ona”?

- Lata doświadczenia, kochanie. - A więc Sam słusznie nazwał Charliego dziwkarzem! - Podasz mi jakieś pikantne szczegóły?

- Nie znam ich zbyt wiele - westchnęła Delila. - Ta żoźła nazywa się Nickii i pracuje z Charliem. Od dawna leciała na niego, dotąd nie zwracałam na to uwagi, ale tej nocy posunęła się już za daleko.

- Czy ona jest szczupła? - Vivienne oceniała zagrożenie ze strony potencjalnej rywalki proporcjonalnie do rozmiaru jej garderoby. Jeśli nosiła numer 8 lub 10 - należało się jej poważnie obawiać i przedsięwziąć zdecydowaną akcję (seanse w siłowni, drenaż limfatyczny i dieta składająca się prawie wyłącznie z marlboro lights). Osoba ubierająca się w rzeczy o rozmiarze 12 do 14 stanowiła pewne niebezpieczeństwo, w zależności, czy jej figura cechowała się latynoskimi okrągłościami, czy przypominała typową, angielską „gruszkę”. Natomiast kobiet o gabarytach od 16 w górę nie uważała za poważną konkurencję i mogła spać spokojnie.

- Myślę, że raczej tak.

Odpowiedź ta zaniepokoiła Vivienne. Oznaczało to bowiem, że przyjaciółka ma groźną rywalkę.

- No, a co teraz robisz?

Delila rzuciła okiem na zgniecioną torebkę po mieszance czekoladowej.

- Jem czekoladki i oglądam „Przyjaciół”.

- To rzeczywiście musisz być zdołowana. Co za mieszanina wybuchowa: Jennifer Anniston i twoja tygodniowa porcja kalorii! Przydałoby ci się raczej coś mocniejszego. Najlepiej Cabernet Sauvignon, rocznik 1967.

- Myślałam, że nie pijesz?

- Teraz nie, ale zachowałam miłe wspomnienia po tym okresie. - Była gotowa całkiem się rozmarzyć, ale z obłoków alkoholowej przeszłości ściągnął ją Harold, który właśnie wrócił z polowania, w tweedowej kurtce myśliwskiej i płaskim kaszkiecie. Promieniał dumą, demonstrując Vivienne duży pęk ustrzelonych bażantów, więc szybko zakończyła rozmowę: - Muszę już iść.

- Dlaczego?

- Coś do mnie przyszło. - „Albo i nie” - dokończyła w duchu, porównując zwisające bezwładnie bażanty i to, co widziała w kroku Harolda. Na szczęście dziś rano otrzymała zamówioną przesyłkę, zawierającą wibrator w kształcie trzydziestocentymetrowej figurki King Konga z obracającą się głową i czterema szybkościami. Miała nadzieję, że to pomoże jej uniknąć nudy. - Słuchaj, jutro wyjeżdżam

do Hiszpanii. Zatrzymam się u koleżanki, żeby dojść do siebie po tej operacji, no i trochę się opalić przed ślubem. Zadzwoń do ciebie z jej willi.

- Fajnie, baw się dobrze! - Delila wyłączyła komórkę.

Rzuciła okiem na ekran, gdzie właśnie Jennifer latała w kółko z gołym pępkiem i potrząsała chmurą gęstych włosów. Sięgnęła po pilota i wyłączyła kasetę. Vivienne miała rację. Do diabła z „Przyjaciółmi”, trzeba się czegoś napić!

31

O wpół do siódmej wieczorem skład win na rogu pełen był klientów, którzy po wyjściu z pracy szukali dla siebie odpowiedniej marki. Delila kręciła się przy szafce chłodniczej, udając, że wie, czego właściwie szuka. Tymczasem naprawdę wiedziała tylko tyle, że wino ma być białe, o zawartości 12,5% alkoholu. Nie mogła się jednak zdecydować, czy wino ma być południowoafrykańskie, australijskie, czy może włoskie. Elegancki ekspedient pojawił się akurat w chwili, kiedy wybrała butelkę Pinot Grigio.

- Ta może być? - spytał.

- Oczywiście, bardzo dobrze! - odpowiedziała, ale i tak zaprezentował jej całą baterię Asti Spumante i wygłosił wykład na temat różnych marek i ich zalet. Polecał zarówno „szlachetne Merlot, leżakowane w dębowych beczkach”, jak „Chardonnay o owocowej nucie i bogatym bukiecie”. W efekcie stanęło na tym, że Delila kupiła wino dwa razy droższe, niż planowała, a w smaku przypominające rozpuszczalnik.

Ustawiła się z nim w kolejce do kasy. Przed nią stał dżentelmen w średnim wieku, wyglądający na biznesmena. Przez komórkę z zestawem słuchawkowym tłumaczył żonie, że będzie musiał po godzinach zostać w biurze. Niezupełnie korespondowało to z faktem, że równocześnie trzymał w rękach bukiet czerwonych róż i dwie butelki Moet. Delila starała się nie zwracać na niego uwagi i usiłowała czytać gazetę, ale kolejka nie posuwała się do przodu. Zdenerwowana wyciągała szyję, żeby sprawdzić, co za dureń zablokował cały ruch. Usłyszała, jak ktoś, grzebiąc bezradnie w portfelu, mamrocze pospieszne usprawiedliwienia:

- Przepraszam, ale chyba zabrakło mi funta...

Poczuła ucisk w żołądku, bo tym człowiekiem okazał się Sam. Odsunęła na bok faceta ze słuchawkami i wyciągnęła rękę z monetą funtową.

- Tyle ci trzeba?

- O rany, Delila! - Sam obrócił się i na jego policzkach wykwitł krwawy rumieniec.

- Akurat stałam w kolejce... - Uśmiechnęła się głupkowato. Inni oczekujący zaczęli już niecierpliwie szemrać. Sam wyglądał na zakłopotanego, bo przez całe tygodnie układał sobie, co jej powie, kiedy się spotkają. I oto ten moment właśnie nadszedł, a jego zatkało.

- Niech pani się przesuwa, bo mi się spieszy! - zrzędził biznesmen ze słuchawkami.

- Nawet widać, jak się panu spieszy do żony! - przycięła złośliwie. Jegomość nastroszył się jak kogut i spojrzał na nią spode łba. Nie pozostała mu dłużna, bo była tego dnia w takim nastroju, że niewierni mężowie działali jej na nerwy.

- Właściwie chciałam kupić wino - zwróciła się do Sama. - Ale skoro już cię spotkałam, to może wpadlibyśmy gdzieś na jednego?

Zawahał się przez chwilę, ale zaraz jego twarz rozciągnęła się w szerokim uśmiechu.

- Oczywiście, czemu nie?

Oboje zostawili swoje butelki, wprawiając w kłopot kasjera, który musiał anulować zapis w kasie fiskalnej. Wyszli ze sklepu na ulicę, pozostawiając za sobą tłum rozgorączkowanych klientów.

Nie zdecydowali się na Kuchnię Domową, bo Delila wołała unikać Vince'a. Nie przyznała się Samowi, że nie chciałaby także natknąć się na Charliego i jego paczkę. Wybrali więc bar U Alberta, położony w podziemiach bardziej zaniedbanej części Portobello, gdzie miejsce ekologicznych kawiarni, butików z markową odzieżą i wytwornych restauracji zajmowały firmy bukmacherskie, przedsiębiorstwa transportowe i sklepy Woolwortha.

Nie było tam prawie klientów z wyjątkiem pary siwowłosych rastafarian, którzy w kącie sali grali w domino. Delila z Samem usiedli więc przy barze. Początkowo czuli się niezręcznie, bo żadne nie chciało pierwsze poruszyć tematu Charliego ani kłótni między nimi. Trudno jednak było tego unikać, bo wszystko, cokolwiek Delila robiła przez ostatnie dwa miesiące, miało jakiś związek z Charliem. Próbowali więc kluczyć i wybierać neutralne tematy, jak na przykład pogoda, zdrowie Gladys i zbliżający się ślub Vivienne. Dopiero po pierwszych drinkach rozwiązały się im języki.

- Dobrze, że się spotkaliśmy, bo chciałam cię przeprosić... - Spuściła oczy, patrząc w szklankę i bawiąc się słomką.

- Ja ciebie też - mruknął Sam, choć żałował nie tyle tego, co nagadał o Charliem, ile tego, że się z nią pokłócił. - Nie chciałem tak na ciebie naskoczyć. Przepraszam, że posunąłem się trochę za daleko.

- Tylko trochę! - parsknęła śmiechem.

- Jeszcze raz cię przepraszam, ale czasem dostaję takiego amoku. Wtedy też mi odbiło.

- A mnie niby nie?

Sam uśmiechnął się, gdy przypomniał sobie gniew Delili.

- No, ty mi też dałaś popalić.

Uśmiechnęła się głupkowato, na co zareagował wybuchem głośnego śmiechu.

- Z czego się tak śmiejesz? - Nie odpowiedział, więc dodała: - Ze mnie?

- Skąd, przypomniałem sobie tylko gęby tych Amerykańców, co się gapili jak wół na malowane wrota.

Teraz już rechotał całkiem otwarcie. Podziałało to na nią zaraźliwie.

- A pamiętasz tego gówniarza, co to wszystko pstrykał? - Delila też nie mogła powstrzymać chichotu, który tłumił jej słowa.

Sam wytarł oczy rękawem i kiwnął na barmana:

- Panie starszy, jeszcze dwa razy to samo, tylko podwójne!

Delila zdążyła już zapomnieć, jak świetnie można się było bawić w towarzystwie Sama. Po piątej kolejce miała już nieźle w czubie i przeżywała taką huśtawkę nastrojów, jakby jeździła na kolejce górskiej w wesołym miasteczku. Od kompletnej beztroski przechodziła szybko do przygnębienia i beznadziei, gdy przypominała sobie ostatnią kłótnię z Charliem. Nie była jednak w tych sprzecznych nastrojach osamotniona, bo Sam też nie był całkiem beztroski.

- A jak ci leci z Charliem? - To pytanie ledwo przeszło mu przez gardło, ale musiał je zadać. Liczył się oczywiście z możliwością, że usłyszy coś, czego sobie wcale nie życzył.

- Świetnie! - zaczęła z wymuszonym uśmiechem, ale zaraz się poprawiła: - To znaczy, nienadzwyczajnie. Zrobił mi dziś karczemną awanturę.

- A o co poszło? - spytał z nadzieją w głosie.

- Och, po co masz wiedzieć? - Wysączyła do dna ostatnie krople koktajlu i odstawiła pustą szklankę. - Może jednak powinnam była cię posłuchać...

Porcja spożytego alkoholu pogorszyła jej nastrój. Na trzeźwo kłótnia z Charliem wydawała się jej błahą utarczką, po której szybko nastąpi pogodzenie. Natomiast pięć wypitych koktajli wyolbrzymiło problem i w tej chwili czuła, że wszystko skończone - nic, tylko pakować manatki!

Sam wcale nie odczuwał satysfakcji typu „a nie mówiłem?”. Przeciwnie, czuł się winny, że to przez niego znajdowała się w takim dołku psychicznym. W nagłym porywie pochylił się ku niej, otoczył ją ramionami i wyszeptał:

- Głowa do góry!

Oparła na jego piersi głowę ciężką od alkoholu. Po tyłu łzach wylanych tego ranka miło było mieć się do kogo przytulić. Przymykając oczy, wdychała znajomy zapach Sama, który przypominał jej wesoły i beztroski weekend w Brighton, pełen życzliwości i troski. Tam czuła się ważna i potrzebna, tymczasem Charlie uważał ją za zazdrosną krowę, która potrafi tylko psuć gościom drinki.

- Tęskniłem za tobą! - Sam ujął ją pod brodę i głęboko zajrzał w oczy.

- Ja też... - zaczęła, ale przygryzła wargę. Czuła się, jakby siedziała w kolejce górskiej, która po szaleńczej jeździe w górę i w dół zwalniała już bieg. Zmęczona i roztrzęsiona, miała ochotę się rozpłakać.

- Nie płacz, proszę! - Zaczął ją ostrożnie całować. Nie odsunęła się. Przeciwnie, przyciągnęła go do siebie, więc całował ją coraz bardziej namiętnie, penetrując językiem wnętrze jej ust, a dłońmi wędrując od jej policzków do włosów i pleców.

Rastafarianie przerwali partyjkę domina i obserwowali całującą się parę. Zaciągali się papierosami z marihuaną, popatrywali po sobie i uśmiechali się znacząco.

- Ale gruchają, jak te gołąbki, co?

32

Delila nie od razu się zorientowała, gdzie jest. Pokój tonął w ciemności i zapełniały go sprzęty, których nie знаła. Nawet szmer jej oddechu brzmiał inaczej.

Po chwili uświadomiła sobie, że to nie jej oddech słychać, lecz Sama, i to on leży przy niej pod kołdrą. Z przerażenia znów zamknęła oczy, bo mało tego, że znajdowała się w mieszkaniu Sama i w jego łóżku, to na domiar złego oboje byli nadzy, jak ich Pan Bóg stworzył!

Powoli przypominała sobie, jak do tego doszło. Pewnie najpierw po pijanemu całowali się w barze, potem, podtrzymując się nawzajem, dowlekli się do jego mieszkania, tam jeszcze pili whisky, aż wylądowali w łóżku. No, a jeśli już byli razem w łóżku, to na pewno się kochali. Chryste, jak mogła zrobić coś podobnego? Wystarczyło, że trochę wypić, a już zachciało się jej małpować Sharon Stone? Spojrzała na zegarek. Była dopiero piąta rano, więc jeśli się pospieszy, może zdąży dostać się do domu, zanim Charlie wróci ze swojej kolejnej nocnej eskapady.

Starając się nie budzić Sama, szybko pozbierała rzeczy rozrzucone po podłodze, z wyjątkiem majtek, które zawieruszyły się pod kołdrą. Wyszła na palcach do przedpokoju, otworzyła z zasuwki drzwi wejściowe i zamknęła je za sobą tak, aby nie trzasnęły. Zbiegła ze schodów, uważając, aby się nie potknąć o wytarty beżowy chodnik. Nacisnęła brzęczyk domofonu, otwierający ciężkie drzwi od wewnątrz. Kiedy w końcu wydostała się na ulicę, odetchnęła z ulgą. Przestała już się bać, ale za to dopiero teraz poczuła objawy straszliwego kaca - jakby młoty waliły w jej głowie!

Okręcając się ciasniej nowym, welurowym żakietem, ruszyła biegiem po chodniku. Przemknęła obok niej cysterna z mlekiem, której kierowca aż wychylił się z okna, żeby się jej lepiej przyjrzeć.

- Zboczeniec! - warknęła, niosąc dumnie rozczochraną głowę i udając, że nie ma nic szokującego w uprawianiu joggingu o piątej rano, w czółenkach na obcasach, ale za to bez majtek.

Na szczęście zza rogu wyłoniła się taksówka z pomarańczowym „kogutem” na dachu. „Chwała Bogu” - pomyślała i rzuciła się biegiem na środek jezdni, gestykulując rozpaczliwie, aby ją zatrzymać. Potykała się na szpilkach, a w duchu powtarzała, jak zaklęcie: „Żeby się tylko zatrzymała!” Już myślała, że taksówka ją minie, ale w ostatniej chwili podjechała do krawężnika.

- Kurczę, zjeżdżałem akurat z nocnej zmiany! - zrzędził taksówkarz. - Dokąd paniusia chcejechać?

- Kildare Villas trzydzieści cztery. To bardzo blisko, zaraz za rogiem! - Miała nadzieję, że kierowca będzie wiedział, gdzie to jest.

- Dobra już, niech paniusia wsiada. - Taksówkarz uruchomił zamek centralny, dzięki czemu Delila mogła wśliznąć się na tylne siedzenie. Jednak najtrudniejsze miała dopiero przed sobą.

Wsunęła się do łóżka akurat w chwili, kiedy usłyszała szczęknięcie klucza w zamku drzwi wejściowych i kroki Charliego na wewnętrznych schodach. Od razu poznała, że jest pijany, bo kiedy próbował rozebrać się w biegu - zapomniał zdjąć najpierw buty, skutkiem czego dzinsy owinęły mu się wokół kostek. W efekcie stracił równowagę i przewrócił się prosto na łóżko.

- Och, przepraszam, kochanie! - syknął scenicznym szeptem. Delila wzdrygnęła się, bo wionął na nią oddechem tak przesyconym alkoholem, że mogłaby go podpalić, gdyby miała przy sobie zapalniczki. - Nie chciałem cię zbudzić...

- Dobrze już, dobrze - mruknęła, myśląc w duchu: „Gdybyś tylko wiedział...”.

- I słuchaj, chciałbym cię przeprosić za tamto... Miałaś rację, zachowałem się jak bezczelny cham. - Próbował się dźwignąć, wyciskając oślinione, woniejące sambucą pocałunki na całej jej twarzy.

Delila zmartwiała. To on zrobił się taki miły, nawet kajał się przed nią, a ona? Poczula takie wyrzuty sumienia, że odwróciła się, aby nie patrzeć mu w oczy. Właściwie dlaczego nie zrobił jej piekielnej awantury? Zasłużyła na to.

- No co, jeszcze się gniewasz?

- Nie, skądże! - Czyżby coś podejrzewał? Silila się na uśmiech, choć nie przyszło to jej łatwo. Przecież lada chwila mógł się domyślić, co zaszło. Czula się tak, jakby miała wypisane na czole wielkimi czerwonymi literami „Zdradziłam cię!”.

- No to czemu mnie nie przytulisz? - Wspierając się na poduszkach, patrzył na nią uporczywie zamglonym wzrokiem podpuchniętych, przekrwionych oczu. Widać było, że codziennie balangował do białego rana i nie wysypiał się należycie. Delila uniosła się do pozycji siedzącej i ostrożnie zarzuciła mu ręce na szyję. - O, tak już lepiej.

Ślinił się i kleił do niej, a ona leżała sztywna i napięta, modląc się, aby nie zebrało mu się w tej chwili na seks. Swoją drogą, co za ironia losu! Jeszcze kilka miesięcy temu, w Bradfordzie, marzyła o zbliżeniu z nim, teraz zaś wołała trzymać go na dystans! Na szczęście był tak pijany, że po chwili już spał, nie zdążywszy nawet zdjąć dzinsów zamotanych wokół kostek. Słyszając jego głęboki, równy oddech, odprężyła się powoli, bo przynajmniej na razie zyskała spokój. Wzięła głęboki oddech i spojrzała z góry na Charliego, jak leżał wtulony w zagłębienie jej szyi, obejmując ją długimi, opalonymi ramionami. Wiele razy tak zasypiał i jeszcze dwadzieścia cztery godziny temu było jej z tym dobrze. Ale nie

teraz. Nagle poczuła jakby w jej objęciach spoczywał ktoś obcy, choć Bogiem a prawdą, to Charlie powinien mieć takie odczucie, bo to ona się zmieniła, nie on. Na razie jednak zamknęła oczy i wsłuchiwała się w rytm własnego oddechu. Po jakimś czasie zasnęła niespokojnym snem.

W ciągu najbliższych dni Charlie przesłał Delili bukiet kwiatów - czy też raczej zlecił tę czynność współpracownikowi, któremu podał numer swojej karty kredytowej - i przyniósł jej kosztowne kolczyki od Tiffany'ego. Zawstydzona, wylewnie mu dziękowała. Nie miała serca napomknąć, że przecież nie ma przekłutych uszu. Może to zresztą i lepiej, bo identyczne kupił Nickii na jej ostatnie urodziny.

Po tygodniu wszystko zdawało się wracać do normy. Pozornie nic się nie zmieniło - pili w tych samych barach, jadali w tych samych restauracjach, bawili się na tych samych imprezach i kładli się spać do jednego łóżka. A jednak między nimi jakby wyrosła niewidzialna ściana, choć Charlie nie zdawał sobie z tego sprawy. Uznał, że wszystko zostało przyklepane, a więc przestał ją zasypywać prezentami i zajął się adoracją osoby, którą kochał najbardziej w świecie - czyli siebie.

Charlie czuł się bowiem najszcześniejszy w otoczeniu przyjaciół, z którymi pił, flirtował i stale znajdował się w centrum uwagi. Był w końcu młody, zamożny, przystojny i lubił się zabawić. Delilę także lubił, bo była ładna, wesoła i można było z nią się pośmiać. W gruncie rzeczy lubił ją nawet bardziej niż większość dziewcząt, z którymi dotąd się wiązał i po kilku miesiącach rozstawał. To dlatego ofiarował jej kwiaty i kolczyki. Nie chciał się z nią kłócić, ani tym bardziej zerwać, choć miał pewne podejrzenia co do zawartości margarity, którą wypila Nickii. Oczywiście, rozumiał, że Delila mogła być zazdrosna o Nickii, ale nie musiała robić z tego aż tak wielkiej afery. Nie kochał przecież Nickii, bawiło go tylko jej zainteresowanie. Taki już był i ani myślał się zmieniać.

Nie miał bynajmniej zamiaru zrezygnować z imprez, upijania się z kolegami ani flirtowania z koleżankami. Właśnie, chodziło mu tylko o flirty, o nic więcej. No, może raz się zdarzyło, że pieprzył się z Petal w toalecie klubu na Covent Garden, ale to tylko dlatego, że przez całą noc mu się narzucała. Na szczęście Delila nie wiedziała o tym, bo ani chybi dostałaby szału! Co do niej, był całkiem spokojny, bo nie oszukała chyba nikogo w życiu. Kazał jej rzucić pracę w Kuchni Domowej tylko dlatego, że nie chciał, aby inni faceci gapili się na nią w tym seksownym stroju. Co innego, kiedy czekała na niego w domu, pięknie ubrana i pachnąca - od razu czuł się lepiej! Zresztą, który facet nie lubi, kiedy dziewczyna za nim szaleje? Wolał nadal wierzyć, że nic się pod tym względem nie zmieniło.

Tyle tylko, że zmieniła się Delila. Targana poczuciem winy, że oszukała zarówno Charliego, jak Sama, stała się kłębkiem nerwów. Uciekła od jednego, aby przespać się z drugim, a i tego też opuściła, zanim się obudził!

Powtarzała sobie, że co się stało, to się nie odstanie, musi więc nauczyć się z tym żyć. Łatwiej to było jednak powiedzieć niż wykonać. Początkowo usiłowała nie myśleć o tym, co zaszło między nią a Samem, tak jakby całej sprawy nie było. Z tego powodu unikała rozmów telefonicznych z Vivienne,

pozostawiając bez odpowiedzi wiadomości nagrywane przez nią na automatyczną sekretarkę. Jednak po jakimś czasie musiała spojrzeć prawdzie w oczy. Nie dało się bowiem ukryć, że przez cały czas myślała o tym, o czym chciała zapomnieć. Raz po raz zadawała sobie pytania: jak mogła zdradzić Charliego i przespać się z Samem? Odpowiadała na to ciągle tak samo: że była pijana i spragniona czułości, a Sam akurat się napatoczył, choć równie dobrze mógł to być kto inny.

Tylko czy na pewno? Czy zrobiłaby to samo z pierwszym lepszym? Chyba jednak kryło się za tym więcej niż chwilowe zaspokojenie potrzeby czułości. Gdy tylko przemiął pierwszy szok, przyłapała się na tym, że coraz rzadziej myśli o Charliem, a coraz częściej o Samie. Była mu przecież winna jakieś wyjaśnienie (choć nie wiedziała jakie), a przynajmniej przeprosiny za to, że o piątej rano uciekła od niego. W końcu zebrała się na odwagę i zadzwoniła, ale odłożyła słuchawkę, ledwo odebrał telefon. No, bo co właściwie miała mu powiedzieć? „Cześć, przepraszam za tamtą noc. Aha, nie znalazłeś przypadkiem moich majtek?”. To nie jest raczej rozmowa na telefon, a zresztą nie wiadomo, czy Sam pali się do rozmowy z nią. Pewnie żałował tego, co się stało, jeszcze bardziej niż ona... Tylko że zupełnie nie pamiętała tego, co właściwie się stało.

No, może z wyjątkiem jednego. Rozpaczliwie próbowała wyrzucić to z pamięci, ale bez skutku - wspomnienie wracało, przejmując ją jeszcze większym wstydem. Było to uczucie, jakiego doznała, kiedy Sam, jeszcze w barze, po raz pierwszy ją pocałował, a dokładniej - kiedy jego usta po raz pierwszy dotknęły jej ust. Miała wtedy wrażenie, że w jej mózgu zapłonęło naraz tysiąc światełek, których za nic w świecie nie chciałaby wyłączyć.

- Jesteś już gotowa? Pamiętaj, że mamy tam być o ósmej! - Charlie poganiał ją, stojąc w drzwiach i podzwaniając kluczykami od samochodu.

Delila niechętnie nałożyła nowy żakiet z czerwonego weluru i poprawiła wystający spod niego kołnierzyk. Uczestniczenie w uroczystym otwarciu snobistycznej restauracji Góra Lodowa na Piccadilly było ostatnią rzeczą, na jaką miała dziś ochotę. Najchętniej zmyłaby z twarzy makijaż, przebrała się w piżamę i usiadła przed telewizorem, czyli zrobiłaby dokładnie to samo, co zwykle robiła w Bradfordzie.

- Ruszaj się prędzej, na miłość boską! - Głos Charliego odbijał się echem w studni wewnętrznych schodów. Ostatnio miał kiepski humor, gdyż ktoś wgniół dach jego nowego bmw.

Delila ucałowała Fatsa w łepkę, pobieżnie oceniła swoje odbicie w lustrze i ostrożnie zaczęła schodzić po schodach. Nie nauczyła się dotąd swobodnie poruszać na tych diabelnie wysokich obcasach.

Przed restauracją czatowały już grupki dziennikarzy, walcząc o jak najlepszą pozycję do fotografowania. Wiedzieli, że dla osobistości, które pojawią się na otwarciu, zdjęcie prasowe to świetna reklama, choć równocześnie ci sami ludzie zaczną w porannym programie telewizyjnym narzekać na natarczywość paparazzich. Będą wysiadać z limuzyn, udając, że wcale nie pragną znaleźć się na zdję-

ciach, równocześnie strosząc piórka i robiąc przyjemny wyraz twarzy na sam widok obiektywu. Tylko Delila szła za Charliem ze spuszczoną głową, gdy tymczasem on jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zmienił skwaszoną minę na hollywoodzki uśmiech. Nie spodziewała się, aby ktokolwiek chciał ją fotografować.

Wewnątrz lokalu roiło się już od opalonych na brąz piłkarzy z nieodłącznymi blondynkami u boku, byłych gwiazd seriali telewizyjnych próbujących obecnie robić karierę na estradzie oraz telewizyjnych kucharzy, ogrodników i robotników do wszystkiego. Wyfiokowane dziewczęta podające się za modelki może raz w życiu pozowały do zdjęć topless, ale najczęściej zarabiały na sprzedaży sensacyjnym brukowcom opowieści o swoich romansach z konserwatywnymi posłami do parlamentu, żonatymi piłkarzami, starzejącymi się gwiazdami rocka lub ze wszystkimi naraz.

Charlie błyskawicznie namierzył kumpli ze swojej paczki, którzy skupili się wokoło stolika z rozdawanym za darmo szampanem.

- Cześć, jesteście nareszcie! - Nickii zamruczała zmysłowo. Przysunęła się jak najbliżej Charliego i podała mu nalany kieliszek, umyślnie ignorując Delilę. - Już się zastanawialiśmy, gdzieście się podziali.

- No, jak to, nie wiesz, jak długo kobiety się ubierają? - Charlie z łobuzerskim uśmiechem pociągnął łyk szampana.

- Zależy które. Ja potrafię się ubrać w niecałą minutę... i rozebrać też! - Nickii zachichotała, ściskając go za ramię.

Delila udała, że tego nie słyszy, ale wszystko wskazywało, że zapowiadał się kolejny wieczór taki jak zwykle.

- Tak myślałam, że to musisz być ty! - dopadła ją Wendy, specjalistka od wykrywania regionalnych akcentów. - Ten żakiet poznałabym wszędzie! - Potoczyła wokoło triumfalnym wzrokiem, dumna ze swoich zdolności detektywistycznych.

Delila popatrzyła najpierw na swój żakiet, a potem znów na Wendy.

- Przykro mi, ale chyba się pomyliłaś.

- Ale skąd, to było całkiem niedawno. Próbowalaś wtedy złapać taksówkę na All Saints Road. Wydawało mi się, że skądś cię znam, ale było jeszcze tak wcześnie, dopiero wstałam i nie zdążyłam włożyć soczewek kontaktowych. Mieszkam nad tym biurem bukmachera... - Urwała, widząc, że Delila zbladła.

- To nie mogłam być ja, bo nigdy tamtędy nie chodzę! - Tego tylko brakowało, żeby ta papla Wendy rozgłosiła wszem i wobec jej tajemnicę!

- Nie, to na pewno musiałaś być ty!

- Niemożliwe! - zaprzeczała twardo Delila, zgrzytając zębami.

- Ależ jestem tego zupełnie pewna! - upierała się Wendy z promiennym uśmiechem.

Delili chciało się krzyczeć, ale próbowała raczej wymyślić coś takiego, żeby tej gadatliwej babie zamknąć usta, dopóki nie wypaple wszystkiego Charliemu. Wreszcie wpadła na wspaniały pomysł:

- To nie mój żakiet. Pożyczyłam go tylko na dziś wieczór.

- No, popatrz, a ja, idiotka, myślałam, że masz jakieś nieczne zamiary! - Wendy zanosła się perlistym, dziewczęcym śmiechem.

- Ja i nieczne zamiary? No wiesz! - Delila udała oburzenie. O włos uniknęła niebezpieczeństwa!

Obsługa sali wskazała im stół zaprojektowany w kształcie łodzi ratunkowej. Charlie usiadł przy sterze, Andy, Nickii, Mandy, Jamie i Johnny przy jednej burcie, a Wendy, Delila, hipnotyzer z telewizji i dwóch członków kapeli - przy drugiej. Dekoracja stołu była również utrzymana w stylu morskim - zamiast świec okrętowe światła sygnałowe, solniczki i pieprzniczki zrobione z drewna wyrzuconego przez fale, a w spisie koktajli figurowały takie pozycje, jak „Mrożona herbata z bezludnej wyspy”, „SOS na plaży” czy „Statek na skałach”. Można było sobie wyobrazić, jacy zachwyceni byli szpanerscy projektanci z Soho, że wpadli na tak dobry pomysł!

Charlie zamówił dla wszystkich kolejkę „Mrożonej herbaty z bezludnej wyspy”.

- Ja dziękuję! - wymówiła się Nickii. - Poproszę tylko wodę Evian.

Przysunęła się przy tym bliżej do Charliego, muskając pod stołem jego udo.

- Co to, dziś nie pijemy? - spytała słodziutko Delila. Wiedziała, że to złośliwe z jej strony, ale nie mogła się powstrzymać, żeby nie wbić jej szpilki. Tym bardziej że Nickii tak ostentacyjnie podrywała Charliego, jakby jej tam w ogóle nie było!

- Nie, przechodzę właśnie dwutygodniową kurację odtruwającą - oświadczyła chłodno Nickii, sztywno odwracając głowę. - Jem tylko owoce i piję wodę.

Z kwaśną miną wsunęła niedojedzony suchar z powrotem do paczki.

Po trzech kolejkach Delila najchętniej wróciłaby do domu. Charlie jak zwykle brylował, wygłupiał się z przyjaciółmi, a na nią nie zwracał uwagi, zmuszona więc była do podtrzymywania niezobowiązującej pogawędki z hipnotyzerem Garym. Ten pocziwy nudziarz po trzydziestce potrafił najpierw przez pół godziny gadać o swojej kawalerce i mercedesie z otwieranym dachem, aby następnie próbować ją namówić na randkę. Odmówiła grzecznie, bo choć był hipnotyzerem, jej nie potrafił zahipnotyzować.

- No więc, co ty właściwie robisz? - Gary zdał sobie sprawę, że chwalenie się stanem swego konta do niczego nie prowadzi. Spróbował więc z innej beczki - usiłował sprowokować Delilę, aby zaczęła mówić o sobie. Może akurat to podziała?

Delila próbowała pokryć śmiechem pewne zakłopotanie. Musiała bowiem ze wstydem przyznać, że w gruncie rzeczy nie robiła nic. Ściślej mówiąc - nic poza zakupami, przesiadywaniem u fryzjera, wylegiwaniem się do południa w łóżku i oglądaniem przedpołudniowego programu TV Nie bardzo mogło jej to przejść przez gardło, ale wyręczyła ją Nickii, która podsłuchiwała:

- Zanim Delila poznała Charliego, sprzedawała papierosy w restauracji, a teraz właściwie nic nie robi, prawda?

Delila nie wiedziała, jak się zachować. To, co usłyszała, nie było dla niej miłe, ale w gruncie rzeczy Nickii powiedziała prawdę. Odwróciła się więc w przeciwną stronę, niezdecydowanie bawiąc się kartą dań. To samo zrobił Gary, który w końcu musiał pogodzić się z faktem, że nie da rady wciągnąć jej w rozmowę.

Tymczasem Wayne i Shane - młodociani członkowie chłopięcego zespołu wokalo-instrumentalnego, liczący na oko mniej więcej szesnaście lub siedemnaście lat - zaczęli zachowywać się stosownie do swego wieku, czyli rzucać kulkami z chleba w Jamiego i Johnny'ego. Chybili jednak i trafili w Nickii, która ze złością strzepnęła zieloną oliwkę i trochę okruchów ze swojej grzywki.

- Powinniśmy chyba coś zamówić! - warknęła.

- Dobry wieczór, czym mogę pani służyć?

Delila zamarła na sam dźwięk tego głosu. Poznałaby go na końcu świata. Kiedy powoli uniosła głowę - zobaczyła przy końcu stołu kelnera ubranego w elegancki garnitur od Armaniego. Pomyślała sobie, że to przecież nie może być Sam, ale to był on. Z jej przyjaciela, późniejszego kochanka, stał się teraz jej kelnerem. Ściskając oburącz głowę, nabrała w płuca dużo powietrza. Że też musiało do tego dojść akurat wtedy, kiedy sądziła, że ten wieczór nie zmieni się już na gorsze...

33

- Macie tu jakieś owoce?

- Na deser? Ależ oczywiście, kompot z truskawek, mus cytrynowy...

Nickii nie dała mu skończyć.

- Nie na deser, bałwanie, tylko na przystawkę. Prowadzę właśnie kurację odtruwającą i muszę jeść owoce!

- Jestem pewien, że szef kuchni coś dla pani zorganizuje.

- Też mam taką nadzieję! - wtrącił się Gary. - W końcu to restauracja, do jasnej cholery!

Sam stał sztywno, starając się zachować spokój. Nie zauważył dotąd Delili, która schowała twarz za okładkami menu, pragnąc usilnie, aby ziemia się pod nią rozstała. Nie mogła pojąć, co Sam robi tutaj w stroju kelnera? Na domiar złego wszyscy siedzący przy tym stoliku uwzięli się, aby traktować go z wyzywającą arogancją. Chłopcy z kapeli rzucali w jego stronę bułeczkami. Andy, Jamie i Johnny otwarcie naśmiewali się z niego, a Charlie siedział jak basza u szczytu stołu i świetnie się bawił tym wstydlwym widowiskiem.

- Słucham, co dla pani?

Delila wciąż nie podnosiła głowy znad karty menu zaprojektowanej w kształcie góry lodowej. Udawała, że czyta listę przystawek, kombinując, jakby się niepostrzeżenie stąd wymknąć, na przykład przez wyjście ewakuacyjne...

- Wybrałaś już, Delilo? - Nie była pewna, czy to gra jej wyobraźni, czy też Charlie wymówił jej imię z celowym naciskiem.

Powoli, centymetr po centymetrze, opuszczała kartę, aż jej oczy napotkały oczy Sama. Ten nawet nie drgnął.

- Może byś zjadła okonia morskiego z rusztu? Brzmi to całkiem apetycznie. - Charlie prowokująco spoglądał Samowi prosto w oczy. - Co pan o tym sądzi, panie kelner?

Delila aż skurczyła się w środku. Chryste, jakie to było niesmaczne! Charlie, chyba celowo, zachowywał się jak butny panek, a Sam musiał znosić to ze spokojem.

- Kelner, pytałem, co pan o tym sądzi? - powtórzył Charlie, twardo akcentując spółgłoski. Zauważyła, jak Samowi drgają mięśnie szczęki. Musiała coś z tym zrobić, bo Charlie mógł nie wiedzieć, do kogo mówi, ale Sam na pewno się zorientował, kto tego słucha. Wyobrażała sobie, co on teraz czuje.

- Zamknij się, Charlie. - Trudno jej było uwierzyć, że naprawdę te słowa wyszły z jej ust.

Przy stoliku zapanowała cisza. Nikt z tego towarzystwa nie ośmielił się dotąd przykazać Charlieemu Mendesowi, żeby się zamknął. A już na pewno nigdy nie zrobiła tego żadna z jego dziewczyn.

- Coś ty powiedziała? - Charlie z kamienną twarzą odstawił drinka.

Jednak w Delili obudziła się jej uparta natura, bo najeżyła się jeszcze bardziej i powtórzyła:

- Mówiłam, żebyś zamknął dziób i przestał zachowywać się po chamsku.

Charlie popatrzył na siedzących przy stoliku, jak król szukający aprobaty w orszaku dworzan.

- Czy ja się zachowuję po chamsku?

Jego świta, jak na komendę, zaczęła machać głowami.

- Skąd, to raczej tutaj jest strasznie chamska obsługa! - prychnęła pogardliwie Nickii, rozmyślnie omijając popielniczkę i strząsając popiół wprost na obrus.

- Słyszysz? To nie ja zachowuję się po chamsku, tylko ten kelner. - Charlie niedbale odchylił się do tyłu, zakładając ręce na kark. - Jest tak bezczelny, że chyba będę musiał wezwać kierownika.

Delila nie wiedziała, co ma zrobić. Początkowo łudziła się, że Charlie zaniecha awantury, gdy dowie się, że tym kelnerem jest jej przyjaciel Sam. Doszła jednak do wniosku, że nie jest to dobry pomysł, bo przecież sama mu opowiedziała, jak Sam mieszał go z błotem w swojej kawiarni. Mogłoby to raczej pogorszyć sytuację.

Siedziała więc, obgryzając paznokcie i nie mając bladego pojęcia, że Charlie doskonale wie, kim jest Sam. Miał z nim bowiem do czynienia od czasu, gdy odziedziczył po swoim ojcu pakiet praw własności licznych obiektów, w tym także kawiarni Prima Donna. Wiecznie spierał się z Samem o wy-

sokość czynszu i zakres swoich uprawnień właściciela. Nie chciał też dopuścić do przekształcenia kawiarni w restaurację, o czym zawsze marzył Sam. Traktował go jako nieszkodliwego dziwaka, ale tylko do momentu, w którym dowiedział się, że coś go łączy z Delilą. Ta jeszcze, na domiar złego, powtórzyła mu słowo w słowo to wszystko, co Sam jej na niego nagadał. Charlie odebrał to jako próbę napuszczania jej na niego. Jak więc mógł znosić coś podobnego?

Charlie skorzystał więc z okazji, kiedy nadszedł czas przedłużenia umowy dzierżawnej. Zwiększył wtedy dwukrotnie wysokość czynszu, wiedząc, że Sam w tych warunkach nie da rady utrzymać kawiarni i będzie musiał ją zamknąć. Do tego też doszło, po kilkukrotnych ostrych wymianach słów przez telefon. Charlie nie przejmował się zarzutami Sama - przeciwnie, bawił go jego gniew i frustracja, a kiedy znudził się wysłuchiwaniami wymówek, po prostu spokojnie odkładał słuchawkę. Uważał, że taka nauczka należy się każdemu, kto ośmieliłby się jego, Charliego Mendesa, nazwać dziwkarczem. Miał nadzieję, że nigdy więcej nie usłyszy już o Samie, gdy nagle spotkał go w charakterze kelnera w restauracji Góra Lodowa. Gdyby to od niego zależało, Sam szybko straciłby i tę posadę.

- Proszę wezwać mi tu kierownika! - zażądał Charlie. Delila widziała, jak Sam za wszelką cenę usiłuje zachować spokój. Już od dawna chciał nawrzucać Charliemu Mendesowi, a teraz miał ku temu wyjątkową okazję. Próbowwała więc ratować sytuację.

- Uspokój się, Charlie! - Wstała od stołu.

- Siadaj, Delilo! - warknął. Młodzi ludzie z jego otoczenia zaczęli nerwowo chichotać. Nie zwracając na nich uwagi, zaczęła przepychać się do wyjścia za Garym, który, mimo iż był hipnotyzorem, sam stał jak zahipnotyzowany.

Charlie wyciągnął rękę, aby ją zatrzymać, ale Sam odepchnął go z wściekłością:

- Trzymaj te brudne łapy z dala od niej! - krzyknął.

Charlie, trochę podpity, zachwiał się i cofnął.

- Co jest, do jasnej... - jękał się, zaskoczony.

- Myślałeś, że wszyscy będą tak tańczyć, jak im zagrasz? Właśnie że nie wszyscy! - Zerwał z siebie marynarkę od Armaniego i rzucił ją w twarz Charliemu. - Mogłeś odebrać mi kawiarnię, ale niczego mi już więcej nie odbierzesz!

Potoczył spojrzeniem po twarzach przerażonych biesiadników i znowu zwrócił się do Charliego, który ciągle nie mógł wyjść z osłupienia.

- Chcesz, to sobie wzywaj kierownika. I tak nie dasz rady wyrzucić mnie z pracy, bo sam się zwalniam.

Obrócił się na pięcie i sztywno pomaszerował do wyjścia, roztrącając gapiów. Ledwo znikł z pola widzenia - pozostali konsumenci, jak na komendę, zaczęli szeptać i wytykać palcami Charliego. Ten zaś, gdy zorientował się, że skupił na sobie uwagę całej sali - szybko odzyskał równowagę, przysładził zwichrzone włosy i poprawił kołnierzyk.

- A to bezczelny chłystek! - prychnął z pogardą. - I co też sobie taki kelnerzyna myśli?

Sięgnął po drinka, przewracając po drodze butelkę szampana i dla uspokojenia nerwów pociągnął duży łyk.

Delila stała jak wryta, bo nie zrozumiała wymowy słów Sama: „Odebrałeś mi kawiarnię...”. Co on chciał przez to powiedzieć? Spojrzała z niesmakiem na Charliego, bo dotąd wydawał jej się przystojny, ale teraz jego niebieskie oczy miały chłodną szarość stali, a zacięte usta nabrały przykrego wyrazu. Przedtem jego pewność siebie i afiszowanie się ze swoim bogactwem wywierały magnetyczny wpływ na całe jego otoczenie i zwiększały jego atrakcyjność. Teraz ukazał się jej tak, jak i wszystkim, w zupełnie innym świetle, ostrym i nieprzyjaznym. Zrzucił efektowną maskę, za pomocą której podbił jej serce, a to, co miał pod spodem, wcale się jej nie spodobało. Czar prysł.

Odwracając się w drugą stronę, zdążyła jeszcze dostrzec plecy Sama. Pobieгла za nim, potykając się na niewygodnych obcasach i wołając:

- Samie, zaczekaj!

34

Na dworze padał deszcz. Delila pchnęła przeszkłone drzwi i wypadła na opustoszałą ulicę. Paparazzi dawno już się ulotnili, zdążywszy obfotografować ze wszystkich stron piłkarzy i gwiazdy „mydlanych oper”. Przenieśli się do baru obok, aby się pokrzepić szybkim piwkiem przed kolejnym zamówieniem. Dostali bowiem cynk od kelnerki z restauracji na King's Road, że ma się tam pojawić znany aktor ze swoją nową, tajemniczą przyjaciółką. Tylko samotny wykidajło nudził się przy drzwiach, wypatrując nieproszonych gości.

- Samie, poczekaj, proszę! - wołała, zbiegając po schodkach na chodnik. - Samie!...

Przystanął na środku ulicy, nie zważając, że deszcz przemoczył na wskroś jego granatową koszulkę, aż przylepiła się do ciała. Zawahał się przez chwilę, nim się odwrócił i zapytał:

- Co jest?

Delila przełknęła ślinę. Strugi deszczu ściekały po jej włosach i czole, a chwilę potem była już całkiem mokra.

- Coś ty robił w tej restauracji? Co się stało z twoją kawiarnią?

- Nie udawaj, że nie wiesz. Nie truj, że przez cały czas nie wiedziałaś, co jest grane!

Krzyczał twardym, nieprzyjaznym głosem, zagłuszając warkot silnika przejeżdżającej taksówki.

- Nie rozumiem... - bąkała zaskoczona Delila. - Nie wiem, o czym mówisz.

Zaśmiał się szyderczo.

- Poproś swego kochasia, żeby ci to wyjaśnił. Przecież on zna odpowiedź na wszystkie twoje pytania! - Jeszcze przez chwilę zatrzymał na niej wzrok, zanim ruszył w dalszą drogę.

- Proszę cię, Samie, porozmawiajmy... - błagała urywanym głosem.

Wtedy się zatrzymał.

- Aha, więc mamy rozmawiać tylko wtedy, gdy ty tego chcesz? A co było tydzień temu, kiedy to ja chciałem z tobą porozmawiać? - Podstawił wykrzywioną złością twarz wprost pod zacinające strugi deszczu. - Wtedy o tym nie wiedziałaś? Woliałaś uciec?

Próbowała coś powiedzieć, ale głos ledwo wydobywał się jej z gardła. Z jej oczu trysnęły łzy i zmieszały się z bryzgami deszczu.

- To nie było wcale tak... - bąkała ledwo słyszalnym głosem. - Po prostu nie pomyślałam...

- Ano właśnie! W tym rzecz, że nie myślisz. To znaczy myślisz, ale tylko o sobie. - Widać było, że Sam stracił już cierpliwość, bo nie dopuszczał żadnych okoliczności łagodzących.

- Ależ, Samie... - Próbowała się jeszcze tłumaczyć.

- Idź do domu, Delilo. Wracaj do tego swojego nadzianego kochasia. - Z pogardą omiół spojrzeniem jej figurę w zachlapanym deszczem markowym kostiumiku. - Ja już nie chcę cię znać!

Odwrócił się do niej plecami i ruszył naprzód, na oślep, przez kałuże i przelewające się kanały ściekowe. Delila zrozpaczonym wzrokiem patrzyła w ślad za jego malejącą sylwetką, dopóki nie zniknął w gęstniejącym ruchu ulicznym.

Przez chwilę, która wydawała się wiekiem, stała bez ruchu, dopóki nie przemokła do suchej nitki. Potem usiadła na krawężniku i ukryła twarz w dłoniach, a łzy ciekły przez palce razem ze strugami deszczu.

Po dalszej chwili, która tym razem wydawała się wiecznością, ochroniarz zlitował się nad nią i zamówił taksówkę. Przez całą drogę siedziała jak w transie, nie wiedząc, co ma o tym wszystkim myśleć. Wszystko się poplątało. Najpierw pokłóciła się z Charliem, teraz znów Sam z nią zerwał. Bezradnie przyciskała policzek do chłodnej, zachlapanej deszczem szyby, a w uszach dźwięczały jej słowa Sama: „Ja już nie chcę cię znać!”. Z tych słów przebijała wręcz nienawiść.

Z odrętwienia wyrwał ją dopiero Fatso, radośnie liżąc ją po twarzy, kiedy otworzyła drzwi do mieszkania Charliego. Wtedy usiadła na kanapie, przytulając do siebie jego drobne ciało. W takiej pozycji zastał ją Charlie, który po niedługim czasie też wrócił do domu. Nękanie wyrzutami sumienia, wyszedł bowiem za nią, by jej poszukać. Kiedy nie odnalazł jej w okolicy restauracji - postąpił zupełnie inaczej niż zwykle, bo zdecydował się zrezygnować z dalszego ciągu imprezy i wezwał taksówkę. Poczul ulgę dopiero wtedy, gdy w domu zastał ją bezpieczną, śpiącą na kanapie z psem w objęciach. Przez chwilę bowiem zląkł się, że ją utracił, a tego wcale nie chciał. Na swój egoistyczny sposób kochał ją, choć trudno było w to uwierzyć.

Przez następne kilka dni trwało między nimi zawieszenie broni, choć nie przyszło to im łatwo. Charlie przeprosił Delilę, a ona jego, bo nie chciała się z nim kłócić - miała już tego powyżej uszu. Gdzie się podziała ich poprzednia sielanka? Kiedyś prawie nie wychodzili z łóżka, szeptali sobie czułe

słówka, śmiali się z własnych, głupich dowcipów i kochali się, dopóki nie zasnęli, przytuleni do siebie. Wtedy wszystko wydawało się takie proste. Teraz natomiast pożądanie i czułość ustąpiły miejsca wątpliwościom i wzajemnym oskarżeniom, pozostawiając niedopowiedziane myśli i jątrzące urazy.

Delila spytała go wprost, o co chodzi z tą kawiarnią Sama. Charlie zaklinał się, że nie ma w tym jego winy. Sam był po prostu zazdrosny, a ludzie tego pokroju obwiniają ludzi pokroju Charliego za wszystkie swoje niepowodzenia życiowe.

- Ni cholery nie rozumiem, o czym on gadał! Jak mogłem mu odebrać kawiarnię? - grzmiał Charlie, z emfazą wznosząc ręce ku niebu. - Jasne, że mógł się wkurzyć, kiedy stracił taką robotę w Górze Lodowej, no, ale to przecież nie moja wina, że dureń sam się zwolnił.

Patrzył na Delilę wzrokiem człowieka niewinnie oskarżonego, choć naprawdę był tylko bardzo przekonującym kłamcą.

- On nie jest z zawodu kelnerem, tylko kucharzem! - wymamrotała ponuro Delila.

- Mało ważne, kim jest! - warknął niecierpliwie Charlie. - Kimkolwiek by był, nie pozwolę, by stawał mi na drodze. Zaciskając palce dookoła jej ręki, dodał już łagodniejszym tonem: - Kocham cię, rozumiesz?

Jak bardzo pragnęła usłyszeć te słowa, odkąd po raz pierwszy zobaczyła go w szpitalu w Bradfordzie! Kiedyś oddałaby duszę, żeby tylko usłyszeć to z jego ust. Tymczasem teraz, gdy wypowiedział je na głos, stały się mniej atrakcyjne, jak odpakowany prezent. Już nie intrygują, a człowiek zaczyna się zastanawiać, czy rzeczywiście tego chciał? Delila stała bez ruchu, kiedy Charlie odgarnął jej włosy z twarzy, przycisnął usta do jej ust i zaczął rozdzielać językiem wargi. Nie była już taka pewna, czy rzeczywiście tego chce.

Następnego ranka Charlie spakował małą torbę podróżną i oświadczył, że wyjeżdża na dwa dni do Kornwalii kręcić film dokumentalny. Delila leżała w łóżku, nasłuchując jego oddalających się kroków, odgłosu zamykanych drzwi i zapuszczania silnika samochodu. Poczowała ulgę, potrzebowała bowiem teraz dużo wolnej przestrzeni i czasu, aby to i owo przemyśleć. Przeleżała tak godzinę, patrząc w sufit i śledząc na nim drogę promienia światła, który przedostał się przez szparę między zasłonami. W końcu wstała, ale tylko po to, aby dobrać się do swojej kolekcji płyt Toma Jonesa, którą trzymała na spodzie szafy. Wybrała jeden ze swoich ulubionych albumów, z czułością wyciągnęła go z koperty i nastawiła gramofon. Rozległy się dźwięki piosenki:

Kiedy ktoś kocha cię, to nic dziwnego;

Nic dziwnego, gdy ktoś z tobą cieszy się;

Lecz gdy widzę cię w objęciach innego -

Nie dziw się, że płakać mi się chce!

Wzmocniła dźwięk i przycisnęła nos do szyby okna balkonowego. Zazwyczaj nastrojowe utwory Toma Jonesa były najlepszym okładem na jej zranione serce, ale tym razem jakoś nie czuła

ich zbawiennego działania. Miała w głowie zbyt wielki zamęt, mnóstwo nakładających się na siebie obrazów wyrwanych z kontekstu. Powracały wspomnienia Nickii podrywającej Charliego, drinka, jakiego jej spreparowała, nocy spędzonej z Samem, kłótni z Charliem, a potem jego wyznania miłosnego, wreszcie wykrzywionej wściekłością twarzy Sama na deszczu... Stała więc bez ruchu, nie zważając, że płyta się skończyła i ześliznęła się z niej igła. Cisza przywołała ją z powrotem do rzeczywistości. Wiedziała już, co ma zrobić.

Przy pierwszej okazji spaceru z Fatsem poszła z nim w stronę kawiarni Sama. Liczyła, że może na miejscu zorientuje się, co właściwie Sam miał na myśli. Zwykle docierała tam w ciągu piętnastu minut, ale dziś droga wydłużyła się dwukrotnie, bo Fatso ociągał się, obwąchiwał każdy centymetr krawężnika i obsikiwał każdą latarnię. Zupełnie jakby chciał zyskać na czasie. Czyżby wiedział o czymś, o czym ona nie wiedziała? Ale i ona zatrzymała się jeszcze za rogiem i kombinowała, co zrobić, żeby nie natknąć się na nikogo znajomego, a już na pewno nie na Sama. Wystarczyło jednak, że z daleka zobaczyła kawiarnię Prima Donna, a już wiedziała, że jej to nie grozi.

Przepadły gdzieś markizy w czerwone i białe pasy, drewniane stoły i krzesła, które w gorące dni Sam wystawiał na chodnik przed lokalem... Ulotnił się smakowity zapach świeżo upieczonych francuskich rogalików i parzonej kawy. Drzwi i okna zabito płytami wiórowymi, a na jednej z nich ktoś już zdążył napisać sprayem: Powiedz McDonalldowi - NIE. Wyżej, na ceglanym murze, umieszczono tablicę z napisem „Do wynajęcia”. Patrzyła na ten napis i nic nie rozumiała. Co tu się, u licha, stało? Przecież jeszcze niedawno Sam snuł plany założenia w tym miejscu restauracji. Dlaczego więc nagle spakował manatki i zniknął?

Na jej twarz kapnęła kropla deszczu. Spojrzała w górę i spostrzegła, że słońce już dawno schowało się za ciężki nawis burzowych chmur. Zapowiadała się więc ulewa, a może nawet burza. Podniosła kołnierz i pociągnęła Fatsa w kierunku domu. Przed nią rozległ się huk grzmotu, a niebo przecięła błyskawica. Fatso zaskomlał i przypadł do jej nóg.

- Nie bój się, mały, już idziemy do domu! - uspokoiła go i przyspieszyła kroku, ale za późno, bo szmer kropli na liściach drzew przeszedł najpierw w gwałtowne bębnienie, a potem oberwała się chmura.

- Fatso, biegnijmy! - Piesek przypląszczył uszy i biegł, aż małe łapki rozjeżdżały mu się na mokrym chodniku. Na próżno - i tak po chwili oboje przemokli do suchej nitki.

Ulice z miejsca opustoszały, bo przechodnie gdzieś się pochowali. Tylko jedna dziewczyna z psem biegła zygzakiem, omijając wyrwy w jezdni, które z miejsca wypełniały się wodą.

Przemykając między kolejnymi falami deszczu, Delila zwróciła uwagę na wiktoriański budynek z czerwonej cegły przy końcu ulicy. Mieściła się tam biblioteka. Przez uchylone drzwi wypadała na zewnątrz smuga światła, sygnalizując możliwość schronienia. Porwała Fatsa na ręce, przycisnęła do

siebie jego drżące ciało, szybkim sprintem pokonała dystans dzielący ją od budynku i zanurkowała do jego wnętrza.

Poraziła ją panująca wewnątrz cisza. Wycisnęła włosy z nadmiaru wody, zdjęła spłowiełą, dzinsową kurtkę, która po zmoczeniu wyglądała na granatową i rozwiesiła ją na grzejniku w holu. Drżąc z zimna, rozejrzała się wokół siebie. Od głównej sali bibliotecznej oddzielały hol dwa wyjścia ewakuacyjne. Z sali czuć było zapach zmoczonej odzieży czytelników, którzy schronili się tam przed ulewą. Delila też chciała wejść do środka, ale zrezygnowała, gdy przeczytała tabliczkę: „Prosimy nie wprowadzać psów”. Oparła się więc o framugę drzwi, postanawiając przeczekać deszcz przy wejściu. Ponieważ jednak zaczęła drzeć z zimna, wsunęła się głębiej do środka. Zauważyła wtedy na przeciwległej ścianie holu tablicę ogłoszeniową.

Wisiały na niej wzory podań, informacje o wysokości wpisowego, ogłoszenie o przykościelnym kiermaszu na cele dobroczynne... Tylko w lewym górnym rogu tablicy przypięto coś ciekawszego. Spod rozkładu godzin korzystania z basenu pływackiego wystawała ulotka Wyższej Szkoły Biznesu w Westminsterze. Delila wyciągnęła przytrzymując ją pineskę i przeniosła się wraz z ulotką pod grzejnik, przy którym przykucnęła, aby ogrzać plecy. Przeleciała najpierw nazwy wydziałów: księgowość, biznes, projektowanie... Przy tym ostatnim zatrzymała się na stronie, gdzie umieszczono zdjęcie kreślarza pochylonego nad rysownicą. Obok wymieniono nazwy kierunków: sztuki piękne, rzeźba, wzornictwo przemysłowe. Reklama u dołu strony zachęcała: „Zapraszamy absolwentów szkół średnich do podjęcia studiów rocznych lub trzyletnich, w trybie dziennym lub zaocznym”.

Przed oczami przemknęły jej scenki z ostatnich miesięcy: rozmowa w restauracji z hipnotyzerem Garym, który pytał, co właściwie robi, a ona wstydziła się przyznać, że nic; samotne wieczory przed telewizorem, kiedy nudziła się jak mops, mając pilota za jedyne towarzystwo; wieczór na plaży z Samem, kiedy zwierzyła mu się ze swoich planów dotyczących studiów. Przypomniała też sobie, z jakim podziwem przyglądała się dawniej pracy wujka Stana przy odnawianiu mieszkań.

Przeczytała dokładniej ulotkę. Nazwa kierunku „Projektowanie wnętrz” rzuciła jej się w oczy ze szczególną ostrością. To się musiało stać - najwidoczniej przeznaczenie czuwało, by ta ulotka wpadła jej w ręce. W lepszym już nastroju złożyła starannie kartkę i wsunęła do górnej kieszeni kurtki, wciąż lekko wilgotnej od deszczu. Wyrzała na dwór - okazało się, że przestało już padać, pomiędzy chmur wyrzała słońce, a na ulicę znowu wylegli przechodnie. Może to polepszenie pogody wróżyło, że i w jej życiu się polepszy?

Po powrocie do domu zdecydowała, że zadzwoni do Vivienne - jedynej osoby oprócz Sama, która mogła wiedzieć, co właściwie stało się z nim i jego kawiarnią. Nie rozmawiała z nią od czasu, kiedy przespała się z Samem, ale w końcu i tak musiała przełknąć tę gorzką pigułkę. Zadzwoniła na komórkę i po kilku dzwonekach ktoś odebrał telefon, ale tym kimś nie była Vivienne, tylko Harold.

- Nie ma tu Vivienne, moja droga. Przecież ona jest zaręczona! - dyszał jak miech.

Delila żałowała, że nie zastała przyjaciółki, bo może wreszcie usłyszałyby coś sensownego. Z poczciwego Harolda nie było pod tym względem żadnego pożytku. Sygnał komórki zakłócał bowiem odbiór jego aparatu słuchowego, więc nie rozumiał, co Delila do niego mówi.

- Kiedy wróci? - wykrzyczała do mikrofonu.

- Że co? Że ktoś się przewrócił? To ja się przewróciłem, wczoraj na polowaniu, ale już mi lepiej.

Dała sobie spokój, ponieważ dalsza konwersacja w tym stylu nie miała żadnego sensu.

- Na razie dziękuję, ale gdyby miał pan kontakt z Vivienne, proszę jej powiedzieć, żeby do mnie zadzwoniła. Chciałabym się upewnić, że wszystko u niej w porządku. - Pamiętała zboląły głos Vivienne po liposukcji.

- Do piątku? Skąd, ona nie może zostać w Hiszpanii do piątku, bo przecież w czwartek macie to wasze babskie spotkanie! - zahuczał jowialnie Harold. Niestety, akurat wtedy, kiedy wreszcie udzielił jakiejś konkretnej informacji - bezceremonialnie się wyłączył.

I tak jednak Delila odłożyła słuchawkę z westchnieniem ulgi. Oczywiście, jak mogła zapomnieć! Vivienne po prostu wyskoczyła do Hiszpanii, by złapać trochę opalenizny przed ślubem, a wróci dopiero jutro, bo w czwartek organizuje wieczór panieński!

35

- No, muszę powiedzieć, że wyglądasz bardzo sztywnie! - Vivienne uważnie studiowała zdjęcie Delili, zrobione przez któregoś z paparazzich na otwarciu restauracji Góra Lodowa.

Znalazło się ono na łamach kroniki towarzyskiej ilustrowanego magazynu, pod nagłówkiem „Atrakcyjny kawaler do wzięcia - Charles Mendes - i jego tajemnicza przyjaciółka”. Zaciągając się papierosem, z zainteresowaniem spytała:

- Czy ten żakiet kupiłaś w Przygodzie?

- Chyba żartujesz! - Delila roześmiała się, zapominając, że Vivienne była wierną klientką galerii ubioru Przygoda. - Czy wyglądam na osobę, która ubiera się w takiej firmie?

- Owszem, w tej chwili jak najbardziej wyglądasz - odpowiedziała poważnie Vivienne, nie wyczuwając ironicznego wydźwięku tych słów. Sądziła, że powiedziała komplement.

Delila, przerażona, wyrwała Vivienne pismo i jeszcze raz przyjrzała się zdjęciu. Niestety, przyjaciółka miała rację. Wyglądała tak samo jak kobiety, z których zawsze się nabijała - słodka blondynka z uszmiłowanymi, zmysłowymi usteczkami, od stóp do głów ubrana w markowe ciuchy. Okazało się, że w ciągu kilku ostatnich miesięcy przeobraziła się w taką samą snobkę, jakie otaczały chmarą Charliego.

Zadzwonił dzwonek u drzwi.

- To pewnie taksówka! - pisnęła radośnie Vivienne, podskakując i klaszcząc w ręce. - Teraz się zabawimy!

Ściągnęła Delilę z kanapy, odrywając ją od czarnych myśli. Szybko nasunęła czólenka na wysokich obcasach i wykonała piruet, podpytując dla formy:

- No i jak wyglądam?

Sama wiedziała najlepiej, że wygląda zachwycająco. Nie mogąc już się doczekać, kiedy zaprezentuje światu swoją cudownie poprawioną figurę, wykosztowała się na taką kreację od Versace'a, że wywołałaby rumieniec nawet na twarzy Liz Hurley! Dekolt sięgał pępka, a rozcięcia po bokach ukazywały finezyjnie wyrzeźbione uda. Słowem, sukienka rzeczywiście biła po oczach, a dodatkowego smaczku dodawał fakt, że była wykonana wyłącznie z czerwonych cekinów, zastrzeżonych zwykle dla uczestniczek konkursów tańca towarzyskiego. Jednak zamiast niepisanej zachęty „Zatańcz ze mną” zdawała się raczej wołać „Bierz mnie!”.

- Super! - Delila się zachwyciła. Bo też było to coś zupełnie innego niż zwyczajowe przebranie uczestniczek panieńskich wieczorów w Bradfordzie, które z reguły nakładały plastikowe diademy, welony z firanki i przylepiały na widocznych miejscach plakietki z napisem „Nauka jazdy”. Delila nigdy nie mogła zrozumieć, skąd się wzięła ta głupia moda, żeby młode i atrakcyjne kobiety celowo się oszpecały i ośmieszały, wędrując jeszcze w takim przebraniu od baru do baru? Chyba wymyślili to niedoszli żonkosie, aby odstraszyć innych potencjalnych konkurentów! Vivienne, czyniąc zadość tradycji, wołała oczywiście wystąpić w kosztownej kreacji od Versacego niż w welonie z firanki.

- Pospiesz się, taksówka czeka! - poganiała ją Delila, bo Vivienne jeszcze krygowała się przed lustrem. Miał to być jej panieński wieczór, więc Delila postanowiła, że nie wspomni ani słówkiem o incydencie w restauracji ani nie zapyta też, co się stało z kawiarnią Sama. To jej święto i wszystkie powinny się dobrze bawić. Chwyciły się więc za ręce i wybiegły, lawirując po zagraconym korytarzu. Vivienne tak pośliznęła się na rozłożonym starym numerze „Tatlera”, że o mało nie rozdarła dalej rozcięć w sukience. W obłoku papierosowego dymu wydostały się wreszcie na dwór i usadowiły na tylnym siedzeniu taksówki. Zupełnie jak za dawnych, dobrych czasów...

W pierwszej kolejności dziewczęta zawitały do Kuchni Domowej. Vince akurat zagadywał czyjąś dziewczynę przy barze, ale na widok Delili poderwał się z miejsca, wymachując w powietrzu kubańskim cygarem i podzwaniając złotymi bransoletami.

- Kogo ja widzę, toż to Delila! - wykrzyknął radośnie, cmokając wargami, jakby chciał ją zjeść.

- Czym zasłużyłem sobie na ten zaszczyt?

Chwycił jej rękę, przycisnął ją do mięsistych warg i zaczął okrywać lepкими, mokrymi pocałunkami. Przesuwał przy tym usta coraz wyżej, do nadgarstka, potem bliżej łokcia... Strach pomyśleć, jak daleko by się posunął, gdyby nie zauważył wyzywającej sukienki Vivienne.

Widok ten od razu go podniecił. Pęczniąc od nagromadzonych pokładów testosteronu, z miejsca puścił rękę Delili i wydyszał namiętnie:

- *Bellissima, bellissima!* Gdzieś ty się podziewała przez całe moje życie?

Kiedy podniósł się na całą swoją wysokość metra pięćdziesięciu pięciu, ledwo się mieścił w czarnej jedwabnej koszuli, przepoconej pod pachami. Vivienne skwitowała jego zaloty wymuszonym uśmiechem. Jasne było, że nie ten rodzaj powodzenia chciała osiągnąć, kiedy wypisywała czek na dziesięć tysięcy funtów u Versace'a. W sukurs przyszła jej Delila, która nie mogła się powstrzymać, by nie zgasić starego zbereźnika.

- Ręce przy sobie, Vince, ona w tę sobotę wychodzi za mąż! - przestrzegła go.

Vince'emu szczęka opadła.

- To straszne! - wyjęczał. Na czoło wystąpiły mu krople potu, którymi opryskiwał dziewczęta, gdy z przejęcia potrząsał głową. - Marnować tyle dobra dla jednego?

Zrobił minę człowieka skazanego na życie w celibacie, ale zaraz się pocieszył, bo nie umiał długo rozpaczać.

- W każdym razie musimy to oblać! - oznajmił, błyskając złotymi zębami. - Ja stawiam!

W Kuchni Domowej spędziły około pół godziny. Tyle potrwało, zanim zdołali uwolnić się od Vince'a, który próbował obejmować każdą z nich i podszcypywać. Czuł się w swoim żywiole i mógłby w ten sposób spędzić cały wieczór, gdyby na horyzoncie nie pojawiły się dwie biuściaste blondyny w skórzanych spodniach. Nie mógł się oprzeć pokusie zajrzenia im w dekolty, więc Delila i Vivienne skorzystały z okazji. Ulotniły się, zostawiając go w cieniu dwóch podrasowanych silikonem biustów.

Na następny popas zatrzymały się w ekskluzywnym Klubie Sztuki na South Kensington, gdzie Vivienne umówiła się z Penny i Wirginią. Delila jeszcze nigdy nie była w takim klubie, ale wiedziała, że Vivienne chętnie tu bywa. Czuła dreszczyk podniecenia, bo wyobrażała sobie, że uczęszczają tam głównie przystojniacy w typie Ruperta Everetta, którzy, siedząc w skórzanych, pikowanych fotelach, czytają scenariusze i palą ręcznie zwijane cygara. Tymczasem stałymi bywalcami lokalu okazali się głównie zażywni panowie w klubowych marynarkach ze złotymi guzikami i w krawatach swoich dawnych szkół, którzy opychali się pieczywym, podczas gdy ich żony w perkalowych spódnicach popijały drinki w ogródku. Dopiero po pewnym czasie przypomniała sobie, że przecież Vivienne tu poznała Harolda. Wiedząc o tym, mogła się domyślać charakteru tego miejsca.

W powietrzu gęstym od fajkowego dymu Vivienne z trudem namierzyła Penny i Wirginię, które siedziały przy barze, popijając drinki i porównując swoje toalety. Wiecznie zajęta dziećmi Wirginia wbiła się w plażową suknię z wiskozy, praktyczną, bo niewymagającą prasowania. Penny natomiast udało się schudnąć na tyle, że zmieściła się w garsonkę pochodzącą z czasów przed urodzeniem bliź-

niąt, które liczyły już sobie po trzynaście lat. Dzięki temu wyglądała dziś jak kopia Krystal z *Dynastii* - miała jeszcze bardziej wywatowane ramiona, jeszcze bujniejszą fryzurę i perłową szminkę.

Wejście Vivienne spowodowało, że niejeden członek klubu o mało nie zakrztusił się pieczenią.

- Kochanie, wyglądasz cudownie! - Penny wylewnie ją uściskała. - Przy tobie czuję się jak zupełna sierota!

Parsknęła śmiechem, po czym zwróciła się do Delili:

- Przepraszam, ale u Harveya Nicholasa nie przedstawiono nas sobie. Jestem Penny.

- A ja Delila.

- Ja jestem Wirginia, ale mów mi Ginny. - Wirginia stanowczym gestem uściśnęła rękę Delili. Jako działaczka harcerstwa i przewodnicząca komitetu osiedlowego nie uznawała niezdecydowanych działań.

Do picia zamówiły: sok ananasowy dla Ginny, wytrawne sherry dla Penny, białe wino dla Delili i tradycyjny tonik z lodem dla Vivienne. Szybko stały się obiektem zainteresowania żonatych panów w koszulach w paseczki, z mankietami na spinki i sygnetami na małych palcach. Delila nie była zachwycona tymi atencjami, bo przyczepił się do niej Oskar - trzydziestoparoletni, czerwony na gębie architekt.

- Czy mogę postawić ci drinka? - Zionąc oparami whisky, bezceremonialnie zapuszczał żurawia w jej dekolt.

- Dziękuję, już mam. - Pociągnęła łyk wina i obejrzała się na Vivienne, szukając w niej moralnego oparcia. Vivienne jednak nie zwracała na nią uwagi, zajęta prezentowaniem swoich chirurgicznie poprawionych ud Malcolmowi - przedsiębiorcy budowlanemu z Chelsea.

- Ale dlaczego nie miałbym postawić ci drinka? - bełkotał Oskar, rozczarowany, że jego awanse nie spotykają się z entuzjazmem. Czyżby się jej nie podobał? Cóż za wybredna dziewczyna - przecież był całkiem przystojny!

- Ponieważ już mam! - powtórzyła głośniejszym głosem. Może był nie tylko pijany, ale i głuchy?

- Jak sobie chcesz! - fuknął, wypinając kurzą pierś i dopijając swoją whisky do końca. - A zresztą, co ja będę z tobą gadać, przecież ty jesteś z północy!

Zataczając się, odmaszerował dumnie z pustą szklanką. Delilę kompletnie zamurowało. W pierwszym porywie chciała lecieć za nim, żeby mu nagadać do słuchu, ale się opamiętała. Co by to dało? Był nie tylko nadętym durniem, do tego jeszcze zalanym.

- Słuchajcie, tu jest super! - Penny, której sherry zdążyło już uderzyć do głowy, promieniała. - Miałam trochę tremy przed tym wieczorem, ale jest całkiem fajnie. - Zaniósła się swoim charakterystycznym śmiechem przechodzącym w czkawkę.

- Przecież prawdziwa impreza się jeszcze nie zaczęła! - skarciła ją Vivienne. Penny jeszcze w szkole była znana z tego, że zbyt szybko się upijała. Nosila nawet przezwisko „Penny Ochlapus”.

- Myślę, że powinniśmy złapać taksówkę i jechać na Solio - zaproponowała Delila, wstając. Miała już dość podtatusiałych jegomościów z brzuskami - chciała się naprawdę zabawić.

- Słuchajcie, słuchajcie! - zaszcebiotała Ginny, dopijając sok ananasowy i z namaszczeniem odstawiając szklanę. - Zbieramy się i ruszamy w dalszą drogę!

Na początku wieczór zapowiadał się drętwo, ale szybko się rozkręcił. Soho kipiało życiem - nie brakowało tam tego, czego potrzebują dziewczęta, aby się zabawić: alkoholu, tańca i facetów. Vivienne nie traciła czasu - wyskoczyła z taksówki, jeszcze nim kierowca skasował licznik, i od razu wpadła do szpanerskiego baru pod nazwą C02. Od razu zaczęła podrywać barmana w opiętej koszulce, ale miał on być tylko jednym z wielu. Vivienne prowadziła swoje koleżanki w szalonym tempie od baru, gdzie śpiewano karaoke, poprzez bar dla gejów, do baru, gdzie tańczono salsę. Z każdym kolejnym lokalem podwyższał się im poziom adrenaliny i tequili we krwi.

Delila, po raz pierwszy od niepamiętnych czasów, rozpuściła włosy i naprawdę dobrze się bawiła. Piła wódkę z colą, tańczyła do muzyki zespołu ABBA i wygłupiała się z Ginny, tańcząc w rytm utworu Glorii Gaynor *I Will Survive*. Znowu poczuła się sobą i nareszcie przestała myśleć zarówno o Samie, jak o Charliem. Ze śmiechem przyglądała się Penny, która, pozostawiona sama sobie, znalazła kartę koktajli i pogрузzyła się w lekturze, choć już nieomal obsuwała się z barowego stołka. Z kolei wokół Vivienne skupiła się gromada adoratorów, którzy ciągnęli do niej jak ćmy do ognia. Przepychali się i jeden przez drugiego usiłowali zwrócić na siebie uwagę. Nie miała nic przeciwko temu, bo flirtowała z nimi na potęgę, świetnie się przy tym bawiąc.

W końcu jednak, choć stanowczo za wcześnie, nadeszła pora zamykania lokalu. Dziewczęta, acz niechętnie, dopiły drinki i wytoczyły się na zewnątrz.

- Gdzie teraz idziemy? - Delila spojrzała na zegarek. Nie minęła jeszcze północ.

Penny oparła się wywatowanym ramieniem o skrzynkę pocztową i mamrotała coś na temat pójścia do łóżka. Ginny natomiast proponowała wypad do chińskiej dzielnicy.

- Jestem głodna i chętnie zjadłabym coś z chińszczyzny! - zadeklarowała, wachlując się kartą koktajli, też już mocno podpiita, choć nigdy nie przyznałaby się do tego.

Żaden z tych pomysłów nie uzyskał aprobaty Vivienne, która upajała się powodzeniem u mężczyzn i ciągle nie miała dość.

- A ja chcę przetańczyć całą noc! - oświadczyła, przyjmując pozę Shirley Bassey. Odchyliła głowę do tyłu i okręciła się wokół latarni, śmiejąc się na całe gardło. Delila, choć już zmęczona, uśmiechała się ze zrozumieniem. Jeśli Vivienne tak się zachowywała na trzeźwo, to nic dziwnego, że rzuciła picie.

- No to zaproponuj nam jakieś miejsce, gdzie można potańczyć! - Podpuściła ją, sądząc, że zdemaskuje jej bluff. Vivienne bowiem rzadko bywała na Soho, więc pewnie nie знаła innych lokali.

Jakże się myliła!

- Znam czadowy klub, zaraz za rogiem. - Vivienne wykonała kilka kroków, stepując. - Chodźcie, zaprowadzę was.

Później Delila uświadomiła sobie, że powinna od razu coś podejrzewać, kiedy przy oświetlonym neonami wejściu do klubu Sekret kobieta z kolczykami wklutymi w łuki brwiowe zapytała, czy są tancerkami. One tancerkami? Szczególnie Penny i Ginny! Penny ledwo trzymała się na nogach, a Ginny była ubrana, jakby wybierała się na szkolną wycieczkę. Tylko Vivienne, która wyglądała, jakby urwała się z planu filmu *Kabaret*, potwierdziła, że jak najbardziej jest tancerką. Toteż ona jedna weszła do środka za darmo, a pozostałe trzy dziewczyny musiały zapłacić po dwadzieścia funtów. Ginny mało nie zemdląca.

- Dwadzieścia funtów? Toż to rozbój na równej drodze! - wydyszała, a jej obfity biust niebezpiecznie falował, kiedy starała się nadążyć za Delilą i Penny. Te znów parły do przodu jak czołgi, aby nie stracić z oczu Vivienne. Na słabo oświetlonych schodach orientowały się według ogłuszającej muzyki. Idąc tym tropem odnalazły Vivienne, która chciała jak najszybciej znaleźć się na parkiecie.

- Co tak lecis, poczekaj na nas! - zawołała do niej Delila, próbując przekrzyczeć nagranie Whitney Houston wykonującej utwór *I Wanna Dance*.

Vivienne zatrzymała się przed wahadłowymi drzwiami, niczym w saloonach na Dzikim Zachodzie.

- Szybciej, bo chcę zatańczyć! - Ponaglała je, śpiewając do wtóru z Whitney Houston i kręcąc pupą tak jak ona.

Delila dołączyła do niej, podobnie jak zdyszana i czerwona na twarzy Ginny. Penny zdążyła błyskawicznie wytrzeźwieć i na nowo umalowała usta perłową szminką. Vivienne niecierpliwie pchnęła wahadłowe drzwi, ale zaraz za nimi stanęła jak wryta. Owszem, był to klub i rzeczywiście tańczyło w nim wiele osób. Tylko jeden szkopał - kobiety były na wpół nagie i tańczyły wyłącznie na kolanach mężczyzn.

- O rany, tu są same striptizerki! - Ginny przewracała oczami, jakby miała za chwilę dostać zawału.

- Nie, to taniec erotyczny - poprawiła Penny, która z oczami jak spodki wyglądała zza jej ramienia.

- Mniejsza, jak to się nazywa, ale one nie mają prawie nic na sobie! - wykrzyknęła Ginny.

Delila ledwo powstrzymywała śmiech. Istotnie, trudno było nie dostrzec komicznej strony tej sytuacji - oto cztery przyjaciółki, które chciały spędzić razem wieczór paniński, wylądowały w klubie tańca erotycznego! Spojrzała kątem oka na Vivienne, która jak zahipnotyzowana wpatrywała się w brunetkę w winylowym kostiumie „króliczka” i długich po pachwiny, zapinanych na zamek błyskawiczny kozaczkach, wirującą na estradzie wokół drążka.

- Vivienne, kiedy byłaś tu ostatni raz?

- Chyba w 1987 - rzuciła Vivienne, nie odrywając oczu od estrady. - Od tamtej pory chyba to i owo się zmieniło...

- Powiem wam jedno - muszę usiąść - przerwała jej Ginny, nerwowo się wachlując. Jako szanująca się matka dwojga dzieci nie mogła przeboleć straty sporej sumy pieniędzy przeznaczonych na życie, więc patrzyła krzywo na Vivienne.

- To co robimy? - Delila nie miała zamiaru stać tak przez całą noc, przyglądając się, jak Ginny mdleje, a Vivienne podryguje w takt muzyki.

- Jak to co? Wchodzimy! - Vivienne była zdziwiona, że koleżanki nie rozumieją tak oczywistej rzeczy. - W gruncie rzeczy zawsze lubiłam taniec erotyczny Muszę zobaczyć, jak oni to robią.

- Ja też - wyszeptła wstydliwie Penny.

Delila była niezdecydowana. Zgoda, Vivienne ze swoją kolekcją gumowych gorsetów i pasków do podwiązek może nadawałaby się do takiego tańca, ale Penny w kostiumiku à la Krystal Carrington? Jej bardziej pasowałaby bielizna zdrowotna niż staniczki z frędzelkami i majteczki składające się z samego sznureczka w kroku! Naprawdę, wuj Stan miał rację, że nie ma drugiej bestii tak fałszywej jak człowiek.

Poddały więc problem pod głosowanie. Vivienne upierała się przy wejściu do środka, Penny też głosowała za. Delila była trochę zaintrygowana, ale najdłużej trzeba było przekonywać Ginny. Dopiero Vivienne trafnie zauważyła, że jako drużynowa harcerek powinna poznać wszystko, by potem ostrzec swoje dziewczęta, jakie niebezpieczeństwa czyhają na nie na każdym kroku. Z tym argumentem Ginny nie była w stanie polemizować, więc założyła ręce na piersiach i odważnie ruszyła naprzód.

W środku klub nie przedstawiał się tak strasznie, jak Delila się obawiała. Wystrój był dość gustowny, a światło przyćmione, z wyjątkiem kilku reflektorów punktowych. Przez kłęby dymu papiero-

sowego i opary suchego lodu ledwo dostrzegła małą estradkę, na której dziewczyna w gorsecie i siatkowych pończochach wykonywała uproszczoną wersję kankana. Natomiast stoliki pod ścianami obleżone były przez najróżniejsze typy mężczyzn - od szykownych playboyów z City po tępawych typków w opadających spodniach. Jedni i drudzy wyluskiwali z portfeli banknoty dwudziestofuntowe, zwijali je w rulony i wpychali tej czy innej dziewczynie pod majteczki.

Dzięki zmysłowi orientacyjnemu Ginny od razu znalazły wolny stolik bez konieczności krążenia po sali. Delila usiadła, starając się nie rzucać nikomu w oczy. Nie przychodziło to łatwo, gdyż były jedynymi kobietami w klubie, które nie nosiły majteczek z dziurą w kroku i nie wykonywały szpagatów. Nie zważając na spojrzenia ze wszystkich stron, nachyliła się przez stół do Vivienne.

- Mogłabyś rozebrać się na oczach tej całej bandy? - podpytywała niedowierzająco. Sama krępowwała się nawet opalać na plaży bez stanika.

- Pewnie, że mogłabym! - odburknęła Vivienne z zazdrością w głosie. Nie chciała siedzieć na ławce rezerwowych, tylko od razu wybiec na boisko. Otworzyła już piątą tego wieczora paczkę marlboro lights, zapaliła papierosa i wypuściła kółko dymu prosto w twarz Penny, która podskakiwała na krześle jak dziecko w cyrku. Rzeczywiście, mogła się tu napatrzeć na mnóstwo akrobacji, choćby w wykonaniu dziewczyny w skórzanym bikini, która właśnie robiła „gwiazdę” na estradzie. Ginny tymczasem pociła się ze wstydu jak mysz. Zamówiła wodę z lodem i nerwowo oglądała się na boki, aż napotkała spojrzenie muskularnej, wytatuowanej kobiety siedzącej pod ścianą. Patrzyła ona spode łba na dziwne klientki, przypuszczalnie biorąc je za lesbijki.

Delila próbowała spojrzeć na całe przedstawienie chłodnym okiem nowoczesnej, trzeźwo myślącej kobiety, a nie zgorszonej dewotki. Ku swemu zdziwieniu zaobserwowała wśród tancerek osoby różnej budowy i tuszy. Dotychczas sądziła, że kobiety takiej profesji mają figury jak z „Playboya”, rozdęte silikonem biusty i blond fryzury à la Pamela Anderson. Tymczasem u niejednej z nich po zdjęciu kostiumu rzucały się w oczy rozstępy skórne, pękające naczynka czy początki cellulitisu. Mimo to żadna z nich nie miała kompleksów na punkcie niedoskonałości swojej budowy, a ich męscy klienci też nie narzekali. Przeciwnie, sprawiali wrażenie, jakby wciąż było im mało pulchnych pośladków i zbyt małych biustów. Dopomogło to Delili przejrzeć na oczy. Zawsze obawiała się, że wizyta w klubie tańca erotycznego wprawi ją w dodatkowe kompleksy na punkcie budowy ciała, a tymczasem jej miłość własna została tu w znacznym stopniu podbudowana. Postanowiła, że nigdy już nie będzie przemykać się nago pod ścianą sypialni, aby dotrzeć do łóżka, zanim przyjaciel zdąży zobaczyć skrawek jej ciała.

W chwili, kiedy już rozgrzeszała się z niechodzenia na siłownię dla poprawienia felerów budowy, zobaczyła długonogą, biuściastą, platynową blondynkę w skąpym stroju kowbojskim, która zdążyła w ich stronę, rozglądając się między stolikami.

- Lisa? - Delila wyciągnęła szyję, żeby się lepiej przyjrzeć. Tak, to była Lisa, która jako Fifi sprzedawała papierosy w Kuchni Domowej.

Lisa zatrzymała się, obróciła na miejscu i mrużąc oczy w świetle reflektorów punktowych, poszła do ich stolika.

- Delilo, to ty? Cześć, kochanie!

Ginny z wrażenia musiała się napić wody. Przecież zbliżała się do nich jedna z „tych” kobiet! Lisa nachyliła się bliżej do Delili i szepnęła:

- Chętnie pogadałabym z tobą, ale teraz pracuję. A w pracy nazywam się Kelly z Dzikiego Zachodu! - Zerknęła przez ramię na kręcących się wszędzie ochroniarzy i szybko dodała: - Udawaj, że wsuwasz mi jakieś banknoty za majtki, to będę mogła chwilę tu postać. Niby, że płacisz mi za dwuminutowy numer.

Delila kiwnęła głową i udając starą wyjadaczkę, wykonała kilka nerwowych ruchów w okolicach zamszowych majteczek Lisy. Ta od razu zaczęła kręcić biodrami w ozdobionej frędzlami minispódniczce.

- No więc gdzie się tyle czasu podziewałaś? - spytała, równocześnie wywijając między nogami zwiniętym kręgiem lassa.

- Nigdzie specjalnie, po prostu zamieszkałam z moim przyjacielem.

- Aha, i on pewnie kazał ci rzucić robotę w Kuchni Domowej? Faceci nie mogą znieść, kiedy chcemy być od nich niezależne, prawda?

Delila machinalnie przytaknęła, ale właściwie nigdy nie odbierała tego w taki sposób. Charlie chciał, by zrezygnowała z pracy, aby mieli więcej czasu dla siebie, a ona nigdy nie traktowała tej propozycji jako zamachu na swoją niezależność, zwłaszcza że i tak nie lubiła tej pracy. Jednak ziarno niepewności, zasiane przez Lisę, zrobiło swoje. Czyżby rzeczywiście Charlie chciał z niej zrobić kurę domową? Nie byłby wtedy lepszy od Lenny'ego.

- A ty od jak dawna tu pracujesz? - spytała Lisy.

- Mniej więcej od trzech tygodni. Można tu zarobić kupę szmalu, dużo więcej niż w tym interesie z papierosami. - Wyrzuciła w górę kowbojski kapelusz, tak, aby wylądował na głowie Penny. Ta zachichotała nerwowo, ale nie protestowała. - Szczególnie, jeśli trafi się taki klient jak ten gość, co tam siedzi. On płaci pięć dych za numer!

Delila zerknęła we wskazanym kierunku. Unoszące się z estrady opary suchego lodu częściowo zaciemniały pole widzenia, ale gdy opadły - zobaczyła wyraźnie, o kim mówiła Lisa. Doznała wstrząsu, bo przy stoliku siedział Charlie z grupą kolegów. Popijali szampana, podczas gdy jakaś ruda panienka podsuwała mu pupę pod sam nos.

- Przepraszam cię na chwilę. - Przepraszając, że nie obejrzy popisowego numeru Lisy - tańca z pobrzękiwaniem ostrogami - sina z wściekłości, przepychała się między usztywnionymi staniczkami i

koronkowymi podwiązkami, aż dotarła do stolika przy estradzie. Przecież Charlie miał kręcić jakiś pieprzony film w Kornwalii, więc co, do jasnej cholery, robił w klubie Sekret?

- Czy to miał być film dokumentalny o damskiej bieliźnie? - zapytała napastliwie Delila, trzymając się pod boki.

Charlie trzymał jeszcze w zębach czyjeś skąpe majteczki ze sznureczkiem w kroku, więc dopiero gdy odłożył je na bok, odzyskał mowę.

- Kochanie, ja wszystko wyjaśnię... Tylko parsknęła, bo słyszała już tę gadkę.

- Kręcimy film o kulturze lat dziewięćdziesiątych. Jestem tutaj z ekipą...

- Aha, a to pewnie jest główny operator? - spytała z ironią, wskazując na rudą osóbkę, nakładającą właśnie z powrotem majteczki.

Charlie otworzył usta, ale zaraz je zamknął. Wiedział, że w tej sytuacji na nic mu się nie przyda jego wdzięk osobisty. Został przecież złapany na gorącym uczynku. Nie rozumiał tylko, skąd Delila mogła wiedzieć, że go tu zastanie? W rezultacie postanowił wyciągnąć rękę do zgody. W ręku trzymał tani kieliszek wypełniony szampanem Moet (w lokalach takich jak Sekret nie podawano szampana w eleganckich, kryształowych kieliszkach).

- Masz, napij się - zaproponował.

Wyprowadzona z równowagi jego beczelnością, już miała obrzucić go wiązką wszystkich niecenzuralnych słów, jakie знаła, gdy jej uwagę odwrócił błysk czerwonych cekinów na estradzie. To Vivienne podwinęła swoją szokującą sukienkę i wirowała obłądnie w takt utworu Prince'a *Kiss*.

- O kurczę! - mruknęła Delila. Zakryła oczy dłonią, bo nie mogła na to patrzeć, ale nie mogła także nie patrzeć! Przez palce podglądała Vivienne, która najpierw wspinała się i zesuwała po drążku, aby potem rozpocząć szalony taniec brzucha. - Co ona robi?

Vivienne robiła po prostu to, co lubiła najbardziej. Znajdowała się w tej chwili w centrum uwagi. Znudzona rolą widza uznała, że pokaże własne przedstawienie. Publiczność od razu zareagowała ożywieniem, tym bardziej że Vivienne wykazała nadzwyczajną biegłość w tej sztuce, z którą się do tej pory nie ujawniała. Zdażyła odtąńczyć cały utwór Prince'a, zanim ochroniarze zorientowali się, że nie jest jedną z tancerek zatrudnionych w tym lokalu. Dopiero pod koniec popisu rzucili się i wprost wynieśli ją z estrady przy akompaniamencie braw, aprobujących gwizdnięć i okrzyków „Chcemy tę panią w czerwonym!”. Był to w sam raz odpowiedni akcent kończący ten wieczór.

Rankiem w dniu swego ślubu Vivienne przechodziła kryzys. W dużym stopniu przyczyniły się do tego przyszłe druhny - Hilary, Hermione i Harriet - bo mimo szczegółowych instrukcji, jak się mają odżywiać, przytyły o kilka kilogramów od ostatniej przymiarki i ich sukienki pękały w szwach.

Na pół godziny przed planowanym wyjazdem do kościoła Cynthia, matka Vivienne, dwoiła się i troiła, aby ponownie dopasować sukienki z morelowego atłasu. W tym czasie Vivienne nerwowo przechadzała się po sypialni, bliska płaczu, paląc jednego papierosa za drugim. Nie był to stanowczo miły początek dnia ślubu!

- Nie przejmuj się, wszystko będzie dobrze! - uspokajała ją Delila.

Niewiele to dało, gdyż Vivienne, nerwowo przebierając palcami po swoim diademie, powtarzała uparcie:

- Wszystko będzie na nic, tyle roboty na marne! Trzy razy dawałam poszerzać te sukienki, poszło tyle materiału, że wystarczyłoby na spadochron! Wiedziałam, że te gówniary do niczego się nie nadają, ale ten głupi Harold uparł się jak osioł!

Rozpaczliwie próbując powstrzymać łzy, ściągnęła z głowy diadem i cisnęła go na łóżko z okrzykiem: - Chromołę!

Delila bezradnie wzniosła oczy ku niebu. Wiedziała, że Vivienne miała w tej chwili jeden ze swych napadów. Gorzej, że w ostatnich kilku dniach miewała takie napady średnio co godzinę i Delila musiała się temu przyglądać.

Od czasu pamiętnego panieńskiego wieczoru przeniosła się do Vivienne. Kiedy ochroniarze wyrzucili ją, wraz z Ginny i Penny, z klubu Sekret, wróciła szybko do mieszkania Charliego i czekała na jego powrót. Jednak Charlie się nie pojawił. Nie zrobiło to już na niej najmniejszego wrażenia. Podjęła bowiem decyzję i nazajutrz przebrała się z powrotem w koszulkę i wypłowiałe dżinsy, po raz trzeci w tym roku spakowała swój skromny dobytek i stanęła w progu mieszkania Vivienne. Oczekiwała, że będzie mogła wypłakać się na jej ramieniu, tymczasem to ona musiała służyć swoim ramieniem przyjaciółce.

Następne dni upływały na gorączkowych przygotowaniach, podczas których Vivienne zachowywała się, jakby cierpiała na zespół napięcia przedmiesiączkowego. Delila nie miała sposobności porozmawiać z nią na temat Sama lub Charliego, w ogóle nie miała kiedy z nią rozmawiać. Jeśli nie zajmowała się akurat parzeniem ziołowych herbatek dla ekscentrycznych krewnych Vivienne, którzy przynosili jej oryginalne prezenty nabyte na przecenie w sklepach ze starzyzną, to zaprzęgano ją do pomocy przy dekoracji kościoła, kompletowaniu strojów druhien i przekonywaniu harfistki Mirandy, żeby zgodziła się zagrać na wejście utwór „Co u ciebie, koteczku?”.

Nie miała nawet nic przeciwko temu, gdyż zyskiwała na czasie, aby to i owo przemyśleć. Między innymi doszła do wniosku, że postąpiła jak hipokrytka. Wprawdzie Charlie w tajemnicy przed nią odwiedzał przybytek tańca erotycznego, ale to ona go zdradziła. Kiedy trochę ochłonęła z pierwszej emocji - zrozumiała, że użyła incydentu w klubie jako pretekstu, aby ostatecznie odejść od Charliego. Zdecydowała się z nim zerwać nie dlatego, że przyłapała go z majteczkami w zębach. Po prostu uświadomiła sobie, że go nie kocha. Zresztą, najpierw go opuściła, a dopiero potem zdecydowała się na zerwanie. Oczywiście, dawno już wiedziała, że w ich związku nie układa się jak należy, ale wolała chować głowę w piasek i udawać, że pewne sprawy nie istnieją, aby unikać bezpośredniej konfrontacji. Nic dziwnego, trudno przecież się przyznać przed samą sobą, że wybór partnera i stylu życia okazał się błędny. Jeszcze trudniej się z tym pogodzić, ale kiedy w końcu się zdecydowała - poczuła ulgę.

Straciła wprawdzie Charliego, ale za to odnalazła poczucie własnej tożsamości, czyli tego, kim była, co naprawdę chciała, a czego nie chciała. Marzenia o Charliem i życiu, jakie prowadził, okazały się tylko marzeniami, niczym więcej. Kiedy się w końcu obudziła - uświadomiła sobie, że to, czego szukała, miała przez cały czas w zasięgu ręki. Wyszło na jaw, że nie pragnęła wcale mieszkania w luksusowej garsonierze, ubierania się w najlepszych firmach i jadała w wykwintnych restauracjach. Nie chodziło jej też o pieniądze ani o złapanie najatrakcyjniejszego kawalera w mieście. Miała to wszystko i z radością z tego zrezygnowała. Nic bowiem z tych rzeczy nie zapełniło pustki w jej życiu, a raczej ją pogłębiło. Mama miała rację, gdy mówiła, że najtrudniejsze jest to, by wybrać, czego się naprawdę chce. Ona właśnie wybrała.

Wyjęła z kieszeni kurtki zmiętą ulotkę, rozłożyła ją i z zapartym tchem wykręciła numer Wyższej Szkoły Biznesu w Westminsterze. Linia była długo zajęta, więc raz po razie ponawiała połączenie, aż wreszcie się dodzwoniła. Osobę, która odebrała telefon, poprosiła o wysłanie formularza zgłoszenia.

- Na jaki kierunek? - spytał zaaferowany kobiecy głos.

- Dekoracja wnętrz - odpowiedziała Delila po krótkiej przerwie, której potrzebowała, aby uspokoić nerwy. Gdy słowa padły z jej ust, poczuła ulgę. Ośmieliła się na tyle, że powtórzyła jeszcze raz, głosem spokojnym i pewnym: - Chodzi mi o studia na kierunku dekoracji wnętrz.

Dama prychnęła niecierpliwie, znużona wielokrotnym odpowiadaniem na to samo pytanie.

- Oj, chyba już za późno pani się zgłasza - wyraziła ubolewanie. - Zajęcia zaczynają się za niecałe sześć tygodni, a my jeszcze mamy masę podań do rozpatrzenia. Czy nie lepiej byłoby, żeby pani poczekała do przyszłego roku?

- Ale ja chciałabym studiować już teraz! - Delila nie dała się łatwo spławić. Nie po to się zdecydowała, aby teraz rezygnować.

- Tak, tylko może już nie być wolnych miejsc. Nie dała jej skończyć.

- Wyśle mi pani ten druczek czy nie?

- Cóż, jeśli pani aż tak zależy... Ale, jak mówię, nie wydaje mi się, aby to miało sens...

Urzędniczka nie miała jednak szansy dopowiedzieć myśli do końca, bo Delila szybko przeliterowała swoje nazwisko i adres. Wylewnie podziękowała za pomoc i odłożyła słuchawkę. Dopiero potem przeszła do kuchni, przebrała się w miękkie, barankowe bambosze, wsypała do kubka trzy czubate łyżeczki kawy rozpuszczalnej i nastawiła czajnik. Czekwała, aż woda się zagotuje i wyglądała przez kuchenne okno, którego ramy malowano tyle razy, że skleiły się na amen. Niby co to ma znaczyć, że może nie być wolnych miejsc? Czy jedna osoba więcej lub mniej zrobi różnicę? Posunęła się już tak daleko, że nie mogła się wycofać.

Para buchała już z dzióbka czajnika, więc Delila nie miała cierpliwości czekać, aż się sam wyłączy. Podniosła syczący czajnik i zalała granulki w kubku. Odkąd odeszła od Charliego, mogła nareszcie zapomnieć o cappuccino i wrócić do swojej ulubionej Nescafe. Z satysfakcją pociągnęła duży łyk gorącego płynu, chociaż parzył ją w język. Wdychała mocny zapach, czując, że dopiero teraz na prawdę się rozbudziła. Kawa smakowała jak nigdy,

- Rolls-royce już zajechał! - zaalarmowała otoczenie Cynthia, aż słyhać ją było na korytarzu. - Słowo daję, cudownie wygląda! Tylko spójrzcie na tę atlasową wstążkę!

Rzuciła się do wyjścia, powiewając szerokoskrzydłym kapeluszem, który bezbłędnie wskazywał na nią jako na matkę panny młodej. Z okrzykiem „Juhuuu!” zamachała kapeluszem na kierowcę, który doczyszczal jeszcze figurkę kobiecą na masce modelu Silver Shadow. - Będziemy na miejscu w mgnieniu oka!

W sypialni Vivienne zdusiła papierosa i przyglądała drżącymi dłońmi krynolinę z jedwabiu koloru kości słoniowej.

- No to ruszamy. Wyglądam na pannę młodą?

Delila jeszcze nigdy nie widziała Vivienne tak zdenerwowanej, więc uśmiechnęła się, aby podnieść ją na duchu.

- Ależ oczywiście, wyglądasz pięknie! - Powiedziała to zupełnie szczerze. Panny młode zawsze są piękne. - Czy masz przy sobie coś starego, coś nowego, coś niebieskiego i coś pożyczonego?

Wiedziała, że dziewczęta wychodzące za mąż przykładają zwykle wagę do takich szczegółów i pieczołowicie dobierają na przykład niebieskie podwiązki, stare koronki, pożyczoną chusteczkę do nosa i podobne drobiazgi.

- Wszystko to bzdurne przesady! - ucięła Vivienne, poprawiając welon.

- No, wiesz! Żadna szanująca się panna młoda nie stanie przed ołtarzem bez tych rzeczy! - mitygowała ją żartobliwie Delila. - O, masz, mogę ci pożyczyć zegarek.

Odpięła skórzany pasek starego timexa, którego dostała jeszcze od matki na gwiazdkę.

- A co masz nowego?

Vivienne zastanowiła się, marszcząc czoło.

- Mam nową bieliznę, model La Perla. I do tego niebieską, wiesz gdzie?

Uśmiechnęła się łobuzersko. Cała ta zabawa zaczęła wyraźnie się jej podobać.

- Świetnie. Zostało nam jeszcze coś starego...

Obie zamilkły w skupieniu, a po chwili popatrzyły na siebie i równocześnie wykrzyknęły:

- Harold!

Wybuchnęły śmiechem.

- Musisz mieć zdjęcie, jak opuszczasz dom - gorączkowała się Cynthia, wybiegając przed drużny i uważając, żeby się nie potknąć na schodach. - Pomyśl, kiedy tu wrócisz, nie będziesz już starą panną! - Promieniała w swojej liliowej garsonce.

- Ależ, mam! Vivienne się skrzywiła, lawirując między doniczkami pelargonii, podczas gdy Penny i Ginny, w morelowych sukienkach i dobranych do nich stroikach, próbowały przytrzymać tren jej sukni ciągnący się po podłodze. - Nie jestem żadną starą panną, tylko samodzielną, atrakcyjną i dobrze sytuowaną kobietą po trzydziestce.

- Jak zwał, tak zwał - trajkotała Cynthia, manipulując obiektywem aparatu. - Za moich czasów takie kobiety nazywano starymi pannami.

- Jakie znów kobiety? - Vivienne podniosła głos.

- Proszę o uśmiech!

Trzasnęła lampa błyskowa i panna młoda wraz z drużnymi została uwieczniona dla potomności. Takie zdjęcia zwykle przechowuje się w rodzinnych albumach, dopóki nie pożółkną. Demonstruje się je dzieciom i wnukom, które potem śmieją się z zabawnych strojów i min. To zdjęcie będzie bardzo wymowne. Oto Hillary, Hermione i Harriet ledwo mieszczą się w opiętych sukienkach, mrużąc oczy w słońcu. Penny i Ginny, rozpromienione, w dumnych postawach, ściskają bukietki. Natomiast Vivienne, stojąc pośrodku i trzymając ręce na biodrach, patrzy ze skrzywioną miną prosto w obiektyw.

Rolls-royce w kolorze wina zajechał pod kościół, kiedy goście jeszcze się schodzili.

- Może przejedziemy się jeszcze po mieście, proszę pani? - zaproponował kierowca, który kiedyś jeździł taksówką. Obecnie na emeryturze, próbował nadać swemu głosowi dystyngowane brzmienie.

- Myślę, że tak - zdecydowała Vivienne, siadając razem z Delilą na tylnym siedzeniu. Jechały tylko we dwie. Ojciec Vivienne zmarł, kiedy była nastolatką. Cioteczny dziadek George zaoferował się, że w zastępstwie ojca odda ją w ręce pana młodego, ale Vivienne uprzejmie odmówiła. Uważała te tradycje za seksistowski przeżytek. Według niej „oddawać” można jakieś stare łachy, a nie trzydziestoletnią kobietę. Początkowo planowała jechać do kościoła z matką, a do środka wejść samej, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie i zaprosiła Delilę do rolls-royce'a, matce każąc jechać w bentleyu razem z drużnymi.

- Dobrze się czujesz? - spytała Delila, opadając na miękkie, skórzane siedzenie.

- Jestem trochę zdenerwowana - przyznała się Vivienne, bębniąc palcami po wykończeniach tapicerki.

Delila uśmiechnęła się do niej pokrzepiająco.

- Nie martw się, to tylko trema. Każda dziewczyna przed ślubem ma tremę! - „Ale nie taką jak ty” - pomyślała, obserwując rozbiegane palce Vivienne”.

- Pewnie tak. - Vivienne przełknęła ślinę, ale nie wyglądała na przekonaną.

Delila wyjrzała przez okno i spostrzegła, że słońce się schowało i zaczął padać drobny deszczyk. Kierowca skręcił na światłach w prawo i skierował się już do kościoła. Wchodzili tam jeszcze ostatni goście. Kiedy rolls-royce podjechał bliżej, ze zdziwieniem dostrzegła wśród nich Sama w żakiecie, obejmującego w talii opaloną blondynkę około trzydziestki. Któż to, do jasnej cholery, mógł być? Poczowała lekkie ukłucie zazdrości.

- Jesteśmy na miejscu, szanowna pani. - Kierowca wyłączył silnik i wyszedł z wozu. Ręką w białej rękawiczce otworzył drzwi. Pierwsza wyszła Delila, mając głowę całkowicie zaprzątniętą Samem i jego towarzyszką. Zagapiła się więc i nastąpiła na obrębek swojej krojonej ze skosu sukni. Oczywiście obrębek się naderwał. Zakłęła pod nosem - tego jej akurat brakowało! Schyliła się, żeby jakoś wyrównać strzępiący się materiał. Czekwała, aż Vivienne wysiądzie z wozu, ale się nie doczekała.

Zajrzała do wnętrza samochodu. Vivienne siedziała oparta o przeciwległe drzwi, cała spowita w atłas i welon.

- Co ci jest, pomóc ci? - Delila nachyliła się do niej.

- Ja tam nie wejść - oświadczyła Vivienne, z twarzą w kolorze sukni.

- Słucham?

- Nie wejść do kościoła. Zmieniłam zdanie.

Delila poczuła, że serce wali jej jak młotem, ale starała się opanować.

- Ależ, Vivienne, wszyscy już są... Druhny, goście, Harold...

- O właśnie! - podchwyciła Vivienne. - Dlatego nie chcę tam wejść. Nie mogę wyjść za Harolda.

Na jej twarzy wystąpiły plamy, a po nienagannie umalowanym policzku stoczyła się wielka łza.

Delila uznała, że jeśli Vivienne naprawdę płacze - sprawa musi być poważna.

- Czy jesteś tego pewna?

- Absolutnie. - Vivienne starła welonem rozmazany tusz.

- Chyba nie jest to odpowiedni moment, aby pytać dlaczego?

Vivienne potrząsnęła głową, jej dolna warga drżała. Zaczęła też pociągać nosem.

- No, chyba wiem, o co chodzi - powiedziała rzeczowo Delila. Nie było sensu płakać nad rozlanym mlekiem, a tym bardziej nad porzuconym narzeczonym. Z wymuszonym uśmiechem pogładziła Vivienne po rękę. - Dobra, świat się na tym nie kończy.

- Wiem. - Vivienne przełknęła ślinę. - Ale ktoś będzie musiał powiedzieć o tym Haroldowi.

Delila zmartwiała. Ktoś to znaczy kto? Nikogo nie było w pobliżu, przecież wszyscy czekali teraz w kościele.

- Chyba nie masz na myśli... - zaczęła, ale nie skończyła, bo Vivienne pociągając nosem, patrzyła na nią jednoznacznie. Chyba jednak miała na myśli, że tym kimś ma być właśnie Delila.

38

- Co ona powiedziała? - wrzasnął Harold, purpurowiejąc na twarzy.

Delila zrobiła krótką przerwę i odchrząknęła, a potem nachyliła się do Harolda i wyrecytowała scenicznym szeptem prosto w jego aparat słuchowy:

- Powiedziała, że zmieniła zdanie!

Starła się przy tym nie patrzeć ani na niego, ani na gości zebranych w kościele, którzy już przestali plotkować między sobą i podejrzliwie się jej przyglądali.

- Zaraz szlag mnie trafi! - ryknął, aż zatrzęsły się jego obwisłe podbródki. - Dobra sobie, zmieniła zdanie! Jak ona może zmieniać zdanie, kiedy zaraz bierzemy ślub? Popatrz tylko!

Zamaszystym gestem ramienia wskazał w kierunku ławek. Dwie siedzące najbliżej osoby tak się przestraszyły, aż podskoczyły na swoich miejscach. Zaraz zaczęły szeptać ze swoimi najbliższymi sąsiadami, ci powtórzyli sensację następnym i tak dalej, aż w końcu morze barwnych kapeluszy gości falowało jak ocean podczas sztormu.

Delila westchnęła, bo oznaczało to, że Harold nie zrozumiał, o co chodzi.

- Ale Ona nie chce brać z panem ślubu! - Podniosła głos na tyle, aby przekrzyknąć marsz Mendelssohna. Organista ze swej strony też nie żałował pedałów, chcąc zagłuszyć wzbierający coraz potężniej szmer rozmów.

Harold wybałuszył na nią swe wodnistoszare oczy.

- A czy ty przynajmniej wiesz, ile mnie kosztowały te wszystkie przygotowania?

Delila puściła tę uwagę mimo uszu, bo obserwowała, jak Cynthia, przepaszając wszystkich po drodze, przepycha się ku nim, wyraźnie zażenowana.

- No jak, masz chociaż blade pojęcie? - naciskał Harold.

Cała sympatia, jaką odczuwała wobec Harolda, gdzieś się ulotniła, gdy ten stary dziadyga ujawnił, że naprawdę zależy mu tylko na pieniądzu!

- Nie mam i nie chcę mieć, bo to nie jest w tej chwili ważne - odwarknęła.

- Owszem jest, moja panno, i to bardzo! - fuknął gniewnie Harold, oburzony taką bezczelnością. Ruszył ku niej wymachując pięścią, ale przeszkodziła mu Cynthia, która, zdyszana, wynurzyła się z za jego wyfraczonych pleców.

- Co tu się dzieje? Gdzie jest Vivienne? - Miotła się niespokojnie jak ptak w klatce.

- Czekaj w samochodzie, bo nie chce przechodzić przez to wszystko - wyjaśniła Delila, chociaż czuła się już zmęczona tłumaczeniami.

- A więc siedzi na zewnątrz i czeka, tak? - gorączkował się Harold. - Dobrze, posłuchamy, co panienka ma na swoje usprawiedliwienie!

Zanim Delila i Cynthia zdołały go zatrzymać, rozepchnął na boki wystraszone druhny, nacisnął cylinder głęboko na łysinę i z rozdętymi nozdrzami pomaszerował prosto w stronę rolls-royce'a.

Vivienne siedziała w samochodzie, czekając na powrót Delili. Zaciągała się głęboko wyproszonym od kierowcy papierosem, jakby chciała wprowadzić do organizmu jak najwięcej nikotyny, równocześnie nerwowo skubiąc płatki kwiatów ze swojego bukietu. W którymś momencie, kątem oka, dostrzegła Harolda, sunącego ku niej z nabiegłą krwią twarzą i powiewającymi połami fraka. „O kurczę!” - mruknęła pod nosem, szykując się do starcia.

- Wsiadaj! - ryknął Harold, czym przestraszył kobietę z wózkiem, która aż się cofnęła, widząc zwariowanego starszego pana we fraku i cylindrze.

Vivienne siedziała sztywno i modliła się, aby nareszcie sobie poszedł. Wiedziała, że na tym etapie rozmowa i tak nic nie da.

- Wyłaż, mówię ci! - Akcentował słowa, tupiąc w krawężnik i wywołując poruszenie wśród staruszków czekających na autobus.

- Haroldzie, proszę, nie denerwuj się! - syknęła Vivienne, uchylając nieco drzwi wozu. Nie chciała robić widowiska dla grupki przechodniów, którzy ciekawie obserwowali, co się dzieje. - Przecież wiesz, że to ci szkodzi na serce...

Harold chciał skorzystać z okazji i pospiesznie wsadził rękę przez szparę w drzwiczkach. Jednak Vivienne była szybsza i zamknęła drzwi, przytrzymując mu palce.

Delila, wybiegając z kościoła, usłyszała zdławiony krzyk bólu. Cynthia musiała też to słyszeć, bo biegła za nią, przytrzymując kapelusz i histerycznie zawodząc:

- O Boże, mój Boże...

Harold stał przy krawężniku zgięty wpół, zaciskając palce prawej ręki, z których kapłała strużka krwi.

- Chryste, co się stało? - zatroskała się Cynthia, nie zważając na córkę w samochodzie.

- Chyba będę musiał pojechać do szpitala - wykrztusił drżącym głosem.

Delila podbiegła do Vivienne.

- Dobrze się czujesz? - wyszeptała do niej przez szybę.

Vivienne przytaknęła i opuściła okno.

- Rany boskie, czyżbym połamała mu palce? - W jej głosie nie słychać było śladu skruchy. - Naprawdę nie chciałam, ale nie miałam innego wyjścia, bo on zachowywał się jak dzikus!

Wzniosła błagalnie oczy ku niebu, w czym miała duże doświadczenie. Zawsze wychodziła w ten sposób z kłopotliwych sytuacji. Delila zdobyła się na wymuszony uśmiech.

- Myślę, że nic mu nie będzie, ale tak czy siak, musimy go zawieźć na izbę przyjęć.

- Jak to, musimy? - Vivienne zbladła.

- No, przecież nie możemy go tak zostawić. - Powiedziała to z poczucia obowiązku, co nie znaczy, że nie chciała tak postąpić.

Vivienne spojrzała spod oka na Harolda, przy którym uwijała się Cynthia.

- Dobra, jeśli już musimy... - rzuciła niechętnie. - Tylko nie każcie mi go przepraszać! - Prychnęła z pogardą, odwracając się plecami obleczonymi w kremowy jedwab naszywany perełkami.

Delila z westchnieniem podeszła do Cynthii i pomogła jej usadowić groteskowo wyglądającego Harolda na przednim siedzeniu. Uleciała już z niego cała buta i opadł na fotel obok kierowcy zgięty w pół, jęcząc i przyciskając do piersi zranioną rękę, którą Cynthia obwiązała liliową wstążką od swego kapelusza. Delila ostrożnie zamknęła za nim drzwi i wcisnęła się na tylne siedzenie między Vivienne a jej matkę. Żadna z nich się nie odzywała.

- Proszę do szpitala Najświętszej Marii Panny w Paddington - zadysponowała Delila. Wyglądając przez okno, zauważyła pomiędzy wycofującymi się gośćmi fotografa i wielebnego McTaggarta, który wyglądał na zdezorientowanego. Zaklęła pod nosem i wcisnęła się głębiej w siedzenie, bo w całym tym zamieszaniu zapomniała poinformować pastora, co się wydarzyło.

W izbie przyjęć szpitala Najświętszej Marii Panny panował duży ruch, bo przy sobocie często na ostry dyżur trafiali mężowie, którzy o mało nie poobcinali sobie rąk lub nóg przy naprawach domowych albo ulegli porażeniu prądem przy koszeniu trawnika. Rzadko natomiast zdarzali się tam podstarzali żonkosie z połamanymi palcami.

- Proszę bardzo, państwo... - Wywołująca ich pielęgniarka nie mogła się oprzeć zdziwieniu na widok Vivienne w kompletnym stroju panny młodej, z bukietem róż włącznie.

- Pan Gosborne i panna Pendlebury - pomogła jej Vivienne.

- Ach, tak, oczywiście. - Pielęgniarka zerknęła w swoje notatki. - Proszę do gabinetu numer pięć.

Ruszyła przodem, pomagając Cynthii podtrzymywać Harolda. Delila i Vivienne szły za nimi. W gabinecie siostra posadziła Harolda na wózku i szybko zaciągnęła niebieską zasłonę. W pomieszczeniu od razu zrobiło się ciasno.

- I cóż to się panu przytrafiło? - spytała pielęgniarka prosto w aparat słuchowy Harolda. Uśmiechała się przy tym dobrodusznie, jak zwykle w stosunku do starszych osób.

- Moja córka przytrzasnęła mu palce drzwiami samochodu - odpowiedziała za niego Cynthia, poklepując go życzliwie po kolanie, a spoglądając spode łba na Vivienne, która stała sztywno pod aparatem do mierzenia ciśnienia.

- Tak, widzę - odpowiedziała siostra, choć wcale nie spojrzała w tamtą stronę, a tylko zaznaczyła coś w notatniku.

Delila usiłowała tam zajrzeć. Pewnie zanotowała coś w rodzaju „to jacyś wariaci”.

- Zaraz, to nie ja przytrzasnęłam mu palce, tylko on sam je tam wsadził! - zaprotestowała Vivienne.

- Słucham? - Pielęgniarka podniosła oczy znad notatek.

- Chciał wyciągnąć mnie z samochodu i siłą zaciągnąć do kościoła, więc działałam w obronie własnej.

- No, Vivienne, bądź grzeczną dziewczynką i powiedz prawdę! - ofuknęła ją Cynthia, która od początku poczuła słabość do Harolda i stawała po jego stronie, jakby nie umiał bronić się sam. Dopiero w ostatniej chwili zauważyła, że zainteresowany tymczasem zasnął i chrapał w najlepsze.

- Ja mówię prawdę, mamo! - syknęła Vivienne z naciskiem.

Delila odebrała to jako sygnał, że należy się wycofać.

- Pójdę poszukać kawy - szepnęła i wysunęła się dyskretnie z pokoju.

W końcu korytarza znalazła automat z napojami. Wrzuciła do otworu dwie monety po dwadzieścia pensów i nacisnęła przycisk z napisem „Mocna, czarna kawa”. W takich męczących dniach jak ten potrzebowała swojej porcji kofeiny. Opierając się o ścianę, obserwowała, jak brązowa ciecz najpierw ciurka, a potem kapie do beżowego plastikowego kubka. Kiedy kubek się nappełnił, podniosła go do ust. Kawa była gorzka i wodnista, ale piła ją ze smakiem. Nie zwracała uwagi na musztardowy kolor lamperii - typowy element wystroju publicznych szpitali w Anglii. Na korytarzu czuć było zapach środków dezynfekujących i posiłków rozwożonych wózkami po salach chorych. Przypomniało jej to własną wizytę na izbie przyjęć szpitala w Bradfordzie, kiedy poznała Charliego i na jego widok aż ścisnęło ją w dołku. Wyglądał wtedy tak wspaniale, a ona tak żałośnie, z rozmazanym tuszem i twarzą całą w plamach... Miała wrażenie, że wydarzyło się to bardzo dawno temu.

Dalsze rozpamiętywanie przerwał jej ożywiony, lecz rzeczowy głos pielęgniarki, dobiegający z gabinetu naprzeciwno.

- No więc, młody człowieku, prześwietlenie wykazało dwa złamane żebra i powikłane, spiralne złamanie kości piszczelowej i strzałkowej. A to oznacza, że przez najbliższe dwa miesiące nie będzie pan mógł nigdzie się szwendać.

W odpowiedzi usłyszała żalony jęk pacjenta. Współczuła mu, bo pamiętała, jak sama w dzieciństwie złamała nogę i jak długo potem musiała kuśtykać o kulach.

- No, niech pan nie narzeka, po takim wypadku powinien pan się cieszyć, że w ogóle żyje! - uspokajała go pielęgniarka.

- Wiem, wiem - jęknął pacjent, a Delila nadstawiła uszu, bo jego głos wydał jej się dziwnie podobny do głosu Charliego. No nie, co za głupota - widocznie po tym ciężkim dniu słuch zaczął jej płać figle! Zaczęła jednak znów nasłuchiwać, bo pielęgniarka coś jeszcze mówiła do chorego:

- Dobrze, sprawdzimy teraz pana personalia, zanim zawieziemy pana na oddział. Jak mam zapisać: Charles Mendes czy Charlie?

- Charlie.

Delila o mało nie zakrztusiła się kawą. To nie mogła być przypadkowa zbieżność nazwisk, przecież w zachodniej dzielnicy Londynu nie mieszkało chyba dwóch Charlie Mendesów! Pospiesznie wyrzuciła kubek do kosza na śmieci i z drżeniem uchyliła zasłonę.

- Przepraszam, ale tu nie wolno wchodzić! - Pielęgniarka rzuciła jej niechętne spojrzenie znad dwuogniskowych okularów.

- Delila? - wydyszał zaskoczony Charlie, próbując z wysiłkiem usiąść.

Spod rozpiętej marynarki widać było szerokie, elastyczne bandaże podtrzymujące połamane żebra.

- To państwo się znacie? - wyjąkała pielęgniarka, podwyższając zagłówek łóżka.

- Tak, ona jest... to znaczy była... moją dziewczyną - poprawił się w porę.

Posiniaczony i odurzony środkami przeciwbólowymi, zdobył się na blady uśmiech.

- W takim razie zostawię państwa na chwilę samych, żebyście sobie pogadali. - Skinęła im głową, przyglądała fartuch i znikła za kotarą.

Delila spoglądała na Charliego z niedowierzaniem. A więc kółko się zamknęło.

- Co się stało, na litość boską?

- Rozbiłem wóz.

- Kiedy?

- Dziś rano wracałem z imprezy i straciłem panowanie nad kierownicą. Rąbnąłem prosto w witrynę apteki. Całe szczęście, że nie było nikogo na chodniku. - Uśmiechnął się nieśmiało, aby zasłużyć na jej współczucie.

Delila jednak nie mogła się na to zdobyć, bo opowieść Charliego przywołała wspomnienie o jej matce. Ona nie miała takiego szczęścia, bo właśnie była na chodniku, kiedy pijany kierowca ciężarówki stracił panowanie nad kierownicą.

- Przedawkowałeś, co? - zagadnęła.

- Tak - wyszeptał ledwo dosłyszalnym głosem, przymykając oczy.

- Och, Charlie... - westchnęła.

- Wiem, wiem... Proszę cię, Delilo, nie gniewaj się na mnie. Po tym wszystkim, co zaszło, nie zniósłbym tego... - Próbował wyciągnąć do niej rękę, ale ból mu nie pozwolił. Ramię opadło bezwładnie na cienki, zetlały koc z wyszytymi znakami „Szpital NMP”. Ten koc na oko musiał sobie liczyć około pięćdziesięciu lat i Charlie w tej chwili też na tyle wyglądał.

- Chciałem do ciebie zadzwonić, ale nie wiedziałem, gdzie cię szukać. - Wpatrzył się w nią bładoniebieskimi, teraz nabiegłymi krwią i błędnymi od morfiny oczyma. - Dlaczego odeszłaś?

Pochyliła się nad jego łóżkiem, obracając niepewnie w palcach guzik z masy perłowej na rękawie kostiumu.

- Dobrze wiesz dlaczego.

- Przez ten głupi klub tańca erotycznego?

- Nie...

- To dlaczego? Przez Nickii? - Czekał na jakąś reakcję z jej strony, ale się nie doczekał, więc mówił dalej: - Między nami nie było nic poważnego, najwyżej jakieś wygłupy, flirt... Przecież mnie znasz.

Przytaknęła, bo rzeczywiście go znała. Problem w tym, że on nie znał jej.

- O co ci poszło? Czy to jakiś inny mężczyzna? - Zgadywał w ciemno, bo nawet przez chwilę nie myślał, że naprawdę był ktoś taki.

- Nie rozumiem, o czym mówisz - odwarknęła, choć jej żołądek wykonał obłądne salto.

Charlie zauważył jej nerwowe ruchy, ale nie wierzył, że utrafił w sedno. A może?

- Kto to jest?

- Przecież mówię, że nikogo takiego nie ma! Właściwie po co się wypierała? Przecież Charlie nie wiedział, że przespała się wtedy z Samem, a nawet gdyby wiedział, też by się tym nie przejął. Zresztą, wcale nie dlatego od niego odeszła.

Tymczasem Charlie popatrzył na nią uważniej, bo jej nienaturalne podniecenie zdradzało to, czego się tak uparcie wypierała. Dobrze odgadł, że w życiu Delili pojawił się inny mężczyzna. Tylko kto to mógł być? Nie znała nikogo poza tym obleśnym makaroniarzem Vince'em i tym głupim Samem. Czyżby to był on? Niemożliwe! Chociaż... Przypomniawszy sobie incydent w restauracji, kiedy tak zażarcie broniła tego nędznego kelnera, że aż wybiegła za nim na deszcz. Wszystko trzymało się kupy.

- To Sam, prawda?

- Ależ skąd! - Co za głupi pomysł! Czują jednak, że płoną jej policzki.

- Kochasz go? - Charlie potrząsał głową z niedowierzaniem. Czy ona, u licha, przedkłada kelnera nad niego?

- Oczywiście, że nie! - zaprzeczyła żarliwie, ale ta żarliwość była tak przesadna, że aż raziła. Kogo chciała przekonać, Charliego czy samą siebie? - Słuchaj, żaden facet nie ma tu nic do rzeczy. To sprawa między tobą a mną. Po prostu nie pasujemy do siebie.

Co za ironia losu! Użyła przeciw niemu jego własnej broni. Zwykle wytaczał ten argument jako ostateczny, kiedy sam chciał zakończyć związek. Tylko że teraz role się odwróciły. Patrząc na Delilę i jej falujące włosy opadające na policzki, czuł się boleśnie urażony w swojej męskiej dumie. To dukało mu bardziej niż połamane kości.

- Ale było nam dobrze ze sobą, prawda?

- Owszem, przez jakiś czas... - Nerwowo skubała nitki w strzępiącej się dziurce od guzika. - Tylko że prędko przestało mnie to bawić.

- Nie rozumiem, co cię przestało bawić?

- No, ci twoi znajomi, przyjęcia, bywanie w restauracjach... Na początku mi to imponowało, a potem zaczęło nudzić. Udawałam, że to mnie kręci, próbowałam nawet ubierać się i czesać tak samo jak reszta... - Uśmiechnęła się na wspomnienie zdjęcia zrobionego przez jednego z paparazzich. - W końcu jednak poczułam się osamotniona i zmęczona udawaniem kogoś, kim nie jestem.

- A niby kim ty jesteś?

Z westchnieniem wstała i podeszła do okna, za którym po ruchliwej ulicy przemykały taksówki i krążowniki szos.

- Jestem prostą dziewczyną z Bradfordu, nie córką gwiazdora rocka, jak Pollen czy Petal. Nie mam funduszu powierniczego, jak Nickii, nie chcę być modelką ani aktorką. Nie umiem nawet śpiewać. Mam tylko akcent jorkszyrski i mojego kochanego pieska, lubię kawę rozpuszczalną i stare płyty Toma Jonesa...

Chuchnęła na szybę i na zaparowanym szkle zaczęła z dziecinnym przejęciem kaligrafować literę „D”.

Głowa Charliego opadła na poduszkę. Oczy mu się przymykały, bo zaczynały już działać środki uspokajające. Wszeptał tylko słabym głosem:

- Co ma oznaczać to „D”?

Po chwili wahania odpowiedziała, najpierw cicho, potem z coraz większą determinacją:

- „D” to skrót od Delila, bo jestem po prostu sobą.

Zasłona rozsunała się i do gabinetu weszła młoda, ładna pielęgniarka z nerkowatą miseczką w rękę. Uśmiechnęła się życzliwie do Delili, ale kiedy spojrzała na Charliego, wyraźnie się zaczerwieniła. Cały dyżur upłynął jej na udzielaniu pomocy ofiarom wypadków domowych, więc spodziewała się zobaczyć kolejnego przykładowego ojca rodziny w średnim wieku, a nie przystojnego kawalera ledwo po trzydziestce.

- No, panie Mendes, niech pan przeprosi na chwilę swojego gościa - oświadczyła, z pewnym zażenowaniem wskazując na miseczkę. - Musimy pobrać od pana mocz do analizy.

- Tutaj? - Charlie nawet w szpitalnej koszuli i naszpikowany środkami przeciwbólowymi wyglądał seksownie. Obdarzył więc pielęgniarkę uśmiechem godnym agenta 007.

- Obawiam się, że tak, panie Mendes. Tu będzie najłatwiej, bo przed operacją nie może pan poruszać nogą. - Zanim odchyliła kołdrę, z lekkim skrepowaniem zwróciła się do Delili: - Wybacz pani...

- Oczywiście, i tak miałam już iść. - Rzuciła jeszcze okiem na Charliego. Ten nie tracił czasu, już zaczynał podrywać pielęgniarki! Pod pewnymi względami ludzie się nie zmieniają. - Gdybyś czegoś potrzebował, będę u Vivienne.

Nachyliła się nad nim i delikatnie pocałowała go w czoło.

- Uważaj na siebie.

- Nie martw się, jestem pewien, że siostra Murphy zajmie się mną jak należy! - Mrugnął uwodzicielsko.

Delila nie wątpiła ani przez chwilę, że Charlie szybko znajdzie cudowny lek na zranione serce.

Zasuwając za sobą zasłonę, nie od razu odeszła od drzwi gabinetu. W obecności Charliego starała się zachować spokój, ale w środku cała się trzęsła. Jak on mógł posądzać ją, że kocha Sama? Przecież to śmieszne, byli tylko przyjaciółmi. Chociaż, gdyby tak było, nie odczuwałyby zazdrości, kiedy zobaczyła go z inną kobietą. A dlaczego wciąż nie mogła przestać myśleć o jego pocałunku tamtej nocy?

W którymś momencie musiała oprzeć się o ścianę, bo nogi się pod nią ugięły. Czuła się teraz jak bohaterka starego czarno-białego filmu, która leżała przywiązana do toru kolejowego i widziała nieuchronnie zbliżający się parowóz. Ona była tak samo bezradna, bo nie mogła się oprzeć uczuciu do

Sama, które okazało się silniejsze, niż myślała. Nie było sensu się tego wypierać. Jedyne, co mogła zrobić, to zaakceptować fakt, że kocha Sama.

Odchodząc, słyszała jeszcze głos Charliego:

- Siostrze Murphy, jak siostrze na imię?

- Maria.

- Tak jak w Biblii?

Delila nie mogła powstrzymać uśmiechu. I jak tu wierzyć takiemu Charliemu?

40

Delila i Vivienne pozostawiła Harolda w szpitalu pod czułą opieką Cynthii, która poprawiała mu poduszki i podawała lekarstwa. Kierowca rolls-royce'a odwiózł dziewczęta do domu, ale nie była to przyjemna jazda. Z samochodów zerkały na nie ciekawie czule parki. Zwłaszcza dziewczęta spoglądały rozmarzonym wzrokiem na udekorowany wóz z panną młodą w środku. Kierowca autobusu numer 9 pokazał im uniesiony na szczęście kciuk, a grupka kibiców drużyny Chelsea, spieszących na mecz, przestała na chwilę ryczeć sprośne przyśpiewki szalikowców i chórem zanuciła marsz Mendelssohna. Delila skuliła się na siedzeniu i odwróciła głowę w inną stronę, a Vivienne zrzuciła welon i pokazała im język. Dzień, który miał stać się najlepszym w jej życiu, okazał się najgorszym.

Po długotrwałym przebijaniu się przez ruchliwe ulice rolls zjechał nareszcie z Kensington na Notting Hill, a tam już prosto w uliczkę, przy której mieszkała Vivienne. Delila z daleka dostrzegła potężnie zbudowanego mężczyznę, którego rower stał oparty o ich bramę.

- Oj, zdaje się, że masz gościa! - rzuciła spojrzenie na Vivienne, która gniewnie prychnęła:

- Kto to, do jasnej cholery, może być? Jeśli to wujek George, to powiesz mu, że dziś nikogo nie przyjmuję! - Ostentacyjnie odwróciła się w przeciwną stronę, jak rozpieszczone dziecko tyranizujące otoczenie.

- Ale on wygląda na pastora - zauważyła Delila, pochylając się do przodu.

Vivienne aż podskoczyła.

- O rany, to Giles! - pisnęła, błyskawicznie naciągając welon.

Jednym ruchem otworzyła drzwiczki, podwinęła suknię do kolan i wyskoczyła z wozu, zanim jeszcze całkiem wyhamował. Ruszyła biegiem w stronę Gilesa, który w nerwowym pośpiechu poprawiał wytarte, sztruksowe spodnie spięte klamerkami w kostkach. Znacznie górował nad nią wzrostem, bo jego barczysta figura rzucała cień nawet na rolls-royce'a. Zamienił z Vivienne kilka słów, których Delila z tej odległości nie słyszała. Potem uściśnął jej rękę dla dodania otuchy i posłusznie podreptał za nią do domu.

Delila została jeszcze chwilę przy samochodzie, aby podziękować kierowcy. Nie bardzo rozumiała, co się dzieje, ale przypuszczała, że pastor, niejako z obowiązku, przyszedł udzielić Vivienne pociechy religijnej.

Otwierała właśnie drzwi swoim kluczem, kiedy Giles otworzył je zniecierpliwionym i gwałtownie ją odtrącił.

- Och, przepraszam najmocniej! - wymamrotał w pośpiechu, z jeszcze silniejszym szkockim akcentem niż zwykle. Przyglądając dłonią niesforny kosmyk włosów, wsiadł na rower i ostro ruszył z miejsca, rozganiając dzwonkiem przechodniów.

Mrużąc oczy od słońca Delila ani w ząb nie rozumiała, co się tu, u licha, dzieje. Zamknęła drzwi za sobą i przez słabo oświetlony korytarz dotarła do salonu. Zastała tam Vivienne leżącą na kanapie i zanoszącą się głośnym płaczem. Podeszła do niej szybko i przykucnęła.

- Co ci jest? Co się znowu stało? Vivienne załkała i wytarła nos w welon.

- Nie mogę ci powiedzieć, bo to straszne.

Delila podała jej chusteczkę, którą znalazła na blacie najwyższego z trzech stolików, kompletu, który był prezentem ślubnym od Cynthii.

- Chyba to nic tak strasznego, byś nie mogła mi powiedzieć. Jesteśmy przecież przyjaciółkami!

Vivienne energicznie wytarła nos i skinęła głową potakująco.

- No więc, o co chodzi?

- Pytałaś, dlaczego nie chcę wyjść za Harolda - zaczęła, ciągle jeszcze pociągając nosem. - Widzisz, to trochę przez to, co mi powiedziałaś.

Delila złapała się za głowę. Chryste, co też mogła chlapać za głupstwo?

- No, to, co mi mówiłaś o miłości, czy kocham Harolda i tak dalej... Powiedziałam ci wtedy, że nie wiem, jak to jest być zakochaną... - Znow przerwała, by wydmuchać nos. - I widzisz, doszłam do wniosku, że miałaś rację. Nie kocham Harolda, więc nie powinnam za niego wychodzić.

- Czyli dobrze zrobiłaś, że nie chciałaś się w to pakować. - Delila współczująco pokiwała głową.

- Ale to jeszcze nie wszystko. - W oczach Vivienne znow wezbrały łzy zmieszane z tuszem do rzęs. - Zrozumiałam, że nie pokocham Harolda, bo kocham innego.

Delila na chwilę straciła równowagę i musiała się podeprzeć ręką o podłogę. Vivienne spojrzała jej w oczy i drżącymi ustami wyznała:

- Kocham Gilesa!

Nastąpiła chwila ciszy, podczas której Delila usiłowała przetrwać kolejną sensację dzisiejszego dnia. Ciekawe, czego jeszcze się dowie? Na wszelki wypadek podniosła się z podłogi i przysiadła obok Vivienne na kanapie.

- Zakochałaś się w pastora? - powtórzyła.

Vivienne ze smutkiem przytaknęła.

- Kiedy?

- Kiedy dawaliśmy na zapowiedzi - wyznała, popatrując na Delilę przez przybrudzoną koronkę welonu. - Próbowałam sobie wmówić, że to nie ma żadnego znaczenia, że mogę poślubić Harolda bez miłości. W końcu jak może mi brakować czegoś, czego nigdy nie zaznałam? Widzisz, nigdy nikogo nie kochałam, chociaż zmieniałam partnerów jak rękawiczki. Pewnie przez cały czas szukałam tego właściwego... Nie powiem, robiliśmy sobie dobrze, raz bywało cudownie, raz trochę gorzej, ale to wszystko była tylko zabawa. Dopiero kiedy zobaczyłam, jaka jesteś zadurzona w Charliem, jak się rumienisz i jaki masz błysk w oku, kiedy o nim mówisz... Pozazdrościłam ci. Chciałam czuć to samo co ty, ale słusznie mówią, że nie wszystko da się kupić za pieniądze. Gdyby tak można było, zaraz zapłaciłabym kartą kredytową... - Uśmiechnęła się smutno. - Kiedy z tego nic nie wyszło, uroiłam sobie, że muszę wyjść za mąż, żeby żyć długo i szczęśliwie, jak w bajce. Próbowałam wzbudzić w sobie miłość do Harolda, ale sama wiesz, że do tego nie można się zmusić, tak samo jak nie możesz zaplanować, w kim chcesz się zakochać. Powinnam była wiedzieć o tym już wtedy, kiedy zaczęłam się rumienić i czuć to samo, co mi opisywałaś. Tylko że czułam to tylko wtedy, kiedy był przy mnie Giles. A więc po raz pierwszy w życiu zakochałam się w duchownym!

Ściągnęła z palca pierścioneł zaręczynowy i ze złością cisnęła go w palenisko kominka. Ponuro zabrzmiał dźwięk, jaki wydawał, zataczając niekończące się koła po marmurowych płytkach.

- A jaki pastor zechciałby mieć coś wspólnego z nimfomanką po trzydziestce, w dodatku niewierzącą? Przecież taki Giles w życiu się we mnie nie zakocha. A jeśli on mnie nie zechce, to i ja nie chcę nikogo innego, choćbym miała się zestarzeć w samotności! - Już na całego puściła wodze wyobraźni. - Powiedz, Delilo, co mam zrobić?

Delila wzięła już głęboki oddech, ale pomyślała w tym momencie o własnej sytuacji, więc tylko mruknęła:

- A co ja mam zrobić? - Zabrzmiało to tak, jakby świadomie powtórzyła jej słowa.

Dopiero to spowodowało, że Vivienne przestała użalać się nad sobą.

- Boże, ależ ze mnie egoistka! - zreflektowała się. - W tym całym bałaganie ani przez chwilę nie pomyślałam o tobie, tylko o sobie.

Usiadła prosto, zdjęła welon i obciągnęła obfitą spódnicę.

- Musisz teraz opowiedzieć mi o wszystkim, co się z tobą działo!

Delila od dawna czekała na to „zielone światło”. Zadowolona, że wreszcie będzie mogła wyrzucić z siebie to, co leżało jej na sercu, zasypała Vivienne potokiem słów. Ta zaś, ponieważ uwielbiała pikantne ploteczki i sensacje towarzyskie, poczuła się nawet lekko urażona, że tyle ciekawych rzeczy działo się za jej plecami.

- No więc, po tej okropnej kłótni w Górze Lodowej chciałam zobaczyć się z Samem w jego kawiarni, ale pomieszczenie było zabite deskami. Nie mam pojęcia, co tam się stało... - Dochodząc do punktu kulminacyjnego, Delila zrobiła przerwę dla złapania oddechu i rozpaczliwym wzrokiem sygnalizowała Vivienne, że oczekuje od niej odpowiedzi. Tym razem ją otrzymała!

Vivienne założyła sobie za uszy blond loki i oblizwała wargi, aby spotęgować napięcie. Ujawniły się przy tym jej niewyżyte ambicje aktorskie.

- Sam musiał zamknąć kawiarnię Prima Donna, bo nie przedłużono mu umowy dzierżawnej - oznajmiła.

Delila nic z tego nie zrozumiała, bo przecież w Brighton Sam chwalił się jej swoimi planami przeróbki kawiarni na restaurację. Jak to się miało do tego, co teraz usłyszała?

- Dlaczego? - spytała.

Vivienne nie od razu udzieliła jej odpowiedzi, jakby chcąc dowieść, że niechętnie przekazuje złe wiadomości.

- Charlie wymówił mu lokal.

- A co Charlie ma z tym wspólnego?

- Miał, bo był właścicielem lokalu. Zawsze mieli ze sobą na pieńku, bo Charlie ciągle podwyższał Samowi czynsz i traktował jego kawiarnię jak bezpłatną stołówkę dla swoich przyjaciół. Pewnie dlatego Sam tak się wściekł, kiedy dowiedział się, że chcesz z nim zamieszkać. Podejrzewam, że i Charlie nie był zachwycony twoją przyjaźnią z Samem, bo bał się konkurencji.

- Niemożliwe! - Delila nie mogła uwierzyć. - Przecież pytałam o to Charliego i zaprzeczył.

- A co, miał ci się przyznać? - Vivienne zapaliła nieco mocniejszego marlboro i zaciągnęła się tak głęboko, że wypaliła go do połowy. Dopiero wtedy, zadowolona z wydolności swoich płuc, wypuściła gęsty obłok dymu i rozsiadła się wygodnie.

Delila próbowała przetrwać otrzymaną informację. Czuła się tak, jakby po tygodniach błądzenia w mroku ktoś oświetlił jej drogę stuwatową żarówką. Dopiero teraz wszystko zaczęło się trzymać kupy. Sam od początku przestrzegał ją przed Charliem, ale ona nie chciała go słuchać. Przeciwnie, w swojej naiwności powtórzyła Charliemu wszystko, co o nim usłyszała. Pewnie dlatego Charlie nie przedłużył mu dzierżawy. Wyjaśniało to także awanturę w restauracji i podejrzenia Sama, że ona wiedziała o wszystkim. Pewnie obwiniał ją o utratę kawiarni i miał rację, bo gdyby nie ona - prowadziłby ją do dziś.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi tego wcześniej? - oburzyła się, taksując Vivienne oskarżycielskim wzrokiem.

- A uwierzyłybyś, gdybym ci powiedziała?

- Pewnie nie - wymamrotała ponuro Delila. Była przecież tak pewna swego, że nie przyjęłyby prawdy do wiadomości. Że też musiała czasem być tak głupio uparta!

- Może powinnaś do niego zadzwonić? - Vivienne uznała, że teraz ona powinna udzielić komuś dobrej rady.

- Po co? Mam go przeprosić, że zrujnowałam mu życie?

- Nie pleć głupstw, przecież nie miałaś z tym nic wspólnego - rzuciła Vivienne, kierując się w stronę korytarza. - Szybko, dzwoni do niego. Obiecuję, że nie będę podsłuchiwać.

Ostentacyjnie zatkała uszy palcami i zaczęła nucić melodię marsza weselnego. Delila jednak nie dała się tak łatwo nabrać. Wiedziała, że przyjaciółka nie odklei ucha od drzwi, dopóki ona będzie trzymała słuchawkę.

- Dobra, ale żebyś nie strzygła uszami! - zgodziła się w końcu.

- Słowo honoru, że nie będę! - mruknęła Vivienne z łobuzerskim uśmiechem.

Żałowała tylko, że sama nie może być tak szczęśliwa.

41

Delila wybrała numer Sama, choć w żołądku ją ścisnęło, a dłonie zwilgotniały. Słuchawkę trzymała tak mocno, aż pobieleły jej knykcie. Czekając na uzyskanie połączenia, starała się kontrolować oddech, aby Sam nie pomyślał, że dzwoni do niego jakiś zboczeniec dyszący w słuchawkę. Dla odprężenia zaczęła przerzucać plik zdjęć wsunięty w książkę telefoniczną. Przedstawiały przeważnie Vivienne w bikini ze srebrnych sznureczków, upozowaną w różnych ujęciach na plaży. Z daty w rogach zdjęć wynikało, że musiały zostać zrobione w czasie ostatniego pobytu Vivienne w Hiszpanii.

Tymczasem na drugim końcu linii włączyła się automatyczna sekretarka. Nagrany na niej głos brzmiał uprzejmie i przyjaźnie, inaczej niż tamtego wieczoru, na ulicy przed restauracją. „Cześć, z tej strony Sam. Przepraszam, że chwilowo nie mogę odebrać telefonu, ale proszę zostawić wiadomość po długim sygnale, to oddzwonię”. Potem rozległo się kilka taktów utworu Beethovena *Dla Elizy*, a po nich nastąpił przenikliwy, długi sygnał. Delila otworzyła wprawdzie usta, ale nie mogła dobyć z siebie dźwięku. Przełknęła ślinę, ale zanim wyrazy ułożyły się w zdanie - odezwał się następny długi sygnał i automat się wyłączył.

Ze złością wpatrywała się w mikrofon, nie mogąc sobie darować, że nie zostawiła wiadomości. Chociaż właściwie dlaczego miała ją zostawić? Pewnie włączył się gdzieś z tą blondyną, którą tak czule obejmował w kościele! Odkładając z trzaskiem słuchawkę, jeszcze raz rzuciła okiem na zdjęcia, które wciąż trzymała w ręku. Do jednego z nich Vivienne pozowała na motorówce w towarzystwie innej kobiety i przystojnego kapitana w lustrzanych okularach przeciwsłonecznych i obcisłych białych slipkach. Zaraz, zaraz... Ta druga kobieta przypominała blondynkę, z którą widziała

Sama w kościele. Przyjrzała się jej dokładniej - tak, to na pewno ona!

- Vivienne! - Z hukiem otworzyła drzwi i wpadła do salonu, wymachując zdjęciem.

Przestraszona Vivienne gwałtownie odskoczyła od drzwi.

- No, co tam? - spytała z udaną obojętnością, mimo że została właśnie przyłapaną na podsłuchiowaniu. - Widzę, że rozmowa nie była przyjemna.

Delila nawet jej nie słuchała, tylko bez ceremonii podstawiała jej fotkę pod nos.

- Co to za babsko, do jasnej cholery?

- To? - Vivienne przymrużyła oczy, by lepiej widzieć. - To moja przyjaciółka Jackie, u której mieszkałam w Hiszpanii.

- To co ona robiła z Samem w kościele?

- To on przyszedł na mój ślub? - ucieszyła się Vivienne. - Jakie to miłe z jego strony!

- No wiesz! - oburzyła się Delila. - To wcale nie jest miłe, tylko podłe.

Podstawiała zdjęcie pod światło, analizując krytycznym okiem wygląd rywalki. Vivienne dopiero teraz załapała, o co jej chodzi.

- Idiotka ze mnie, rzeczywiście powinnam ci była to wyjaśnić... To dlatego tak się wnerwiłaś, ale naprawdę nie masz powodu! - Rozpromieniła się, wiedząc, że ma do przekazania dobrą wiadomość. - Jackie jest macochą Sama.

- Kim jest?

- No, macochą, to znaczy drugą żoną jego ojca. Delila nie mogła w to uwierzyć.

- Jak to, przecież Sam nienawidzi swojej macochy!

- Już nie. Wygląda na to, że się pogodzili, ale to długa historia.

Vivienne przysunęła sobie taboret z poduszką zrobioną z tego samego materiału, co jej atłasowa suknia ślubna za dwanaście tysięcy funtów, teraz równie wymęczona jak jej właścicielka. Wytrząsnęła z paczki marlboro ostatniego papierosa i zapaliła go, wypuszczając obłok szarego dymu.

- Z macochą Sama przyjaźnimy się od dawna - zaczęła. - W latach osiemdziesiątych chodziłyśmy razem na pensję dla panienek w Szwajcarii, gdzie uczyłyśmy się haftować serwetki i sporządzać wonne saszetki z płatków kwiatów. - Wywróciła oczami z udanym patosem. - Po powrocie do Londynu Jackie dostała dobrą posadę sekretarki radcy prawnego na Chauncery Lane, a ja pozowałam na Madonnę, piłam i puszczałam się, z kim popadło. Jackie uchodziła zawsze za rozsądniejszą z nas dwóch, więc tym bardziej zaskoczyła mnie swoim romanssem z facetem dwa razy starszym od niej. Richard był właśnie ojcem Sama.

Przerwała, aby strząsnąć popiół do filiżanki po herbacie. Delila przysiadła na drugim taborecie naprzeciw niej i ponaglała:

- I co dalej?

Vivienne zmarszczyła czoło, bo nie lubiła, kiedy ktoś ją poganiał w trakcie snucia kolejnej opowieści.

- Oczywiście wtedy jeszcze prawie nie znałam Sama, który był takim samym pryszczatym i długowłosym nastolatkiem jak inni... - Widząc zdziwioną minę Delili, dodała: - Tak, wtedy jeszcze miał długie, gęste włosy. Nosił wielką, natapirowaną i wylakierowaną fryzurę w stylu New Romantic, pewnie od tego mu powyłaziły. - Uśmiechnęła się na samo wspomnienie o tym. - Wybierał się wtedy na studia, więc często odwiedzał ojca, który koniecznie chciał, żeby przejął po nim firmę. Trzeba trafu, że przypadkiem wpadłam na niego w windzie, kiedy akurat jechałam do Jackie. Od słowa do słowa zaprzyjaźniliśmy się, ale nic więcej, słowo daję. Najwyżej od czasu do czasu wypijaliśmy razem drinka, kiedy potrzebowałam jakiejś odmiany po tych wszystkich zgrzybiałych rozpusztnikach, którymi się otaczałam...

W tym momencie przypomniała sobie Roniego - dawnego perkusistę znanej w latach sześćdziesiątych kapeli, który zabierał ją na rejsy statkiem wycieczkowym i tam uprawiał z nią seks pod stołami.

- ...Mniej więcej wtedy Jackie zeszła się z ojcem Sama i postanowili razem dać dyla. Oczywiście Sam był tym przybity, czemu trudno się dziwić. Ja zresztą też, bo Jackie nawet się ze mną nie pożegnała i do tej pory nie oddała mi torebki od Hermesa Kelly, którą jej pożyczyłam... Nawiasem mówiąc, teraz rzeczywiście będę musiała się o nią upomnieć...

- A co wtedy działo się z tobą i z Samem? - Delila natarczywie dopominała się o dalszy ciąg.

- Straciliśmy kontakt. On poszedł na studia... czy też do tej swojej szkoły gastronomicznej? W każdym razie nie widzieliśmy się jakieś dwa lata, dopóki nie spotkałam go przypadkiem w kawiarni. Od tamtej pory zostaliśmy przyjaciółmi, ale nigdy nie wspominałam przy nim o jego ojcu ani o Jackie, chociaż utrzymywałam z nimi kontakt. Sam po prostu nie chciał więcej o nich słyszeć. Sytuacja zmieniła się dopiero teraz, kiedy byłam u Jackie w Hiszpanii. Powiedziała mi, że jest w czwartym miesiącu ciąży, bo bardzo chciała mieć dziecko z Richardem. Z tej okazji jego ojciec chciał nareszcie przerwać dziesięcioletni konflikt między nimi i doprowadzić do zgody. Ja się oczywiście nie chciałam wtrącać... - Vivienne zrobiła dramatyczną pauzę dla efektu. - Podsunęłam jednak Jackie myśl, że dobrym pretekstem mógłby być mój ślub. Jackie przyjechała więc, aby załagodzić sytuację i, jak widać, z dobrym wynikiem.

Wyraźnie zadowolona z siebie, zdusiła papierosa i spojrzała na Delilę, aby ocenić jej reakcję.

- Widzę, że wcale się nie cieszysz?

- Ależ cieszę się, oczywiście! Tylko, widzisz, mam już po uszy tego wszystkiego, co się porobiło. A Sam na pewno nienawidzi mnie do szpiku kości.

- Ty głupia, on cię kocha!

- Powiedział ci to? - Delili serce zabiło mocniej.

- No, może nie wprost... - poprawiła się Vivienne po namyśle. - Dawno już z nim nie rozmawiałam, przez te wszystkie przygotowania do ślubu...

- Ano właśnie - westchnęła smutno Delila, obgryzając starannie wypielęgnowany paznokieć. Wszystkie jej nadzieje związane z Samem diabli wzięli.

Atmosfera w pokoju stawała się wyraźnie minorowa, bo zarówno niedoszła panna młoda, jak i jej najlepsza przyjaciółka pograżyły się w smutnych rozpamiętywaniach. Obie ubrane jak na wesele - miny miały, jakby wracały z pogrzebu. Vivienne wzdychała ciężko i zgarbiona nad stołem, popatrywała z ukosa na Delilę, która w napadzie chandry zdierała z pomalowanych paznokci warstwy lakieru. Czuła się częściowo odpowiedzialna za zły humor Delili, bo gdyby nie trzymała buzi na kłódkę akurat wtedy, kiedy nie powinna, wszystko mogłoby się potoczyć inaczej.

Zebrała w garść obfitą spódnicę i podbiegła do lustra. Nie była zachwycona tym, co zobaczyła, bo jej odbicie przypominało rysunki kredą na chodniku, mniej lub bardziej zmyte przez deszcz. Tak też się czuła - splukana i wypełzła. W trzydziestym piątym roku życia jeszcze samotna, prawdziwa stara panna. Tfu, co za paskudne słowo! Brzmiało, jakby miała już żylaki, włoski na brodzie i krótki wzrok, a czas spędzała na robieniu przetworów domowych. Czy tak miała wyglądać jej przyszłość? Ma zostać zgorzkniałą, opuszczoną kobietą, za którą nikt się nie obejrzy, bo mężczyźni uganiają się za płodnymi dwudziestolatkami?

Poczuła, jak na rzęsie uformowała się łza, która spadła na policzek, a następnie potoczyła się aż na podbródek. Na znak protestu wytarła ją obrębką sukni, zostawiając na atłasie naszywanym perłami smugi czerwonej szminki. „Weź się w garść, dziewczyno!” - przykazała samej sobie. To tylko cały ten idiotyczny ślub wprowadził ją w taki sentymentalny nastrój. Nie jest przecież żadną starą panną, tylko atrakcyjną, niezależną kobietą w kwiecie wieku. Komu to przeszkadza, jeśli nie wyjdzie za mąż? Co za różnica, czy jest przed trzydziestką, czy po? Potrzebowała koniecznie czegoś, co podniosłoby ją na duchu, pozwoliło poczuć się szczęśliwie i beztrosko...

Równocześnie Delila ciężko westchnęła, jakby czytała w jej myślach. Już chciała zrobić to samo, gdy nagle doznała olśnienia. Klasnęła więc w dłonie i zrobiła piruet na palcach.

- Mam! - wykrzyknęła.

Delila rzuciła jej znużone spojrzenie. Jak na jeden dzień, miała już dość niespodzianek, jakie szykowawała Vivienne.

- Miesiąc miodowy! - Vivienne wypięła dumnie pierś, jakby chciała wyskoczyć ze stanika.

- Jak to, przecież Harold leży w szpitalu!

- Przecież wiem o tym, głuptasie! - parsknęła gniewnie Vivienne. - Chyba nie myślisz, że chciałabym pojechać gdziekolwiek z nim? Możemy przecież zrobić sobie wspaniałe wakacje we dwie, ty i ja. Tydzień na Bali! Pomyśl tylko, czy to nie jest cudowna kuracja na złamane serca? Co ty na to?

Czarne chmury nad głową Delili zdawały się rzednąć i spomiędzy nich przebił się promień słońca. A więc wszystko w życiu miało swoją jasną stronę! Zawahała się, ale tylko na chwilę, zanim nie wykrzyknęła ze śmiechem:

- Pewnie, że tak!

42

Jeszcze tego samego wieczoru Vivienne i Delila pozostawiły Fatsa w pensjonacie dla psów i zdążyły na zarezerwowany jeszcze przez Harolda lot pierwszej klasy. Czekał na nie pokój w pięciogwiazdkowym hotelu Aman Puri wśród tarasowato wznoszących się pól ryżowych na wyspie Bali. U wejścia przywitał je kierownik hotelu, który czekał na nie z butelką szampana i girlandami kwiatów lotosu. Rozpływając się w uprzejmościach, zaprowadził je do specjalnego apartamentu dla nowożeńców, aby potem w recepcji plotkować razem z resztą personelu na temat tej dziwnej pary.

Delila i Vivienne nie dbały o to, co miejscowi o nich myślą. Spędziły siedem upojnych dni, kochając nerwy porozwieszanymi wszędzie dzwoneczkami i świecami zapachowymi, delektując się potrawkami w mleczku kokosowym i kupując sobie barwne sarongi oraz bransolety plecione z kolorowego sznurka. Takie drobiazgi wspaniale harmonizowały z opalenizną, ale i później, po powrocie do brytyjskiego klimatu, ubarwiały zimową bladość cery i ciepłe okrycia. Przyjaciółki usiłowały sprowadzić świat do właściwych wymiarów przez pryzmat różnokolorowych napojów ozdobionych fantazyjnie przyciętymi plasterkami ananasa i wmawiały sobie nawzajem, że do szczęścia nie potrzeba im mężczyzn ani w ogóle nic poza papierosami ze strefy bezcłowej dla Vivienne.

Jednak po cichu starały się jak najdalej odsunąć od siebie myśl o powrocie do Londynu. Vivienne czekała konfrontacja z niezapłaconym zespołem muzycznym i dwustupięćdziesięcioma niezadowolonymi gośćmi weselnymi, którzy domagali się zwrotu prezentów. Delila zaś miała się wkrótce dowiedzieć, czy jej podanie o przyjęcie na studia zostało rozpatrzone pozytywnie, czy też nie. A jeśli nie, to co wtedy? Czekać do przyszłego roku i próbować jeszcze raz? I co miałyby robić przez cały rok? Na samą myśl o podjęciu pracy kelnerki robiło jej się słabo, ale niewykluczone, że będzie musiała. Im bardziej więc zbliżał się koniec wakacji - tym więcej mnożyło się pytań bez odpowiedzi, które spędzały jej sen z powiek.

Od tamtej pory minęły dwa miesiące. Przed dwoma miesiącami Delila wróciła do domu Vivienne i zastała na wycieraczce dwa listy. Pierwszy potwierdzał jej najgorsze przypuszczenia - była to odmowna odpowiedź na jej podanie o przyjęcie na studia. Długo nie mogła się pozbierać, któryś raz z rzędu czytając grzecznościowe formułki w nagłówku: „Z przykrością zawiadamiamy...”, „Z powodu braku miejsc...”, „Dziękujemy za zainteresowanie naszym wydziałem...” i „Zapraszamy w następnym roku akademickim...”. Wpatrywała się w urzędowe pismo przez blisko godzinę, zachodząc w głowę, co teraz pocznie ze sobą, zanim nie przypomniała sobie o drugiej kopercie. Była gruba, brązowa, formatu A4 i zaadresowana ręcznie, charakterem pisma, który skądś znała, lecz nie mogła zlokalizować. Na stemplu pocztowym odczytała Monte Carlo, co ją jeszcze bardziej zaintrygowało, bo któż mógł

stamtąd do niej napisać? Zanim rozcięła kopertę, nigdy w życiu by się nie domyśliła, że w środku może znajdować się oficjalny dokument z ręcznym dopiskiem na odwrocie: „Żebyś źle o mnie nie myślała!”. Była to umowa dzierżawy kawiarni Prima Donna. Charlie przekazywał ją jako dar pożegnalny dla niej.

Osiem tygodni minęło, odkąd Delila, wiedzona wewnętrznym instynktem, zaraz po otrzymaniu umowy dzierżawnej wspięła się po drabinie i gołymi rękami zerwała tablicę „Do wynajęcia” nad drzwi kawiarni. Poświęciła pięćdziesiąt sześć dni, aby ucieleśnić wszystkie swoje dawne marzenia i koncepcje w postaci zupełnie nowego wnętrza, zharmonizowanego pod względem kolorów, oświetlenia i faktury. Z zapartym tchem śledziła prace ekipy remontowej wcielającej w życie jej zamierzenia, wyburzającej ścianki działowe, aby zastąpić je nowymi i wymieniającej instalacje na całkiem inne. Powoli wizja zaczynała nabierać realnych kształtów, szczególnie odkąd do akcji włączył się wujek Stan, który przybył z Benidormu natychmiast po telefonie od Delili.

Znów, jak za dawnych, dobrych czasów, pracowała razem z nim, tylko teraz już nie przypatrywała się biernie jego robocie, ale wydawała polecenia, decydowała o doborze farb, wypróbowywała różne faktury i rozkoszowała się każdą minutą z 1344 godzin, które upłynęły od chwili podjęcia przez nią decyzji o przekształceniu kawiarni w restaurację. Z jej brakiem doświadczenia i pieniędzy musiałyby bardzo ciężko pracować i bardzo szybko się uczyć, gdyby Vivienne nie poratowała jej sporym zastrzykiem gotówki ze swojego funduszu powierniczego. W zamian za to została dopuszczona do spółki, co było dla niej wręcz wymarzoną zajęciem, gdyż najlepiej w swoim życiu umiała... spółkować!

Vivienne też się poszczęściło. Nie zmieniając przyzwyczajęń ani stylu życia, mogła dzielić łóżko z mężczyzną, z którym łączył ją nie tylko pociąg fizyczny, lecz prawdziwa miłość. Zakochała się bowiem po uszy w Gilesie, który z miłości dla niej gotów był nawet narazić się na potępienie ze strony swej wspólnoty parafialnej. Przez dwa dni czekał na nią na Heathrow, aż wróci z Bali, a ledwo jej sandały dotknęły płyty lotniska - od razu porwał ją do urzędu stanu cywilnego, gdzie oficjalnie ogłoszono ich państwem McTaggart, choć Vivienne zdecydowała się używać nazwiska Pendlebury-McTaggart. Grunt, że była w siódmym niebie, bo równocześnie zakochała się i wyszła za męża, co przytrafiło się jej po raz pierwszy w życiu. Ze swoimi poprzednimi partnerami lubiła bawić się w przebieranki, w których występowali zarówno pastorzy, jak swobodnie prowadzące się panienki - teraz miała to na co dzień.

Tylko dwa tygodnie pozostały Delili do otwarcia restauracji, która miała nosić nazwę U Toma na pamiątkę ulubionego piosenkarza jej matki. Zatrudniła już personel z wyjątkiem szefa kuchni, które to miejsce zarezerwowała dla Sama. Tyle tylko, że Sam przepadł jak kamień w wodę - od czasu ślubu Vivienne nikt go nie widział ani o nim nie słyszał. Delila po otrzymaniu listu od Charliego próbowała się do niego dodzwonić, ale bezskutecznie. Początkowo odzywała się automatyczna sekretarka, potem

już tylko długi sygnał. W końcu Delila zdecydowała się odwiedzić go osobiście, wychodząc z założenia, że nawet jeśli pokaże jej drzwi, będzie to lepsze niż uporczywe milczenie. Jednak na dzwonek u drzwi nikt nie zareagował, a kiedy zajrzała przez szparę do wrzucania poczty, spostrzegła na wycieracze stos nierozpieczętowanych listów.

Trudno było pogodzić się z myślą, że wszystko skończyło się, zanim się jeszcze zaczęło, ale tak wyglądała naga prawda. Sprzed drzwi wejściowych do jego domu Delila obserwowała ruch uliczny - nastolatków przypalających papierosy pod kioskiem i udających twardzieli, wlokącą się chodnikiem kobietę w ciąży - i uświadomiła sobie, że życie toczy się dalej. Nie stoi w miejscu, a kto za nim nie nadaża, ten wiele traci. Tak jak ona straciła Sama, bo nie zdobyła się na to, by z nim porozmawiać, powiedzieć mu, co czuje. Było już na to za późno, bo odszedł.

W ciągu mijających tygodni próbowała robić swoje i nie myśleć o Samie, ale nie potrafiła. Szczególnie trudne chwile przeżywała wieczorami, kiedy zostawała sama w restauracji, aby dokonać ostatnich poprawek w wystroju wnętrza. Nastawiała sobie wtedy płyty Toma Jonesa na starym gramofonie, który podłączył jej jeden z elektryków. Po raz pierwszy w życiu czuła satysfakcję ze swych osiągnięć. Już przed otwarciem restauracji odwiedził ją reporter z „Daily Mail” i napisał entuzjastyczny artykuł, w którym nie szczędził pochwał pod adresem „nowego, świetnie zapowiadającego się talentu w dziedzinie dekoracji wnętrz”. Delila wycięła z gazety ten artykuł i powiesiła na ścianie tuż obok fotografii mamy.

Do tego sukcesu dołączyła następna miła niespodzianka. Dwa dni później zadzwoniono do niej z sekretariatu Westminsterskiej Wyższej Szkoły Biznesu. Pracownica dziekanatu powiadomiła ją, że zdecydowano się powtórnie rozpatrzyć jej podanie. Artykuły w prasie o niej i jej talencie dekoratorskim spowodowały, że w drodze wyjątku przydzielono jej dodatkowe miejsce na kierunku Projektowania Wnętrz - jeśli, oczywiście, nadal chce studiować. Czy chciała? Pragnęła całym sercem! Zanim jeszcze odłożyła słuchawkę, już podskakiwała z radości pod sufit. Oto spełniło się marzenie jej życia!

Telefon się urywał, tyle osób dzwoniło do niej z gratulacjami. Nie zadzwonił tylko Sam, a właśnie na ten telefon najbardziej czekała. Przecież to on przez cały czas w nią wierzył i sprawił, że i ona uwierzyła w siebie. Dzięki niemu nabrała odwagi do złożenia podania na studia, z myślą o nim dokonała zmiany wystroju kawiarni. Natomiast przeprofilowanie jej na restaurację było pomysłem Sama, ona go tylko wcieliła w życie. Teraz to on powinien układać jadłospisy, obmyślać nowe dania i komponować ich skład. Ona zrobiła już swoje i mogła rozpocząć studia, aby zyskać kwalifikacje potrzebne do realizacji życiowych planów. Pora, aby Sam przystąpił do realizacji swoich.

- Pośpieszcie się, pochód już się zaczyna!

W dniu sierpniowego „święta bankowego” na Notting Hill odbywał się tradycyjny letni karnawał. Delila obserwowała go z płaskiego dachu restauracji U Toma. Przyjemnie było, popijając drinki, przyglądać się z bezpiecznego miejsca podpitym, rozkrzyczanym tłumom.

- Chodźcie, chodźcie! - poganiała Vivienne i Gilesa, którzy woleli w sierpniowym słońcu wylegiwać się na leżakach i chichocząc, nacierać się nawzajem emulsją do opalania, jak to zwykle nowożeńcy.

- Dobra, dobra - mruknęła Vivienne, odsuwając się od Gilesa i wstając z leżaka. Mieszkała na Notting Hill od piętnastu lat, toteż karnawał już jej nie imponował. Przeciwnie, należała raczej do tych mieszkańców dzielnicy, którzy, gdy tylko rozpoczęto ustawianie metalowych barier - ładowali do samochodów, co mieli cenniejszego, i znikali z domów, dopóki służby porządkowe nie uprzątnęły ostatniej pustej butelki. Dopiero w tym roku Delila namówiła ją do pozostania. Sama nigdy nie przeżywała takiego święta, a tęskniła za widokiem barwnie udekorowanych platform, estrad z kapelami i tłumów tańczących na ulicach.

- No, jak karnawał to karnawał! - zakrzyknęła więc Vivienne, wdychając z zamkniętymi oczami aromat pieczonych kolb kukurydzy, potrawy z jagnięcia i kurczaka z rożna. Kiedy jednak otworzyła oczy - zobaczyła dwóch czerwonych na gębach policjantów obejmujących ramionami kobietę z Jamajki w kostiumie naszytym cekinami i stroiku z piór na głowie. Z przyklejonymi do warg uśmiechami pozowali ulicznemu fotografowi do zdjęcia pod sztampowym tytułem: „Miejscowi stróże porządku w karnawałowym nastroju”.

- Będą mieli co wspominać - zauważyła. - Opowiadałam ci kiedyś, że raz tańczyłam na takiej platformie całkiem nago, tylko pomalowana srebrną farbą?

- Nie. - Delila się uśmiechnęła, zerkając na Gilesa, który na leżaku podrygiwał w rytmie salsy, potrząsając rękami, jakby trzymał w nich marakasy.

- Miałam wtedy osiemnaście lat i przechodziłam właśnie etap buntu przeciw wszystkiemu. Zdążyłam dojechać do Ladbroke Grove, bo tam moja mama wypatrzyła mnie z okna mieszkania swojej koleżanki i zadzwoniła na policję. Zwinęli mnie wtedy za obrazę moralności publicznej!

Vivienne była ciągle obrażona na swoją matkę, która podczas pobytu Harolda w szpitalu zdążyła się z nim na tyle zaprzyjaźnić, że wprowadziła się do jego domu na wsi. Oficjalnie Vivienne rozgłaszała, że to nieprzyzwoite, aby matka podrywała byłego kochanka córki, ale po cichu przyznawała Delili, że tych dwoje dobrze do siebie pasują.

- Słyszycie, co oni tam grają? - Giles zerwał się z leżaka i zaczął kręcić biodrami, wymachując rękami w takt muzyki. Nastrój karnawału tak podziałał na niego, że zdecydował się zamienić swój odwieczny sweter i koloratkę na odblaskowy gwizdek i farbowaną w nieregularne kręgi koszulkę. - Czy to nie jest ta piosenka, którą obie tak lubicie?

- Jaka piosenka? - rzuciła niecierpliwie Vivienne.

Uwielbiała Gilesa, ale czasem denerwował ją, kiedy kluczył, zamiast mówić wprost, o co chodzi.

- No, tego Toma Jakiegośtam...

Delila i Vivienne nadstawiły uszu i starały się wyłapać coś konkretnego z ogólnej kakofonii. Istotnie, z daleka dobiegały dźwięki piosenki Toma Jonesa „Delila”, prawdopodobnie granej na którejś z platform.

- Czy ty słyszysz to, co ja słyszę? - spytała Delila Vivienne, czując wzbierającą radość.

- Niech ja skonam, oni grają „Delila” specjalnie dla ciebie! - wykrzyknęła Vivienne.

Wszyscy troje popatrzyli po sobie, śmiejąc się głupkowato, kiedy pod nimi przepłynęła pierwsza platforma załadowana głośnikami wysokości człowieka, emitującymi muzykę reggae z mocą stu osiemdziesięciu decybeli. Ale Delila i tak słyszała tylko brzmiące coraz głośniejsze i wyraźniejsze takty jej ukochanej piosenki.

I wtedy zobaczyła to, czego się wcale nie spodziewała. Zbliżała się właśnie ciężarówka całkowicie pokryta setkami złocistych i srebrzystych baloników napełnionych helem. Jechała na niej orkiestra dęta wygrywająca swoistą aranżację „Delila”, a wokół niej podrygiwali tancerze w strojach karaibskich, w kostiumach bikini i w stroikach ze strusich piór, klaszcząc do taktu i śpiewając chórem.

Przez kilka pierwszych sekund Delila nie mogła się otrząsnąć z zaskoczenia, ale zaraz odzyskała energię i zaczęła się kołysać w takt muzyki. Znała przecież słowa na pamięć, więc zaczęła wtórować orkiestrze, dopóki coś nie kazało jej przestać. Na samym środku platformy bowiem, otoczony orkiestrą, stał Sam. Uśmiechał się do niej, wyciągał ręce i śpiewał serenadę na jej cześć.

- No, na co jeszcze czekasz? - krzyknęła jej do ucha Vivienne.

Jasne, nie chciała utracić go po raz drugi! Złapała Vivienne za ramiona, ucałowała serdecznie w oba policzki i pobiegła w stronę schodów przeciwpożarowych. Vivienne, zanosząc się od śmiechu, przytuliła się do Gilesa, ale Delila szybko znikła im z oczu, a Fatso popędził za nią z głośnym szczerzeniem.

Delila zbiegała w dół, skacząc po dwa stopnie naraz. Niestety, okazało się, że droga ewakuacyjna wychodzi na boczną uliczkę pełną gapiów. Złapała więc Fatsa na ręce i zaczęła łokciami torować sobie drogę w tłumie, w którym znajdowały się zarówno matki z dziećmi, jak i dziewczęta z odsłoniętymi pępkiem, wygoleni na zero młodzieńcy popalający trawkę i ekipa telewizyjna kręcąca kolejny dokument. Powtarzając „Przepraszam, przepraszam...”, wciskała się w każdy centymetr wolnego miejsca, próbując rozglądać się ponad głowami gapiów. Z tej odległości widziała tylko oddalające się platformy, natomiast nie widziała Sama. Do chwili, gdy go usłyszała.

- Delilo! - krzyknął tak głośno, że jego głos wybił się ponad gwar.

- Samie! - wrzasnęła, ile siły w płucach. Spotkała się za to z karcącym spojrzeniem kobiety przebranej za skrzydlatą wróżkę, która aż zatkała uszy. Nie zważała jednak na to i powtórzyła: - Samie!

Dopiero wtedy znalazł się w jej polu widzenia. Był już pod budynkiem restauracji U Toma i próbował się do niej dopchać, ukazując roześmianą twarz. Wyciągnął rękę ponad głowami tłumu, dopóki Delila, trzymając Fatsa jedną ręką, uchwyciła jego palce. Wtedy przyciągnął ją do siebie, znalazła się tuż przed nim. Oboje z trudem łapali oddech, ale śmiali się jak para zwariowanych nastolatków. Początkowo tylko patrzyli sobie w oczy, zanim zdobyli się na coś więcej.

- Gdzieś był, jak cię nie było? - wydusiła w końcu, starając się przekrzyczeć muzykę.

- W Hiszpanii, bo musiałem to i owo obgadać z moim starym. - Nie przestawał przy tym patrzeć jej głęboko w oczy swoimi ciemnobrązowymi oczyma. - Przypadkowo wpadła mi w ręce gazeta z twoim zdjęciem i artykułem o restauracji, więc chyba sama rozumiesz, że musiałem przyjechać.

Przygryzła wargę, bo raptem chwyciła ją trema. Dawno już obmyśliła sobie, co chce mu powiedzieć, a teraz nie mogło jej to przejść przez gardło.

- Znalazłaś już szefa kuchni? - Wskazał na szyld restauracji.

- Jeszcze nie, a co, może interesuje cię ta posada?

- Kto wie... - Ni stąd, ni zowąd wyciągnął z tylnej kieszeni zmięty arkusik papieru i wręczył Delili. - A gdybym zapewnił ci dobrego szefa kuchni, czy w zamian znalazłabyś kogoś, kto poleciałby ze mną do Las Vegas?

Niepewna, co to znowu ma znaczyć, spojrzała na druczek. Był to bilet Brytyjskich Linii Lotniczych na popołudniowy lot do Las Vegas.

- Dlaczego właśnie do Las Vegas? Co tam się dzieje?

- To, co zawsze, blackjack, ruletka i tak dalej... aha, w którymś kasynie ma być recital jednego piosenkarza. Może o nim słyszałaś? Taki starszy gościec z Walii, nazywa się Tom Jones...

Nawet przenikliwe gwizdy tłumu nie zdołały zagłuszyć jej okrzyku zachwyty. Jedną ręką przycisnęła do siebie Fatsa, a drugą zarzuciła na szyję Sama, jakby już nigdy nie chciała go puścić od siebie. Sam też trzymał ją w objęciach niczym najcenniejszy skarb na świecie. Na oczach tysięcy balowiczów dwoje ludzi z wysmukłym charcikiem w środku przyłgnęli do siebie, aż wreszcie ona go pocałowała. I okazało się, że przecucie ją nie myliło - znów, jak kiedyś, w jego oczach dostrzegła jasny płomień.

- Samie, kocham cię jak jasna cholera!

Uśmiechnął się od ucha do ucha, bo czekał na te słowa od tamtego pierwszego wieczoru w kawiarni.

- Ja też cię kocham, Delilo!

Sięgnij po moje usta, po moje ramiona,

*Należą już do ciebie, powiedz tylko słowo...
Sięgnij po moją miłość, co nieogarniona;
Twój uśmiech drzwi otworzył do życia na nowo!
Wszystkie bogactwa świata, te nieocenione,
Mogą twoimi być.
Więc sięgnij po me usta, po moje ramiona,
Zacznij na nowo żyć...*



TLR